

SF

ANDREW S.  
SWANN

WROGIE PRZETECIE



SPEKULANT

**ANDREW S. SWANN**

# **SPEKULANT**

*WROGIE PRZEJĘCIE*

*The Hostile Takeover. Profiteer*

*Przełożył z angielskiego Robert J. Szmidt*



## SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI .....	3
NIECH ŻYJE ANARCHOKAPITALIZM .....	4
DRAMATIS PERSONAE .....	7
PROLOG JAK TO ZWYKLE W POLITYCE BYWA .....	8
ROZDZIAŁ PIERWSZY UKRYTY CEL.....	8
ROZDZIAŁ DRUGI BOJOWNICY O WOLNOŚĆ .....	18
CZĘŚĆ PIERWSZA WYKUP KREDYTOWANY .....	21
ROZDZIAŁ TRZECI KOMPLEKS MILITARNO-PRZEMYSŁOWY .....	22
ROZDZIAŁ CZWARTY SZPIEGOSTWO PRZEMYSŁOWE .....	32
ROZDZIAŁ PIĄTY EKONOMIA SZAREJ STREFY .....	39
ROZDZIAŁ SZÓSTY ZAMACH STANU .....	47
ROZDZIAŁ SIÓDMY PRAWO KARNE.....	56
ROZDZIAŁ ÓSMY FUZJE.....	65
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY OSZUSTWO UBEZPIECZENIOWE .....	74
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY INWESTYCJA O PODWYŻSZONYM RYZYKU .....	81
ROZDZIAŁ JEDENASTY DEWALUACJA.....	88
CZĘŚĆ DRUGA TOWARZYSZE PODRÓŻY .....	92
ROZDZIAŁ DWUNASTY TAJNY PLAN.....	92
ROZDZIAŁ TRZYNASTY ZBRODNIE WOJENNE.....	100
ROZDZIAŁ CZTERNASTY POSIEDZENIE RADY .....	110
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY CISI WSPÓLNICY .....	117
ROZDZIAŁ SZESNASTY SPADOCHRON ZE ŻŁOTA .....	128
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY LOJALNA OPOZYCJA .....	137
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY SZKLANE SUFITY .....	141
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY PRZECIEKI.....	148
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ZARZĄDZANIE .....	152
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY SPRAWY ZAGRANICZNE.....	163
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI WARTOŚCI RODZINNE.....	169
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI KONTROLA ZYSKÓW.....	176
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY KONFERENCJA PRASOWA.....	186
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY KONFLIKT INTERESÓW .....	195
CZĘŚĆ TRZECIA TAJNE OPERACJE.....	199

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY PRZECIEK DO MEDIÓW .....	199
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY PRZEKROCZENIE RUBIKONU .....	203
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY LUKI.....	207
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY BEZPIECZNA WYMIANA.....	211
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRWONIENIE KAPITAŁU.....	216
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY PLAN AWARYJNY.....	221
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI PŁYNNY AKTYWA.....	224
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI DZIAŁANIA PRZECIWPARTYZANCKIE .....	229
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY POSTRZELENIEC .....	235
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY GRA O SUMIE ZEROWEJ .....	240
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY SKRAJNA NIENAWIŚĆ .....	245
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY ZAŁAMANIE RYNKU .....	248
EPILOG WSKAŹNIKI EKONOMICZNE.....	257
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY KOSZTY ZAMKNIĘCIA .....	257
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY PROPAGANDA ZWYCIĘSTWA ...	261
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DOPUSZCZALNE ZAPRZECZENIA .....	264

## NIECH ŻYJE ANARCHOKAPITALIZM

Space opera nierozłącznie kojarzy się ze statkami kosmicznymi, gwiazdami obcymi rasami. Książki z tego gatunku mają wciągać, bawić, ale niekoniecznie - poruszyć. Tu zwykle nie oczekuje się subtelnych rozważań na temat społeczeństw. Dominuje akcja, akcja i wyobraźnia, która ma czytelnika oczarować feerią gadżetów, ras i wymyślonych światów. Tak przynajmniej uważa wielu czytelników, głównie więc dlatego krytykom zdarza się kręcić nosem na dzieła tego gatunku.

Tymczasem dobra space opera wcale nie musi skupiać się na rozrywce, na akcji, i w każdym razie nie musi rezygnować z przesłania. Owszem, kiedy weźmiemy do ręki popularną swego czasu powieść *Zapomnij o Ziemi* C.C. MacApp czy przypomnimy sobie *Formy chaosu* Colina Kappa, dostaniemy rozrywkę, w przypadku tej pierwszej powieści stojącą zresztą na bardzo wysokim poziomie. Jednakże już cykle L. Nivena o Pierścieniu, *Barrayar* Lois McMaster Bujold czy powieści Nancy Kress pokazują, że ten gatunek ma potencjał i wiele do przekazania. Wszystko zależy od wyobraźni i umiejętności autora.

Zresztą space opera, jak wszystkie gatunki fantastyki, wciąż ewoluuje. Na świecie

popularność zaczęły zyskiwać cykle Cherryh, Hamiltona czy Reynoldsa, w Polsce świetną space operę pisywał Tomek Kołodziejczak. Nie pozbywając się rozrywkowych aspektów, space opera zaczęła nieść także treści wysokie, mówić o czymś więcej, konstruować światy będące autorskim komentarzem do rzeczywistości, polemiką z jakimiś ideami.

Cykl A. Swanna wpisuje się w ten właśnie nurt. To zarazem militarna space opera napisana z rozmachem - opowiadająca dzieje podboju kosmosu przez ludzi, skomplikowane losy wspólnoty rozsianej po osiemdziesięciu planetach - jak i próba przyjrzenia się skutkom wcielenia w życie pewnych idei. W tym wypadku konfrontacji korporacyjnego kapitalizmu z komunizmem podszytym anarchią. A może o tym, co pod tą anarchią się kryje.

Podczas lektury *Spekulanta* miałem w głowie określenie pochodzące ze słownika poczynañ polityków czy biznesmenów: „walki buldogów pod dywanem”. Swann przeciwstawił Ziemi Radę Wykonawczą (ZRW), która próbuje zakulisowo rządzić całą Konfederacją, osobnej, nienależącej do Konfederacji planecie Bakunin. To byt zbiorowy, przynajmniej tak jest postrzegany przez Dimitrija Olmanowa, szefa Rady.

Nie ma tam żadnego rządu, ba!, żaden rząd nie ma prawa tam powstać. Na Bakuninie ścierają się wpływy niezależnych przedsiębiorstw, w tym Godwin Arms & Armaments zarządzanego przez jednego z głównych bohaterów, Dominica Magnusa. Żelazną ręką trzyma swoich wiernych Kościół Chrystusa Mściciela - skądinąd będący jaskrawym dowodem wypaczeń, do jakich doszło na Bakuninie - założony przez niewierzących i prześladowanych dysydentów-uciekierów z planet Konfederacji. Ale jest tam też miejsce dla księgarni zwanej Literaturą Bolszewicką, której właściciel, Johann Levy, sprzedaje wyłącznie opasłe anarchistyczne woluminy.

Bakunin, bez rządu i wspólnej armii, nie wydaje się godnym przeciwnikiem dla Federacji i jej oddziału komandosów. To żaden buldog, co najwyżej szara myszka. A jednak Swann pokazuje, że duży, skostniały w swoich zachowaniach twór, taki jak ZRW, naprzeciw wroga może słabszego, ale za to rozproszonego, nagle potyka się o synergii wynikającą z działania tych małych komun, Kościoła i korporacji, zjednoczonych we wspólnej walce. A to nie wszystko, bo przecież ZRW ma wrogów w swoim łonie, Konfederacja zaś nie stanowi monolitu, wręcz przeciwnie: Swann pokazuje ruchy odśrodkowe zdolne ją z hukiem rozsadzić.

Autor od pierwszej chwili, w tytule, tytułach rozdziałów i mottach, podpowiada czytelnikowi, na co należy zwracać uwagę, wykazując się przy tym ironicznym poczuciem humoru - patrz: *Ekonomia szarej strefy* czy *Inwestycja o podwyższonym ryzyku*.

Wszystko to tworzy fundament zaproponowanej czytelnikowi dyskusji o

dopuszczalności czynienia zła - bo przecież Olmanow właśnie zasadą mniejszego zła dla większego dobra usprawiedliwia swe poczynania:

Nie martw się. Cięży na mnie klątwa życia za wszelką cenę. Wiem bowiem, jakie piekło mielibyśmy w Konfederacji, którą poniekąd mam chronić, gdyby rozpoczęła się walka o sukcesję po mnie. Z tego właśnie powodu nie mogę odebrać sobie życia. Przynajmniej do chwili, gdy znajdę następcę, który nie będzie gorszy ode mnie. Natura bestii. Przewodniczący Rady musi stać się potworem, ale takim, w którego duszy tli się choć isierka sumienia.

W gruncie rzeczy Swann odsłania mechanizmy działania zimnych, wyrachowanych polityków, nieważne, czy członków Rady, czy rządzących korporacjami, jak Dominic. Mechanizmy są te same.

Ale przecież cechą dobrej powieści, niezależnie od gatunku, są postacie. I tu widać siłę kreacji Swanna. Oto, jak opisuje Olmanowa:

Był maszyną na długo przed tym „wypadkiem”. Już na Styksie reagował jak robot. Cybernetyczne wszczepy stały się zewnętrzną manifestacją architektury jego duszy. Był maszyną, ale jakże niedoskonałą. Idealny mechanizm nie zastanawiałby się nad sensem dalszego istnienia.

Olmanow bowiem targany jest wątpliwościami, podobnie jak wszyscy inni bohaterowie. Jest politykiem, działa w białych rękawiczkach, stąd na Bakunina leci jego przedstawiciel, z pozoru typowy żołnierz. Naprzeciw niego staje wspomniany wcześniej Dominic Magnus, postać nietuzinkowa chociażby przez swoje słabości. Jest to więc konfrontacja jednostek, chociaż dzieje się w świecie totalnej anarchii. Celem Olmanowa jest uporządkowanie tego chaosu, wyzyskanie go dla własnych korzyści. Wysłany, by tego dokonać, Klaus Dachan opętany jest nie tylko chęcią zaprowadzenia ładu, lecz także wymierzenia osobistej zemsty. Dominic... nie, nie zepsuję czytelnikowi lektury, zdradzając, jakie racje stoją po stronie prezesa Godwin Arms & Armaments.

Ciekawych postaci jest więcej, choćby ów właściciel księgarni, o którym Dominic myśli tak:

Myśl o tym, że lada chwila poproszą człowieka, który całe tycie neguje kapitalizm, aby pomógł im wskrzesić wielką korporację, zakrawała zdaniem Magnusa na absurd.

Jak widać, Swann stworzył postacie niebanalne, pełne wewnętrznych konfliktów, a przez to dla czytelnika ciekawe, nie pozwalające się oderwać od lektury, a ponadto zmuszające do zastanowienia nad ich poczynaniami.

Mamy więc do czynienia z rasową space operą, z bardzo dobrze pomyślanym światem i siatką wzajemnych relacji, a wreszcie z postaciami, które budzą nasze zaciekawienie. To sprawia, że powieść dosłownie się połyka, ale zarazem kończąc lekturę, pozostajemy z miłym wrażeniem, że na sicie coś zostało.

A zatem - zapraszam do lektury.

*Romek Pawlak*

## **DRAMATIS PERSONAE**

### **KONFEDERACJA**

Pearce Adams - przedstawiciel Konfederacji z Archeronu. Delegat Sojuszu Alfy Centauri w ZRW.

Ambrose - ochroniarz Dimitrija Olmanowa.

Kalin Green - przedstawicielka Konfederacji z Cynosa. Delegatka Ekonomicznej Wspólnoty Syriusza-Erydanu w ZRW.

Francesca Hernandez - przedstawicielka Konfederacji z Grimalkina. Delegatka Siedmiu Światów w ZRW. Potomkini genetycznie udoskonalonych zwierząt.

Robert Kaunda - przedstawiciel Konfederacji z Mazimby. Delegat Unii Niezależnych Światów Triangle Australis w ZRW.

Dimitrij Olmanow - szef Ziemskiej Rady Wykonawczej. Najpotężniejszy człowiek w Konfederacji.

Sim Vashniya - przedstawiciel Konfederacji z Sziwy. Delegat Protektoratu Ludowego Epsilon Indi w ZRW.

### **OPERACJA RASPUTIN**

Klaus Dacham - pułkownik, ZRW. Dowódca Krwawego Przyływu i operacji Rasputin.

Mary Hougland - kapral, siły specjalne z Occisisa. Przydzielona na Krwawy Przyływ.

Eric Murphy - podporucznik, siły specjalne z Occisisa. Przydzielony na Krwawy Przyływ.

Kathy Shane - kapitan, siły specjalne z Occisisa. Przydzielona na Krwawy Przyływ.

Webster - pseudonim używany przez informatora pułkownika Dachama.

## BAKUNIN

Kwiat - Obcy przypominający z wyglądu ptaka. Były ekspert wojskowy Konfederacji.

Cy Helmsman - zastępca prezesa do spraw operacyjnych w Godwin Arms and Armaments.

Ivor Jorgenson - pilot i przemytnik.

Johann Levy - specjalista od materiałów wybuchowych i właściciel księgarni Literatura Bolszewicka.

Tjale Mosasa - specjalista od elektroniki i właściciel Mosasa Salvage.

Dominic Magnus - były pułkownik w ZRW. Były przemytnik broni. Prezes Godwin Arms and Armaments.

Kari Tetsami - pracująca na własną rękę hakerka i złodziejka danych.

Losowy Krok - sztuczna inteligencja, „wspólnik” Mosasy.

Maria Zanzibar - szefowa ochrony Godwin Arms & Armaments.

## PROLOG

### JAK TO ZWYKLE W POLITYCE BYWA

„Zarówno w polityce, jak i w wyższych sferach finansowych  
szalbierstwo uważane jest za cnotę”.

Michaił A. Bakunin (1814-1876)

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### UKRYTY CEL

„Polityka zagraniczna jest wynikiem uprzedzeń możliwych tego świata”.

*Księga mądrości cynika*

„Podczas wojny najbardziej cenionymi przymiotami  
są przemoc i oszustwo”.

Thomas Hobbes (1588-1679)

Od stu milionów lat dwukilometrowa Twarz spoglądała niewzruszenie w marsjańskie niebo. Dimitrij Olmanow odwiedzał ją regularnie w ciągu minionego wieku.

Gdy przybył w to miejsce po raz pierwszy, musiał nosić skafander ciśnieniowy, a



niebo nad jego głową połyskiwało złowieszczą czerwienią. Dzisiaj wystarczył mu ciężki anorak. Dzisiaj wydychał kłęby pary unoszącej się w kierunku idealnie lazurowego sklepienia, na którym widać było tylko kilka niewielkich chmur wytworzonych przez genetycznie zmodyfikowane mikroorganizmy.

Lekarz przekląłby go, gdyby wiedział, że nie używa respiratora. „Dimitrij - mówił mu - twoje nowe serce ma wystarczająco dużo obciążeń związanych z pracą. Nie dobijaj go kontaktami ze zbyt rzadką atmosferą”.

Podwładni także mieliby obiekcje, choćby i wiedzieli, że towarzyszy mu wszechmocny Ambrose. Ta robota była zbyt niebezpieczna, nawet gdy nie prowokowało się zabójców.

Publicyści Konfedu z pewnością nie poinformowaliby opinii publicznej, że Dimitrij - ten Dimitrij - bywa sentymentalny. To oni stworzyli wrażenie, że na czele ZRW zasiada mityczny człowiek z żelaza.

Ich jednak mógł po prostu zignorować.

Ale z Twarzą to zupełnie inna sprawa.

Olmanow był najbardziej wpływowym człowiekiem w całej Konfederacji. Dlatego lubił przypominać sobie, że w tym wszechświecie istnieją także siły potężniejsze od niego.

Spojrzał w kierunku towarzyszącego mu kompana-ochroniarza. Ambrose wydawał się niewzruszony widokiem dzieła Obcych, które przesłaniało trzy czwarte widocznego horyzontu. Ale czy jego cokolwiek mogło wyprowadzić z równowagi? Stał tam teraz na szeroko rozstawionych nogach - o wiele lżej ubrany niż Dimitrij - wydychając gęste kłęby pary prosto w marsjańską atmosferę. Ambrose miał niemal dwa i pół metra wzrostu, był mocno opalony i kompletnie łysy. Spoglądał na świat powiększonymi czarnymi źrenicami, które zlewały się z równie ciemnymi tęczęwkami.

- Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego oni wymarli? - Dimitrij wskazał laską w kierunku kopuły chroniącej starożytny artefakt przed wpływem nasyconej tlenem atmosfery.

- Nie, sir - odparł Ambrose, potrząsając głową.

Olmanow rozmyślał czasami, ileż to świadomości może kryć się za mrocznym spojrzeniem ochroniarza. Ambrose'a w sporej części zrekonstruowano. Zostało mu niespełna ćwierć mózgu. Jego odpowiedzi zależały więc w dużym stopniu od oprogramowania, które zastępowało brakujące siedemdziesiąt pięć procent świadomości. Mimo tak poważnego kalectwa ochroniarz był absolutnie lojalny, na swój sposób inteligentny, bardzo sprawny i w pełni przewidywalny - a wszystko to, rzecz jasna, bez pogwałcenia ani jednego z obowiązujących w Konfederacji zakazów dotyczących stosowania sztucznej inteligencji i

inżynierii genetycznej.

Tyle że Ambrose nigdy nie będzie dobrym rozmówcą.

Dimitrij pokuśtykał dalej, opierając się na lasce.

- Czy stało się to z przyczyn naturalnych? Z powodu wrodzonych wad?

- Tego nie dowiemy się nigdy, sir.

- Tak wiele zdołali osiągnąć...

Twarz była jedną z niewielu pozostałości po cywilizacji, która powstała i runęła na długo przed tym, jak we wszechświecie pojawiły się znane człowiekowi gatunki. Ludzkość początkowo zwała te istoty Marsjanami, wierząc, że Twarz jest dziełem gatunku zamieszkującego ongiś Czerwoną Planetę... Tak było do odkrycia wykutej w skale mapy gwiazd, która zaprowadziła człowieka na Dolbri - zamieszkaną planetę, która z pewnością nie powstała w sposób naturalny A był to dopiero przedsmak odkryć pokazujących zdolności Obcych w dziedzinie terraformingu. Wkrótce stało się jasne, że Mars może mieć bardzo podobne pochodzenie.

Aczkolwiek - w odróżnieniu od Dolbri - tutaj nieznanne istoty osiągnęły połowiczny sukces. Nie powstały tu żadne formy życia organicznego, atmosfera była zbyt rzadka i cienka, a cała woda albo zamarzała, albo wyparowała.

Wyglądało na to, że Dolbrianie wymarli w szczycie rozkwitu cywilizacji i nikt nie był w stanie odgadnąć, dlaczego tak się stało.

- Czy coś jest nie tak, sir?

W tym momencie Dimitrij zdał sobie sprawę, że zamilkł w połowie zdania.

- Nie, nie. - „Po prostu się zamyśliłem, Ambrose. Na pewno nie dostałem udaru mózgu”. - Chodziło mi o to, że Dolbrianie osiągnęli tak wysoki poziom rozwoju, iż w porównaniu z nami mogli być postrzegani jak bogowie, a mimo to zniknęli z tego świata. Jakie więc szanse na przetrwanie może mieć człowiek?

- Zna pan odpowiedź na to pytanie, sir?

Olmanow uśmiechnął się z goryczą.

- Zło tkwi w naturze wszystkich istot myślących. To samo zło, które je potem niszczy.  
- Ambrose spojrział na niego uważniej. - Kto jak kto, ale ty powinienesz to wiedzieć - dodał Dimitrij. - Brodzimy w nim każdego dnia. A przynajmniej ja to robię. Sto sześćdziesiąt lat kolektywnego zła ludzkości. Tym właśnie jestem.

- Skoro pan tak mówi, sir...

- Przyjdzie taki dzień, Ambrose, w którym po raz pierwszy nie zgodzisz się ze mną. - Olmanow pochylił się i wygrzebał z pyłu zielonkawę żdźbło demontrawy. Rosła tutaj z

trudem, pod na wpół zwietrzałymi kamieniami, dzięki wyprodukowanym przez człowieka symbiontom, których zadaniem było wspieranie tego prymitywnego ekosystemu. Zmiał roślinkę między palcami, rozgniatając przy okazji maleńkie białe owady. - Co byś zrobił, gdybym targnął się na życie?

Ambrose skrzywił się, jakby dostał bóleści.

- Sir...

- Narobiłbym ci tym sporo kłopotów. Musiałbyś zdać się na własny osąd sytuacji, rezygnując ze wsparcia oprogramowania, które ci zaimplementowano.

- Proszę... - jęknął ochroniarz, wypowiadając to słowo, jakby miał problemy z mówieniem.

Dimitrij pozwolił, by wietrzyk wywiał źdźbło spomiędzy jego placów.

- Nie martw się. Cięży na mnie klątwa życia za wszelką cenę. Wiem bowiem, jakie piekło mielibyśmy w Konfederacji, którą poniekąd mam chronić, gdyby rozpoczęła się walka o sukcesję po mnie. Z tego właśnie powodu nie mogę odebrać sobie życia. - „Przynajmniej do chwili, gdy znajdę następcę, który nie będzie gorszy ode mnie”. Ból widoczny na twarzy ochroniarza powoli zniknął. - Natura bestii. Przewodniczący Rady musi stać się potworem, ale takim, w którego duszy tli się choć isierka sumienia.

Ambrose wrócił do normalnego trybu działania, znów przyjął paradną pozę, skinął głową, a potem rzucił zdawkowe „sir”, którego Olmanow nawet nie zauważył. Gdy podnosił się po zbyt długim kucaniu, poczuł w kolanach charakterystyczne chrupnięcia.

- Pamiętaj, Ambrose, musisz służyć mojemu następcy równie wiernie jak mnie. Jestem pewien, że będziesz żył o wiele dłużej.

- To niewykluczone, sir.

Dimitrij westchnął i ruszył w drogę powrotną do autolotu. Napatrzył się już na Twarz.

- Pamiętasz jeszcze Helen? - zapytał.

- Nie, sir.

- No tak. Nic dla ciebie nie znaczyła. A ty nie przechowujesz w bankach pamięci wspomnień, które nie są istotne z twojego punktu widzenia.

- Nie, sir.

- Tak czy inaczej, załatwiłem ją, zanim ty się u nas pojawiłeś. To znaczy znałem ją w tamtych czasach. Rozprawilem się z nią piętnaście lat temu, a teraz będę musiał zrobić to samo z jej bliźniakami.

- Słucham, sir?

Gdy dotarli do autolotu, Dimitrij oparł się o maskę maszyny. W tym momencie musiał

przyznać, że rezygnacja z respiratora była jednak błędem.

- Szerzenie zła, Ambrose. Grzechy ojców i cała reszta... - musiał przerwać, by zaczerpnąć tchu. Kilka sekund później jego ciałem wstrząsnął spazmatyczny kaszel, po którym zakręciło mu się w głowie. Ochroniarz znalazł się obok, zanim Olmanow zdążył wycharzczeć, oganiając się od niego laską: - Odejdź! Nic mi nie jest! Żadnych wizyt lekarskich w tym tygodniu. Oni chcą mi bez przerwy przeszczepiać organy.

- Jest pan pewien, sir?

Dimitrij przytaknął, mimo że wciąż czuł zawroty głowy. Przez otwarte drzwi autolotu wsunął się do kabiny. Gdy Ambrose zajął miejsce za sterami, pojazd został natychmiast uszczelniony. Olmanow odetchnął z ulgą, czując, że ciśnienie wewnątrz zaczyna rosnąć.

Odeszła mu już ochota do życia. Zbyt długo kręcił się po tym świecie.

Zdążył przeżyć powstanie i upadek Rady Terrańskiej oraz wymuszone nim wyludnienie Ziemi. Widział, jak system tuneli czasoprzestrzennych wypiera używane wcześniej napędy tachionowe, umożliwiając ludzkości podbój nieba na niespotykaną dotąd skalę. Od dnia jego urodzin człowiek zdążył założyć kolonie na pięćdziesięciu nowych planetach, z czego większość powstała w ostatnim stuleciu. Za jego życia atmosfera Marsa stała się na tyle gęsta, by można nią oddychać, a zdecydowana większość ludzi wyemigrowała do odległych systemów gwiazdnych.

Zbyt wiele historii jak na jednego człowieka.

Był szefem Ziemskiej Rady Wykonawczej, tajnej policji, armii, zbrojnego ramienia osiemdziesięciu trzech planet stanowiących Konfederację. Olmanow - poprzez ZRW - zarządzał wszystkimi tymi światami. Ich niezależni przywódcy już dawno, i to z najwyższą radością, doprowadziliby do rozerwania tego sztucznego tworu, gdyby nie kruche dyplomatyczne spoiwo, jakim była Rada.

Czasami to jarzmo wydawało się jednak zbyt ciężkie.

A skoro mowa o dyplomatycznym spoiwie...

- Lećmy już, Ambrose. Mamy spotkanie. - Kiedy pojazd oderwał się od ziemi, Dimitrij dodał jeszcze: - Przez ciebie spóźnię się kiedyś na własny pogrzeb.

\*\*\*

Samotny człowiek odsunął lornetkę od oczu. Znajdował się daleko od autolotu Olmanowa, na marsjańskiej skalnej formacji, która równie dobrze mogłaby być kolejną pozostałością po Dolbrianach, jak i zwykłą kupą zwietrzałych kamieni. Kimkolwiek był, zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie ponosił, podchodząc tak blisko szefa Rady. Zapomniał tylko o masywnym golemie, który towarzyszył Dimitrijowi.

„Nie tyle zapomniałem, ile jest to kolejna sprawa, o której nie chciałbym pamiętać”. Mężczyzna przeniósł wzrok na chromowaną cybernetyczną dłoń kończącą jego prawe ramię. Po wielu latach użytkowania zdołało ją wiele otarć i wgnieceń. Choć nie było tego widać, musiał też chodzić na podobnie wyglądającej protezie. „Staruszek ma przykry zwyczaj przerabiania ludzi na swoje podobieństwo”.

Wycofał się na przeciwległe zbocze wzniesienia, poza pole widzenia ludzi w autolocie. Olmanow, przywódca Konfederacji, nie cierpiał, gdy ktoś się nim za bardzo interesował.

Mężczyzna przysiadł za granią i schował lornetkę do futerału. Pozostał w tym miejscu tak długo, aż wóz Dimitrija znikł za marsjańskim horyzontem. Zawsze był ostrożniejszy, niż wymagała sytuacja. Dzięki temu nigdy go nie wykryto.

Nikt go nie szukał.

Nikt nie wiedział o jego istnieniu.

Ostatnie dziewięć lat spędził na minimalizowaniu kontaktów z otaczającym go światem. Musiał też ukryć swoją obecność tutaj. Był anomalią, temporalną czkawką mogącą doprowadzić do zdestabilizowania wydarzeń, które powinien naprawić.

Tak wiele mogło przepaść, gdyby ktoś odkrył jego obecność albo znalazł kryształowe jaskinie, lecz nadal - mimo że wiedział o zagrożeniu i sfabrykowanej, choć bardzo realnej tożsamości - nie mógł się oprzeć pragnieniu, by odbyć kolejną pielgrzymkę do Twarzy. W ciągu tych dziewięciu lat wielokrotnie musiał przechytrzać otaczające go stado naukowców tylko po to, by ujrzeć po raz kolejny ten niesamowity twór obcej cywilizacji.

Twarz przypominała mu o domu.

Ale dopiero teraz zrozumiał, że był też inny powód tych wypadów.

Miał nadzieję, że ujrzy tutaj Olmanowa.

Wiedział o obsesji staruszka na punkcie Dolbrian i ich Twarzy. W głębi duszy, mimo czynionych z takim mozolem wysiłków, by pozostać niewidzialnym, pragnął zobaczyć człowieka, który był odpowiedzialny za to wszystko. Byłego dowódcę, którego tak szanował przed wieloma laty.

Teraz ujrzał go po raz kolejny, tuż przy Twarzy. Spotkanie z nim, tak blisko końca wygnania, stanowiło ogromny szok. Gdy dostrzegł go w końcu stojącego na równinie Cydonia, zdołał pomyśleć jedynie o tym, jak łatwo mógłby go dziś zlikwidować.

Dziewięć lat izolacji z wyboru nie złagodziło uczucia nienawiści do człowieka, który miał wydać rozkazy. Gorzej nawet. Jeśli to ogromne poświęcenie miało się na coś przydać, musiał mu na to pozwolić. Aby mieć szansę na uratowanie czegokolwiek, musiał czekać, aż

rozkazy zostaną wydane, a nawet dłużej, nieomalże do chwili ich wykonania.

Musiał czekać do samiuteńkiego końca.

Ale dla człowieka, który nie robił nic innego od dziewięciu lat, te cztery dodatkowe miesiące nie będą stanowić wielkiej różnicy.

W końcu już niedługo będzie mógł odlecieć na Ziemię, nie doprowadziwszy do żadnych zmian. A od tak dawna chciał ją zobaczyć.

Po dłuższej chwili oczekiwania, gdy Dimitrij i Ambrose dawno już odjechali, rozpoczął długi marsz w kierunku obozu, do kryształowych jaskiń, będących równie zadziwiającym tworem jak znajdująca się za jego plecami policeramiczna Twarz. Tyle że w odróżnieniu od artefaktu Obcych one powstały dziewięć lat temu głęboko pod powierzchnią Czerwonej Planety.

\*\*\*

Miejsce spotkania leżało w odległości dwunastu kilometrów od Twarzy, w jednej z opustoszałych stacji badawczych rozstawionych wokół kolejnej struktury Obcych zwanej Miastem. Ośrodek ten zbudowano u podstawy gigantycznej, niemal dziesięciokilometrowej wieży atmosferycznej, jednego ze szczytowych osiągnięć ziemskiego terraformingu. Te potężne konstrukcje, przypominające z wyglądu gigantyczne białe dmuchawce, zostały zbudowane przez samopowielające się maszyny, oczywiście za czasów, gdy ludzkość uznawała takie rozwiązania za całkowicie bezpieczne. Rozmieszczono je na całej powierzchni Marsa.

Dimitrij polubił myśl, że Ziemską Radę Wykonawczą spotyka się pod korzeniem jakiejś rośliny. Dzięki takim metaforom lepiej odnajdował się w skali wszechświata.

Pomieszczenie, które wyznaczył na to spotkanie, znajdowało się dwadzieścia metrów pod powierzchnią ziemi. O wyborze nie zdecydowały względy bezpieczeństwa - wszystkie marsjańskie budowle będące pod kuratelą ZRW miały najwyższy certyfikat zabezpieczeń - tylko jego czyste wygodnictwo. Olmanow nie miał ochoty na odwoływanie podróży na Marsa, prościej więc było zebrać członków ZRW na Cydonii, niż przekładać spotkanie z nimi na inny termin.

Na tym właśnie polega biurokracja.

Dimitrij przybył na miejsce ostatni. Pięcioro delegatów siedziało już przy stole, czekając na niego. Pięć istot reprezentujących dwie przeciwstawne frakcje. Każdemu odpowiedział na powitanie, uściśnął dłoń, uklonił się.

Po jednej stronie stołu zasiedli Pierce Adams z Sojuszu Alfya Centauri i Kalin Green z Ekonomicznej Wspólnoty Syriusza-Erydanu. Ci dwoje zawsze działali jednomyślnie w

kwestiach dotyczących bezpieczeństwa Konfederacji. Ich stoliczne planety zwane Occisis i Cynos były niemal tak bogate i wpływowe jak Ziemia.

Po drugiej stronie Dimitrij miał Roberta Kaundę, Sima Vashnię i Francescę Hernandez. Kaunda reprezentował najsłabszą frakcję Konfederacji, Unię Niezależnych Światów. Vashniya był z kolei przedstawicielem najpotężniejszej z nich, zwanej Protektorem Ludowym Epsilon Indi. Francesce Hernandez przypadła w Radzie rola pierwszego po dwudziestoletniej przerwie ambasadora zaściankowych Siedmiu Światów.

Znamienny był też fakt, że nie należała do rodzaju ludzkiego.

Dimitrij wstrzymał oddech, podając jej dłoń na powitanie. Była dwunożnym kotowatym stworzeniem, które stojąc na tylnych łapach, przerastało wzrostem każdego z obecnych na tej sali. Z jej zwierzęcego oblicza trudno było cokolwiek wyczytać.

Konfederacja wolałaby zapomnieć o przeszłości, jaką reprezentowały planety skupione wokół Tau Ceti. Współczesnym ludziom było nie w smak, że ich rodzaj zabawiał się kiedyś genetyką, tworząc podobne rozumne gatunki.

Człowiek mógł zapomnieć o sztucznej inteligencji, zwłaszcza o takiej, którą dało się w każdej chwili wyłączyć, lecz nie potrafił wymazać z pamięci istot wyglądających jak Hernandez bez względu na to, jak odizolowane i ksenofobiczne stały się społeczności Siedmiu Światów.

Po formalnym powitaniu - znał ich wszystkich od strony zawodowej, prócz Hernandez, rzecz jasna - Olmanow przystąpił do referowania założeń operacji Rasputin.

Dyskusja o gwiazdzie BD+50°1725 oraz okrążającej ją i sprawiającej tak wiele problemów planecie była równie płytka jak wcześniejsze pozdrowienia. Wszyscy obecni wiedzieli doskonale, czym jest Bakunin. Wszyscy też zdawali sobie sprawę z zagrożenia, jakie ta planeta stanowi dla Wspólnoty Ekonomicznej oraz - choć w nieco mniejszym stopniu - Sojuszu Centauri. Każdemu znana też była propozycja rozwiązania problemu złożona przez delegata Syriusza.

Powodem osobistego spotkania piątki radnych z przewodniczącym nie była wcale chęć wysłuchania kolejnego przemówienia Olmanowa. Chodziło raczej o kwestie związane z fizyką. Prawo Konfederacji wymagało, aby najważniejsze głosowania odbywały się w tym samym czasie, co nie było jednak możliwe, gdy reprezentanci przebywali w różnych systemach gwiazdnych, nawet w przypadku korzystania z najnowocześniejszych łącz tachionowych.

Tak więc aby prawu stało się zadość, wszyscy głosujący powinni znajdować się w tym samym miejscu, co oznaczało, że Dimitrij musiał zasiąść z nimi w jednym pomieszczeniu,

stawiając osobiście czoło istotom reprezentującym najpoważniejsze grupy interesów w Konfederacji.

- Powinniśmy o tym pamiętać - zakończył przemowę - jako że Bakunin, nie będąc członkiem Konfederacji, nie może być obiektem prawnych restrykcji ustanowionych przez tę Radę. Żadna z przedstawionych tutaj propozycji nie jest zatem nielegalna, przynajmniej ze statutowego punktu widzenia.

- Co znaczy, że możemy wywalić nasz Statut do kosza - mruknął w tym momencie Kaunda, co nie uszło uwagi Olmanowa, aczkolwiek przewodniczący postanowił te słowa zignorować. Nikomu nie uśmiechało się tworzenie precedensu, jakim będzie ta inwazja.

Nikomu prócz delegatów Syriusza i Centauri, którym groził poważny kryzys ekonomiczny, głównie za sprawą czarnej dziury, jaką generował w ich finansach leżący opodal Bakunin.

- Proszę oddać głosy i przekazać mi karty.

Adams i Green zagłosowali niemal jednocześnie. Kaunda, jak zawsze przesadnie wyniosły, przesunął kartę w kierunku przewodniczącego. Gest ten mógłby być uzasadniony, gdyby nie fakt, że Unia posiadała tylko jeden głos w Radzie.

Pazury Hernandez uderzyły o jego kartę z głośnym kliknięciem, gdy chwyciła ją, by podać dalej.

Vashniya się wahał. Pozostali czekali na jego ruch, ale on wciąż gapił się na trzymany w dłoniach przedmiot. Był niskim człowiekiem o czekoladowej skórze, łysym, za to puszącym się sporą całkowicie siwą brodą. Siedząc za stołem, uśmiechał się enigmatycznie, wyglądał przy tym jak gnom rozkoszujący się widokiem garnka pełnego złotych monet.

Z wyrazu jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Dimitrij zupełnie nie rozumiał radości tego delegata. Zdążył już przeliczyć w pamięci liczbę głosów. Gdyby nawet Vashniya miał po swojej stronie obu sprzymierzeńców - gdyby Indi i przyjaciele byli tym razem jednomyślni - i tak zabrakłoby im jednego głosu. Werdykt brzmiałby: dwadzieścia dwa do dwudziestu jeden.

Przedstawiciel Protektoratu oddał w końcu kartę.

Olmanow wsunął je wszystkie do terminala ustawionego na blacie stołu i sprawdził wynik głosowania, zanim obwieścił go zebrany.

„Co takiego?” O mały włos nie wypowiedział tego pytania na głos. Niewiele też brakowało, by na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia - coś, do czego nigdy wcześniej nie dopuścił. Nie chodziło o to, że operacja Rasputin została utracona. Zatwierdzono ją, zgodnie z jego oczekiwaniami, z całkiem sporym marginesem bezpieczeństwa.



Zdziwił go jednak przebieg głosowania.

Dimitrij odczytał ostateczne podsumowanie, zachowując oschły ton:

- Oto wynik głosowania Rady Wykonawczej. Dwadzieścia głosów za, siedem przeciw, szesnaście się wstrzymało. - Gdy podał liczbę wstrzymujących się od głosowania, zobaczył na twarzach Adamsa i Green zaskoczenie. Wszyscy delegaci natychmiast zwrócili wzrok na uśmiechającego się niewinnie Vashniyę. - Decyzja została podjęta - dokończył przewodniczący.

„Dlaczego? - pomyślał w tej samej chwili. - Dlaczego cały blok Epsilon Indi wstrzymał się od głosu? To przecież aż piętnaście głosów”. Ale to jeszcze nie wszystko. Syriusz dał dwa głosy przeciw, co oznaczało, że przy sprzeciwie Indi operacja Rasputin zostałaby definitywnie zablokowana. Protektorat nieustannie narzeka, że Syriusz i Centauri de facto zawłaszczyły sobie politykę Konfedu, a Vashniya, zjednując sobie najpierw przychyłność Unii i Siedmiu Światów, nagle pozwala im przeforsować kolejną propozycję. I dlaczego to go tak bawi?

Dimitrij opuścił miejsce spotkania, planując stworzenie specjalnego zespołu operacyjnego, który zajmie się analizą ostatnich zmian w politycznych układach Konfederacji.

\*\*\*

Ambrose jak zawsze czekał na niego przy drzwiach. Nie oddalał się nigdy dalej niż na pięćdziesiąt metrów od swojego pryncypała, był to bowiem dystans, który jego ulepszone ciało mogło pokonać w mniej niż sekundę.

- Rasputin został zatwierdzony.

- To świetnie, sir.

Przeszli do autolotu. Po drodze Olmanow uznał, że będzie mu brakowało Marsa. Gdyby nie wpływ rzadszej atmosfery, przy tak niskiej grawitacji czułby się jak człowiek o połowę młodszy.

Co i tak plasowałoby go w gronie statecznych osiemdziesięciolatków.

- Też tak sędzę, choć samo głosowanie miało dziwny przebieg.

- Tak, sir. - Każdy inny zapytałby, na czym polegał ów „dziwny przebieg”, ale Ambrose wydawał się całkowicie pozbawiony ciekawości. I za to właśnie Dimitrij tak go lubił.

- To naprawdę dobrze. Syriusz może nadal udawać, że to rozwiąże jego problemy ekonomiczne, a ja zyskałem w końcu arenę przełomowego starcia. - Olmanow poklepał laską nogę ochroniarza, gdy ten otworzył mu drzwi. - Pojmujesz? Mam w końcu swój łabędzi

śpiew.

- Skoro pan tak mówi, sir...

Dimitrij wsunął się na tylne siedzenie autolotu, a Ambrose natychmiast zajął miejsce za sterami.

- Czekałem dziesięć lat na możliwość posłania Klausa na Bakunina. - Olmanow przymknął oczy. - W sytuacji gdy kwestia sukcesji staje się coraz bardziej nagląca, przez moment sądziłem, że ten jeden jedyny raz będę musiał przekroczyć kompetencje, jeśli to jest w ogóle możliwe, aby zaaranżować tę misję dla niego.

- Dobrze, że nie musiał pan tego robić, sir.

- Tak, Ambrose. - Olmanow ziewnął. - Obudź mnie, gdy dojedziemy do kosmoportu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

# BOJOWNICY O WOLNOŚĆ

„Wojna jest najbardziej szczerą formą dyplomacji”.

*Księga mądrości cynika*

„Idziemy zagarnąć marny kęs ziemi, z którego krom sławy, żaden nam inny nie przyjdzie pożytek”.

*Hamlet, William Shakespeare (1564-1616)*

Kapitan Kathy Shane miała złe przeczucia względem operacji Rasputin. I nie chodziło bynajmniej o to, że po raz pierwszy została przydzielona do misji zleconej przez Radę Wykonawczą. Gdyby na tym polegał problem, bez trudu oddaliłaby od siebie wszelkie obawy. Nie przejmowała się też tym, że dwie kompanie, którymi dowodziła, miały operować poza granicami Sojuszu Centauri, choć z tego, co wiedziała, będzie to pierwsza misja komandosów z Occisisa poza oficjalną sferą wpływów tutejszego rządu.

Martwiło ją coś zupełnie innego. Wykonywała misję na zlecenie ZRW, a to oznaczało, że delegaci mogli ją rzucić gdziekolwiek na terytorium Konfederacji.

Gdziekolwiek na terytorium Konfederacji.

Na tym właśnie polegał jej problem.

Planeta Bakunin leżała poza granicami Konfedu. Nigdy nie podpisała Statutu. Nigdy też nie posiadała rządu, który mógłby to uczynić w jej imieniu.

I ten właśnie brak przywództwa spędzał sen z powiek kapitan Shane. Jednym z fundamentów Statutu Konfederacji było bowiem zagwarantowanie pełnej suwerenności

każdej z planet. Jądro tej umowy otoczono, jak w przysłowiowej cebuli, wieloma warstwami podobnych swobód. Każdy ze światów miał pilnować porządku na swoim terytorium, siły Konfedu strzegły ładu wewnątrzsystemowego, ZRW zaś dbała o zachowanie równowagi w skali międzygwiazdnej. A operację o takim zasięgu można było przeprowadzić tylko w dwóch przypadkach.

W razie konieczności obrony planety przed agresorem z zewnątrz albo jej legalnie wybranego rządu przed zagrożeniami wewnętrznymi.

Operacja Rasputin nie należała do żadnej z powyższych kategorii.

Shane leżała na koi, rozmyślając o czekającym ją zadaniu. Jej kajuta była maleńka, wciśnięto ją w najdalszy kąt przedziału osobowego Krwawego Przyływu. Mimo to Shane miała luksusowe warunki jak na tę sytuację. Dowodziła tymi oddziałami, więc jako jedyna otrzymała do dyspozycji prywatne pomieszczenie.

Na pokładach okrętów transportowych klasy Barakuda większość oficerów mogła zazwyczaj liczyć na przydział własnej kajuty, lecz tym razem postąpiono inaczej. Komandosi z Occisisa stanowili zaledwie dwie trzecie stanu osobowego. Reszta zespołu składała się z ludzi ZRW.

Z cywili i... jednego pułkownika.

Krwawy Przyływ opuścił Occisisa z niepełną obsadą. Na pokładzie znalazły się tylko dwie kompanie komandosów, choć miejsca wystarczyłoby spokojnie dla trzeciej. Dopiero na orbicie Słońca dokooptowano personel z Rady Wykonawczej, czyli dowództwo tej misji.

To także wydawało się Shane niewłaściwe. Nie sam fakt współpracy z ZRW, tylko narzucenie im na dowódcę agenta Rady, niejakiego pułkownika Klausa Dachama.

Shane spojrzała na zegar umieszczony na grodzi.

Godzina dwudziesta czwarta czasu bakunińskiego. Przeszli na trzydziestodwugodzinną dobę pokładową, zanim znaleźli się w Układzie Słonecznym, co miało miejsce już ponad tydzień temu.

Za pół godziny Krwawy Przyływ ponownie włączy napęd tachionowy.

W tym momencie ożył komunikator pokładowy.

- Kapitanie Shane.

Wyjęła niewielkie urządzenie z płytkiej wnęki w ścianie, która miała służyć jej za pulpit i stół zarazem.

- Melduje się Shane.

- Mówi pułkownik Dacham. Chciałbym, aby w chwili odlotu wszyscy oficerowie i podoficerowie dowodzący oddziałami byli obecni na sali odpraw.

- Tak jest - odparła tuż przed tym, jak komunikator zamilkł.

\*\*\*

O godzinie dwudziestej czwartej piętnaście w sali odpraw zebrał się cały pion dowodzenia jednostek zaokrętowanych na Krwawym Przypływie.

Była tam Shane, dowódca sześciu plutonów oraz pół tuzina cywili. Podział ten bardzo rzucał się w oczy nawet teraz, gdy wszyscy pozbyli się mundurów. Komandosi z Occisisa byli masywnie zbudowani, przysadziści, słabo opaleni. Siedzieli zawsze sztywno, jakby połknęli kije. Natomiast cywile stanowili mieszaninę wielu ras kilku z nich miało też ponad dwa metry wzrostu - górowali więc nad każdym z zaokrętowanych żołnierzy.

Pułkownik Dacham lokował się gdzieś pomiędzy tymi frakcjami. Miał bardziej oliwkową cerę, a jego niemal czarne włosy zostały przycięte bardzo krótko, na wojskową modłę. Nie był też wcale wyższy od ludzi z Occisisa - co zawdzięczał raczej genom niż życiu w podwyższonej grawitacji - i poruszał się sprężysto, jak przystało na prawdziwego żołnierza. Sądząc po mowie ciała, przywykł do dowodzenia, a w każdym razie do częstego wydawania rozkazów.

Nosił prosty mundur, czarny, pasujący do uniformów sił specjalnych z Occisisa. Nie było na nim żadnych insygniów.

Pułkownik Dacham stanął na mównicy przed gigantycznym holoprojektorem, na którym zebrani mogli zobaczyć obraz przestrzeni przed dziobem Krwawego Przypływu. Ekran wypełniała głównie czerń bezbrzeżnej pustki, niemniej Shane zauważyła miniaturowy dysk Saturna dryfujący nad prawym ramieniem dowódcy.

- Za niecałą godzinę - powiedział pułkownik - Krwawy Przypływ znajdzie się w przestrzeni powietrznej Bakunina. - „Dla nas będzie to godzina, dla reszty wszechświata znikniemy na niemal miesiąc”, poprawiła go w myślach Shane.

- Piętnaście minut później - ciągnął pułkownik, przemawiając do zgromadzonych komandosów - przeprowadzicie chirurgiczne uderzenie na Godwin Arms & Armaments. Atak z zaskoczenia jest jedyną szansą na uchwycenie przyczółka na powierzchni tej planety. Zdobycie i opanowanie tak małego celu może wam się wydać prostym zadaniem, takim, do którego nie trzeba aż dwóch kompanii wojsk specjalnych. Nie dajcie się jednak zwieść pozorom i nie podchodźcie do tej operacji z lekceważeniem. To pierwsza faza operacji Rasputin, ale kto wie, czy nie najtrudniejsza. - Saturn zniknął poza krawędzią ekranu. - Waszym głównym celem, prócz opanowania siedziby Godwin Arms & Armaments, co chciałbym wyraźnie podkreślić, będzie schwywanie szefa tej korporacji, Dominica Magnusa.

Shane skinęła bezwiednie głową, nie wglębiając się w treść tych słów. Pułkownik nie

powiedział niczego, o czym już by nie wiedziała.

Wszyscy przeszli tygodniowe intensywne szkolenie związane z tą misją, nie wyłączając kilku pozorowanych szturmów przeprowadzonych na powierzchni Marsa. Większość jej podwładnych mogłaby wykonać powierzone im zadania z zawiązanymi oczami.

Szczerze mówiąc, Krwawy Przyptyw zapewniał im tak ogromną przewagę ogniową, że nikt na jego pokładzie nie wątpił w szybkie zajęcie siedziby korporacji przez oddziały ZRW. Mimo że korporacje na Bakuninie, ze względu na panującą tam sytuację, dysponowały bardzo rozbudowanymi systemami obrony.

Shane nie potrafiła się powstrzymać od myśli, że gdyby operacja ta miała miejsce gdziekolwiek na terytorium Konfederacji, oznaczałaby wypowiedzenie wojny, której skutkiem byłby rozpad kruchego sojuszu wielu światów. Brutalne przejęcie GA&A - mimo że była to zwykła firma, nie agencja rządowa - naruszało w sposób istotny ducha, a nawet literę Statutu.

Najgorsze było jednak to, że operację Rasputin otaczała taka sama aura tajemniczości jak w przypadku większości działań podejmowanych przez ZRW. Shane na przykład nie miała bladego pojęcia, co się wydarzy po zakończeniu fazy pierwszej. To była wiedza zastrzeżona, niedostępna zwykłym żołnierzom.

Podczas przemowy pułkownika z głośników rozległ się krótki sygnał alarmowy. Dacham zamilkł i obrócił się, aby spojrzeć na wielkie holo.

Moment później obraz na wyświetlaczu uległ radykalnej zmianie. Widoczne w tle gwiazdy pozostały mniej więcej na swoich miejscach, ale przed dziobem okrętu pojawiło się miniaturowe czerwone słońce, a niemal czwartą część przestrzeni wypełnił dysk planety zwanej Bakunin.

Jej powierzchnia była zupełnie biała, tylko w okolicach równika przecinał ją szeroki pas oceanu. Jedyne kontynent znajdował się teraz po przeciwnej stronie globu i nie dało się go zobaczyć z pokładu Krwawego Przyptywu.

Gdy napęd tachionowy został wyłączony i jednostka przeszła płynnie w dryf, pułkownik Dacham wydał ostatni rozkaz.

- Przygotować się do ataku.

## **CZĘŚĆ PIERWSZA**

# **WYKUP KREDYTOWANY**

„Ludzkość nie wymyśliła wojen,

za to udoskonalila je w znacznym stopniu”.

Marbury Shane (2044-\*2074)

## ROZDZIAŁ TRZECI

# KOMPLEKS MILITARNO-PRZEMYSŁOWY

„Kapitalizm to nieustanny wyścig szczurów,  
aczkolwiek większość dróg prowadzi wyłącznie do śmierci tych gryzoni”.

*Księga mądrości cynika*

„Kapitalizm zlikwiduje rywalizację”.

Karol Marks (1818-1883)

- To nie jest wina sprzętu - wyszeptał Dominic Magnus.

Skupił całą uwagę na swojej lewej dłoni. Nie dostrzegł żadnych problemów z połączeniami pod półprzezroczystą tkanką. Syntetyczne mięśnie wciąż poruszały się płynnie, a odbicia obwodów drukowanych spoczywały bezpiecznie tuż pod powierzchnią skóry.

Zauważył, że jego palce zaczynają bębnić, gdy pograża się w myślach, natychmiast zaczął więc szukać przyczyn tego stanu rzeczy, uznawszy, iż problem może tkwić w błędnych połączeniach. Wszystko wskazywało jednak na to, że owo bębnienie, podobnie jak nerwowy tik twarzy, nie mają źródła w oprogramowaniu protez, tylko gdzieś w mózgu. Cierpiał na te przypadłości od dawien dawna, ale ujawniły się dopiero teraz, i to z pełną mocą - zapewne na skutek stresów, jakie przeżył podczas ostatnich niepokojów dotyczących przemysłu zbrojeniowego.

Miał nadzieję, że wykryje jakąś usterkę techniczną, coś, co będzie mógł łatwo opanować i wyeliminować.

Coś, co da się naprawić.

Da się kontrolować.

Nie cierpiał sytuacji, w których nie miał nad wszystkim pełnej kontroli.

Popęłnił błąd, odrywając wzrok od uszkodzonej dłoni, zaraz bowiem dostrzegł odbicie swojej twarzy w czarnym polerowanym marmurze biurka. Zacisnął powieki lecz po usunięciu z nich pigmentu na niewiele się to zdało.

Wiedział przecież doskonale, jak wygląda po zmianie. Nie lubił jednak przypominać sobie o tym.

Przez większość czasu Dominic nie różnił się niczym od przeciętnego faceta po

trzydziestce: miał oliwkową cerę, był stosunkowo niski i nie rzucał się w oczy. Tyle że po usunięciu pigmentu wszystkie rekonstrukcje jego ciała stały się widoczne gołym okiem. Pozbawiona barwników skóra ujawniała, że połowa jego torsu i cała lewa ręka pokryte są gęstą siecią przewodów wijących się wokół obwodów drukowanych. Muskulatura tej strony ciała także była syntetyczna, a co za tym idzie, niemal przezroczysta. Przez prześwitujące tkanki widział zarysy metalicznie szarych kości. Pod tytanowymi żebrami mógł też zobaczyć nieliczne oryginalne organy wewnętrzne, jakie mu jeszcze pozostały. Na prawym boku ocalałe mięśnie lśniły krwistą czerwienią, aczkolwiek i tam przezroczyste naczynia włosowate przenosiły wodnisty płyn, którym zastąpiono jego krew.

Najgorzej jednak wyglądała jego twarz.

Odlana z tytanu czaszka szczyrzyła się na odbiciu w marmurze. Te zębiska były zbyt białe jak na prawdziwe. Gapiła się na niego para wyglądających na ludzkie piwnych oczu. Wymusił powrót pigmentu i widmowa czaszka zniknęła powoli pod oliwkową karnacją, która przypominała porządną opaleniznę.

Lekarze twierdzili, że z czasem przyzwyczai się do tego widoku, ale chociaż minęło już dziesięć lat standardowych, nadal miał z tym spore problemy.

Rozlegający się co pół godziny sygnał alarmowy oznajmił przybycie kolejnego nadprzestrzennego frachtowca. Jednostka ta wleciała już w granice systemu i lada minuta powinna rozpocząć podejście do lądowania. Według harmonogramu powinien to być Prometeusz z Cynosa.

Dominic przypuszczał, że zbliżające się negocjacje mogą być przyczyną wzmocnienia jego tików. Ponowne bębnienie palcami o blat utwierdziło go tylko w tym przekonaniu. Prezes tak wielkiej firmy nie powinien okazywać nerwowości.

Aczkolwiek gdyby się zastanowił, miał powody do niepokoju. Prometeusz należał do klasy Hegira Aerospace C-545 i był cholernie wielką jednostką. Na jego pokładzie miała się znaleźć największa ilość uzbrojenia, jaką Godwin Arms & Armaments sprzedało do tej pory.

Zamówienie było tak gigantyczne, że Magnus zrezygnował ze zwyczajowej ostrożności. W ciągu dziesięciu lat, jakie poświęcił na stworzenie potęgi GA&A, postępował bardziej konserwatywnie niż większość, a może nawet wszyscy ludzie zajmujący się tą branżą na Bakuninie. Mimo że atmosfera bezprawia panującego na tej planecie zdawała się sprzyjać korporacjom, które uwielbiały ryzyko.

Nie dotyczyło to wszakże Magnusa i jego GA&A.

W każdym razie aż do tej chwili. Dominic nadal posiadał w Konfederacji kilka kontaktów jeszcze z dawnych czasów, zanim odszedł z ZRW, chociaż ostatnio nie rozmawiał

z nimi zbyt często. Mimo to jedno z jego źródeł - człowiek z kręgów Kongresu Terrańskiego - przesłało mu pocztą tachionową ostrzeżenie, że zlecenie dla Prometeusza może być podstępem szykowanym przez Konfederację.

Kilka lat temu byłoby to wystarczającym powodem do odrzucenia tego megaintratnego interesu. Ale Dominic wyczuł rok wcześniej pewną niestabilność, miał wrażenie, że gdzieś za horyzontem czai się niebezpieczeństwo. Nie było to nic konkretnego, lecz paranoja kazała mu wydać sporą część kapitału na schron wykuty w zboczu pewnej góry. Nawet szefowa jego ochrony, Maria Zanzibar, uważała, że zakup tej anonimowej komuny nie był najsensowniejszym posunięciem finansowym - aczkolwiek Magnus zyskał idealną kryjówkę.

Na ironię zakrawał też fakt, że po utopieniu tak dużej kwoty w schronie nie mógł już odmówić ubicia interesu z załogą Prometeusza. Zmusił się więc do zignorowania ostatniego, katastrofalnego w skutkach, zaangażowania w sprawy Konfederacji, a nawet do całkowitego zapomnienia o nim. Przeszłość to przeszłość, wątpił, by ktokolwiek z Rady pamiętał jeszcze jego nazwisko - może z wyjątkiem jednej osoby.

Otworzył szufladę biurka i przyjrzał się jej zawartości, próbując wybrać broń, którą weźmie ze sobą na miejsce targów.

Garnitur, który włożył na tę okazję, został tak uszyty, by mógł nosić z równą swobodą kaburę pod pachą albo na biodrze. Zdecydował więc, że skorzysta z obu tych możliwości. Na biodro trafił pistolet z magazynkiem miotający pociski kalibru dziewięć milimetrów. Te jednak niewiele mogły zrobić człowiekowi noszącemu średnio przyzwoite opancerzenie osobiste, niemniej na Bakuninie panował taki obyczaj, że szanujący się biznesmen musiał dobijać targu, posiadając przy sobie broń. I to dobrze widoczną. Taki chromowany antyk spełni idealnie tę rolę. Będzie bardzo widoczny, a przy tym zupełnie niegroźny. Żywiąc wszakże typową dla Bakunian nieufność wobec wszystkiego co związane z Konfederacją, w ukrytej kaburze pod pachą umieścił coś znacznie potężniejszego. Miotacz laserowy o zmiennej pulsacji i częstotliwości, sztandarowy produkt GA&A. Broń idealną do likwidowania tarcz energetycznych.

Osłona Emersona - określanie jej mianem pola siłowego było wysoce niewłaściwe, jako że twór pana o tym nazwisku miał za zadanie powstrzymać energię, a nie siłę - była w stanie pochłoniąć sporą dawkę fal świetlnych, o ile miały stałą częstotliwość. Tak się jednak składało, że tylko najnowocześniejsze i najbardziej zaawansowane osłony wojskowe radziły sobie z laserami, które potrafiły zmieniać częstotliwość z losową mikrosekundową częstotliwością.



Gdy Magnus uzbroił się odpowiednio do sytuacji, nakazał komputerowi osobistemu aktywować opcję obserwatorium. Chciał zobaczyć moment lądowania Prometeusza. Komputer ukryty w jego czaszce przesłał zakodowany sygnał do półkulistych ścian gabinetu, które natychmiast zniknęły sprzed oczu Doma. Jego biurko znajdowało się na samym środku pomieszczenia, mógł więc podziwiać szeroką panoramę kompleksu GA&A, siedząc za czarnym marmurowym blatem.

Z głębokiego fotela miał widok na każdy budynek. Oślepiająco białe światło bijące od płyty lądowiska zalewało ostrym blaskiem cały biurowiec, który przypominał kształtem odwróconą literę U. Mniejszy z dwóch księżyców Bakunina wylaniał się właśnie zza betonowej wieży kontroli ruchu powietrznego górującej nawet nad gabinetem Doma.

Rozedrgane z gorąca powietrze unoszące się nad wieżami obronnymi rozstawionymi wokół kompleksu GA&A rozmywało panoramę Gór Diderota. Był to efekt uboczny pracy generatorów pola ochronnego, które mieściły się we wspomnianych budowlach, poniżej systemów obrony przeciwlotniczej.

Magnus znajdował się na najwyższej kondygnacji dwudziestopiętrowego apartamentowca. Interes, który miał ubić z kapitanem Prometeusza, mógł nie tylko zrekompensować mu straty poniesione w wyniku zakupu górskiej kryjówki, ale przynieść też taki zysk, że będzie w stanie dać każdemu z tysiąca pięciuset pracowników dziesięcioprocentową premię na koniec tego roku.

To wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Kolejny sygnał rozbrzmiał pięć minut wcześniej, niż wynikało z harmonogramu.

Dominic obrócił fotel od lądowiska i spojrzął w przeciwnym kierunku. Tutejsze słońce zachodziło w malowniczy sposób. Czerwona kula Kropotkina dominowała nad horyzontem, wydawała się większa od obu księżyców Bakunina razem wziętych. Był to naprawdę niesamowity widok, przypomnienie tego, że zdaniem wszechświata życie nie miało prawa rozwinąć się w tym miejscu. Tyle że Bakunianie mieli w zwyczaju obalać stary porządek rzeczy.

Magnus zmrużył oczy. Statek schodził właśnie z orbity. Musi przelecieć nad miastem Godwin, aby rozpocząć ostateczne podejście. Zobaczy go już za kilka minut.

W tym momencie usłyszał inny sygnał. Gorące powietrze nad wieżami strzegącymi perymetru zniknęło w krótkim błysku wyładowań elektrycznych. Pola ochronne zostały wyłączone, by Prometeusz mógł wylądować.

Coś jednak było nie tak. Dominic nie usłyszał dzwonka oznajmającego zakończenie procedur kontrolnych.

Nakazał komputerowi wewnętrznemu połączenie z siecią komunikacyjną GA&A. Musiał się skontaktować z wieżą kontroli lotów, i to już. Jej obsługa powinna zidentyfikować każdy nadlatujący statek i przekazać sygnał zakończenia procedur sprawdzających, zanim ktokolwiek pomyśli o opuszczaniu osłon energetycznych.

Obrócił się ponownie i spojrzał na holograficzny obraz nad biurkiem. W wieży nie było nikogo. Widział kompletnie puste pomieszczenie oświetlone blaskiem ekranów monitorujących lokalny ruch lotniczy. Nie było kontrolerów, którzy mogliby autoryzować opuszczenie osłon.

Dominic natychmiast skontaktował się z ochroną.

Holograficzny przekaz zadrżał i moment później w miejsce pustego pomieszczenia pojawiła się twarz Marii Zanzibar.

- Słucham, sir?

- Alarm czerwony. Przygotujcie wszystkie systemy obrony do natychmiastowego odparcia ataku.

Zawyły syreny, baterie obrony przeciwlotniczej poruszyły się, namierzając nadlatujące cele. Ale Dominic miał przeczucie, że te reakcje są spóźnione. Obrócił fotel raz jeszcze, by przyjrzeć się lądującemu Prometeuszowi. Jednostka unosząca się nad łuną roztaczaną przez światła miasta w niczym nie przypominała frachtowca klasy Heigra...

Tych kształtów nie można było pomylić z niczym innym, nawet z tak wielkiej odległości. Miał do czynienia z transportowcem Konfederacji.

- Zanzibar, włącz mi te osłony do jasnej cholery!

W chwili gdy wypowiadał te słowa, dostrzegł tryskający z kadłuba okrętu rozbłyśk świetlistej energii, który w miarę zbliżania rozdzielił się na pięć osobnych promieni skierowanych w stronę wież obronnych. „Elektromagnetyczne pociski samosterujące z niezależnymi głowicami. Gdyby nasze osłony były uaktywnione, stracilibyśmy siedemdziesiąt procent mocy”.

Problem jednak w tym, że tarcze energetyczne zostały już wyłączone.

Pięć generatorów pola i umieszczonych nad nimi baterii przeciwlotniczych zostało unicestwionych w akompaniamencie lśniących wiśniowo sfer ognia. Dominic poczuł, jak budynek, w którym się znajduje, drży w posadach. Zrozumiał też, że pozbawiono go możliwości dalszej obrony.

Ta ostatnia myśl była tak porażająca, że poczuł niemal fizyczny ból. Jakby jego ciało przecięła w pół tafla lodu. Zdołał się jednak opanować.

Spojrzał ponownie na holo. Zanzibar stała plecami do niego, wydając rozkazy swoim

podwładnym. Moment później odwróciła się do kamery.

- Nie możemy włączyć ponownie ekranów obronnych, panie Magnus. Ktoś odciął nas od źródeł energii. Próbujemy przejść na generatory awaryjne, ale to potrwa około pięciu minut, dopiero po tym czasie odzyskamy zasilanie.

Dominic pokiwał głową, znał ten kompleks wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że to prawda.

- Proszę rozpocząć ewakuację personelu - polecił, nie podnosząc głosu. - Przegraliśmy to starcie.

- Słucham, sir?

- Kogo się da, zabierz do komuny Diderot. To rozkaz.

- Tak jest, panie Magnus. Powodzenia.

Dominic przerwał połączenie.

Holograficzne ściany za jego plecami rozbłysły ponownie czerwonym blaskiem,

„Pięć kolejnych głowic - pomyślał. - Załatwili następne wieże obronne”. Gdyby Zanzibar zdołała przywrócić zasilanie w tej chwili, tarcze osłoniłyby zaledwie trzy czwarte kompleksu. Dominic spojrział w kierunku atakującego ich okrętu. Jednostka Konfederacji właśnie wyhamowywała, wysuwając do oporu stateczniki. Zatem przeciwnik nie chciał rozpieprzyć GA&A w drobny mak.

Zamierzał dokonać próby przejęcia firmy.

Kalkulacje Magnusa były chłodne i precyzyjne niczym włókna metalizowanego wodoru. Nie zastanawiał się długo nad powodem ataku. Od razu też zrozumiał, że próba lądowania i zajęcia kompleksu daje mu szansę na ocalenie... siebie.

Dzięki temu nie zdobędą wszystkiego, po co tutaj przylecieli.

Dominic połączył się z głównym serwerem. Centrum kontroli GA&A mieściło się w betonowym bunkrze ukrytym dwa kilometry pod powierzchnią planety. Nawet bezpośrednie trafienie mikroglowicą nuklearną nie było w stanie uszkodzić banków danych i aktywów jego korporacji. Gdyby ktoś ostrzegł go wcześniej o planowanym ataku, siedziałby tam teraz, osobiście kierując większością systemów kompleksu, w tym całą obroną.

W chwili gdy łączył się z Zanzibar, bardziej przebiegła strona jego świadomości uznała, że w szeregach GA&A musi być zdrajca. Domyślił się bez problemu, kim jest ta osoba i gdzie teraz przebywa.

Wiceprezes Cy Helmsman, odpowiedzialny za dział operacyjny, był jednym z najważniejszych kół zamachowych w machinie tej korporacji. Dominic stworzył firmę, ale było to możliwe wyłącznie dzięki doświadczeniu Helmsmana. Można powiedzieć, że

Helmsman był zbrojnym ramieniem Doma. Właśnie on prowadził sekretne wojny korporacji i to jemu GA&A zawdzięczało rzucenie na kolana najpotężniejszych rywali. Helmsman wyrósł na tym samym gruncie co Magnus - na wojnie, szpiegostwie i ZRW.

Z tego też powodu Dom nigdy mu w pełni nie zaufał.

Helmsman odebrał połączenie z centrum kontroli. Z jedyne miejsca, z którego można było wyłączyć tarcze obronne, nie angażując fizycznie Magnusa.

- Spodziewałem się tego połączenia - powiedział.

Był to mężczyzna w średnim wieku, siwowłosa, niemrawy, powolny, ale metodyczny, facet, który potrafił zwieść każdego i nad wszystkim zastanawiał się dwa razy. Dominic wierzył, że uda mu się utrzymać kontrolę nad tym człowiekiem, jeśli będzie rozgrywał jego niewiarygodne tchórzostwo. Przeliczył się jednak.

- Co ci zaproponowali w zamian? - zapytał, wolno cedząc słowa.

- Akt własności tej firmy.

Helmsman odszedł z ZRW, ponieważ tylko tym sposobem mógł uratować swą niezwykle cenną skórę. A teraz wracał do gry, gdyż uważał, że to jemu należy się największy kawałek tortu.

Był głupcem.

- Nie próbuj zjeżdżać na dół - ostrzegł Helmsman. - Planowałem to posunięcie już od jakiegoś czasu. Wszystkie grodzie zostały zamknięte i zablokowane. Zmieniłem też każdy kod dostępu.

Dominic pokręcił głową. Drań pomyślał o wszystkim. Zadbął o to, by wyjść z tego starcia bez szwanku. Zamknął się w podziemnym bunkrze. Zakładał bowiem, że wie wszystko o systemach zabezpieczeń GA&A.

- Żegnaj, Cy.

- Co takiego?

- Kod: Piekielny Ogień Gehenny.

Holo wyłączyło się, gdy siadły ostatnie wewnętrzne źródła zasilania GA&A. Rozległ się łomot przypominający odgłosy trzęsienia ziemi, z kompleksu biurowego posypały się szyby. Ściany gabinetu Doma zmatowiały na moment. Generatory awaryjne potrzebowały trzech sekund na przejście w stan pełnej aktywności.

Magnus aktywował skromny programik ukryty w ogromnej masie softu komunikacyjnego korporacji. Wypowiedzenie przez niego tych trzech słów w trakcie czerwonego alarmu aktywowało krótką transmisję. Człowiek widzący to oprogramowanie nie miałby bladego pojęcia, do czego ono naprawdę służy, dopóki nie przegrzebałby czeluści

głównego serwera i nie prześledziłby wszystkich jego połączeń.

A tego ktoś taki jak Helmsman nie mógłby zrobić, pozostając jednocześnie w ukryciu.

Transmisja ta miała za zadanie odpalić półkilotonową głowicę bojową, którą ukryto głęboko pod ziemią, około dwudziestu metrów od obecnej kryjówki pana wiceprezesa. Helmsman, serwery GA&A, wszystkie czułe dane korporacji oraz jej aktywa stały się właśnie integralną częścią skalnego płaszcza tej planety.

To był akt desperacji, ale tylko takim sposobem Dom mógł się upewnić, że jego majątek i dane nie wpadną w niepowołane ręce. Nie mówiąc już o tym, że narobił sporo problemów ludziom, którzy przymierzali się do zarządzania bez niego tym kompleksem. Jednym ruchem odebrał swojej korporacji duszę, serce i mózg. Dzięki temu ocalił od sporych problemów wiele osób, klientów i podwładnych.

Chociaż zarazem zaprzepaścił owoce niemal dziesięcioletniej pracy, skazując firmę na powolną śmierć.

Jakże brakowało mu teraz ludzkich emocji i wrażeń.

Jego sztuczne ciało nie generowało jednak żadnych impulsów, może prócz chłodnego mrowienia wokół metalowych elementów szkieletu.

Gdy zasilanie zostało przywrócone, Dom rzucił okiem przez ramię. Przez przezroczyste ściany dostrzegł transportowiec wiszący nisko nad ziemią, tuż za perymetrem. Wahadłowce z desantem przyziemiły już na terenie kompleksu. Wysypujący się z nich ludzie wyglądali na komandosów, aczkolwiek z tej odległości i wysokości, przy zapadających szybko ciemnościach, mógł tylko powiedzieć, że widzi ludzi ubranych w charakterystyczne pancerze pokryte miejskim kamuflażem.

„Czas wypieprzać z tego miejsca”.

Napastnicy dotarli już do podnóża wieży mieszkalnej. Dominic wstał zza biurka i podszedł do kolistej ściany w miejscu znajdującym się naprzeciw transportowca. Teraz mógł mu się przyjrzeć dokładniej.

Stumetrowy potwór był skonstruowanym na Paralianie desantowcem klasy Barakuda. Zawieszony nisko nad ziemią, czarny jak noc prostopadłościan o pochylonym dziobie i krótkich skrzydłach przesłaniał sporą część nieba na zachodzie. Umieszczony w części rufowej napęd tachionowy miał wielkość niemal połowy tej konstrukcji. Głowice raket sterczały rzędami z wyrzutni umieszczonych na poszyciu śródkręcia. Wiszące pod skrzydłami maszyny obłe wahadłowce wyglądały jak szczeniaki przyssane mocno do sutek matki. Każdy mógł pomieścić dziesięciu komandosów w pełnym bojowym rynsztunku. W tym momencie wszystkie opuściły już stacje dokujące i zmierzały w kierunku powierzchni. Z

dziobu okrętu sterczało groźnie pięciolufowe działko pulsacyjne Gallinga. Ta broń mogła zmieść z powierzchni ziemi cały kompleks GA&A, i to jedną salwą. Dominic nie przyglądał się wrogiemu okrętowi wystarczająco długo, by sprawdzić, czy dysponuje także pełnym arsenałem bomb.

Zbliżył się do ściany, w której widniał zarys drzwi. Odszukał panel kontrolny i umieścił na nim dłoń. Do otwarcia przejścia mógł użyć wszczepionego komputera, ale wolał nie ryzykować. Wróg z pewnością namierzał wszystkie transmisje.

Niewidzialne drzwi odsunęły się z cichym sykiem, wpuszczając do gabinetu zapach dymu. Dominic wybiegł na dach wieży mieszkalnej. Jego biuro widziane od zewnątrz wyglądało jak matowoczarna kopuła. Ledwie Magnus zrobił kilka kroków, z nieba trysnęła wiązka laserowa wymierzona tam, skąd właśnie uciekł. Poczul smród topiących się systemów, w które zainwestował tak wiele tysięcy.

Z dołu dobiegały jakieś hałasy. Odgłosy eksplozji i krzyki.

Teraz, gdy między Dominikiem a transportowcem nie było już ściany projekcyjnej, atakująca jednostka wydawała się jeszcze większa. Mało brakowało, a przesłoniłaby całą panoramę Godwina. Magnus rzucił się do ucieczki, biegnąc równoległe do wielkiego kadłuba z nadzieją, że kolejny promień z laserowego działka nie będzie skierowany na niego. Dotarł do narożnika budynku, w którym umieszczono wnękę z niewielkim lądowiskiem.

Na środku niszy stał pojazd nakryty zwykłą plandeką. Dominic odrzucił ją na bok, odsłaniając luksusową osobową heigrę. Nie była opancerzona ani uzbrojona. Do tej pory używał jej wyłącznie do lotów w obrębie kompleksu GA&A...

Znał jednak starożytne przysłowie o tonącym i brzytwie.

Gdy osłona kabiny zsunęła się na obudowę silnika, Magnus wskoczył na wyściełany skórą kubełkowy fotel. Włączył silnik, marząc o posiadaniu skrzydeł, naddźwiękowego napędu, systemu podtrzymywania życia na niskich orbitach, tachionowego pędnika...

Strzał z lasera pulsacyjnego trafił tuż przed jego maszyną w powierzchnię dachu, żłobiąc w nim długą osmaloną wyrwę. Dominic zerknął w górę i zobaczył podchodzący do lądowania wahadłowiec.

Dysze wektorowe jego heigry nie osiągnęły jeszcze pełnego ciągu. Ale miał to gdzieś. Przesunął manetkę głównego napędu i autolot stoczył się z dachu. Tę maszynę zaprojektowano do pionowych startów. Potrzebowała też dysz wektorowych do manewrowania. Dlatego od razu zaczęła spadać.

Magnus ujrzał pod sobą cały pluton komandosów. Oni także zobaczyli spadający autolot i - co było chyba najrozsądniejsze z ich strony - natychmiast złamali szyk i zaczęli

uciekać. Znajdujący się w tylnej części maszyny silnik odrzutowy w końcu ożył, od tego momentu strumień ognia z jego dysz wybijał szyby na mijanych piętrach.

To nie był już swobodny upadek. Napęd nadał heigrze prędkość większą, niżby życzyła sobie tego grawitacja. Dominic spojrział na wykresy sprawności dysz wektorowych. Rosły, lecz wolno, za wolno. A ziemia była już tak blisko.

Otworzył wyloty kierunkowe, zanim turbiny osiągnęły pełną wydajność, licząc na to, że i tak pozwolą mu wykonać podstawowe manewry. Heigra oddaliła się nieco od ściany budynku, gdy Magnus w porywie rozpaczy przyciągnął stery, próbując zdrzeć dziób. Kąt opadania zmniejszył się, przed owiewką miał teraz szerszą panoramę okolicy z oddziałami atakujących komandosów, wahadłowcami i zniszczonymi wieżami obronnymi. Gdyby był zbudowany z oryginalnych organów, na pewno straciłby przytomność przy tak wielkim przeciążeniu.

Jeśli wierzyć odczytom wysokościomierza, musiał zmniejszyć kąt spadania o wiele bardziej, chcąc wyjść cało z opresji. I zrobił to.

Przysiągłby, gdyby ktoś zapytał, że maszyna otarła się podwoziem o grunt, a kiedy wyrównał w końcu lot, heigra znajdowała się poniżej szczytów pięćdziesięciometrowych wież obronnych na perymetrze.

Gdy jednak minął granicę swojej posiadłości, ziemia zaczęła się oddalać coraz szybciej. Mknął w zawrotnym tempie nad wzgórzami porośniętymi purpurowo-pomarańczowym lasem. Leciał na zachód, oddalając się od gór.

Na tablicy rozdzielczej zapaliło się kilka czerwonych kontrolerek. Autolot został trafiony w trakcie panicznej ucieczki, i to kilkakrotnie. Gdy Dom aktywował oprogramowanie analizujące skalę uszkodzeń, maszyna zaczęła mocno drżeć.

Widoki za owiewką nie nastrojały zbyt optymistycznie. Magnus miał wrażenie, że heigra ślizga się po koronach drzew - co sekundę kolejna złamana gałąź smagała jej nos i uderzała w owiewkę. Przełączył kamerę na widok wsteczny. Nie dostrzegł żadnych śladów pościgu. Zatem atakującym nie zależało na schwytaniu go, a może raczej nie był nadrzędnym celem tej operacji. Ci ludzie chcieli przejąć kompleks GA&A. Dzięki temu dostał szansę na złapanie kolejnego oddechu. O ile uda mu się wylądować tak mocno uszkodzonym autolotem.

Otoczające go lasy były coraz bliżej podwozia. Od Godwina dzieliło go wciąż ponad dziesięć kilometrów, a teraz, gdy wydostał się nad równiny, nieustannie tracił wysokość. Ciśnienie w dyszach wektorowych nadal było zbyt niskie, by utrzymać tę maszynę w powietrzu, a nie mógł ich teraz zamknąć, by poprawić sprężanie.

Dlaczego przyszczędził na napędzie antygravitacyjnym?

Przed dziobem heigry widział już tylko mroczne zarośla. Ze wszystkich głośników dobiegały sygnały alarmowe. Autolot trząsł się niczym w ataku padaczki. Wbijał się w korony drzew z takim hukiem, jakby właśnie wywiercał nowy otwór w dupie wszechświata.

Musiał wznieść się wyżej, i to szybko.

Posadził heigrę na zadzie, mając nadzieję, że tak ustawiony napęd główny da mu ciąg potrzebny do oderwania się od lasu. I rzeczywiście, gdy maszyna ustawiła się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, przestał tracić wysokość, a potem autolot wystrzelił w górę, lecąc po balistycznej, i przestał drżeć mniej więcej w tym samym momencie, w którym za owiewką kabiny pojawił się firmament pełen jasnych gwiazd.

Ledwie jednak Magnus pozwolił sobie na pierwszy uśmiech, heigra walnęła w coś, czego nie zauważył. To fatalne w skutkach zderzenie zatrzęsło pojazdem, a na desce rozdzielczej zapłonęła natychmiast cała reszta czerwonych kontrolki. Dominic zauważył na wstecznej kamerze pojedyncze drzewo wyrastające ponad sklepienie lasu. Było o co najmniej dwadzieścia metrów wyższe, niż miało prawo urosnąć. Dlatego teraz jego ułamany szczyt płonął. A autolot potrzebował pieprzonego lądowiska...

Gdy heigra wzniosła się na pułap czterystu metrów, jej główny napęd zaczął się dławić. „A niech to szlag!” Dominic potrzebował jeszcze pięćdziesięciu metrów, by móc katapultować fotel pilota...

Pięć kilometrów przed Godwinem znów zaczął tracić wysokość, lecąc z prędkością przekraczającą trzysta kilometrów na godzinę.

Czas rozpocząć hamowanie i modlić się o szczęście.

Był to chyba najodpowiedniejszy moment na podjęcie tej decyzji, ponieważ silnik właśnie odmówił współpracy.

Autolot mknął po balistycznej w kierunku Godwina, mając do dyspozycji wyłącznie dysze manewrowe, z których co trzecia nie działała.

Dominic w ostatniej chwili zdążył zapiąć uprzęż wypadkową. Heigra wbiła się w ścianę opuszczonego magazynu na wschodnich przedmieściach Godwina, lecąc z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

### **SZPIEGOSTWO PRZEMYSŁOWE**

*„Przemysł jest amoralny”*

*Księga mądrości cynika*



„Gdzie handel kwitnie, tam honor zanika”!

Olivier Goldsmith (1728-1774)

Tetsami znów czuła się parszywie, jak zawsze pod koniec roboty. To była najgorsza jej część - musiała czekać.

Mogła włamać się do każdego nie wiadomo jak zabezpieczonego systemu operacyjnego z palcem trzymanym w pewnej części ciała. Teraz jednak, tkwiąc obok starego bunkra i czekając na spotkanie, czuła, że dłonie pocą się jej pod cienkimi skórzanymi rękawiczkami. Siedziała na swoim czarnym jak noc leggetcie floaterze i z nudów przełączała biegi: jedynka, wsteczny i z powrotem. Napędzana antygrawem maszyna posłusznie przesuwała się po placyku obok rampy załadunkowej. Metr do przodu, metr do tyłu.

Nie powinna brać leggetta na tę robotę. To była niezwykle cenna maszyna, a wschodnie przedmieścia Godwina należały do najpodlejszych dzielnic miasta.

Zakłęła pod nosem na swoją bezmyślność. Ale czas na zastanawianie skończył się z chwilą podjęcia akcji. A zabrała na nią ten właśnie motor z bardzo ważnego powodu. Ostatnie godziny przed wypłatą obfitują zazwyczaj w niezbyt przyjemne niespodzianki. Nie przypuszczała wprawdzie, by zleceniodawca działał tym razem na dwa fronty - gdyby tak było, nie siedziałaby teraz tutaj - lecz wolała mieć dobry plan awaryjny, tak na wszelki wypadek...

„Fajnie byłoby mieć robotę, w której nie trzeba się przejmować takimi rzeczami. Fajnie byłoby mieć życie, w którym nie trzeba się przejmować takimi rzeczami”.

Odegnęła od siebie te myśli. Nie czas teraz na to.

Skoncentrowała się na czekającym ją spotkaniu.

Miejsce, które dyrowie wybrali na dokonanie rozliczenia, wyglądało na w miarę czyste. Zdecydowali się na punkt, do którego prowadziło wiele dróg dojazdowych.

Teren wokół bunkra został oczyszczony z zabudowań na przestrzeni kilku przecznic. Zapewne przez ostrzał artyleryjski albo uderzenie z orbity.

Ten schron musiał być kiedyś bardzo bezpiecznym miejscem. Tylko on ostał się po ataku, który doprowadził do zniszczenia wszystkiego w tej dzielnicy. Jego ruiny wciąż mogły chronić przed uderzeniem, chociaż betonowa fasada była mocno naruszona. Przetrwał tylko osmalony wewnętrzny pancerz w kształcie ściętej piramidy.

Jedynę wejście, czyli rampa załadunkowa, zostało wysadzone, wepchnięte do środka budowli strzałem z broni energetycznej. Tetsami zastanawiała się, czy aby nie widzi resztek osławionego Wschodniego Godwina, który był znanym centrum korporacyjnym, dopóki kilka

niezwykle brutalnych wojen pomiędzy firmami nie zredukowało go do sterty gruzu. Ten bunkier mógł być świadkiem pamiętnych walk, które wybuchły mniej więcej w tym samym czasie, gdy jej rodzice przylatywali na tę zasraną planetkę.

„Dlaczego Bakunin, tatku?” - zadała w myślach pytanie dawno nieżyjącemu ojcu. Zawsze ją to dręczyło, mimo że znała już odpowiedź. Po Dakocie tylko tutaj przyjmowano takich jak ona.

Nagle zapragnęła, żeby jej mocodawcy już się pojawili.

Z każdą minutą spędzoną na oczekiwaniu skradzione dane, które dobrze ukryła pod siedzeniem motocykla, robiły się gorętsze. Nie należała do osób cierpliwych. Wykonała zadanie bez większych przeszkód. Ale to znaczyło tylko tyle, że buraki z Bleek Munitions nie odkryją, iż ktoś włamał się do banków danych ich działu badawczo-rozwojowego, dopóki nie przeprowadzą rutynowej kontroli logowań. Za jakiś kwadrans któryś z nich zobaczy obok jednego z nazwisk czerwoną flagę oznaczającą, że ktoś wylogował się z systemu, nie wszedłszy do niego.

Nie mogła tego uniknąć. System w Bleek był zbyt szczelny, by dało się obejść wszystkie zabezpieczenia. Zaplanowanie tego włamu zajęło jej cały tydzień, potem przez godzinę czarowała system i w końcu zyskała dostęp na całe dziesięć minut.

Darowała sobie wszelkie konwenanse, gdy zdobyła to, czego chciała.

A raczej to, czego chciał zleceniodawca.

Jeśli ochroniarze z Bleek namierzą ją, zanim pozbędzie się tych danych, będzie miała problem. Stanie się głównym celem, dopóki nie przekaże pakietu dalej, ludziom, którzy zlecili tę kradzież. Ale jeśli dokona wymiany wcześniej i otrzyma złoto, odjedzie stąd wolna i czysta jak łąka.

Do tego momentu jednak będzie gorętszym celem niż odpalony laser z gigawatowym ogniwem zasilającym.

„Myśl o wypłacie”, powtarzała sobie. Pięćdziesiąt kilo w Kasie Ubezpieczeniowej Kolektywu imienia Adama Smitha. Może to jeszcze zbyt mało na spokojną emeryturę, lecz powinno wystarczyć na wyrwanie się z tej planety.

Na ucieczkę z tego oślizgłego, zapomnianego przez Boga kamienia. Trzeba stąd odejść godnie, ale jak najszybciej się da. Nie należała do hakerów, którzy biorą się za coraz to trudniejsze zlecenia, dopóki nie wpadną i nie zostaną ostatecznie wyeliminowani. Ona wiedziała, kiedy należy skończyć, a gdyby o tym zapomniała, zawsze był jeszcze Ivor, jej ojczym: nieustannie przypominał, że przepracowała osiem lat w zawodzie, który wykańcza najwytrwalszych zawodników po góra trzech latach.

Co więcej, największym marzeniem Tetsami było opuszczenie planety, która zabiła jej rodziców. Chciała stąd odlecieć i zapomnieć raz na zawsze, że istnieje glob o nazwie Bakunin.

Wiele by dała za spotkanie z Worem tego wieczora. To chyba jedyny prawy i honorowy człowiek na tej planecie, a ona czuła, że będzie potrzebowała chwili pocieszenia, gdy to wszystko już się skończy.

Gdzieś nad jej głową coś błysnęło. Spojrzała w niebo.

Zobaczyła czarny jak smoła masywny transportowiec o krótkich skrzydłach, który leciał prosto na wschód. Pół sekundy później usłyszała basowy pomruk silników. Mogłaby przysiąc, że z jego pokładu odpalono właśnie jakieś pociski. Okręt sunął wolno po niebie, dopóki nie zniknął za pobliskimi ruinami.

W tym samym momencie nadjechali dyrowie.

Zlecniodawcy zbliżali się w kierunku bunkra jedną ze zdewastowanych szos. Trzy połyskujące granatowym lakierem pojazdy naziemne toczyły się po nierównej nawierzchni, wyrzucając chmury pyłu spod kół. Były mocno opancerzone, jak przystało na te okolice. Trzy wozy. Ludzie z Godwin Arms nie należą może do najszybszych, ale jak już się pojawiają, to zawsze z czerwonym dywanem.

Tetsami nie lubiła czerwonych dywanów. Kryło się w nich zbyt wiele kurzu.

Zeskoczyła z leggetta, ustawiwszy przedtem akcelerator na pięć g w pionie. Tak na wszelki wypadek. Dłonie znów zaczęły jej się pocić.

Dwa wozy zatrzymały się na lewo i prawo od niej. Trzeci zajechał od przodu. Została jej tylko jedna droga ucieczki - w kierunku rampy i wnętrza bunkra. Drzwi samochodu stojącego naprzeciw niej rozsunęły się z cichym sykiem.

Tetsami zobaczyła zbira z ochrony - był wprawdzie w cywilnych ciuchach, lecz takich jak on potrafiła rozpoznać na kilometr - dyr wysiadł drugi.

To nie był ten, z którym się umówiła.

„Cholera!...”

Idący w jej kierunku facet rozpływał się w uśmiechach. Gębę miał tak przeciętną, jakby zeszła z taśmy produkcyjnej. Wystroił się w ciemnogramatowy garnitur obszyty błyszczącą, zapewne metalizowaną nicią. Kolorek pasował do lakieru jego wozu.

Wyciągnął do niej dłoń i trzymał ją tak, póki sobie nie uświadomił, że Tetsami nie podejdzie do niego bliżej niż na pięć metrów.

Przesunęła kciuk bliżej manetki gazu.

- Kim ty u licha jesteś?

- Jestem asystentem wiceprezesa działu operacyjnego GA&A. Pan Helmsman jest teraz bardzo zajęty...

Helmsman był zastępcą szefa GA&A i dyrektorem operacyjnym korporacji. Tetsami znała go. Nigdy nie wysyłał asów w zastępstwie. Zwłaszcza gdy chodziło o nielegalne operacje. Coś musiało być mocno nie tak, skoro nie pokazał się tutaj osobiście.

- Pieprzysz - burknęła. - Kimkolwiek jesteś, wiedz jedno: ja dobijam targu tylko z tym, kto mnie wynajął.

Nie spuszczała asa z oka, ale do jej uszu dotarł syk drzwi otwieranych w pozostałych wozach. Więcej zbirów, zapewne uzbrojonych. Teraz miała już tylko jedną szansę na wydostanie się z tej pułapki, dlatego do samego końca nie mogli zobaczyć, co kombinuje. Liczyła też, że nie zabrali ze sobą broni na tradycyjną amunicję.

- Moja droga młoda damo, zostałam wynajęta przez GA&A, które mam przyjemność reprezentować. Mogę ci to w bardzo prosty sposób udowodnić. Przekaż mi dane, a natychmiast wykonam transfer i zło...

Głuchy, stłumiony odległością huk przetoczył się przez ruiny, bardziej odczuwalny niż słyszalny. Dobiegał skądś ze wschodu. Moment później Tetsami usłyszała szelest osypującego się gruzu. Wyglądało to jak skutki podziemnej eksplozji albo trzęsienia ziemi. As zatoczył się, gdy poczuł drgania asfaltu.

Tetsami nie mogła liczyć na lepszą okazję. Włączyła osobiste pole ochronne i przekręciła manetkę gazu do oporu.

Leggett walnął ją mocno w tyłek. Poczula się tak, jakby motocykl próbował ją przeciąć na pół, gdy wystrzelił w górę z pełną mocą antygravitacyjnych generatorów. Ciepłe łaskotanie rozeszło się jej po plecach - pole przechwyciło pierwsze trafienie z broni energetycznej.

Spojrzała w dół. Ziemia i stojące na niej samochody zmniejszały się w zastraszającym tempie. Jeden ze zbirów, ten, który ją trafił, mierzył właśnie po raz drugi, tym razem ustawiając moc na maksa. Pole zdołało zneutralizować i to trafienie, ale zrobiło jej się naprawdę gorąco. Poczula też smród ozonu, co oznaczało, że lada moment straci osłony.

I kolejne trafienie laserem przerobi ją na skwarek.

Czas na kilka skomplikowanych manewrów. Zdławiła moc antygravów i pochyliła się do przodu. Leggett był niewielki, miał wysoko punkt ciężkości i aerodynamikę godną cegły. Zanurkował jak głodny pelikan - dziobem prosto w ziemię.

To posunięcie przyniosło pożądany skutek. Niemal natychmiast udało jej się fiknąć z celownika. Tyle że miała teraz zupełnie inny problem - choć już nieraz wykonywała ten

numer, jeszcze nigdy nie zdławiła generatorów tak blisko ziemi, a ponowne ich odpalenie mogło nastąpić dopiero po upływie dwóch sekund - co dawało spore szanse na zarycie w glebę, zanim znowu nabiorą mocy.

Włączyła antygrawy, mając nadzieję, że zrobiła to wystarczająco szybko.

Nadal pędziła w dół, prosto na trzy samochody. Widziała dobrze zbirów odbiegających od maszyn i rozkładających broń. Tym razem nie celowali jednak w nią...

„Matko Boża i ty, słodki Jezusie!”

To ostatnie zdanie odnosiło się do dyrów. Na ziemi wokół nich zaroiło się od opancerzonych postaci. Chłopaki z GA&A zostali otoczeni.

Tetsami poczuła się totalnie głupio. W gruzach otaczających bunkier musiało się czaić co najmniej dwudziestu ludzi, a ona uznała, iż teren jest czysty tylko dlatego, że w potężnym schronie nikogo nie było.

Antygraw szarpnął potężnie, gdy motocykl znajdował się około dziesięciu metrów od dachów zaparkowanych pojazdów. Siedzenie ponownie werżnęło się jej w tyłek, walnęła też twarzą w pręty kierownicy, na szczęście miękko obite. „W samą porę” - pomyślała.

Przez łzy spowodowane pędem powietrza dostrzegła, że coś nadlatuje zza bunkra, kierując się na stojący w środku samochód. Inteligentny pocisk samosterujący. Mknął prosto w otwarte drzwi. Tyle że na jego drodze stał as.

Podświadomość podsunęła jej obraz składającego się wpół i lecącego w tył ciała korporacjonisty. W ułamku sekundy na tę wizję nałożył się obraz rzeczywisty. Pocisk wbił się w brzuch nieszczęsnego asa i porwał go ze sobą.

Samochód eksplodował moment później.

Był tak mocno opancerzony, że zdołał przetrwać w jednym kawałku, ale ze środka wszystkimi oknami buchnęły strugi ognia, a impet uderzenia przewrócił ciężką maszynę na bok.

Nie wiedzieć czemu Tetsami pomyślała o ostatnim spotkaniu z ojcem. Zapewniał matkę, że robota, którą bierze, jest całkowicie bezpieczna, to tylko rutynowa penetracja, mówił. Słowo „rutynowa” przemknęło jej przez głowę z prędkością wystrzelonego pocisku.

Zmieniła kierunek lotu, gdy usłyszała eksplozję oznaczającą wyeliminowanie drugiego pojazdu. Leggett wyrwał do przodu, muskając jedną z opancerzonych postaci. Szkliwo pancerza było biało-złote, w niczym nie przypominało barw piechoty Bleeku.

Motocykl gnał z maksymalnym przyspieszeniem pięciu g, lecz Tetsami marzyła w tej chwili, by mógł wyciągnąć jeszcze więcej.

Skręciła w lewo, kierując się ku wschodniej granicy morza ruin. Nie wznosiła się przy

tym wyżej niż pięć metrów ponad poziom gruntu. Cyfry na prędkościomierzu zmieniały się tak szybko, że nie potrafiła ich odczytać.

Pokonała już połowę dystansu dzielącego ją od budynków i schronienia...

Coś trafiło w motor. Coś wielkiego.

To musiała być broń energetyczna. Pole ochronne zdołało przechwycić większość energii wystrzelonego ładunku, ale nie na wiele się to zdało. Cały tył motocykla został rozniesiony w strzępy, gdy eksplodowały przegrzane i przeładowane ogniwa zasilające. Leggett zaczął skręcać w lewo, oddalając się od granicy morza ruin. Tetsami próbowała odzyskać nad nim kontrolę, lecz wyglądało na to, że wybuch uszkodził także generator antygravitacji.

Podziękowała Bogu, że jej maszyna korzystała wyłącznie z klasycznych katalizacyjnych jednostek. Ładowały się wprawdzie wolniej niż kwantowo rozszczepialne, ale przynajmniej nie zamieniały się w chmurę radioaktywnej plazmy, gdy dochodziło do podobnych uszkodzeń.

Ziemia była coraz bliżej, a ona zastanawiała się nad jednym: uderzy w nią czy wcześniej zostanie trafiona ponownie z tej samej broni?

Lewy przedni błotnik leggetta zawadził o wystający fragment fundamentów jakiegoś budynku i maszyna wierzgnęła, obracając się równocześnie wokół własnej osi. Ale zrobiła to z wielką gracją i bardzo wolno, jak tylko antygrav potrafi. Dzięki temu Tetsami mogła zobaczyć zmierzającą w jej kierunku ziemię. Puściła kierownicę, mając nadzieję, że osobisty pancierz zdoła ją uratować.

Rąbnęła w pochyłe piaszczyste zbocze. Hełm trafił jednak na coś twardszego i do jej uszu dotarło głucho chrupnięcie. Niestety, staczała się zbyt szybko, by zobaczyć, w co uderzyła. Była tak oszołomiona, że dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, iż wciąż żyje.

Gdzieś w górze doszło do kolejnego wybuchu. Poczowała, jak sypie się na nią deszcz odłamków, choć nie wiedziała, czy to jej motor rozbił się w końcu, czy eksplodowała głowica kolejnej rakiety.

Zatrzymała się dopiero w bajorze szlamu zalegającego u stóp zbocza. Kręciło jej się w głowie, czuła nudności i ból w każdym mięśniu, lecz poza tym nie odniosła poważniejszych obrażeń.

Podniosła głowę...

Zerwała szybko hełm i zwymiotowała do niego.

Wokół niej nadal trwała strzelanina. Jeśli będzie miała odrobinę szczęścia, napastnicy zaliczą ją do grona poległych. Wyprostowała się powoli. Tym razem zawroty głowy były do

zniesienia. Stoczyła się na dno leju po bombie. Zalegająca w dole błotnista woda pochodziła z rozerwanej rury wodociągowej.

- No, dziewczyno - powiedziała do siebie, opuszczając chyłkiem pole bitwy - siedziałś w tym biznesie osiem standardowych lat. Dzisiaj dotarłaś do kresu swoich możliwości. I co teraz będziesz robić? - Na to pytanie nie miała odpowiedzi.

Najpierw musi wydostać się z tego bagna w jednym kawałku.

Wspinała się ostrożnie po ścianie krateru. Była to dość trudna sztuka, ale Tetsami z każdą chwilą nabierała wprawy. Odgłosy strzelaniny umilkły, zanim pokonała połowę dystansu.

Dotarła na poziom ziemi, mając nadzieję, że wywinęła się z opresji...

Gdy wysunęła głowę nad krawędź leja, znalazła się twarzą w twarz z człowiekiem odzianym w chromowany biało-złoty pancerz. W rękę trzymał najpaskudniejszą broń energetyczną, jaką w życiu widziała.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

### **EKONOMIA SZAREJ STREFY**

„Zbrodniarz to rewolucjonista, który nie udaje,  
że chodzi mu o słuszną sprawę”.

*Księga mądrości cynika*

„Po zetknięciu się z człowiekiem głębokiej wiary  
zawsze czuję, że powinienem umyć ręce”.

Fryderyk Nietzsche (1844-1900)

Istniały gorsze miejsca na rozbicie heigry niż wschodnie dzielnice Godwina, jedno wszakże było pewne: nie dało się do nich zaliczyć żadnej z osiemdziesięciu trzech planet należących do Konfederacji.

Dominic otworzył oczy, mając nadzieję, że to, co czuje, jest efektem awarii obwodów balansujących. Niestety, nie miał racji. Zwisiał w uprząży głową w dół. Ale znalazł też dobrą stronę swojego położenia: silnik nie eksplodował.

Autolot przebił się przez dziesiąte z piętnastu pięter opuszczonego magazynu, wirując przy tym jak wiertło. A może odwrócił się dopiero po zatrzymaniu? Magnus nie pamiętał niczego, co nastąpiło po zderzeniu ze ścianą, lecz wszystko wskazywało na to, że jego maszyna przeleciała przez budynek na wylot i zaryła w dach sąsiedniej budowli. Jednostka

napędowa dyndała niepewnie w dolnej części okna, przez które wypadła reszta kadłuba.

Dominic wisiał głową w dół jakieś trzydzieści metrów nad niezwykle twardo wyglądającą nawierzchnią ulicy. Zamachał ręką na próbę w miejscu, gdzie powinna się znajdować owiewka kabiny, ale nie natrafił palcami na żadną przeszkodę.

Gdy próbował się wyplątać z uprzęży, wierzgając na wszystkie strony, kątem oka zauważył grupkę gapiów przyglądających się jego szamotaninie z poziomu ulicy. Sprzęgnięta z jego mózgiem sieć wizualna podsuwała mu nieustannie zbliżenia na skórzane, metalowe, kevlarowe i plastikowe elementy, zupełnie bez ładu i składu.

Najjaskrawszym tego przykładem był moment, gdy Magnus uwalniał sztuczną nogę z zagłębienia w kabinie heigry. Kamery systemu skupiły się wyłącznie na umieszczonym gdzieś logo Proudhon Spaceport Security.

Ale to było, zanim ktoś zaczął go ostrzeliwać.

To zmusiło Doma do skupienia całej uwagi na gapiach.

Strzelec był ogolonym na łyso mężczyzną noszącym nylonową kamizelkę egzeki. Gnój naparzał do niego z jakiejś samoróbki. Pozostali zaśmiewali się do rozpuku, gdy ją przeładowywał. Mimo że łysoł prowadził ogień, Magnus miał większego stracha przed karabinem pulsacyjnym zwisającym z ramienia faceta noszącego ubiór pracownika kosmoportu.

„Załatwiłby nim nie tylko mnie, ale i heigrę, aczkolwiek mógłby mieć potem sporo problemu z doładowaniem tego rodzaju broni w tak podłej okolicy. To chyba jakaś tutejsza rozrywka”.

Gdy od osłony rykoszetował kolejny pocisk, Dom wcisnął się jak najgłębiej; w kabinę autolotu. Wolał nie ryzykować, odpowiadając ogniem. W tym stanie mógłby trafić co najwyżej dwóch z nich, gdyby dobył lasera pulsacyjnego, a to z pewnością skłoniłoby resztę do skorzystania z prawdziwej broni. i

Opuścił rękę, tę w pełni cybernetyczną, i chwycił się krawędzi osłony, potem zerwał z siebie uprząż ochronną i wypadł przez wybite okno kabiny. Zawisł pod kadłubem na jednej ręce, co wzbudziło aplauz zgromadzonych poniżej bandziorów.

Spojrzał w dół. Cała grupka stała dokładnie pod wrakiem. Przeniósł wzrok na okno dziewiątego piętra widoczne za urwanym silnikiem. Jego konstrukcja została naruszona przez uderzenie maszyny, ale nadal trzymała się ściany. To będzie ryzykowne... Znow rzucił okiem na widzów, którzy chłonęli ten spektakl z wyraźnym rozbawieniem.

„Skoro tak wam się spodobało - pomyślał - co powiecie na taki numer?”

Wyciągnął prawą dłoń i opuścił dźwignię katapulty fotela. Gaz z systemu wywarł



nacisk niemal dwóch ton na ramę owiewki, której Magnus cały czas się trzymał. Pchnięta z tak ogromną siłą osłona poleciała do tyłu, w kierunku obudowy silnika. Okno dziewiątego piętra znalazło się nagle tuż przed twarzą Magnusa. Rozwarł palce cybernetycznej dłoni na ułamek sekundy przed zderzeniem z taflą szkła.

Przez kolejne mgnienie oka dręczyła go obawa, że naruszona konstrukcja mimo wszystko może wytrzymać...

Przebił się przez hartowane szkło.

W tym samym momencie silnik raketowy katapultował z kabiny fotel pilota, spychając go prosto na głowy oprychów. W normalnych warunkach miał wystarczającą moc, by wystrzelić ciężką konstrukcję na pięćdziesiąt metrów w górę. Dysponował też statecznikami, dzięki którym mógł wyrównać lot, ale znajdując się tak blisko ściany, nie mógł zapobiec otarciu się o nią. Gdy fotel wbijał się w chodnik, dysze rakiety wciąż pracowały.

Dominic przetoczył się po stłuczonym szkłe, byle dalej od cichnącego ryku silnika odrzutowego. Gdy zdołał się w końcu zatrzymać, rozrywając przy okazji garnitur, dostrzegł za oknem pomarańczowy błysk. To system odpalił spadochron, nie w tym kierunku zresztą, co trzeba.

Magnus czuł potworny ból w tych kilku częściach ciała, których jeszcze nie zdążył wymienić. Podniósł się, opierając na dłoniach i kolanach. Piętro, na które trafił, było jednym wielkim pomieszczeniem. Całkowicie pustym.

Rozkradziono wszystko, co miało kiedyś jakąkolwiek wartość - lampy, elektronikę, rury, wykładziny, ścianki boksów, meblowanie. Przetoczył się aż pod przeciwległą ścianę. Tuż obok znajdował się głęboki szyb. Ktoś wyszabrował z niego wszystkie elementy wind.

Odwrócił wzrok od mrocznej czeluści. To piętro miało co najmniej pięćset metrów kwadratowych powierzchni. Jedynym źródłem światła był tu anemiczny blask księżyca sączący się przez okna pokryte grubą warstwą kurzu. Nikt nie zdoła podkraść się do niego niezauważenie. Otaczała go idealna pustka.

Z początku dziwiło go, że nie ma tu żadnych śladów bytności człowieka, nawet tak trywialnych jak graffiti, ale gdy tylko jego fotoreceptory zdołały się w pełni zaadaptować, zrozumiał, że nie ma tutaj nigdzie schodów.

Na wyższe piętra można było się dostać tylko windami. Tymi, które zniknęły.

- Żeby to szlag trafił! - Jego głos odbił się wielokrotnym echem, potęgując dodatkowo poczucie samotności.

Dopiero teraz poczuł dreszcze. Stłumił je, choć wymagało to sporo wysiłku.

Ciszę przerwał po chwili przeraźliwy zgrzyt, towarzyszyły mu też głośne trzaski.

Odgłosy tarcia - coraz szybszego - dobiegały od strony okna, którym dostał się tutaj. Spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył, że majestatyczny cień heigry przesuwają się z wolna na zewnątrz dziobem w kierunku ulicy. Gdy środek ciężkości znalazł się poza podporą ściany, maszyna poleciała w dół.

Przemknęła tuż za oknem w niemal kompletnej ciszy.

Pół sekundy później do uszu Magnusa dotarł odgłos rozdieranego metalu miażdżonego plastiku. Nawet betonowa podłoga pod jego stopami zadrżała pod wpływem siły uderzenia.

Stał nieruchomo przez kilka sekund, gładząc poobcierane prawe przedramię, a potem podszedł ostrożnie do okna i zaryzykował spojrzenie w dół. Heigra była długa, nie mieściła się więc w poprzek ulicy. Nie dotarła do asfaltu, zaklinowała się po raz drugi między ścianami budynków gdzieś na wysokości piątego piętra. Nigdzie nie widział też czwórki miejscowych oprychów.

Poczuł w nosie drażniący zapach palącego się tworzywa. Nie widział wprawdzie fotela, ponieważ zasłaniał go kadłub autolotu, ale domyślił się bez trudu, że materiał, z którego wykonano spadochron, musiał się zapalić od rozgrzanej do czerwoności dyszy. Nie powinno do tego dojść, aczkolwiek projektanci katapulty z pewnością nie brali pod uwagę, że ktoś zechce odpalić ich urządzenie do góry nogami, co więcej, zaledwie trzydzieści metrów od ziemi.

Dominic przyjrzał się uważnie zewnętrznej części ściany, lecz nie dostrzegł nigdzie śladu po schodach przeciwpożarowych. Powtórzył tę czynność przy trzech pozostałych ścianach budynku, wykopując plastikowe okna - z tym samym skutkiem. Nie miał dziś szczęścia. I wcale się go nie spodziewał. Ten budynek musiał być dobrze zabezpieczony w czasach, gdy toczyło się tutaj normalne życie. A to oznaczało, że miał tylko jedno wejście, będące zarazem wyjściem.

Kiedy w dzielnicy zrobiło się gorąco, właściciele zwinęli interes i zabrali ze sobą dosłownie wszystko. Gdyby budynek był modułowy, zapewne zniknąłby stąd jak wypełniające go niegdyś sprzęty.

Magnus wrócił pod prostokątny szyb, którym niegdyś poruszały się windy. Musiały być magnetyczne, w ścianach co kawałek widział bolce, na których wisiały ongiś magnesy. Stanął na jednym z nich, sprawdzając, czy utrzyma wagę jego ciała. Stalowy trzpień nawet nie drgnął.

Magnus zaczerpnął tchu i zaczął schodzić w głąb szybu.

Wolno mu to szło. Za każdym razem musiał się najpierw upewnić, czy bolce siedzi

mocno w ścianie i utrzyma tak duże obciążenie. Ta skrupulatność opłaciła mu się co najmniej raz, gdy lekko tylko naciśnięty trzpień wysunął się z betonu, ciągnąc za sobą deszcz odłamków zaprawy.

Schodząc dalej, starał się nie wracać myślami do ostatnich wydarzeń.

Starał się.

Ale mu to nie wychodziło.

Jego świat legł w gruzach. Ponownie. Jedynym zaskoczeniem był fakt, że Dom zupełnie się tego nie spodziewał. Do samego końca wierzył naiwnie, że zdołał wreszcie znaleźć swoją niszę na tym łez padole i może w końcu zapomnieć o przeszłości.

To samo myślał, gdy ZRW werbowало jego i brata.

To samo myślał, gdy odchodził z ZRW po śmierci Helen.

To samo myślał po przylocie na Bakunina, gdy...

Gdy przestał być człowiekiem.

Bolec pod lewą stopą wygiął się, o mały włos nie posyłając go na dno szybu.

Pozbierał myśli. Może i przeżywa koszmar, ale na pewno jeszcze nie najgorszy.

Najgorszy bowiem miał już za sobą.

Kiedy dotarł w końcu na czwarte piętro, zdał sobie sprawę, że nie tylko spadochron zajął się ogniem.

Im niżej schodził, tym częściej napotykał ślady bytności człowieka. Na czwartym piętrze zauważył kilka zmaltretowanych materacy i nieliczne napisy na ścianach. Co mogło oznaczać, że parter budynku jest zapełniony materiałami łatwopalnymi.

Zatrzymał się, by przemyśleć dostępne rozwiązania, i wtedy z dołu dobiegł głuchy łomot, któremu towarzyszyły kłęby gęstego dymu. Czarny tuman mknął w górę szybu z zastraszającą szybkością.

Dominic bez namysłu skoczył w najbliższy otwór po drzwiach, lądując na betonowej podłodze. Kolejny problem. Rozejrzał się w poszukiwaniu innej drogi ucieczki. I znalazł ją. Z okna sterczała zniszczona sekcja napędowa jego heigry. Podbiegł do maszyny i przyjrzał się jej przez jedną z sąsiednich szyb. Wrak autolotu zarył dziobem w okno po przeciwnej stronie uliczki.

Wyglądał przy tym dość stabilnie.

Magnus wspiał się na osłonę urwanego silnika. Blachy karoserii wciąż były rozgrzane. Chociaż oczy podpowiadały mu, że heigra trzyma się teraz mocno, nie ufał im za grosz.

Wnętrze budynku za jego plecami zaczęło się wypełniać dymem, dławiącym, szczypiącym w oczy. Po drugiej stronie wraku - niespełna dziesięć metrów od miejsca, w

którym stał - znajdowało się wyjście z opresji.

Zaczerpnął głęboko tchu i wczołgał się na podwozie rozbitej maszyny. Wykonano je z gładkiego metalu, dlatego musiał się posuwać z największą ostrożnością, by nie poślizgnąć się i nie spaść na biegnącą kilka pięter niżej ulicę.

A tam rozpętało się pandemonium. Pomarańczowo-czerwone języki ognia tańczyły między kolumnami gęstego dymu buchającego teraz ze wszystkich okien parteru. Na oczach Magnusa jedna ze stojących pod ścianą beczek wystrzeliła w górę z głuchym stęknieniem, ciągnąc za sobą pióropusz ognia.

„Co oni tam składowali, u licha?” Miał nadzieję, że kolejne eksplodujące beczki nie trafią we wrak.

Dym ciągle gęstniał. Coraz częściej do uszu Magnusa docierały też stłumione huki zapalających się pod nim chemikaliów. W końcu udało mu się dotrzeć do okna w przeciwległej ścianie. Położył dłoń na poskręcanej futrynie...

W tej chwili wrota piekieł stanęły otworem.

Magazyny za jego plecami i ulica w dole eksplodowały jednocześnie. Tym razem nie było głuchych stęknień, tylko dziki ogłuszający ryk, z którym kłęby ognia i toksycznego dymu popędziły mu na spotkanie. Gdyby nie dwutonowy kadłub heigry, który dzielił go od epicentrum tych wybuchów...

Huk był tak głośny, że wszczepione systemy audio musiały się wyłączyć na ponad sekundę, pozostawiając Doma w kompletnej ciszy.

Autolot oberwał najmocniej. Magnus poczuł, jak kadłub maszyny unosi się pod jego stopami. Echa eksplozji jeszcze nie przebrzmiały, gdy resztki wozu zaczęły usuwać mu się spod nóg. Tylko cud sprawił, że zdążył chwycić się ramy drugą ręką.

Zmasakrowany silnik walnął o asfalt pierwszy, za nim dopiero poleciała reszta kadłuba, a były już prezes GA&A zawisł na wysokości czwartego piętra. Musiał się rozbujać, by przerzucić nogi nad krawędzią okna.

Przetoczył się, padając na karton wypełniony zapleśniałą odzieżą. Znieruchomiał z twarzą dosłownie o milimetry od zdechłego szczura, który wybrał stos zatechłych koszul na miejsce ostatniego spoczynku. Ale nie tylko on był w tym kartonie. Coś poruszyło się na jego dnie.

Magnus nawet nie drgnął, dopóki nie odzyskał słuchu, gdy ucichł huk eksplozji. Dopiero wtedy podniósł się ostrożnie, wstał i spojrzał na płonący magazyn.

Parter i pierwsze piętro zniknęły zupełnie za ścianą gęstego dymu, pomarańczowe płomienie sięgały już okien na trzecim piętrze. Wybuch wybił też wszystkie szyby w polu

widzenia.

Dominic wiedział, że musi dostać się gdzieś, gdzie będzie mógł swobodnie oddychać.

Odwrócił się od okien i spojrzał w głąb wypełnionego stertami śmieci korytarza. Jego ściany zdobiły wątpliwej jakości graffiti. Całe to miejsce cuchnęło zgnilizną i pleśnią, lecz jak widać, ludzie nadal potrafili tu żyć. Minął kilkoro otwartych drzwi, za którymi widział na wpół wypalone świece i skłębione legowiska.

W końcu znalazł schody. Pokonał cztery piętra dzielące go od parteru i dotarł do wyjścia, nie napotykając nikogo z miejscowych.

I wtedy popełnił błąd, uznawszy, że tym razem mu się poszczęści.

Gdy otworzył drzwi prowadzące na zewnątrz, łysol w nylonowej kamizelce egzeki chwycił go za rękę i zrzucił z kilku stopni dzielących hol od poziomu ulicy. Magnus uderzając o ziemię, usłyszał, jak jego paradny pistolet wysuwa się z kabury przy pasie i sunie z klekotem po betonie.

Wylądował twarzą do góry w środku kręgu uformowanego przez sześciu egzeków. Ci dysponowali prawdziwą bronią.

Łysol, który nimi dowodził, podniósł pukawkę Doma, uśmiechając się z uznaniem na widok tak drogiego antyku. Zaraz też wycelował jego lufę w byłego właściciela.

Bandzior numer dwa, ten w kombinezonie z naszywką Proudhon Spaceport, wymierzył w Magnusa z karabinu pulsacyjnego wysokiej częstotliwości griffith pięć. Była to broń używana przez piechotę podczas walk bezpośrednich, podrasowana mogła jednak rozwalić średniej wielkości wóz pancerny.

Trzeci z napastników miał czarny beret, skórzaną kurtkę i trójpalczastą protezę ręki. W niej spoczywał piętnastomilimetrowy elektromagnetyczny dittrich. Strzelało się z niego pociskami o stalowym płaszczu z rdzeniem uranowym. Każdy trafiony nim cel był załatwiony. Nawet jeśli miał na sobie porządny pancerz i pole ochronne. Typowa broń facetów napakowanych testosteronem.

Czwarty oprych spoglądał na świat przez obiektywy kamer, które sterczały mu z oczodołów. Jego pierś zdobił naszyjnik z ludzkich zębów. Fakt, że był uzbrojony wyłącznie w maczetę, kiedy wszyscy wokół prezentowali najbardziej wypasione rodzaje sprzętu strzeleckiego, wydał się Domowi mocno niepokojący. Choć równie dobrze mógł oznaczać, że ten człowiek jest głupi albo stuknięty.

Piątemu egzekowi zrekonstruowano połowę twarzy, zastępując skórę matowanym chromem. Ten dysponował antycznym automatycznym wielkokalibrowym shotgunem. Z czegoś takiego strzelało się do największych i najgroźniejszych przedstawicieli lokalnej

fauny. Na piersiach dumnie nosił skrzyżowane pasy z nabojami.

Szóstym przeciwnikiem była kobieta ze smartgunem. Na jej twarzy Magnus zauważył stare wojskowe tatuaże, chyba z jakiejś pozaplanetarnej jednostki sił specjalnych. Jej też nie ominęły rekonstrukcje. Z jednej dłoni wystawały cienkie przewody.

Z dwojga złego Dom wolałby teraz mieć do czynienia z komandosami Konfederacji.

- Pierdolony korp - rzucił tymczasem Beret.

- Przewentylujmy mu dupsko - zaproponowała kobieta.

- Nie piernicz, Trace. Mamy tu korporacyjnego dyra, czyli szansę na okup... - zaprotestował zbir w kombinezonie kosmoportu.

- Sprzedajmy dziada - poparł go ten z połową twarzy.

- Sperforujmy raczej - upierała się baba, przeładowując broń.

- Ty decyduj, Byku - powiedział facet z obiektywami zamiast oczu.

Łysol spojrział w dół i pokręcił głową.

- Wygląda mi na faceta z korporacji. Może być coś wart dla kogoś... - Kombinezon i Półgęby pokiwali głowami z satysfakcją. - Ale nie stać nas na żywienie drania, a poza tym katapultował mi prosto na głowę ten pieprzony fotel. - Łysol spojrział na babę. - Perforuj go, Trace.

- Strzelaj tylko w głowę - poprosił Beret. - Resztę możemy...

Dominic zastanawiał się, czy rozsądniej będzie przemówić im do rozsądku czy raczej wywalczyć sobie drogę ucieczki. Już otwierał usta, by coś powiedzieć, gdy potężne uderzenie zatrzęsło ziemią, przerywając wypowiedź faceta w berecie.

Wszyscy bandyci odwrócili się jak na komendę.

- O kurwa, to jebany paladyn! - To były ostatnie słowa Bereta. Promień energii trafił go w tułów, przecinając ciało na pół.

Facet w kombinezonie wypalił z karabinu pulsacyjnego, odskakując na lewo, podczas gdy baba ze smartgunem wykonała podobny manewr, tyle że w przeciwnym kierunku. Próbowali wziąć atakującego w dwa ognie.

Na Doma padł cień. Kimkolwiek był przeciwnik, skoczył. Chwilę później rozległ się kolejny huk i ziemia ponownie zadrżała. Trace i Kombinezon zostali ścięci od tyłu

Półgęby odpowiedział ogniem z automatycznego shotguna. Następne strzały brzmiały jak uderzenia parowego młota i taką właśnie miały moc, ale kolejny promień energii i tak pozbawił go resztek oryginalnej twarzy.

W tym czasie Łysol i facet z maczetą dali nogę, momentalnie znikając z pola widzenia.

Dominic zerwał się z ziemi i stanął przed paladynem, rozkładając szeroko ręce.

Pancerz jego wybawcy był nieskazitelnie biały, zdobiły go tylko złote i chromowe dodatki. Trzymał w dłoni wąskoszczelinowy miotacz plazmy podłączony przewodami do plecaka tak wielkiego, że wystawał nawet poza kulisty hełm. Wyglądało na to, że pancerniak dysponuje też osobistym antygrawem. Na jego prawym ramieniu Magnus zauważył laminowany złoty krzyż.

Głos, który usłyszał chwilę później, musiał przejść przez elektroniczne filtry, Ktoś tu przesadził z podkreśnianiem basów.

- Opuść ręce, obywatelu. Działam w imieniu Pana.

Fanatyk religijny.

- Doceniam twoją pomoc... - Magnus odczytał imię z niewielkiej plakietki na piersi paladyna - ...bracie Rourke.

- Nie czynię tego dla słów podzięk. Moim obowiązkiem jest zwalczanie wpływów diabła na tym globie bezprawia...

Dominic zignorował pitolenie paladyna. Zanim ten skończył gadać, przyjrzał się dokładniej czterem zabitym przez niego zbirom. Nie miał nic przeciw ich usunięciu. Jeśli na tej planecie byli jacyś ludzie, których należało posłać w zaświaty, oni z pewnością znajdowali się na czele listy. Ale żeby zabijać ich w imię Boga? Toż to niewiele lepsze od zabijania w imieniu rządu.

- ...w zamian za co możesz złożyć niewielki datek na nasz Kościół.

Magnus oderwał wzrok od twarzy Trace.

- Słucham?

- Najwłaściwszą formą podzięk za uratowanie ci życia będzie złożenie niewielkiego datku na rzecz Kościoła Chrystusa Mściciela...

- Zdawało mi się, że to właśnie powiedziałaś. - Niezła kombinacja. Ratujesz każdego, kto wygląda na dzianego gościa, i masz stałe źródło niezłych dochodów. Niestety, brat Rourke źle trafił tym razem. - Odebrano mi wszystkie aktywa. Nie mam przy sobie gotówki.

- Wielka szkoda.

Paladyn podniósł broń i strzelił, zanim Dom zdążył zareagować. I nagle otaczający go świat pochłonęła wiekuista ciemność.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

### **ZAMACH STANU**

„Posiadanie władzy nie sprawi, że będziesz miał słuszność, ale da ci cholernie mocne argumenty do przeforsowania swojej woli”.

„Nie lódź się, że twoje tryumfy  
są efektem klęsk innych ludzi”.

Marek Tulliusz Cynceron (106-43 p.n.e.)

Dokładnie o dwudziestej piątej czterdzięci dwie czasu godwińskiego pułkownik Dacham wkroczył do gabinetu Dominica Magnusa.

Klaus, co trzeba nadmienić, nie miał zbyt dobrego nastroju. Dziesięć lat wcześniej doszedł do przekonania, że tę sprawę trzeba będzie kiedyś załatwić. Potem odkrył prawdziwą tożsamość Dominica Magnusa, a dzisiaj kazano mu wykonać tę misję...

Na domiar złego ten psychopatyczny morderca zdążył uciec dosłownie w ostatnim momencie.

Na tę myśl ciśnienie podskoczyło mu niebezpiecznie. Czuł się jak pilot okrętu, który podszedł zbyt blisko czarnej dziury. Problem jednak w tym, że tkwił na tak niskiej orbicie już od piętnastu lat.

„Zapomnij o niej. - Tę herezję podszeptała mu podświadomość. - Ona nie żyje”.

Ta myśl rozżłościła go jeszcze bardziej. Fakt jej śmierci, tego, że znalazła się w miejscu, z którego nie sposób wrócić, był jądrem anomalii grawitacyjnej. Tej samej, wokół której orbitowała jego dusza. Helen została zabita przez swojego faworyta. A świadomość, że oprawca uniknął kary i przez całe dziesięć lat wymykał się wymiarowi sprawiedliwości, za każdym razem otwierała stare rany.

Wypełniająca je krew wciąż była świeża.

A zabójca żywy.

Czasami Klaus zaczynał się zastanawiać, dlaczego tak bardzo zależy mu na ukaraniu mordercy kobiety, której nienawidził do tego stopnia, że bez wahania zgodził się ją porzucić - co zresztą wcale nie złagodziło tego uczucia. Każde wspomnienie o niej nadal było potwornie bolesne.

Z drugiej jednak strony miał równie mocne przeświadczenie, że racja jest po jego stronie. Potrzeba ukarania zła była w nim silniejsza niż nawet wierność wobec ZRW. To kolejna z blizn na jego duszy, tyle że uśpiona. Aż do dzisiaj.

Klaus powinien dopaść Dominica, tu i teraz, nie przekraczając uprawnień nadanych mu przez Radę.

Niestety, zabójca znów mu się wyślizgnął.



Dacham zastanawiał się, czy któryś z członków ZRW - oczywiście prócz niego - zna prawdziwą tożsamość Dominica. Czy jego przełożeni rozumieją, dlaczego Klaus Dacham z taką ochotą wyruszył na pierwszą połowę misji od czasu Paschala, i to w wieku, w którym większość agentów wybiera komfort biurowego zacisza?

Podjeżdżał, że starszek Dimitrij może się czegoś domyślać. A jeśli nawet nie jest pewien, to dysponuje narzędziami, które umożliwiają mu dotarcie do prawdy. Powiadano, że szef Rady dowie się wszystkiego, jeśli tylko będzie miał na to ochotę,

Klaus podchodził sceptycznie do rzekomej wszechmocy szefa. Wierzył jednak, że Dimitrij mógłby mu nakazać wykonanie tej misji, wiedząc, kim naprawdę jest Dominic, a nawet dać wolną rękę, aby wszystko poszło zgodnie z planem.

- Dominic Magnus... - mruknął Klaus, krzywiąc się. Cóż za pretensjonalny pseudonim.

Dacham dowiedział się całkiem niedawno, że jego ofiara umknęła na Bakunina. Wszystko wskazywało na to, że „Dominic” pojawił się tutaj rok po tym, jak Klaus po raz ostatni próbował zakończyć jego nikczemne życie.

Przyłot na tę planetę był odpowiednikiem zapadnięcia się w czarnej dziurze. Bakunin nie należał do Konfederacji, więc nawet ZRW nie mogła spenetrować tutejszej populacji w wystarczającym stopniu.

Klaus był łącznikiem pomiędzy Radą a wywiadem EWSE. Odwalał tam papierkową robotę, póki nie odkrył nowej tożsamości ściganego.

Akta Dominica Magnusa znajdowały się głęboko w stosie doniesień na temat handlarzy bronią z Bakunina. Klaus nigdy by ich nie ujrzał na oczy, gdyby nie trywialna pomyłka w opisie. Raport miał trafić do jego odpowiednika w EWSE, a on miał pełnić rolę kuriera. Na szczęście ktoś zaadresował przesyłkę na jego nazwisko.

Dokument ten był jednym z wielu, które wykorzystano na Syriuszu i w Centauri podczas masowych przygotowań do operacji Rasputin. Krótkie spojrzenie na opisanego w nim Dominica Magnusa wskrzesiło stare duchy, które zdaniem Klause już dawno zostały egzorcyzmowane.

Nawet gdy udało mu się wkręcić do operacji Rasputin, w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że otrzyma pozwolenie na osobiste zejście na planetę, potem, zupełnie niespodziewanie dla wszystkich, Dimitrij uczynił z niego dowódcę tej misji.

Nie tylko przekazał mu dowodzenie oddziałami, ale dał też szansę na...

Klaus walnął pięścią w ścianę kopuły obserwatorium.

Wszystko zostało zapięte na ostatni guzik. Pierwsza faza operacji Rasputin polegała

na przejęciu firmy zbrojeniowej. Firmy zbrojeniowej! Czyż to nie była idealna okazja do zdjęcia Dominica? Spojrzał za holoprzezroczyste ściany na przeprowadzaną właśnie operację oczyszczania obiektów. Jego okręt, należący do klasy Barakuda transportowiec wojskowy z gigantycznymi silnikami, przysiadł już na lądowisku. Jednostkę tę zmodyfikowano i dozbrojono tak, by mogła dokonać ataku z powietrza na niewielkie miasto. Ten skomplikowany wytwór paraliańskiej myśli technicznej nosił nazwę Kalcthwee'rat. W wolnym tłumaczeniu oznaczało to Krwawy Przyływ.

Dysponował tym potworem i stu trzydziestu komandosami z Occisisa, ale morderca znowu mu uciekł.

- Pułkowniku?

Klaus odwrócił się do mówiącej te słowa.

Kobieta, która właśnie zwróciła się do niego, wciąż była w pancerzu polowym, aczkolwiek zdążyła już zdjąć hełm. Włosy miała wygolone w poprzeczne pasy, na modłę wojsk specjalnych z Occisisa. Przysadzista sylwetka i ruda barwa włosów świadczyły, że kobieta stamtąd pochodzi. Była kapitanem i najwyższym stopniem oficerem wśród przydzielonych mu komandosów.

Klaus jej nie lubił. Dostał tydzień na przygotowanie się do tej operacji i kolejny na przetestowanie komandosów, gdy znaleźli się już na orbicie Ziemi. Odprawy na temat Bakunina i ich misji - czyli w związku z tym, o czym jego podwładni i tak już wiedzieli - przebiegały bez większych problemów. Czuł więc, że będzie mógł zaufać zdecydowanej większości swoich żołnierzy.

Kapitan Kathy Shane podchodziła jednak do wszystkiego z ogromną rezerwą. Oglądała w skupieniu prezentowane przez Klause holo dotyczące strategii i szczegółów zadania, ale gdy dochodziło do dyskusji o Bakuninie, zawsze milczała. Zachowywała się, jakby nie podzielała opinii dowództwa.

Klaus spojrzał na miejsce, w którym promień lasera naruszył konstrukcję holościany. W tym miejscu świat przesłaniała ciemna smuga.

- Kapitanie?

- Chciał mnie pan widzieć, sir.

To nie do końca była prawda. Chodziło mu nie tyle o zobaczenie jej, ile o ustalenie paru priorytetów.

- Z tego, co słyszałem, nie otworzyła pani ognia do Dominica Magnusa, gdy uciekał z tego kompleksu. Czy to prawda?

- Tak, sir.

Klaus przesunął dłonią po marmurowym blacie biurka. Jego róg nadpalił ten sam strzał, który przebił ścianę. Tak mało brakowało....

- Miała pani problem ze zidentyfikowaniem celu?

- Nie, sir.

Dacham przeniósł spojrzenie na dowódcę komandosów. Jej twarz wciąż miała ten sam beznamiętny wyraz. To go zirytowało.

- Proszę mi zatem wyjaśnić, dlaczego nie został przez panią ostrzelany?

- Sir, otrzymaliśmy wyraźny rozkaz od Ziemskiej Rady Wykonawczej, aby niej przynosić konfliktu na inne strefy Bakunina...

Klaus skinął głową.

- ...o ile nie będzie to konieczne z punktu widzenia wykonywanych zadań, et cetera, et cetera. Wiem o tym. Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Dlaczego pani do niego nie strzelała? - Czyżby dostrzegł kropelkę potu pod jej dolną wargą? Doskonale.

- Sir, namierzyliśmy jego pojazd, dopiero gdy przekroczył perymetr kompleksu. A nasze rozkazy mówiły wyraźnie, by nie przynosić...

- Rozumiem, - Klaus obszedł biurko. - Proszę mnie teraz posłuchać uważnie, kapitanie, i odpowiedzieć na pytanie: kto dowodzi tą operacją?

- Pan, sir.

- Cieszę się, że w końcu dotarło to do pani. - Pułkownik rozsiadł się w fotelu za blatem. - Od tej pory ma pani zachowywać się jak moja podwładna.

- Słucham, sir?

- Nie ZRW dowodzi tą misją, tylko ja. A kiedy wskazuję pani cel, ma go pani zdjąć!

- Ależ, sir... Rozkazy z dowództwa...

- One dotyczą wyłącznie mnie.

- Tak jest.

Tak, doprowadził do tego, że zaczynała się pocić. Twardy ton jej wypowiedzi też brzmiał na bardziej wymuszony niż przed momentem.

- Zatem i w tej kwestii doszliśmy do porozumienia. Kiedy ja wydaję rozkaz, ma on pierwszeństwo przed wszystkimi innymi. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Nawet przed poleceniami Rady.

- Tak jest.

- Świetnie. Zatem wydaję pani rozkaz: jeśli którykolwiek z pani ludzi zobaczy Dominica Magnusa, ma go natychmiast zabić. I jest mi obojętne, czy to będzie wymagało

zrzucenia głowicy bojowej na samo centrum Godwina. On musi zostać wyeliminowany. I nie ma być żadnych wyjątków. Żadnych wymówek. Nie pozwolicie mu uciec po raz drugi.

Była teraz nieco bledsza niż na początku rozmowy.

- Tak jest.

Klaus pokiwał głową, uśmiechnął się pod nosem i obrócił fotel. Nie usłyszał jednak, by się odmeldowała.

- Czy chce pani czegoś jeszcze, kapitanie Shane?

- Sir, musimy porozmawiać o tym, co zrobimy z jeńcami.

Klaus przymknął oczy.

- A o czym tu dyskutować? Rozstrzelać ich.

Głos jej się załamał. W końcu.

- Słucham?

- Czyżbym wyraził się niezbyt jasno?

- Nie, sir.

- Dziękuję zatem za miłą rozmowę. Odmaszerować!

Klaus poczekał, aż Shane się odmelduje. Miał nadzieję, że to starcie zakończy stwarzane przez nią problemy, aczkolwiek nie liczył na cud. Kapitan znajdowała się na szczycie listy osób, które Dacham zaliczał do grona potencjalnych buntowników. Czyli takich, których należało się pozbyć przed rozpoczęciem drugiej fazy operacji.

Ale na to przyjdzie jeszcze czas.

Na razie musiał postawić na nogi GA&A.

Nad biurkiem Dominica pojawił się hologram. Klaus natychmiast obrócił fotel, by na niego spojrzeć. To był dowódca jego wojsk inżynieryjnych, Atef bin Said. ZRW ściągnęło tego techa z Chamsinu, prosto z działu badawczo-rozwojowego Heigra Aerospace.

- Chciałbym złożyć raport o zniszczeniach.

- Słucham. - Klaus musiał przymknąć powieki, ponieważ projektor holograficzny nie działał poprawnie. Niestabilny obraz co chwilę zmieniał perspektywę, co było dość bolesne dla oczu.

- Zgodnie z oczekiwaniami udało nam się zniszczyć wszystkie elementy obrony przeciwlotniczej. Nasz atak wyeliminował je kompletnie. Generatory pola i broń znajdująca się na pokładzie Krwawego Przyływu powinny jednak wystarczyć do zapewnienia ochrony całego kompleksu, dopóki nie uda nam się odbudować tych umocnień. Uszkodzenia innych instalacji naziemnych są powierzchniowe. Z moich wyliczeń wynika, że naprawa wszystkich szkód nie powinna kosztować więcej niż sto tysięcy kredytów...

- Jesteśmy na Bakuninie, tutaj płaci się złotem albo jego zamiennikami.

- Ach tak, sir. Przeliczę to w takim razie raz jeszcze na złoto.

- Coś jeszcze?

- Jak już wspomniałem, większość uszkodzeń naziemnych jest powierzchowna. Tylko jeden z budynków, w którym według naszych źródeł mieściło się centrum ochrony GA&A, został zrównany z ziemią. Ale Krwawy Przyptyw może przejąć także jego funkcje. Szczerze mówiąc, rekomendowałbym takie rozwiązanie na wszelki wypadek, przynajmniej do chwili dokładnego zbadania tutejszych systemów zabezpieczeń. Możemy trafić na wiele przykrych niespodzianek, zważywszy na otoczenie.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Owszem, i obawiam się, że to coś, czego nie przewidywaliśmy. Dziewięćdziesiąt procent systemów zarządzających produkcją, a także wszystkie banki danych i serwery mieściły się w bunkrze ukrytym dwa kilometry pod powierzchnią ziemi. ZRW uznało więc, że nic nie może im zagrozić...

Klaus pokiwał głową.

- Zostały zaminowane. To była ta podziemna eksplozja, którą zarejestrowaliśmy?

- Tak. Na razie jest jeszcze za wcześnie, abyśmy mogli wydać wiążący werdykt, ale moim skromnym zdaniem doszło do całkowitego zniszczenia tego obiektu. A Krwawy Przyptyw nie ma wystarczającej mocy obliczeniowej do prowadzenia podobnych przedsięwzięć. To okręt wojenny, więc jego komputery są bardzo wyspecjalizowane.

Dacham potarł dłonią czoło. Helmsman, facet który zdradził, miał siedzieć w tym bunkrze i czekać na nich. Cóż, przynajmniej Klausowi odpadnie załatwianie jego sprawy osobiście. Agent ZRW musiał nieźle namieszać w głowie wiceprezesowi, aby ten w ogóle rozważył propozycję pracy dla drugiej strony. Teraz jednak zniknął problem wyjaśniania, kto tu naprawdę będzie rządził.

Teraz Klaus jest szefem GA&A.

Koniec, kropka.

- Ile czasu będziemy potrzebowali na sprowadzenie nowych komputerów?

- Chce je pan importować?

- No chyba! Nie wpuszczymy żadnego Bakunianina do tego kompleksu. Bez względu na okoliczności... - rzucił i zaraz zatopił się w myślach. - Na całe szczęście dysponujemy nieograniczonymi funduszami. Najbliższą planetą Konfederacji jest Dolbri, ale tam nie będą mieli tego, co potrzebujemy. Zostaje więc Ziemia...

- Boże, nie. Nie wolno nam zbliżyć się do stolic. Zbyt wielu ludzi by to widziało. -

Said podrapał się po brodzie. - Cynos także nie wchodzi w rachubę?

Klaus skinął głową.

- Styks też nie ma możliwości eksportu - ciągnął Said. - Hm... Banlieue jest zbyt daleko i ma za wysokie ceny, ale leży z dala od wszelkich stolic i znajdziemy tam wszystko, czego nam trzeba. Czy to panu pasuje? - spytał. Dacham potwierdził ruchem głowy. - Zatem przygotuję pocztę tachionową z odpowiednim zamówieniem, jeśli skorzystamy z transportu wojskowego, sprowadzenie sprzętu powinno zająć nam nie więcej niż dwadzieścia trzy dni standardowe, czyli osiemnaście tutejszych.

- A instalacja?

- Nie więcej jak dwa.

Klaus nie cierpiał opóźnień, lecz w tej sytuacji niewiele mógł zrobić.

- Proszę złożyć to zamówienie. Nie ma pan ani jednej dobrej wieści?

- Owszem, mam. Shaftsbury przybył przed wyznaczonym terminem, co znaczy, że będziemy mogli sprowadzić personel z orbity, jak tylko oczyścimy poziomy mieszkalne.

- Świetnie. Proszę mnie informować na bieżąco. I niech pan nie zapomni zawiadomić mnie o dokładnym terminie dostawy nowych komputerów.

- Tak jest.

Hologram zniknął.

Klaus powrócił myślami do Dominica Magnusa. Wątpił, aby komandosi zdołali się zbliżyć do niego po raz drugi. Jego błyskawiczna ucieczka i zniknięcie dowodziły jednego: ten pieprzony półczłowiek potrafi dbać o ocalenie własnej skóry.

Dacham miał wszakże plan awaryjny. I to nie związany w żaden sposób z tajnymi działaniami ZRW. Nie liczył zbytnio na to, że wynajęci przez Radę komandosi zajmą się jego prywatnymi zleceniami, zwłaszcza że nie da się ich podciągnąć pod operację Rasputin.

Dlatego musiał się zająć tym inaczej.

Podszedł do drzwi, w których zostawił aktówkę. Podniósł ją, a potem położył na blacie i ponownie rozsiadł się w fotelu. Przyłożył kciuk do zagłębienia w obudowie i poczekał, aż urządzenia dokonają identyfikacji materiału genetycznego.

Zaszyfrowane prywatne holo było kosztowną ekstrawagancją, ale ZRW wyposażało w taką aparaturę swoich najwyższych dowódców, aby móc się z nimi kontaktować na zabezpieczonych kanałach. Tyle że sprzęt dostarczany przez Radę mógł być wykorzystywany przez jej członków nie do końca zgodnie z zasadami.

Wiek walizki odskoczyło, a błękitny promień lasera nakreślił obraz testowy w powietrzu nad bazą. Klaus wprowadził za pomocą klawiatury dwudziestotrzycyfrowy kod,

dzięki któremu włączył systemy szyfrujące. Potem wybrał numer w Godwinie.

Wyświetlacz okazał się niepotrzebny, jako że rozmówca transmitował wyłącznie sygnał audio.

- Witam, pułkowniku.

- Czas dogadać warunki naszej umowy, panie Webster.

To był pseudonim mężczyzny - albo kobiety; w dzisiejszych czasach głos mógł być bez problemu zmieniony - kogoś, kogo Dacham nigdy wcześniej nie widział na oczy. Nawiązanie nielicznych kontaktów na Bakuninie kosztowało go sporo czasu i zachodu. A skoro pojawił się osobiście na powierzchni tej planety, nadszedł czas, by jeden z nowych agentów skontaktował go z człowiekiem, który wedle powszechnie panującej tu opinii maczał palce we wszystkich cuchnących interesach, jakie zawarto w Godwinie. Webster był dla Klause tylko wysoko opłacanym informatorem, chłopcem na posyłki...

Ale nawet z takich ludzi czasem jest pożytek.

- Spodziewałem się tej rozmowy - odparł Webster. - Włożyłem wiele wysiłku, by zapewnić odpowiednich ludzi, że wysoko ceni pan dawny personel GA&A.

Klaus się uśmiechnął. ZRW mogło akceptować półśrodki, lecz on nie miał zamiaru dopuścić do tego, by po tym kompleksie kręcił się choć jeden człowiek lojalny wobec Dominica Magnusa. Zdobycie listy pracowników od Helmsmana nie wymagało żadnego trudu. I nikt nawet nie zapytał, na co mu potrzebna.

- Jednego z nich cenię sobie najwyżej. I chcę, żeby został wyeliminowany.

- Mówimy o Dominicu Magnusie.

- Celny strzał.

- Ile pan za niego płaci?

- Dysponuję nieograniczonymi finansami. On musi zginąć. Nawet jeśli pan będzie musiał zabić go osobiście. Moja ochrona donosi, że wylądował gdzieś we Wschodnim Godwinie.

Po drugiej stronie rozległ się cichy chichot.

- Ja niczego nie robię osobiście. Poza tym mało brakowało, by Wschodni Godwin załatwił tę sprawę za darmo. Niemniej...

- Niemniej co?

- Obawiam się, że pański cel oraz jeszcze jedna osoba wpadli w ręce Kościoła.

- Czyje?

- Bakunińskiego Kościoła Chrystusa Mściciela. Przekazałem mu pańską listę. BKCM jest niezwykle otwarty na okazje zdobycia kolejnych datków.

- Czy to znaczy, że on nie żyje? - Utrata życia z rąk sług Kościoła wydawała się Klausowi zasłużoną karą, zwłaszcza po tym, co Dominic zrobił...

- BKCM jest... jak by to powiedzieć... nieprzewidywalny. Oni tam wszystko robią po swojemu. Dlatego Magnus będzie żył do momentu transmisji. Która rozpoczyna się już za parę minut. Pańskie holo powinno ją odbierać.

- Nie cierpię opóźnień.

- Gdyby nastąpiły jakieś komplikacje, proszę o kolejne połączenie. Życzę miłego oglądania. - Webster się rozłączył.

Transmisja?

Klaus włączył odbiornik holo i spróbował się dostroić do pasma BKCM. Chwilę to trwało. Na tym świecie nie było koncesji, więc każdy nadawał na takim paśmie, na jakim akurat było mu wygodnie. Bez ładu i składu. Gdy w końcu Klaus zdołał dostroić sprzęt do właściwej częstotliwości, zobaczył kapłana stojącego na scenie przyozdobionej napisem „Złoto dla Boga” i krzyczącego do niewidocznych słuchaczy:

- Witamy w naszym programie odkupienia!

Odpowiedziała mu wrzawa wiwatujących tłumów.

Klaus usiadł wygodniej, by obejrzeć to przedstawienie.

Czekał całe dziesięć lat, żeby znaleźć się tak blisko Jonaha.

Piętnaście, jeśli liczyć od momentu, gdy zginęła ich matka, Helen Dacham.

- Śmierć będzie najlepszym rozwiązaniem w twojej sytuacji, bracie - wymamrotał.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

### **PRAWO KARNE**

„Najwydajniejszy system prawny  
działa w oparciu o założenie,  
że każdy jest czegoś winny.”

*Księga mądrości cynika*

„Uczciwy rząd jest równie wielką rzadkością  
jak bogacz w więzieniu”.

Datja Rajastahn (?-2042)

Dominic miał koszmarne sny.

Śnił o pokrytej lasami kuli rasizmu zwanej Waldgrave, swojej rodzinnej planecie. Śnił



o pijackich burdach urządzanych przez matkę. O jej paranoi. I wybawieniu zaoferowanym przez oficera rekrutacyjnego z ZRW. Śnił też o niewielkiej ohydnej planecie w systemie Sigma Draconis, którą nie bez przyczyny zwano Styksem. Ujrzał w tym śnie, jak trzydzieści pięć tysięcy ludzi wyparowuje, gdy dwie tony policeramicznych monomolekularnych włókien runęło na nich z orbity. Zobaczył też miasto, którego już nie ma.

Śnił o dniu, w którym przybył do tej miejscowości. I o pocisku, który trafił go wtedy w bark. O upadku przez barierkę w bezdenną czeluść. Przyśniła mu się nawet rekonstrukcja ciała. I rozpad GA&A.

Śnił, że jego życie jest gigantyczną szklaną rzeźbą, którą ktoś rozbija, uderzając systematycznie raz za razem. Po każdym z takich ciosów od ciała spadało kilka niewielkich kawałków. Pod koniec zostały z niego tylko poskręcane ułamki.

\*\*\*

Skutki ogłuszenia mijały powoli, dopuszczając do umysłu Doma otaczającą go rzeczywistość. Najpierw usłyszał głosy rozmawiających obok ludzi.

Ktoś o bardzo nieszczerym głosie przemawiał do tłumów.

- Witajcie w programie waszego odkupienia. - Wrzawa. - Najpierw jednak chciałbym powitać powracającą do nas część widowni. Kolektyw Zeno zdołał w końcu usunąć zniszczenia wojenne i uruchomił przekaźnik widsatu... - W tym momencie gospodarza programu zagłuszyły kolejne ryki tłumy. Dominic był wciąż oszołomiony, ale i on zrozumiał, że słyszy ścieżkę dźwiękową transmisji holo. - A teraz czas na naszego pierwszego przestępcę. Schwytał go nasz bogobojny patrol, gdy gwałcił nieletnią... Co z nim powinniśmy zrobić?

- Usmażyć gada.

- Nie słyszę was.

- Usmażyć gada!!!

- Dlaczego mielibyśmy to zrobić?

- Bo to śmieć!

Widownia zaczęła bić brawo.

- Tak też sądzimy, ale jak zapewne wiecie, mamy tutaj określone zasady. Nasze linie zostały otwarte dla darczyńców, a zakładanym celem zbiórki na tego chłopca jest kilogram złota. - Z widowni dobiegły gwizdy. - Jeśli nie osiągniemy albo nie przekroczymy zakładanego celu, gwałciciel odejdzie stąd wolny. - Ludzie zaczęli wyć. - Dobrze, zatem dajmy czas na zastanowienie ludziom oglądającym nas w domach i obejrzymy nagranie z ataku...

- Ej, ty, dyr, ocknąłeś się już?

Dominic otworzył oczy. Ostatni głos dobiegał naprawdę z bliska.

Magnus leżał na betonowej podłodze celi. Nad nim pochylała się młoda dziewczyna. Mogła mieć od siedemnastu do dwudziestu dwóch lat standardowych. Mierzyła niespełna półtora metra. Miała proste czarne, przycięte niesymetrycznie włosy, zielone oczy w kształcie migdałów i wtyczkę na karku, która świadczyła o wszczepionym elektronicznym biolinku.

- Jestem już przytomny. Gdzie jesteśmy? - zapytał, wstając z podłogi.

Rozejrzał się w poszukiwaniu holo, którego dźwięki wciąż dobiegały do jego uszu. Cella była całkowicie pusta, ale otwór w jednej ze ścian prowadził do wyłożonego dywanami holu. To w nim znajdował się odbiornik.

- W czasie największej oglądalności. Będziemy zarabiali pieniążki dla Kościoła matki...

Pomieszczenie obok było urządzone jak klasyczny gabinet korp, na ścianach wisiały statyczne hologramy z krajobrazami, z góry padało dyskretne rozproszone światło. Strażnik w mundurze siedział na fotelu obitym czerwonym materiałem za ladą przypominającą recepcję. Właśnie na niej stało holo. Człowiek ten zapewne pilnował wejścia, lecz z celi Dominic nie mógł dostrzec żadnych drzwi.

Miejsce ich uwięzienia nie było zamknięte, za to tuż za drzwiami ustawiono niewysoką kolumnę zakończoną błyszczącą kulą. Nie trzeba było geniusza, by odgadnąć, że to przenośny generator pola Emersona działającego na tej samej zasadzie co ogłuszcacz zastosowany przez paladyna. Pole zaprogramowano tak, by mieszać w impulsach przesyłanych przez neurony. Wejście w nie mogło być bolesnym przeżyciem, a wyjście zakończyłoby się z pewnością utratą przytomności.

Domowi zaświtał pewien pomysł.

- Mam na imię Tetsami - przedstawiła się jego towarzyszką niedoli. - Niech zgadnę: próbowałaś się wykręcić od zapłacenia za ich samarytańską pomoc?

- Skąd wiesz? - Magnus nie spuszczał wzroku ze strażnika, który był tak zaaferowany transmisją, że nie patrzył nawet w ich kierunku.

- To jedyny sposób, by korp wylądował w tej celi. Ci faceci podchodzą bardzo serio do swojej roboty. Na pewno sprawdzili cię już pod każdym kątem, żeby znaleźć dobry powód do wytoczenia oskarżeń. A teraz próbują odbić sobie poniesione wydatki. - Po dłuższej chwili zapytała jeszcze: - Jak na ciebie wołają?

- Nazywam się Dominic Magnus - odparł, zastanawiając się usilnie, co powinien teraz zrobić.

Statyczne pole Emersona było całkowicie przezroczyste, chyba że ktoś za mocno podkreślił parametry generatora albo ustawił go na widzialne częstotliwości. Nie było szansy sprawdzić, jak działa ten emiter, przynajmniej póki coś - a raczej ktoś - nie znajdzie się w polu rażenia.

Co jednak nie oznaczało, że Dom nie może przyjąć kilku wstępnych założeń.

Efekty wpływu pola Emersona zależały głównie od ilości energii, jakim je zasilano. Rozszerzenie zasięgu jego działania wymagało logarytmicznego zwiększania mocy - gdyby ktoś dysponował nieskończoną ilością energii, mógł nawet stworzyć coś na kształt czarnej dziury - ale w normalnych warunkach eksploatacji emitery operowały w bardzo wąskich pasmach. Istniało więc spore prawdopodobieństwo, że blokadę drzwi ustawiono na częstotliwości zakłócające wyłącznie pracę biologicznego systemu nerwowego.

Aczkolwiek, jak większość urządzeń obronnych tego typu, także ten emiter mógł mieć wbudowany procesor, który dostosowywał częstotliwość fal do wykrytych przez skanery obiektów.

W takim przypadku Dom miałby spory problem.

- Brzmi jak typowe nazwisko korporacyjne - prychnęła z pogardą Tetsami. - Zdajesz sobie sprawę, że wyznaczą za twoją głowę cholernie wysoką sumę? Taki dyr jak ty wyciągnie masę kasy z każdego kolektywu.

- A co ty przeszkrobałaś?

Istniała też szansa, choć niewielka, że to pole ma wystarczającą moc zasilania, by utrzymywać szerokie spektrum fal.

To również mogło stanowić problem.

- To samo co ty. Miałam tego pecha, że uratowano mnie, zanim odebrałam wypłatę.

- Z czego się utrzymujesz?

Dominic przeskanował całe pasmo, jakim dysponowały jego fotoreceptory. Nie dostrzegł jednak żadnych śladów obecności pola. Co oznaczało tylko tyle, że jego częstotliwość nie pokrywała się ze spektrum fal, które był w stanie odebrać.

- Z hakerstwa, czyli elektronicznego szpiegostwa przemysłowego. Inaczej mówiąc, masz do czynienia ze złodziejką. Ale moja pozycja i tak jest znacznie lepsza niż twoja.

Magnus przysunął się nieznacznie do krawędzi pola. To urządzenie być może zeszło z linii produkcyjnych jego korporacji.

A GA&A specjalizowało się w sprzęcie wąskopasmowym.

- Dlaczego tak sądzisz?

Tetsami zdała sobie nagle sprawę, że jej towarzysz robi coś dziwnego. Nadal mówiła

normalnym głosem, niemniej Magnus zauważył, że zbliżyła się, by mieć na widoku jego dłoń.

- Wyjaśnili mi, na czym ta zabawa polega. Jesteśmy kryminalistami dnia. W tym procesie mogą zapaść tylko trzy wyroki. Widzowie składają datki, od których wysokości zależy, czy zginiemy, zostaniemy okaleczeni albo odzyskamy wolność. Ja łapię się na tę trzecią kategorię.

- Skąd ta pewność?

To mogło być zwykłe pole neuralne. Dominic wątpił, aby w takim miejscu dysponowano droższymi i bardziej skomplikowanymi systemami ochronnymi. A w każdym razie taką miał nadzieję.

Gdyby było tutaj coś jeszcze prócz tego pola, kościelni maniacy nie potrzebowaliby żywego strażnika.

Magnus zacisnął zęby i wsunął lewą dłoń w pole Emersona. Jeśli się myli i emiter ma szersze pasmo, istniały spore szanse na to, że usmaży obwody sterujące jego cybernetyczną protezę.

Nic nie poczuł.

Zauważył kwaśną minę Tetsami. Ona także musiała tego wcześniej próbować. Tyle że dysponowała w pełni naturalnymi kończynami, a jego ręka była całkowicie sztuczna.

Czuł mrowienie, ale nic go nie paraliżowało, nie było bólu, nie odezwały się też dzwonki alarmów. Szturchnął Tetsami, zachęcając ją do kontynuowania rozmowy. Najmniej życzył sobie w tej chwili zainteresowania ze strony strażnika.

- Choćby dlatego - dodała - że dali mi aż pięć minut na przedstawienie swojej linii obrony.

Dominic wsunął rękę za centralną sferę. To było idealne miejsce na panel kontrolny. Tam powinien znajdować się wyłącznik. Miał nadzieję, że zdoła go dosięgnąć.

- Zatem zamierzasz przekonać widownię, że jesteś niewinna?

Tetsami się roześmiała. Zabrzmiało to nieco wymuszenie, lecz strażnik tego nie zauważył.

- Co to, to nie. Obiecuję, że dam dupy każdemu, kto złoży się na ten kilogramik za mnie.

Magnus wymacał przycisk.

Nacisnął go od razu, ale i tym razem nie rozległ się alarm.

Aby sprawdzić efekt swoich działań, wsunął prawą rękę tam, gdzie powinno być pole.

Nic.

Ekran został wyłączony.

Przywołał Tetsami do siebie i na migi kazał jej iść przodem.

- To bardzo niebezpieczna propozycja.

Dziewczyna podeszła do progu z wyraźnym wahaniem.

- Wyznaję prostą filozofię życiową, która głosi: bierz, co ci dają. Najpierw wolność, potem będę się przejmowała konsekwencjami jej odzyskania.

Strażnik nadal nie był świadomy, co się dzieje za jego plecami.

Tetsami cofnęła się, przepuszczając Doma.

- Jeśli ktoś pomoże mi wydostać się z tego bagna... - Człowiek pilnujący cel nie reagował na ich ucieczkę, dopóki Magnus nie stanął tuż za jego plecami. Wtedy dopiero zaczął odwracać fotel i dostrzegł hakerkę. Gdy sięgnął po broń, Dom oplótł jego szyję cybernetycznym ramieniem. - ...dam mu to, na co zasłużył.

Strażnik został unieruchomiony klasyczną dźwignią. Dominic modlił się teraz tylko o to, by jego przeciwnikowi nikt nie wstawił ulepszeń w okolicach szyi.

- Tetsami, zabierz mu broń!

Dziewczyna podbiegła i szybkim ruchem opróżniła kaburę strażnika. Ten wciąż walczył o życie, wierzgając nogami tak mocno, że stracił holoprojektor. W końcu jednak stracił przytomność. Dominic puścił go. Mężczyzna ześlizgnął się z fotela i zwałił twarzą na podłogę.

Tetsami nadal mierzyła do niego ze zdobyczej broni. Był to laser pulsacyjny wyprodukowany przez GA&A.

Drzwi wyjściowe wyglądały całkiem normalnie, ale nad ich chromowaną futryną palił się napis „Transmisja w toku”. Znajdowali się tuż przy scenie, w bloku więziennym, z którego goście trafiali przed oblicze widowni.

- i co teraz? - zapytała dziewczyna.

- Musimy się pozbyć strażnika. Stań przy emiterze, na mój znak włączysz pole.

Gdy Tetsami znalazła się na miejscu, Dom zaciągnął nieprzytomnego mężczyznę do celi.

- Znasz rozkład pomieszczeń tego budynku? - zapytał, przetrząsając kieszenie ofiary w poszukiwaniu dokumentów i elektronicznych kluczy. Nie poszczęściło mu się.

Pokręciła głową.

- Byłam równie przytomna jak ty, gdy mnie tutaj sprowadzano. Wiem tylko tyle, że pomieszczenie, w którym jesteśmy, przylega bezpośrednio do sceny, a drzwi można otworzyć tylko z tamtej strony.

Komnata była tak mała, że Dom od razu zauważył, iż nie ma z niej innego wyjścia. Mimo dokładniejszych poszukiwań nie znalazł też panelu pozwalającego na otwarcie metalowych drzwi. Wyglądało na to, że Tetsami mówi prawdę.

- Musimy zastawić pułapkę na ludzi, którzy po nas przyjdą. - Podszedł do lady i ustawił ponownie holoprojektor. Jeden z laserów widma został rozkalibrowany podczas upadku, przez co obraz wpadał mocno w błękit, ale był na tyle czysty, że mogli nadal oglądać transmisję. - To urządzenie ostrzeże nas w porę.

Stali przez chwilę, milcząc, po obu stronach chromowanych drzwi.

Przedstawienie trwało w najlepsze.

Gwałciciela usmażono. Po jego egzekucji odziany w sutannę kapłan, śliski osobnik o aparycji i głosie domokrażcy, przeszedł do opisywania kolejnego przestępcy. Jego zdaniem masowego mordercy.

- Jakim cudem udało ci się wsunąć rękę w to pole? - zapytała kilka minut później Tetsami.

Dominic nie odpowiedział od razu. Oglądał nagranie, na którym aktualnie oskarżony opróżniał apartamentowiec we Wschodnim Godwinie, wspomagając się dittriehem, czyli szybkostrzelnym działkiem szynowym.

- Pole biologiczne interferuje z ludzkim systemem nerwowym. To wystarczy do unieruchomienia delikwenta. Chyba że ktoś dysponuje cybernetycznymi kończynami, takimi jak moje.

Tetsami spojrzała na niego z uznaniem, a potem znów czekali w kompletnej ciszy.

Za mordercę zażądano dziesięć kilogramów złota. Zebrano więcej, więc został spalony żywcem przy ogromnym aplauzie zgromadzonej widowni. Gdy zabierano jego ciało, na scenie pojawił się ponownie mistrz ceremonii.

- Raz jeszcze dzięki waszym datkom złoczyńca poznał sprawiedliwość Bożą. Zaraz po bloku reklamowym naszych sponsorów przedstawimy wam naprawdę wyjątkową personę. Celem zbiórki będzie tym razem aż sto kilogramów złota i wiercie mi, nie chcecie tego przeoczyć.

Na holo pojawił się filmik rekrutacyjny kolektywu Girolamo. Możliwość wstępu do niego kosztowała dwanaście kilogramów.

- Sto kilogramów!... - jęknęła Tetsami, machając laserem w kierunku drzwi. - Chyba ty będziesz następny. Przygotuj się...

Drzwi otworzyły się z cichym sykiem jak na zawołanie.

Do pomieszczenia weszli dwaj strażnicy. Nie spodziewali się problemów. Dominic

chwycił jednego za twarz, zablokował mu prawą rękę i umieścił kolano w kroczu. Tetsami w tym samym momencie strzeliła prosto w otwarte przejście. Palący promień trafił drugiego z nadchodzących w ramię. Magnus walnął pięścią zwiniętego w pól przeciwnika, mierząc w potylicę. Strażnik padł bezwładnie na podłogę. Drugi, raniony w bark, popełnił taktyczny błąd. Powinien ukryć się za załomem ściany i wezwać pomoc. Zamiast tego próbował zamknąć drzwi. I dopiął swego. Chromowane skrzydło zatrzymało się dopiero na leżącym w progu oszołomionym mężczyźnie, wyciskając z jego gardła przeciągły jęk bólu.

Dominic precyzyjnie przeszedł przez szczelinę. Widząc go, drugi strażnik wyszarpnął broń z kabury, próbując go namierzyć.

Tetsami nie próżnowała jednak, kolejny promień lasera trafił mężczyznę w zdrowy bark. Dzięki temu chybił, i to mocno, gdy udało mu się wypalić do znajdującego się tuż-tuż przeciwnika.

Magnus minął go i splecionymi dłońmi walnął w plecy. Strażnik poleciał do przodu, grzmotnął głucho o ścianę i wypuścił miotacz z dłoni. Magnus nie czekał, aż Tetsami wypali po raz trzeci. Chwycił oszołomionego za włosy i roztrzaskał mu twarz o mur.

Strażnik padł do jego stóp. Jedno spojrzenie w kierunku drzwi uświadomiło Domowi, że obaj przeciwnicy są już nieprzytomni. Gdy on podnosił broń pokonanego, Tetsami wy dostała się na zewnątrz. W dłoniach dzierżyła aż dwa miotacze. Musiała rozbroić tego, który zablokował drzwi własnym ciałem.

Przemierzyli krótki korytarz, z którego także mieli tylko jedną drogę wyjścia. W ścianach po obu stronach było jeszcze sześć podobnych chromowanych drzwi, na samym końcu ścianę przesłaniała kurtyna. To zza niej dobiegały pomruki tłumu i wrzaski mistrza ceremonii. Wyglądało na to, że nikt ze zgromadzonych nie usłyszał odgłosów walki.

- Nadal nie ogłoszono alarmu? - zdziwiła się dziewczyna, spoglądając na kurtynę.
- Nie. Zareagują dopiero po zakończeniu bloku reklamowego.
- Co robimy? Tam jest z tysiąc ludzi łaknących naszej krwi.

Dominic rejestrował od jakiegoś czasu docierający do niego sygnał audio. Teraz przepuścił dźwięk przez syntezyzator wszczepionego komputera i odkrył dziwny powtarzający się wzorzec.

- Nie sądzę.
- Co takiego?
- Widziałaś to ich studio?
- Nie...
- Chodź.

Ruszył prosto na kurtynę. Wydostał się na scenę tuż za mistrzem ceremonii, chwycił go za szyję i przyłożył mu lufę miotacza do skroni. Spojrzał prosto w obiektywy kamer.

- To się nazywa silna pozycja przetargowa - mruknął.

Tetsami pojawiła się tuż po nim. Rozejrzała się ciekawie po studiu nagrań.

Aplauzy widowni umilkły jak nożem uciął, gdy dźwiękowiec wyłączył nagłośnienie. Przed sceną nie było żadnych tłumów ani miejsca, w którym mogłyby się gromadzić. Mieli przed sobą kraniec podestu, za nim światła, kamery holo i szklane przepierzenie, za którym samotny technik zarządzał całą elektroniką. Dwaj pozostali strażnicy mieli akurat zajęte ręce, usuwali bowiem ze sceny zwęglone ciało.

Facet w sutannie przestał się szczerzyć.

- Straż!

Tetsami wymierzyła jeden z laserów w mężczyzn obciążonych zwłokami masowego mordercy. Drugi skierowała w kierunku technika.

- Nie radzę.

Dominic zauważył drzwi prowadzące do reżyserki i natychmiast ruszył w ich kierunku, ciągnąc za sobą zakładnika. Mistrz ceremonii nadal bełkotał coś pod nosem.

- Pomocy. Niech ktoś wezwie jednostki taktyczne. Dawać mi tu paladyna, ep...

Magnus zwiększył nacisk na jego krtań, by przerwać te zawodzenia. Pchnął ramieniem dźwiękoszczelne drzwi prowadzące do reżyserki, Tetsami w tym czasie nie spuszczała z muszki technika i obu strażników. Dominic cisnął oszołomionego kapłana na podłogę przed konsolą i odezwał się do operatora sprzętu:

- Puść jakąś powtórkę, drugi blok reklamowy, cokolwiek.

W tym momencie mistrz ceremonii odzyskał głos.

- Nie rób tego, Hanson, włącz alarm...

Magnus strzelił mu w brzuch. Kapłan zawył, a stojący obok technik zrobił się na twarzy biały jak kreda.

- Wasz prezenter zapewne wyliże się z tej rany, ale ty rób, co ci każe, bo będziesz wyglądać jak ten tam... kryminalista tygodnia. - Wskazał głową na zwęglone zwłoki, podkreślając wagę wypowiedzianych słów przesunięciem dźwigni mocy na broni. Przysłona na końcu lufy zmniejszyła jej przekrój do ułamków milimetra. Przy takich ustawieniach akumulator wystarczy do oddania zaledwie pięciu strzałów. Z tym że ich efektów lepiej nie oglądać.

Tech zrobił wszystko, o co go poproszono.

Publika zaraz zostanie uraczona godzinnym blokiem zamówionych wcześniej reklam.



Ale ludzie z Kościoła nie będą potrzebowali aż tak wiele czasu, by domyślić się, że coś jest nie tak z ich programem. Dominic miał jednak nadzieję, że do tej pory zdoła się wydostać z budynku.

W czasie nadawania pierwszej reklamy Tetsami zagoniła strażników i techa do bloku więziennego. Dominic zaciągnął za nimi wrzeszczącego wciąż mistrza ceremonii. Cała szóstka, wliczając w to dwóch nieprzytomnych, wylądowała w celi, Magnus nie przejął się takim szczegółem jak wyłączenie pola, po prostu wpychał ich kolejno, patrząc, jak padają bezwładnie na podłogę za otwartymi drzwiami.

- A teraz... - zaczął.

- ...wypieprzajmy stąd jak najszybciej - dokończyła za niego dziewczyna.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### FUZJE

„Wszelkie sojusze bazują na przekonaniu, że obie strony więcej zyskają na dymaniu wszystkich pozostałych niż siebie wzajemnie”.

*Księga mądrości cynika*

„Pieniądz poniżej wszystkich bogów człowieka i zamienia ich w towar”.

Karol Marks (1818-1883)

Za drzwiami supernowoczesnego studia nagrań krył się labirynt starożytnych kamiennych korytarzy.

Hol tonął w półmroku, oświetlały go ukryte w płytkich niszach lampy imitujące blask pochodni. W innych zagłębieniach ścian stały posągi tutejszych bóstw. Jedne wyglądały na żołnierzy, inne były jeszcze straszniejsze.

Tak zapewne wyobrażano tu sobie krzyżowców i inkwizytorów.

Gdy przebiegali przez kolejne pomieszczenia, szukając wyjścia z tych katakumb, Dom minął rzeźbę, która wydała mu się nadzwyczaj odrażająca. Dostrzegł ją kątem oka, ale i to wystarczyło, by jego umysł zarejestrował jej potworność. Posąg przedstawiał dwie zakapturzone postacie opuszczające jakiegoś nieszczęśnika do kadzi. Co kryło się w jej wnętrzu, trudno powiedzieć, niemniej wystarczyło spojrzeć na minę ofiary, by zrozumieć, że było to coś naprawdę paskudnego.

Magnusowi nie spodobały się wspomnienia przywołane tym obrazem.

Zbyt wiele koszmarów mogły obudzić.

- Nie zachowywałaś się tam... - Tetsami musiała przerwać, by złapać oddech - jak zwykły dyr. - Sądząc z tonu, jakim wypowiedziała te słowa, był to komplement. - Mów... jak naprawdę... ludzie się do ciebie... zwracają... Nie mam zamiaru drzeć się... Dominicu Magnus... gdy będziemy musieli... znowu walczyć.

Byli zbiegami walczącymi o życie, a on o mały włos nie kazał się tytułować „panem Magnusem”.

Musiał sobie przypomnieć, że nie jest już szefem GA&A. Był dzisiaj kolejnym rozbitkiem wyrzuconym przez spienione fale życia na kamienistą plażę Godwina.

Ale to nie potrwa długo.

- Mów mi Dom.

Tetsami skinęła głową.

Katakumby zdawały się nie mieć końca. Minęli dziesiątki ciężkich żelaznych wrót. Nie było w nich wizjerów, lecz Magnus wiedział, że siedzą za nimi kandydaci do usmażenia w kolejnych programach. Co kilka sekund przystawał przy kolejnych i szarpał za klamki, sprawdzając, czy są otwarte.

Zatrzymał się na dobre, dopiero gdy jedne ustąpiły pod naporem cybernetycznej ręki, uwalniając pokłady odrażającego odoru zgnilizny i śmierci. Za drzwiami znajdowało się niewielkie kwadratowe pomieszczenie bez okna. Jego ściany pokrywał zielonkawoczarny szlam. Na samym środku podłogi leżał szkielet humanoidalnej istoty. Kilka poczerniałych fragmentów ciała wciąż trzymało się kości.

Oślizgły robał odpełzał od pozeranych zwłok, kryjąc się przed światłem.

Wciąż zdyszana Tetsami jęknęła cicho za plecami Doma.

Kolejne pięć minut gnali przed siebie, nie trafiając na żadne schody ani okna. A im dalej zapędzali się w posiadłości Kościoła, tym większe były szanse, że wpadną w objęcia jego lojalnych sług.

W końcu Magnus zatrzymał Tetsami na jednym z rozwidleń korytarza.

- Powinniśmy ustalić, gdzie jesteśmy, zanim zaczną nas ścigać.

- Kręcimy się w kółko - stwierdziła dziewczyna, dysząc ciężko.

Musieli być gdzieś pod ziemią. Sądząc po kamieniach i prymitywnej architekturze, to miejsce powstało w początkowym okresie kolonizowania Bakunina. Zanim tutejsze miasta zaczęły nabierać konkretnych kształtów.

Te korytarze wybudowano w czasach, gdy Kościół posiadał na własność sporą część terenów, na których stał teraz Godwin. Mogły się ciągnąć pod miastem w nieskończoność.

Ale Dom był przekonany, że katedra znajduje się gdzieś nad ich głowami.

Teraz, gdy zatrzymali się na moment, wokół zapanowała idealna cisza przerywana sporadycznie kapaniem wody.

- Gdzie zatem...

Dominic przyłożył palec do ust i zwiększył czułość systemów audio. Wydawało mu się, że usłyszał czyjś głos.

Oddech Tetsami zadudnił mu w uszach, gdy jeszcze bardziej zwiększył moc receptorów. Spróbował odfiltrować ten dźwięk za pomocą wszczepionego komputera i udało mu się to, choć tylko po części. Wyciszył jej oddech, lecz ilekroć wypuszczała powietrze z płuc, głuchł na kilka sekund.

Zdołał jednak wychwycić coś jeszcze.

Nie znał nawet słowa po łacinie, ale wiedział już, skąd dobiega ten głos.

- Tędy. - Podążył za dźwiękiem.

To była długa droga, pełna ślepych zaułków i konieczności wracania po własnych śladach. Niemniej w końcu dotarli do drewnianych drzwi, za którymi zobaczyli spiralne schody. Z góry dobiegały odgłosy odprawiania późnej mszy. Dominic poszedł przodem, Tetsami trzymała się krok za nim.

Szli w górę, mijając kolejne drewniane drzwi, które mogły prowadzić na wyższe poziomy kamiennego labiryntu, a gdy schody skończyły się wreszcie, stanęli w niszy za ciężkim gotyckim łukiem. Magnus wyjrzał ostrożnie z mrocznej kryjówki, by omieść wzrokiem rozświetlone wnętrze gigantycznej świątyni.

Chwycił Tetsami za rękę i pociągnął ją za sobą w kierunku wyjścia. Biegli wzdłuż narteksu, kryjąc się w cieniu pod wielkim chórem.

Kościół Chrystusa Mściciela próbował kopiować architektoniczne bogactwo ziemskiego średniowiecza. Górzące nad nawą niebotyczne łukowate sklepienie miało sprawić, że modlący się pod nim ludzie poczują własną nicość. Można by zaparkować tutaj heigrę C-545 i z pewnością zostałyby jeszcze sporo wolnej przestrzeni. Wysoko nad ołtarzem, za witrażem, widniał owal Schwitzguebela, największego satelity tej planety.

Dominic miał tylko nadzieję, że nikt ze zgromadzonych w katedrze nie dostrzeże ich panicznej ucieczki.

Ukryte w cieniu przejście doprowadziło ich do nawy głównej. Po lewej, za rzędem żłobkowanych kolumn, znajdowały się ławy pełne wiernych, po prawej tonące w mroku nisze z posągami dziwacznych - niektórzy byli naprawdę odjechani - świętych.

Magnus przyjrzał się uważnie tłumom ludzi klęczących w nawie głównej. W ławach

wśród biorących udział w nabożeństwie zauważył tylko kilka niehumanoidalnych postaci - aczkolwiek nie było wśród nich ani jednego prawdziwego Obcego. Ale najbardziej martwiło go, że co mniej więcej dziesięć metrów mijają opancerzone plecy paladynów. Zbrojne ramię Kościoła pilnowało owieczek. A to mogło w każdej chwili ulec zmianie.

Zatrzymali się na moment obok głównego wejścia, na wprost ołtarza. Masywnych wrót strzegli dwaj paladyni zwrócenii twarzami w stronę nawy.

- Cholera.

Tetsami pokręciła głową.

- Mają wystarczająco wiele roboty z utrzymywaniem wiernych w karbach...

- Zmywajmy się stąd, zanim ktoś nas zauważy.

Zniknęli w cieniu najbliższej niszy w prawej ścianie kruchty. Znaleźli w niej kolejne spiralne schody, tyle że wiodące w górę. Weszli nimi na balkon, z którego mieli doskonały widok na modlących się i wszystkich paladynów.

Domowi skończyły się pomysły.

- Wiesz, o co w tym wszystkim biega? - zapytał.

- Oglądałam ich transmisje kilka razy - odparła, wzruszając ramionami, i wróciła do prób uspokojenia oddechu.

- Czy oni nie sprawiają wrażenia, jakby pilnowali wiernych?

Dziewczyna skinęła głową.

- Zdaje się, że bardzo poważnie podchodzą tutaj do tacy.

Gdyby paladyni mieli strzec tego tłumu przed zagrożeniami zewnętrznymi, nie obserwowaliby z taką uwagą zgromadzonych w ławach. Dominic cofnął się od balustrady.

- Jeśli będziemy mieli szczęście, strażnicy znikną stąd zaraz po wyjściu wiernych. Musimy tylko poczekać.

Zrobili, jak powiedział.

Przysiedli na ławce wykutej w kamiennej ścianie. Tetsami obserwowała jeden koniec nawy, Dom drugi. Paladyni nie ruszyli się z miejsc.

Chwilę później hakerka zagaiła rozmowę.

- Jesteś rdzennym mieszkańcem Bakunina?

- Wydawało mi się, że tego pytania tutaj nie należy zadawać.

Usłyszał jej chichot.

- Mylisz się. Nie zadajemy tutaj tylko jednego pytania: dlaczego tyłu cholernych Obcych pcha się na naszą planetę?

- Nie, nie urodziłem się na Bakuninie.

Znów zapadła cisza. Tym razem na nieco dłuższą chwilę. Potem odezwał się Magnus:

- Dlaczego o to pytasz?

- Czasami wydaje mi się, że ta planeta ma monopol na religijnych popaprańców. - On nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym aspektem sprawy. - Czy gdzie indziej jest tak samo?

- Trudno powiedzieć. A tak na marginesie, czy tej planety nie zasiedlali przypadkiem socjalistyczni ateści?

Tetsami zachichotała po raz kolejny i wskazała ręką na nawę.

- Ojcowie założyciele porzygaliby się po komunistycznemu jak jeden mąż, gdyby zobaczyli ten widoczek.

- Tyle dobrze, że to nie jest oficjalna państwowa religia.

- Ale stanie się nią pięć minut po tym, jak ktoś wpadnie na pomysł, żeby powołać rząd.

- Nie dożyjemy tej chwili.

Ksiądz pitolił bez końca. Zaczynali powoli rozumieć, po co te stráže. Dominic dopiero po dłuższej chwili obserwacji zauważył, że wielu modlących się w dole ma na nadgarstkach i kostkach elektroniczne obroże. Przymuszono ich do uczestnictwa w tym nabożeństwie. Większość „wiernych” była więźniami Kościoła.

- Nie pogniewasz się, jeśli zapytam, dlaczego ktoś postanowił usunąć cię poza nawias? - zapytała Tetsami po kolejnej długiej przerwie.

- To znaczy?

- Masz na sobie garnitur wart kilogram. Chłopcy w sukienkach otworzyli na twoje konto stukilowy rachunek. Wyglądasz jak rasowy dyr, ale bijesz się jak brunet mieszkający na terytorium Nowego Frontu Aryjskiego i cuchniesz, jak nie przymierzając mózgojeb ze Wschodniego Godwina...

- Zapomniałaś o cybernetycznej ręce.

- Owszem, skąd zatem jesteś?

Dominic zacisnął zęby. Też sztuczne, gładziutkie i idealnie spasowane. Nie odczuwał żadnej przyjemności ze zgrzytania nimi.

- Przed chwilą sama twierdziłaś, że o to się tutaj nie pyta.

- Pieprz się, Dom. Cierpię na nienasyconą ciekawość. Ale nie mam zamiaru się narzucać.

Znów zapadła niezręczna cisza.

- Moja firma - poddał się po chwili - Godwin Arms & Armaments, została

zaatakowana... Odebrano mi ją. W czasie ucieczki rozwaliłem autolot we Wschodnim Godwinie.

„O kuźwa!...” Zatchnęło ją na chwilę.

- O co chodzi? - Dominic spojrział na nią i zobaczył, że blada przed chwilą twarz dziewczyny robi się momentalnie kredowobiała.

- Kuźwa, kuźwa, kuźwa! - Tetsami potrząsała mocno głową.

- O co ci chodzi, u licha? - powtórzył dobitniej.

Zaczerpnęła głośno tchu.

- Największy kontrakt, jaki w życiu zawarłam, skończył się totalną klapą podczas finalizowania transakcji. Moi zleceniodawcy zostali zaatakowani przez oddział paladynów... - Pokręciła głową raz jeszcze, jakby nie potrafiła uwierzyć, że to mówi. - Człowieku, pracowałam na zlecenie GA&A.

- Chwileczkę...

- Nie, nie wierzę w takie zbiegi okoliczności. Ci paladyni pojawili się znikąd. Ciebie też przyszpilili...

Nerwowość dziewczyny zaczęła mu się udzielać.

- Powoli. Daj mi pomyśleć.

- Pomyśleć? Ktoś wystawił kontrakt na nasze głowy.

- To mi się nie podoba.

- Co ci się znowu nie podoba? - Tetsami ukryła twarz w dłoniach.

- Przejęcie GA&A w taki sposób to jedno - kontynuował Dom - ale ściganie moich współpracowników to zupełnie inna sprawa.

Hakerka go nie słuchała.

- To było zwykłe zlecenie, rozumiesz? Tak to w każdym razie wyglądało. A szpiegostwo przemysłowe to kawałek ryzykownego chle...

Dominic skupił myśli na inwazji i sprzeczcie, jaki Konfederacja zgromadziła, by walczyć z GA&A.

- Wątpię, aby ci paladyni mieli cokolwiek wspólnego z robotą, którą dla nas wykonywałaś. Chodziło raczej o to, dla kogo pracowałaś.

Magnus usłyszał, że msza dobiega końca. Wstał, by odprowadzić wzrokiem kolumny przymusowych wiernych opuszczające świątynię pod eskortą paladynów. Dwie trzecie uczestników nabożeństwa - tych noszących elektroniczne kajdany - odprowadzono do bocznych naw, skąd mieli wrócić do katakumb, z których Dom i Tetsami przed chwilą uciekli. Reszta opuszczała katedrę głównym wyjściem.

Hakerka spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie chcę tego słyszeć.

- To chyba wyjaśnia, dlaczego potraktowano nas inaczej niż pozostałych.

- O czym mówisz?

- Trzeba chwilę odsiedzieć, zanim trafi się na scenę. Oni mają tutaj z pięciuset starych więźniów, ale my trafiliśmy na antenę już pierwszego dnia po złapaniu. Nie założyli nam nawet elektronicznych kajdan. Chcieli nas mieć w dzisiejszym przedstawieniu.

Pomiędzy nimi zapadła niemal namacalna cisza. Tetsami nadal patrzyła mu prosto w oczy. Poczuł, że tik na twarzy znów się uaktywnia, więc szybko odwrócił głowę.

- Na tym polega kontrakt - stwierdziła.

- Zdaje się, że ktoś wyznaczył nagrodę za każdego pracownika GA&A.

- Nie. To gównu nie może mnie dotyczyć. Jestem wolnym strzelcem...

- Listę ludzi do odstrzału stworzono na podstawie wyciągów z naszego konta. Jeśli kiedykolwiek wykonałaś robotę dla mojej firmy, musiałaś na niej być.

Znowu zapadła cisza, a gdy Tetsami odezwała się po raz kolejny, jej głos brzmiał równie dziecięco, jak wyglądała.

- Nie strasz mnie, do cholery.

Sam się wystraszył. Przygotował sobie ukrytą komunę na taką właśnie okazję. Nigdy jednak nie przypuszczał, że jego pracownicy także staną się celem represji.

Co najwyżej dyrowie z samej góry. Kilka konkurencyjnych korporacji z pewnością chciałoby ich skrócić o głowę, ale ściganie zwykłych pracowników nie miało żadnego sensu. Nawet gdyby pozostali wierni poprzedniemu zarządowi...

Magnus uznał, że nie pojedzie do ukrytej komuny, dopóki nie dowie się, o co w tym wszystkim chodzi.

A to oznaczało, że musi pobyć tu nieco dłużej.

„Cholera”.

Nie spuszczał z oka nawy głównej. Ostatni paladyn wycofał się do podziemi - wewnątrz świątyni było wolne od dowodów na istnienie zbrojnej ręki Kościoła. Grupa wiernych, którzy pozostali przed ołtarzem, miała pełną swobodę ruchu.

„Cholerne dranie”.

- Ale dlaczego? - zapytała Tetsami bardzo cienkim głosem.

- Gdybym to wiedział, czułbym się o wiele lepiej.

Za ich plecami rozbrzmiało echo czyichś kroków. Dominic odwrócił się i dostrzegł paladyna niespełna dziesięć metrów od miejsca, w którym stali. Zakuty w pancerz wojownik

zdębiał na ich widok. Zaraz jednak zaczął wrzeszczeć do komunikatora, wyciągając broń.

Jeszcze pięć minut i udałoby im się opuścić to miejsce bez najmniejszych problemów.

Tetsami strzeliła. Miała oko. Wymierzyła w sam środek osłony hełmu, ale broń ręczna była zbyt słaba, by pokonać produkowane na potrzeby wojska pole ochronne. Na szczęście jej strzał dał im kilka sekund na ucieczkę. Owiewka hełmu paladyna poczerniała natychmiast, ograniczając mu pole widzenia.

Dominic przyciągnął Tetsami do siebie.

- Chwyć się mnie mocno - zawołał.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz?

Podniósł ją, przekroczył balustradę i skoczył.

Przebłysk pamięci: przelatuje tyłem przez metalową poręcz i zaczyna się zapadać w bezdenną otchłań szlamu...

Nie lubił robić takich rzeczy, mimo że od posadzki dzieliło go niespełna dziesięć metrów. Istniało bowiem spore ryzyko, że wyląduje na naturalnej nodze. Nieliczni wierni będący jeszcze w nawie spoglądali teraz w jego kierunku, robiąc wielkie oczy ze strachu. Ci, którzy stali pod nim, wiali gdzie pieprz rośnie.

Lewą stopą, sztuczną, wylądował na siedzeniu ławki z takim impetem, że poczuł drzenie w całym ciele. Któryś z obwodów nie wytrzymał tak wielkiego przeciążenia i Magnus stracił na kilka sekund czucie w całym boku.

To jednak nie był koniec. Ława załamała się pod ich wspólnym ciężarem i moment później prawą stopą uderzył w kamienną posadzkę świątyni. Poczul falę przeraźliwego bólu, która przetoczyła się przez prawy bok jak tsunami. Noga ugięła się pod nim. Na szczęście dziewczyna zareagowała prawidłowo, gdy ją puścił. Przyjął na siebie sporą część impetu, więc odtoczyła się tylko i zaraz stanęła na nogi.

Przeciążony obwód znów zaczął działać, dzięki czemu Dom zdołał się wyprostować. Tetsami strzeliła po raz drugi. Paladyn stojący na balkonie nadal był na wpół oślepiiony, ale wzmocniony słuch Doma wychwytywał już chrzęst poruszających się szybko pancerzy.

- Nadchodzą posiłki.

Dziewczyna spojrzała na niego i zauważyła, że utyka.

- Możesz chodzić?

- Pytasz, czy dam radę biec?

Ruszył w kierunku głównego wyjścia. Tetsami dogoniła go po kilku krokach i ujęła pod prawe ramię. Biegła, ciągnąc go za sobą. To był dobry pomysł. Magnus odnosił wrażenie, że kostkę ma skręconą, jeśli nie złamaną.



Droga do wyjścia zajęła im wieczność, lecz dotarli do wrót, zanim do nawy wkroczyli kolejni paladyni. Wypadli na schody katedry. Zbiegając po nich, Dom poczuł radość, że nie ma wokół siebie morza ruin Wschodniego Godwina...

Nie wiedział jednak, w której dzielnicy miasta znajdują się teraz. Zaczynał żałować, że tak wiele czasu spędzał w swoim gabinecie na terenie kompleksu GA&A. Pozwolił, by Tetsami go prowadziła. Ona chyba знаła tę okolicę.

Przebiegli niespełna trzydzieści metrów w dół ulicy, gdy nagle poczuł szarpnięcie i dziewczyna skręciła w brukowany zaułek, zbyt wąski, by dało się w niego wjechać połową pojazdów przemierzających Godwin. Minęli dwoje wąskich drzwi, a potem wepchnęła go w trzecie. Nie było w nim drzwi, tylko schody prowadzące w dół. Znalazłszy się w kompletnych ciemnościach, Dom przestroił optykę organu wzroku i wkrótce uzyskał w miarę wyraźny podczerwony obraz klatki schodowej. Jego zdaniem można nią było zejść na głębokość odpowiadającą pięciu piętróm.

- Gdzie mnie prowadzisz?

- Do podziemi Godwina... - mruknęła hakerka, a gdy dotarli na sam dół, dodała jeszcze: - Pięć lat temu jakaś ekipa chciała stworzyć linię podziemnej kolejki pasażerskiej z Godwina do Proudhonu. Z nieznanym mi przyczyn splajtowali trzy miesiące przed zakończeniem budowy. Teraz to wszystko jest własnością jakiegoś banku.

Przeszli krótkim korytarzem i wydostali się na opustoszały peron. Tetsami nie mogła widzieć w ciemnościach, ale poruszała się wciąż pewnie, jakby doskonale znała to miejsce. Obmacała ścianę i znalazła panel kontrolny.

Mniej więcej połowa paneli świetlnych zaczęła się jarzyć.

Dominic natychmiast wyłączył wspomaganie wzroku i zobaczył, że stoi tuż obok toru szybkobieżnej kolejki elektromagnetycznej. Na chromowanej tablicy zauważył napis: „Stacja Wilson”. Nadal nie miał pojęcia, w której części miasta się znajduje

- Zbiry Kościoła będą nas szukać, ale jeśli wejdziemy na jakieś sto metrów w głąb tunelu, tam gdzie nie rozkradziono jeszcze magnesów...Magnus wiedział, o czym mówi. Znał systemy sensorów noszonych przez paladynów. Jeśli usiądą obok jednego z tych magnesów, mając nad sobą dwudziestometrową warstwę betonu i ziemi, żadna elektronika nie będzie w stanie ich wykryć. Szukającym pozostanie więc wyłącznie wzrok i słuch.

- Dobra. Wyłącz to oświetlenie. Ja go nie potrzebuję, a w głębi tunelu i tak na niewiele nam się zda. - Zrobiła, co kazał, i wyciągnęła rękę w jego kierunku. Ujął jej dłoń i pokuszył się wzdłuż toru kolejki. - Skąd wiedziałas o tym miejscu?

- Podobne stacje są rozsiane po całym Godwinie.

Zgodnie z jej zapowiedzią niecałe sto metrów dalej Dom zauważył masywne cielska elektromagnesów zatopionych w betonie podłoża i sklepienia. Nawet bez zasilania wciąż jeszcze zachowały tyle szczątkowego magnetyzmu, że zakłócały pracę jego wzroku.

Przysiedli obok siebie.

- Co zrobimy, jak już się im wywinimy?

Co zrobią, gdy to wszystko się skończy?

Co im pozostanie?

Dominic otworzył bazę danych i zaczął przeglądać w pamięci listę aktywów, jakie posiadał poza terenem kompleksu GA&A.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

### **OSZUSTWO UBEZPIECZENIOWE**

„Ludzie zawsze wybiorą interes,  
na którym sami będą mogli zarobić,  
odrzucając równie dobre propozycje  
przynoszące korzyści obu stronom”.

*Księga mądrości cynika*

„Każdy człowiek ma mniej pieniędzy,  
niż uważa, że powinien posiadać”.

Benjamin Disraeli (1804-1881)

Tetsami usiadła naprzeciw Doma. Nie wiedziała, czemu trafili do poczekalni w siedzibie Towarzystwa Ubezpieczeniowego Reynolds. Powinni się zaszyść, i to na dłużej, najlepiej w jakiejś mysiej dziurze. Mimo zapewnień Magnusa była pewna, że już nigdy nie zobaczy swoich oszczędności złożonych w KUKiAS-ie.

Miała wiele podobnych zastrzeżeń, ale instynkt podpowiadał jej, żeby trzymała się tego faceta - ten sam instynkt, który pozwolił jej przetrwać w zawodzie hakera pięć lat dłużej, niż komukolwiek innemu.

Dominic był typem człowieka, który potrafi sobie radzić w najtrudniejszej sytuacji. Co więcej, za fasadą jego obojętności kryło się coś jeszcze. Potężna moc, którą zręcznie ukrywał przed światem. Dlatego Tetsami miała wrażenie, że jeśli kiedyś się rozdziela, ona pierwsza pójdzie na odstrzał.

Z tego też powodu czuła ogromną potrzebę znalezienia bezpiecznej kryjówki gdzieś

na końcu świata; miejsca, w którym mogliby przeczekać najgorsze. On tym czasem - mimo że od opuszczenia katedry nie minęło jeszcze osiem godzin - zaciągnął ją do korporacji ubezpieczeniowej i siedział teraz obok, przerzucając kanały holo, jakby nic wielkiego się nie stało.

Ten facet nie okazywał żadnych uczuć. Jediną reakcją, jaką zauważyła podczas ucieczki, było nieznaczne poruszenie kącika ust. Nie była to wszakże mina, która mogła podtrzymać ją na duchu.

Gdy drzwi prowadzące do biur rozsunęły się po raz kolejny, Tetsami poczuła ogromną ochotę, by wyciągnąć laser i wypalić do stojącego za progiem sekretarza. Była już zbyt zmęczona. Chciało jej się spać. Dominic jakimś cudem potrafił obejść się bez snu.

Sekretarz był drobnym blondynem, którego sylwetka wyglądała tak idealnie, jakby wydał fortunę na operacje plastyczne. Rozmawiał tylko z Domem, kompletnie ignorując towarzyszącą mu dziewczynę.

- Pan Brodie zaprasza do siebie.

Magnus wyłączył holo - zanim przestrzenny obraz zniknął na dobre, Tetsami zauważyła, że przeglądał statystyki giełdowe. Wstał potem, przyglądził dłońmi przód brudnego garnituru, choć niewiele to dało. Bez względu na jakość materiału Dominic bardziej przypominał w nim uchodźcę z zaatakowanego kolektywu niż rasowego dyra.

Podszedł do drzwi, lecz nie przekroczył progu, gdyż zauważył, że hakerka nie idzie za nim.

- Rusz się. Ta sprawa dotyczy także ciebie.

Wzruszyła ramionami, ale wstała z fotela. Sekretarz nie zareagował na jej ruch w żaden widoczny sposób. Zaprowadził oboje w głąb obitego draperiami korytarza ozdobionego elementami z importowanego drewna, kryształami oraz pochodzącymi z innych planet dziełami sztuki - głównie wodnymi rzeźbami Paralian. Transport tych ostatnich kosztował o wiele więcej niż one same. Większość misternych pajęczyn składających się z drobnych koralików trzeba było przewozić w stabilizowanych cylindrach ciśnieniowych.

„Po co ja tu przylazłam?” Tetsami robiła się nerwowa, gdy miała pod nosem tak wielkie pieniądze, nawet jeśli nie należały do niej. Ciekawe, ile jest warta polisa na utratę korporacji? Jej paranoja ponownie dawała o sobie znać. Dłonie zaczynały się pocić. Była tak blisko otrzymania zapłaty!...

Czuła jednak, że wystarczy chwila nieuwagi, by ten cyrk znów zaczął się kręcić.

Stanąwszy przed gigantycznymi drzwiami, blondynek zaprosił ich do gabinetu. Musieli otworzyć je ręcznie, co wydało im się nieco irytujące. Dominic wszedł pierwszy,

pchnąwszy masywne skrzydło z rozmachem. Idąca krok za nim Tetsami musiała powstrzymać je ręką, żeby nie zmiażdżyło jej po odbiciu się od ściany. Sekretarz został na korytarzu.

Gabinet Brodiego ociekał przepychem. Ani jeden z kawałków drewna, którym go wyłożono, nie pochodził z Bakunina. Ozdoby wykonano głównie z purpurowego bardzo gładkiego materiału importowanego z tropikalnych lasów Kanaki. Dzięki niemu w pomieszczeniu unosił się ulotny zapach liści laurowych i lekko przejrzałej mięty.

Brodie siedział za masywnym biurkiem w kształcie litery U, którego blat wykonano z czerwono-zielonego żyłkowanego marmuru. Oświetlenie gabinetu zapewniały najbardziej wystawne lampy, jakie Tetsami widziała w swoim krótkim życiu.

W ścianie za biurkiem znajdowała się szyba, wysoka na cztery metry i szeroka na dziesięć. Za nią stał gigantyczny posąg z paraliańskiego koralowca. W otaczającej go wodzie roilo się od niewielkich form życia pochodzących, zdaniem Tetsami, z tej samej planety. Samo utrzymanie tego cudu musiało kosztować fortunę...

Brodie natomiast zupełnie nie pasował do tak luksusowego wnętrza. Wyglądaj jak zwykły oprych. Gdy Tetsami ujrzała jego wychudłą głowę, bez trudu wyobraziła go sobie w roli bandziora zamieszkującego przedmieścia Wschodniego Godwina. Przypominał jej z wyglądu spotykanych tam dilerów organów, narkotyków oraz wszystkiego, na czym można dobrze zarobić.

Choć z drugiej strony czy firma ubezpieczeniowa nie była formą okradania ludzi, tylko na znacznie większą skalę?

Brodie wskazał im dwa wyściełane fotele stojące nieprzyjemnie daleko od jego biurka. Gdy zajęli miejsca, pochylił się w kierunku Doma.

- Numer konta?

Magnus wyrecytował dwudziestocyfrowy ciąg.

- Sprawdzenie próbki głosu - dodał Brodie, spoglądając na ekran niewidoczny z miejsca, w którym siedziała Tetsami. W tym momencie hakerka zdała sobie sprawę, że jej towarzysz jest dla ubezpieczeniowca kolejnym ciągiem cyfr.

Ten facet nie tylko wyglądał, ale i mówił jak oprych. Miał silny akcent ze Wschodniego Godwina i wcale się z tym nie krył.

- Przejrzałem pańskie polisy i wniosek. - Nad blatem pojawiło się maleńkie holo. Zobaczyli na nim obraz zarejestrowany przez kamerę szpiegowską skierowaną na Góry Diderota. Widoczne w tle budowle musiały należeć do kompleksu GA&A. Brodie odchylił się w fotelu i założył ręce za głowę. - Wiemy już, że mówi pan prawdę. Godwin Arms &

Armaments rzeczywiście zaatakowały i zajęły wrogie panu siły. Nasze próby skontaktowania się z nowymi zarządcami spelzły na niczym. - Gdy to mówił, Tetsami zobaczyła okręt wlatujący w pole widzenia kamery. Wokół budynków pojawiły się rozbłyski eksplozji. Brodie nacisnął jakiś klawisz i obraz zamarł. - Mimo to dowiedzieliśmy się, że kompleks GA&A został zaatakowany przez paraliański transportowiec należący do sił Konfederacji. To Krwawy Przyływ. - Wskazał jednostkę wiszącą tuż za kręgiem eksplozji.

Hakerka spojrzała ze zdziwieniem na Doma. „Nie mówiłeś nic o Konfederacji”  
Dlaczego Konfederacja miałyby przejmować GA&A?

Na ustach Brodiego pojawił się szeroki uśmiech.

- A to niestety oznacza, że nie możemy wypłacić odszkodowania.

- Słucham?!

Tetsami stężała, jej dłoń bezwiednie przesunęła się w stronę lasera. Dominic właśnie zrywał się z fotela.

Brodie nawet nie drgnął, nadal był mocno odchylony do tyłu. Zdaniem dziewczyny w powietrzu dało się wyczuć aurę zagrożenia, a nawet przemocy. Zaczęła więc sporządzać listę możliwych dróg odwrotu.

Brodie albo nie miał tak wyczulonych zmysłów, albo nie traktował ich serio.

- Proszę się uspokoić - rzucił, naciskając jakiś ukryty klawisz. Na ścianie z kankańskiego drewna pojawił się natychmiast opalizujący niebiesko napis. - Pracuję w dziale likwidacji szkód od dziesięciu lat, ale rzadko miałem do czynienia z tak oczywistymi podstawami do odmowy. Zapomniał pan rozszerzyć swoją polisę o przejęcie firmy przez wojsko. Ma pan w niej konkurentów i inne organizacje z Bakunina. Nie widzę jednak słowa o armii Konfederacji.

Dominic opadł ciężko na fotel.

- To kwestia semantyki. Na czym polega różnica pomiędzy wrogim przejęciem przez inną korporację a przez Konfederatów?

- Jedno ma pan wpisane do polisy, drugiego nie. - Brodie wyglądał, jakby ta rozmowa sprawiała mu ogromną satysfakcję. - Jest pan biznesmenem, wie pan zatem doskonale, że semantyka jest kluczem do tej gry. To tylko kontrakt. Nikt nie musi za niego ginąć.

- Mógłbym zadzwonić do LCI i wymusić realizację wypłaty.

Brodie się roześmiał.

- Widzi pan, kiedy ktoś z Lucyfer Contracts poświadcza zawieraną umowę, to trzyma się wyłącznie litery prawa. A jak już wspominałem, rzadko miałem do czynienia z tak czytelnym powodem odmowy jak w pańskim przypadku.

Tetsami zauważyła, że kącik ust Doma znów zaczyna drgać. Uniósł nawet rękę, jakby chciał to ukryć.

- Rozumiem.

- Przykro mi, ale nie mogę być bardziej pomocny.

Brodie nie wyglądał na zmartwionego.

- W takim razie - Dom skinął powoli głową - proszę o zwrot pieniędzy za pozostały okres trwania polisy.

Ubezpieczeniowiec spoważniał w jednej chwili.

- Raczy pan żartować.

Magnus przemówił do niego tak beznamiętnym tonem, że równie dobrze mógł pochodzić z syntezy bezdusznej maszyny. Nawet Tetsami poczuła ciarki na plecach, słysząc te słowa.

- Proszę uważnie przeczytać kontrakt. Mogę zrezygnować z polisy i wycofać pozostałą gotówkę do ostatniego dnia jej obowiązywania...

Na samą myśl, że dojdzie do wypłaty, Brodie zrobił się nagle malutki.

- To bardzo nietypowe żądanie.

- Cała ta sytuacja jest nietypowa. Ale jak pan słusznie zauważył, chłopcy Lucyfera zawsze trzymają się litery prawa. Mam ich poprosić o pośrednictwo w negocjacjach?

Brodie uniósł ręce w obronnym geście i potrząsnął głową.

- Nie musimy ich do tego mieszać. Rozumie pan jednak, że zerwanie umowy przed terminem wiąże się z karami umownymi...

Dominic zachował lodowaty ton wypowiedzi.

- Oczywiście.

Brodie zaczął coś pisać na niewidocznej dla nich klawiaturze. Tekst wyświetlany na ścianie ulegał drobnym zmianom, co ubezpieczyciel za każdym razem kwitował zdawkowym skinieniem głowy.

- Spieniężenie polisy da panu pięćset osiemdziesiąt siedem, przecinek dziewięćdziesiąt dwa kilograma, oczywiście już po potrąceniu kary umownej.

Tetsami opadła szczeka. Ponad pół tony, a Dom wygląda na zawiedzionego? Ile tego by było, gdyby wypłacono mu pełne odszkodowanie?

Brodie spojrzał na Magnusa.

- Jak pan chce je wypłacić?

- Obojętne. Byle transfer był natychmiastowy.

Ubezpieczyciel zgarbił się i znów zaczął stukać w klawiaturę. Zajęło mu to niemal

dziesięć minut.

- Okay, mamy zatem sto siedemdziesiąt pięć kilo w gotówce z Kasy Ubezpieczeniowej Kolektywu imienia Adama Smitha. Pięćdziesiąt kilo w akcjach Proudhon Spaceport Development Corporation. Sześćdziesiąt kilogramów w kredycie pozaplanetarnym Centralnego Banku Konfederacji. Dwieście jednaście kilo w akcjach Griffith Energy. Dwadzieścia siedem kilo w naszej walucie. I pięćdziesiąt kilo w innych lokalnych środkach płatniczych, na których wymianie nie powinien pan stracić więcej niż trzy procent.

Dominic skinął głową.

- Zgadzam się na wszystko oprócz kredytu pozaplanetarnego.

- Mówimy tu oczywiście o koncie numerycznym.

- To nie ma żadnego znaczenia. Nie chcę niczego prócz żywej gotówki, a już zwłaszcza spoza tej planety. - Brodie pokręcił głową i wrócił do pisania. Tetsami wciąż nie mogła uwierzyć w wysokość wymienianych przez niego kwot. Sto siedemdziesiąt pięć kilo w KUKiAS? Dwieście jednaście z Girolamo? Tu nie tylko chodziło o wysokość kwot, ale też o źródła ich pochodzenia. Złoto tych instytucji było warte niemal trzydzieści procent więcej niż jego uliczny przelicznik, głównie ze względu na ogromną stabilność i rzetelność wspomnianych banków. Nie mogła uwierzyć, że w obiegu jest aż dwieście kilogramów waluty sygnowanej przez kogoś takiego jak Girolamo.

Brodie westchnął.

- Musimy sięgnąć do naszych płynnych aktywów. Mamy portfel spekulacyjny w pozaplanetarnej gotówce wart około czterdziestu pięciu kilogramów. Ale gwarancja utrzymania wysokości tej sumy w ciągu następnych trzech dni wynosi zaledwie pięć procent...

- Jakoś to zniosę.

- Posiadamy też piętnaście kilo w akcjach Bleek Munitions. Czy zgodzi się pan je przyjąć? - Dom skinął głową. - Świetnie, w takim razie zaczynam transferować te sumy na pańskie konto.

\*\*\*

Opuścili biuro Brodiego z ręcznym komunikatorem, na który ubezpieczalnia przelała w sumie prawie sześćset kilo. Tetsami odezwała się do Doma, dopiero gdy wsiedli do elektromagnetycznej windy za poczekalnią.

- Możesz mi zapłacić?

Dostrzegła kolejne drgnięcie kącika ust Doma.

- Gdy obiecywałem cię spłacić, myślałem, że otrzymam pełne odszkodowanie... -

Dziewczyna jęknęła. Tego się właśnie obawiała. Dominic natychmiast pokręcił głową. - To nie tak. Zapłacę ci. Ale mam też zobowiązania wobec swoich byłych pracowników. I zamierzam je uregulować.

Tetsami spojrzała na dyra. Nie dostrzegła nawet śladu sarkazmu. Mówił poważnie.

- Ilu ich masz?

- Muszę...

- Półtora tysiąca?

- Mniej więcej.

- Jakim cudem chcesz... Możesz mi powiedzieć, co zamierzasz zrobić?

Dominic westchnął.

- Jeszcze nie wiem. Miałem nadzieję na odzyskanie takiego kapitału, który pozwoliłby na otwarcie kolejnego interesu, ale już w innym miejscu. Niestety, forszy z likwidacji polisy wystarczy co najwyżej na zakup porządnego wyposażenia osobistego.

Winda zatrzymała się z cichym świstem, jej drzwi natychmiast stanęły otworem. Tetsami zlustrowała wzrokiem hol biurowca. Nie dostrzegła żadnych, nawet potencjalnych źródeł zagrożenia. Nie znajdowali się jednak na jej terytorium, tylko w samym centrum śródmieścia Godwina. Dyr w potarganym brudnym garniturze w każdej chwili mógł stać się obiektem niespodziewanego ataku.

„Daj spokój”, napomniała się w myślach.

- Planujesz start od zera?

Magnus poprowadził ją prosto do wyjścia.

- Raz już tak zrobiłem - odparł, jak zwykle bez śladu emocji w głosie. - Drugi też mogę.

Drzwi rozsunęły się, wypuszczając ich na Zachodnią Vanzetti. O tej porze dnia nie sposób było przejść na drugą stronę. Pojazdy przemykały po asfalcie nieustannie z ogromną prędkością.

Dominic wydawał się nieco zagubiony. Chyba nie wiedział, jak poruszać się po mieście.

Tetsami klepnęła go w ramię.

- Pożycz mi na moment komunikator. - W jego oczach pojawił się cień podejrzeń, mimo że nie znała kodów dostępu do forszy, ale po chwili wahania podał jej urządzenie.

Hakerka podeszła do krawężnika na tyle, na ile pozwalała jej odwaga, i wyciągnęła rękę w stronę przejeżdżających wozów, pokazując kierowcom, co trzyma w dłoni.

Niespełna trzy sekundy później antygravitacyjny leggett luxury wykonał ryzykowny



skręt i zawisł tuż przed nią, dosłownie centymetry nad mknącymi pojazdami Kierowca musiał kilkakrotnie korygować wysokość, by uniknąć zderzenia. Potem taksówka opadła powoli na chodnik, rozsuwając drzwiczki przedziału pasażerskiego przed Domem i dziewczyną.

- Dokąd chcesz jechać? - zapytała, oddając Magnusowi komunikator.

- Gdziekolwiek.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### INWESTYCJA O PODWYŻSZONYM RYZYKU

„Pieniądz można stworzyć albo zniszczyć.  
Zdobyć go można jednak tylko od innych ludzi”.

*Księga mądrości cynika*

„Pieniądze często kosztują zbyt wiele”.

Ralph Waldo Emerson (1803-1882)

Autolot bardziej przypominał limuzynę niż taksówkę. Jego kabinę obito skórami i wykończono elementami w naturalnej kolorystyce. Było jasne, że trafili na niezależnego przedsiębiorcę, który wykonuje zlecenia dla central korporacji mieszczących się w śródmieściu Godwina. Dominic i dziewczyna wsiedli pospiesznie, zanim kierowca zdążył się przyjrzeć poszarpanemu garniturowi i zmienić zdanie.

Mimo to ich gospodarz nie był nastrojony zbyt optymistycznie.

- Pokażcie kasę, ludziska.

„No nie, kolejny wymuskany blondynek”. Tetsami zaczęła się zastanawiać, czy to nie jest przypadkiem zaraźliwe. Dominic, nic nie mówiąc, wpisał kwotę przelewu, a kierowca sprawdził stan licznika, po czym skinął głową. Nie wyglądał na zaskoczonego.

- Dokąd jedziemy?

Magnus spojrzał na Tetsami.

- Proszę pokrzążyć chwilę po mieście. I niech pan zaciemni przegrodę.

Hakerka wychwyciła znaczące spojrzenie, gdy taksówkarz pochylał się, by zmatowić ściankę oddzielającą jego kabinę od części dla pasażerów. Tyle ostatnio się działo, że dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, co naprawdę myślał ten facet.

.Akurat - pomyślała. Dominic był całkiem przystojny. - No dobra, bądź szczerą niezłą z niego ciacho. Zwłaszcza na tle tych śmieci, z którymi zadawałaś się do tej pory. Problem w tym, że niektóre komputery okazują więcej uczuć niż on”.

Usiłowała wyobrazić go sobie podczas orgazmu albo tylko podnieconego, lecz nie dała rady. Potem próbowała odgadnąć, jakie myśli krążą mu po głowie. Zdawała sobie sprawę, że są o wiele ciekawsze niż to, co widać na zewnątrz. Wychwyciła nawet cień...

Drań nie wspomniał nawet słowem o tym, że za atakiem na GA&A stoi Konfederacja. A z tego, co Tetsami już wiedziała, wynikało niezbicie, że mają do czynienia z najpoważniejszą operacją wojskową, jaką siły rządowe przeprowadziły poza granicami swojej sfery wpływów.

Ogrom ryzyka - było przecież jasne, że przejęta korporacja stanie się w najbliższym czasie celem ataków ze strony co najmniej tuzina organizacji paramilitarnych, które bardzo, ale to bardzo nienawidzą Konfederatów - oraz nie mniejsze koszty operacji sugerowały, iż Dom znajdował się na czele listy wrogów kogoś naprawdę potężnego.

Uwierzyła mu jednak. Chyba za sprawą śmiertelnie poważnej miny, jaką miał, gdy obiecywał, że zwróci te pięćdziesiąt kilo, które GA&A było jej winne.

Tylko kiedy?

- Ile musisz mieć na rozkręcenie nowego interesu?

Dominic potrzebował kilku minut na udzielenie odpowiedzi. W tym czasie gapił się przez okno na przemykającą szybko panoramę centrum Godwina.

- GA&A było warte jakieś tysiąc ton. Ale tym razem nie będę potrzebował aż tyle. Nie zamierzam odbudowywać wszystkiego od podstaw. Z dwustoma tonami mógłbym pomyśleć o przyjaznym przejęciu już istniejącej firmy. Może wystarczy mi nieco mniej...

- Dwieście ton?!

Pokiwał głową.

Ile miał przy sobie? Trzy procent tej sumy?

Do Tetsami dotarło, że nigdy nie odzyska swoich pieniędzy. Nigdy nie ucieknie z tej cholernej planety. „Ciekawe co on zamierza teraz zrobić? - zastanawiała się. - Chce obrabować jakiś bank?” Tak, tylko kto da mu pewność, że waluta instytucji, którą okradnie, nie zostanie natychmiast zdewaluowana?

- Kto może dysponować tak cholernie wielką kasą? - zapytała i sama się zdziwiła, że wyraziła to na głos.

- Na Bakuninie jest więcej milionerów niż na jakiegokolwiek planecie Konfederacji - odparł.

Tetsami prychnęła pogardliwie.

- Podobnie jak bandytów, oszustów, prostytutek, dysydentów i fanatyków religijnych.

- Dwieście ton to wcale nie tak wiele.

Zatkało ją. Nie tak wiele?

- W kategoriach korporacyjnych, rzecz jasna. GA&A dysponowało co najmniej trzystoma, jeśli nawet nie pięciuset tonami w twardej walucie przeznaczonymi na tajne operacje. Na rzeczy, których nie chcieliśmy ujawniać w księgowości... Czy to jakiś problem?

- Skąd. - „Zatem nie musisz rabować banków”. - Poproś kierowcę, żeby wylądował gdzieś w tej okolicy.

Dominic wyjrzał przez okno.

- Gdzie?

- Gdziekolwiek.

Zastukał w przegrodę. Znow zrobiła się przezroczysta.

- Proszę nas wysadzić przy najbliższym hotelu.

Gdy zaczęli podchodzić do lądowania, taryfiarz po raz kolejny spojrzał na nich znacząco.

- Co ci chodzi po głowie? - zapytał Magnus, spoglądając na dziewczynę.

- Poczekaj.

Leggett opuścił się na dach wysokiej budowli gdzieś w zachodniej dzielnicy. Tetsami przeczuwała, że wylądowali na cholernie drogim przybytku, ale co tam, Doma stać było nie na takie luksusy. Wskoczyli na niewielkie lądowisko znajdujące się obok restauracji, która zajmowała ponad połowę szczytu wieżowca. Taksówka natychmiast odleciała, pozostawiając ich między rzędami zaparkowanych antygrawów.

Pobliski lokal przykryto przezroczystą kopułą, a sądząc po tłumach zajadających śniadanie, cieszył się ogromną popularnością. Tetsami ruszyła w przeciwnym kierunku, oddalając się od restauracji, dopóki nie dotarła do balustrady na skraju dachu. Zauważyła na twarzy Doma wahanie, gdy chwilę później przyłączył się do niej.

„Czyżby bał się wysokości?” - pomyślała.

Musiał podnieść głos, by przekrzyczeć wiatr, gdy ponowił pytanie:

- O co ci chodzi?

- Gdzie są te wszystkie pieniądze?

Spojrzał jej w oczy, potem zerknął w kierunku lokalu. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Bezpiecznie ukryte na trzecim podpoziomie kompleksu biurowego GA&A. Nagle dotarło do niego, o czym myślała. - Nie zamierzasz chyba...?

Tetsami wybuchnęła śmiechem.

- A co innego mogłabym ci zaproponować?

Hotel wzniesiono na szczycie wzgórza. Znajdowali się prawie pół kilometra nad

poziomem ulic tej dzielnicy. Mieli też doskonały widok na Wschodni Godwin, czyli morze ruin i kraterów. Dominic jednak spoglądał dalej, w kierunku gór.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że... - zaczął, potrząsając głową. - Transportowiec konfederacji. Zbudowany na Paralianie okręt desantowy klasy Barakuda. To oznacza, że na jego pokładzie przybyło co najmniej stu komandosów dysponujących dziesięcioma wahadłowcami i bronią, o jakiej nie chcę nawet myśleć.

- Skoro twierdzisz, że dwieście ton to niewiele, ja dodam tylko, że najszybszym sposobem ich zdobycia będzie włam do twojego własnego sejfu.

- Nie wiesz nic o zabezpieczeniach tego kompleksu...

- A ty wiesz?

- Zaprojektowałem większość z nich.

Tetsami obróciła się, szczerząc zęby do Doma. Odgarnęła z twarzy włosy targane przez wiatr.

- Nie mów więc, że nie da się tego dokonać, skoro dysponujemy twoją wiedzą i sześćset kilogramami w gotówce.

- Nie da się tego dokonać.

Prychnęła pogardliwie i znów odwróciła się twarzą do wiatru oparta mocno o balustradę.

- Tak. Zatem uważasz, że lepiej będzie przekuć te sześćset K w kolejne Godwin Arms?

- Stworzyłem GA&A.

„Wreszcie okazał jakieś emocje”, pomyślała.

- Ile pieniędzy miałaś na starcie? - Znowu milczał przez dłuższą chwilę. - Domyślam się, że o wiele więcej niż teraz. - Nadal milczenie, jeszcze dłuższe.

- Ty się na włamach znasz lepiej niż ja. O czym dokładnie myślisz? - Po raz drugi zwrócił wzrok w kierunku gór widocznych na wschodzie.

Ona także popatrzyła na ich granie. Dostrzegła purpurowo-pomarańczowe plamy w miejscu, gdzie granice Wschodniego Godwina przechodziły płynnie w lasy. Powinny tam istnieć rozległe przedmieścia, ale mieszkańcy je opuścili, gdy pobliska dzielnica zafundowała sobie lokalną apokalipsę. Większość miasta znajdowała się za jej plecami, w zachodnich dystryktach, które nieustannie rozbudowywano, odsuwając tym samym tętniące życiem centrum od tysiąca kilometrów kwadratowych skażonych slumsów.

„Oto czym naprawdę jest Wschodni Godwin - plamą śluzu pozostawioną przez miasto, które odpełza wolno od gór”.

Tetsami zauważyła, że jej umysł zaczyna błądzić z przemęczenia i niewyspania. Co takiego miała na myśli, składając mu tę propozycję? Bez względu na to, co powiedział, nie znała się na tego rodzaju rozwiązaniach. Była ekspertem od łamania systemów i złodziejem danych. Nigdy wcześniej nie musiała włamywać się fizycznie nie do okradanych obiektów. Do wczoraj nie wystrzeliła nawet w gniewie z lasera.

„Wyluzuj - powtarzała sobie w myślach - to pierwszy krok do namieszania. Nigdy nie możesz zwątpić w siebie. A już zwłaszcza w czasie roboty. To właśnie najczęściej gubi młodych hakerów. Są zbyt niedoświadczeni, by przejmować się ryzykiem”.

Skoncentrowała się na aktywach, którymi dysponowała. Pierwszym i najważniejszym był fakt, że miała dostęp do twórcy poprzedniej wersji zabezpieczeń. Dzięki niemu powinna obejść wszystkie przeszkody.

- Będziemy potrzebowali ludzi, którzy tam wejdą...

- Rozumiem.

„Jeju - pomyślała - ależ mądra rada. Ech...”

- Będziemy też potrzebowali kogoś, kto zajmie się systemem komunikacji w kompleksie. Ale to akurat moja specjalność, umiem poruszać się po takich sieciach...

- Główne serwery są zniszczone.

- ...albo po tym, co z nich zostało. - „Co jeszcze?” - Przydałby się też ekspert znający budowę paraliańskich okrętów wojennych i haker, który zająłby się systemami tego giganta. Domyślam się, że nie mają żadnych połączeń z tutejszą siecią. - Dominic skinął głową. - Będziemy potrzebowali mięśniaków, ludzi z bronią, którzy osłonią naszych specjalistów. Ale niewielu. Im liczniejsza ekipa, tym trudniej się potem wycofać. - „Ilu?” - Dwóch powinno wystarczyć, ponieważ stworzymy dwa zespoły. Jeden zajmie się okrętem, drugi sejfem. - Dominic ponownie przytaknął. „O czym on myśli, u licha? Czy moje słowa brzmią, jakbym wymyślała to wszystko naprędce?” - No i kogoś, kto zna się na materiałach wybuchowych. Żeby mieć pewność, że dostaniemy się do forsy. I jeszcze elektronika, który pomoże nam w przygotowaniu sprzętu. Jego i kierowcę.

- To kolejne sześć osób.

Sześć? Tetsami policzyła w pamięci.

- Mnie wychodzi siedem.

- Będziemy potrzebowali tylko jednego wojownika.

„Wojownika? Czyli mięśniaka, jeśli dobrze kojarzę?”

- Uwierz mi, przyda się co najmniej jeden na każdy zespół.

- Będziemy mieli po jednym. - Spojrzał jej prosto w oczy i nagle zrozumiała, co miał

na myśli.

- Mówisz o sobie?

- Będę osłaniał zespół schodzący do sejfu.

- Wątpię, abys...

Potrząsnął głową.

- Jestem jedynym człowiekiem, który był tam osobiście.

- Ale nam będzie potrzebny ktoś z dużym doświadczeniem bojowym, kto w dodatku zna się na broni...Skinął głową.

- Wiem.

Tetsami patrzyła na niego, czekając na dalsze wyjaśnienia. I w końcu je otrzymała.

- Dziesięć lat pracowałem dla ZRW. Siły specjalne, aktualnie na emeryturze.

Rozejrzała się odruchowo, sprawdzając, czy ktoś ich nie podsłuchuje. Na lądowisku nadal nie było nikogo.

Nagle straciła ochotę na kontynuowanie tej rozmowy.

I nie miało to nic wspólnego z jej kompetencjami.

Mieszkańcy Bakunina nie cierpieli Konfederacji. A jeszcze bardziej nienawidzili ZRW. W najradykalniejszych kolektywach przeprowadzano regularne egzekucje tak zwanych „szpiegów Rady”. Bakunin był w pewnym sensie planetą dysydentów, a ZRW zajmowało się głównie likwidacją ludzi tego pokroju. Rzecz jasna na terytorium Konfederacji.

W tym momencie do Tetsami dotarło, że atak na GA&A musiał być kierowany przez kogoś z Rady. Jeśli to prawda, liczba potencjalnych ataków, z którymi będzie miał do czynienia nowy zarząd, gwałtownie wzrośnie. Przejęta korporacja stanie się celem wszystkich uzbrojonych grup rezydujących w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od Godwina. Niewykluczone, że ktoś przysoli w ten kompleks atomówką, a zrobi to tylko dlatego, że przedsiębiorstwo stało się własnością ZRW.

Dominic odwrócił się plecami do krawędzi dachu i ruszył w kierunku restauracji i widocznego obok wejścia do hotelu.

- Dobrze, moja droga, podoba mi się twój pomysł. Ryzykowałem już, finansując mniej obiecujące operacje.

Hakerka została przy balustradzie. Nadal walczyła z uprzedzeniami. Po kilku sekundach zaklęła jednak pod nosem i ruszyła za odchodzącym mężczyzną.

Zarezerwował pokoje dla nich obojga. Miał przy sobie wystarczającą ilość gotówki, której większość była totalnie nienamierzalna. Mogli więc liczyć na kilka chwil względnego spokoju.

Hotel Waldgrave znajdował się tuż za zachodnią granicą śródmieścia Godwina. Jego wystrój imitował na wiele sposobów wygląd planety, od której wziął nazwę, aczkolwiek trzeba uczciwie powiedzieć, że nie wszystkie pomysły były udane. Pomieszczenia wykończono drewnem, ale wyłącznie miejscowymi gatunkami, a nie tymi, z których eksportu słynęła Waldgrave - oprócz faszyzmu oczywiście.

Obsługa także próbowała imitować germański blichtr, co jednak kończyło się na noszeniu dziwacznych uniformów i używaniu śmiesznego akcentu. Tylko w dwóch aspektach hotel ten dorównywał swoim waldgrawiańskim pierwowzorom: ceny w nim były równie wysokie jak na egzotycznej planecie, a hierarchia obsługi przywodziła na myśl czysty feudalizm.

Tetsami uznała po chwili, że ma to wszystko gdzieś. Przestała się interesować otaczającym ją przepychem na długo przed tym, nim zaprowadzono ją do pokoju. Marzyła teraz tylko o chwili snu.

Gdy się porządnie wyśpi, jej związek z Domem przestanie wyglądać na czyste szaleństwo. Taką przynajmniej miała nadzieję.

„Ustalenie zakresu potrzeb to jedna sprawa. Zwykła gadka. Ale stworzenie konkretnego planu, który zadziała, to już zupełnie coś innego. Samo znalezienie ludzi o wymaganych umiejętnościach...”

Na myśl o tym poczuła ból głowy.

A powinna jeszcze pamiętać o tych wszystkich, którzy będą próbowali zabić ją i Doma. Już samo to, że tacy ludzie istnieją, wskazywało, na jakie porywają się szaleństwo.

Chłopak w skórzanych bawarskich spodenkach, który odprowadzał ich do pokoi, nie upomniał się o napiwek. Dominic otworzył drzwi swojego apartamentu i spojrzał na Tetsami.

- Porozmawiamy o twoim planie, jak już oboje dobrze wypoczniemy.

Skinęła głową i odprowadziła go wzrokiem. Sama stała jeszcze przez chwilę na korytarzu, trzymając w dłoni kartę otwierającą sąsiednie drzwi. Spojrzała na nią, zastanawiając się, ile musiał kosztować nocleg w tym miejscu. Magnus zarezerwował pokoje na dwie doby. Zapewne wydał około kilograma.

To nie było wiele, lecz znała kilka sposobów na zwrócenie klucza w recepcji i wydebienie zwrotu w gotówce. Dzięki temu zyskałaby środki na ucieczkę aż do Proudhonu. Zabrakłoby jej wprawdzie na bilet pozaplanetarny, ale na to także znalazłaby się rada. Potrafiła zmieniać treść manifestów pokładowych z równie wielką łatwością jak każdych innych baz danych.

Dzisiaj jednak nie mogła mieć stuprocentowej pewności, że wprowadzone zmiany nie

zostaną wykryte przed dotarciem do celu. Musiałyby zwodzić zbyt wielu ludzi, i to przez naprawdę długi czas. Załogi frachtowców międzysystemowych robiły się bardzo czujne, gdy musiały lądować na Bakuninie. A wykryci w trakcie lotu pasażerowie na gapę albo trafiali prosto do śluz, albo sprzedawano ich na planety, na których pojęcie wolności osobistej było traktowane inaczej niż wszędzie. W najlepszym razie znalazłaby się na innym globie, lecz bez grosza przy duszy i bez pomysłu na dalsze życie. Kto wie, czy mogłaby tam korzystać z jedynej umiejętności, jakie posiadała.

Obróciła kartę w palcach.

Dobiła targu z tym człowiekiem. To był jej pomysł, sama też nakłoniła Doma, by przystał na jej propozycję.

Tetsami nigdy się nie uważała za osobę honorową. Gdyby kazano jej opisać swoje przekonania, stwierdziłaby, że lokuje się gdzieś pośrodku skali korupcji Bakunina. Nigdy nie aspirowała do znalezienia się w czołówce rankingów prawości.

Mimo to dotarło do niej, że tym razem nie odpuści.

Ale gdy dojdzie do rozliczeń, zażąda o wiele więcej niż należne jej pięćdziesiąt K.

Przesunęła kartę przez czytnik i weszła do pokoju.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

### **DEWALUACJA**

„Historia jest pisana przez tych,  
którzy mogą narzucić swój punkt widzenia.  
Pamięć działa podobnie, tylko w mniejszej skali”.

*Księga mądrości cynika*

„Niewolnicy przeszłości, sami poddają się jej tyranii”.

Jean Honoré Cheviot (2065-2128)

Dominic nie zasnął.

Od dziesięciu lat cierpiał na chroniczną bezsenność, ale nigdy jeszcze nie była dla niego tak męcząca jak tej nocy. Leżał rozciągnięty wygodnie, nago, na łożu w luksusowym apartamencie hotelu Waldgrave i nie potrafił powstrzymać natłoku myśli. Miał pierwszą od dawna okazję do zaśnięcia, lecz nie umiał zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Wracił myślami do wydarzeń ostatnich trzydziestu dwóch godzin jak psychopata, który nie potrafi oderwać wzroku od ociekającego krwią wraku autolotu.



Czy mógłby zrobić coś lepiej?

Czy mógłby w końcu coś poczuć?

Usiadł, gdy połowa twarzy zaczęła mu mocno drgać. W pokoju było ciemno, ale nie dostroił fotoreceptorów, by to skompensować.

Koszmary były straszne.

Wspomnienia jeszcze gorsze.

- Do cholery. - Tak powiedział Davis dawno temu, ostatniego dnia pobytu na Banlieue. - Nie jesteś przecież maszyną.

Od tamtej pory minęło już dziesięć lat, lecz te wspomnienia wciąż jeszcze bolały jak świeża rana.

- Owszem, Dave, jestem - odparł wtedy.

Był maszyną na długo przed tym „wypadkiem”. Już na Styksie reagował jak robot, etyczne wszczepy stały się zewnętrzną manifestacją architektury jego duszy.

Był maszyną, ale jakże niedoskonałą. Idealny mechanizm nie zastanawiałby się nad sensem dalszego istnienia.

Davis MacIntyre był jego zastępcą, człowiekiem, który zarządzał niewielkim imperium, jakie Dom zdołał stworzyć po „odejściu na emeryturę” z ZRW. Pochodził z Ziemi i miał niemal tyle samo przykrych doświadczeń z Konfederacją co jego przełożony. Właśnie on uratował mu życie.

- Wolałbyś, abyśmy zostawili cię w tym zbiorniku?

Stali na niewielkim ganku przed typową willą milionerów na Banlieue. Przed nimi rozciągała się malownicza winnica, także własność ich firmy. Dominic bębnił palcem po poręczy.

- Może tak byłoby lepiej.

- Ty naprawdę wierzysz w pieprzenie Klausa?

Dominic nie odpowiedział.

Chodziło o śmierć Helen? Czy może raczej o to, jakie ta śmierć miała dla niego znaczenie? Czy postąpiłby inaczej, gdyby wiedział, że jego matka znajduje się wśród owych trzydziestu pięciu tysięcy ludzi?

Wstąpił do ZRW, by uciec przed nią.

Jej śmierć uczyniła tę ucieczkę daremną.

Gapił się na winnice, bębniąc palcem po poręczy. David chwycił go za ramię i odwrócił.

- Powiedz coś, ty niewdzięczny draniu! Drzyj się, wrzeszcz, płacz, rób, co chcesz!

Przecież jesteś tam, w środku. Twój mózg jest jednym z niewielu organów, których nie pożarły bakterie.

Dominic pragnął uczynić coś, co ukołoby nerwy jego dawnego przyjaciela. Po chwili powiedział więc:

- Doceniam to, co dla mnie zrobiłeś.

Davisowi opadły ręce. Wyglądał, jakby usłyszał zdanie, które na pewno nie powinno paść w takiej chwili.

- Dusisz to w sobie. Tym sposobem nie pozbędziesz się problemu.

Magnus skinął głową. Niestety Dave miał rację. Nigdy nie pozbył się tego problemu. Ludzie umierali, ale rzucone przez nich oskarżenia bolały jeszcze długo po ich śmierci. W pewnym momencie mało brakowało, by sam uwierzył, że dał sobie z tym radę. A potem pojawił się Klaus i nieomal go zabił. Dzisiaj czuł się tak, jakby w liczne rany wdała się gangrena niszcząca nerwy, pozostawiająca organizm bez choćby krzty uczucia.

Davis nie przestawał do niego mówić.

- Któregoś dnia ten tłumiony gniew eksploduje w tobie.

- Wiem.

- Jesteś innym człowiekiem niż kiedyś.

- Wiem.

Davis pokręcił głową i ruszył w kierunku drzwi.

- Przygotowaliśmy transport i transfer funduszy dla ciebie... Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz? - Dominic potaknął. - To, że radzę sobie z firmą bez ciebie, nie oznacza jeszcze, że nie będziesz nam potrzebny.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie możesz ukrywać mnie w nieskończoność. Zwłaszcza przed ZRW. Już i tak zbyt długo ryzykowałeś.

- Ale dlaczego Bakunin?

- Nowe nazwisko. Nowa planeta... Tam zniknę wszystkim z oczu.

Davis spojrzał na niego przez ramię. Widać było, że wątpi, aby Dom mógł zniknąć, kiedykolwiek albo gdziekolwiek. Po krótkiej przerwie powiedział:

- Wiesz, że musieliśmy to zrobić. Przy tak rozległych uszkodzeniach fizycznych, mając ZRW na karku, nie było czasu na klonowanie całego ciała.

Dominic podniósł dłoń, by zasłonić część twarzy, a raczej nerwowy tik, który właśnie się na niej pojawił.

- Tak. Wiem o tym. To niczyja wina. - Poza tym gdyby Dom był naprawdę szczerzy ze sobą, musiałby przyznać, że cybernetyczne wszczepy nie stanowią problemu.

- To wina Klausa, przeklęty durniu! - Davis wyszedł, nie dając mu szansy na wymyślenie odpowiedzi.

Magnus stał samotnie na ganku willi, próbując wykrzesać w sobie gniew na brata. Ale i ten wysiłek spелł na niczym, jak wszystkie jemu podobne próby poskładania do kupy skołatanego umysłu.

Wtedy po raz ostatni widział Davisa MacIntyre.

Po raz ostatni rozmawiał z kimś, kogo mógł nazwać przyjacielem.

Wstał z łóżka. „Po co to wszystko, skoro po utracie owoców dziesięciu lat ciężkiej pracy poczułem tylko lekki niepokój?”

Wszedł do wyściełanej łazienki i stanął przed umywalką. Po naciśnięciu klawisza z niewidzialnego kranu poleła się woda. Włożył rękę, tę prawdziwą, do chromowanej misy i zatkał dłonią odpływ. Poczul na skórze chłód metalu i wzbierającej cieczy. Moment później łazienka zaczęła ostrzegać go cichym brzęczeniem o możliwości przepełnienia umywalki.

Lewą ręką włączył światło. Panele otaczające lustro naprzeciw jego twarzy natychmiast rozbłysły. Zaczął delikatnie naciskać na plastik pokrywający świetlinę. Woda spływała mu po udach, łydkach i stopach.

Od chwili rekonstrukcji rozmyślał już kilkakrotnie o zrobieniu czegoś takiego. To był najprostszy sposób. Naczynia krwionośne, którymi wędrował przezroczysty płyn zastępujący mu krew, miały mechanizmy samoregenerujące. Sztuczny układ trawienny potrafił przefiltrować wszystkie znane mu trucizny. Żaden upadek ani pocisk nie mógł uszkodzić chromowanej klatki, w której ukryto jego mózg. Przed laty ustalił, że istnieją tylko dwa sposoby na definitywne skończenie z sobą.

Jednym było wyjście ze służby powietrznej bez kombinezonu.

Drugim porażenie wysokim napięciem.

Plastikowy panel trzasnął pod naciskiem dłoni i Dom poczul pod palcami chłodną powierzchnię świetliny. Jeszcze trochę wysiłku, a zmrożona lśniąca powierzchnia pęknie i przez jego tkanki przepłynie prąd o wysokim napięciu, kończąc wszystko.

Zastanawiał się, o czym mogła myśleć jego matka, zanim Perdition zostało zrównane z ziemią.

Dominic spojrzal w lustro wiszące tuż przed nim. Ujrzał w nim tak straszliwie wykrzywioną twarz, że cofnął się mimowolnie. Poślizgnął się przy tym na mokrej podłodze i poleciał do tyłu. Zanim przywalił potylicą w ścianę, zdążył się jednak chwycić sedesu. Obawa przed uderzeniem? Nie poczułby nawet bólu.

Siedział oparty plecami o ścianę, rozmyślając nad tym, co zaszło.

Nad głową słyszał chlupot zasysanej przez odpływ wody.

Wstał ostrożnie i raz jeszcze spojrzął w lustro. Dotknął jego powierzchni, aby upewnić się, że naprawdę tam jest. I było. Odbijało twarz; znajomą, beznamiętną - jego twarz. Ani śladu przerażającej maski, którą ujrzał przed momentem. Czy naprawdę mógł mieć tak cierpiętniczą minę, skoro nic nie czuł?

Złapał pierwszy lepszy ręcznik i spokojnie wrócił do łóżka.

## **CZEŚĆ DRUGA**

# **TOWARZYSZE PODRÓŻY**

„Bunt przeciw tyranii jest powinnością wobec Boga”.

John Broadshaw (1602-1659)

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

### **TAJNY PLAN**

„Ktoś, kto wierzy w wolność słowa,  
nigdy nie próbował żyć z pisarstwa”.

*Księga mądrości cynika*

„Wszyscy rewolucjoniści są przestępcami  
spotykającymi się po kryjomu”.

Yoweri Adyebo (ur. 2303)

Przez następne trzy dni Dom był bardzo zajęty.

Najwięcej roboty miał z wypraniem pieniędzy otrzymanych z ubezpieczalni. Do kont, z których wypłacał środki, nie przypisano żadnych nazwisk, ale tytuł realizowanych polis - ubezpieczenie GA&A - mógł nasunąć tropiącym skojarzenia, że pieniądze trafiły właśnie do niego. Dlatego też Magnus spędził całe trzydzieści dwie godziny tutejszej doby przed ekranem hotelowego komunikatora, dokonując szerokiego wachlarza operacji finansowych - od zakupu i sprzedaży towarów po spekulacje na walucie.

Dzień zakończył niemałym zyskiem i nienamierzalnym portfelem.

Drugą dobę poświęcił na sprawdzenie potencjalnych członków zespołu - ich nazwiska znajdowały się na liście sporządzonej przez Tetsami.

Na terenie Godwina istniało sporo niezależnych firm ochroniarskich, które świadczyły usługi dwóm tysiącom korporacji tworzących bijące serce tego miasta. Większość gotowa

była sprzedawać swe usługi każdemu, kto dobrze zapłaci. Dlatego Dom nie miał żadnych problemów ze zdobyciem akt osobowych pierwszych dwóch ludzi z listy hakerki.

Ivora Jorgensona i Johanna Levy'ego.

Przy okazji ściągnął też teczkę osobową Tetsami.

Jeszcze tego samego dnia spółka Argus dostarczyła mu trzy pełne foldery informacji. Ściągnął je bezpośrednio do wszczepionego komputera, dzięki czemu mógł się zapoznać z ich treścią w porze odpoczynku.

Jeśli wierzyć informacjom zawartym w tych plikach, rodzice dziewczyny przybyli na Bakunina ponad dwadzieścia standardowych lat temu. Z Dakoty. To ciekawe. Dakota była jednym z Siedmiu Światów, czyli tej części Konfederacji, którą zamieszkiwali potomkowie Ziemi poddanych modyfikacjom genetycznym.

Większość obywateli Siedmiu Światów w niczym nie przypominała już ludzi, czego najjaskrawszym przykładem mogły być delfinokałamarnice z Paralii. Dakotę zamieszkiwały jednak istoty, które zachowały humanoidalne kształty. Niestety brakowało oryginalnych zapisów, które określałyby zakres zmian genetycznych w rodzinie Tetsami.

Jej rodzice pracowali dla Holographic Data Comm, sieci holo, która już nie istniała. Jej upadek przypieczętowała brudna wojenka korporacyjna o dostęp do najatrakcyjniejszych częstotliwości. W starciu tym zginęli wszyscy prezenterzy, którzy byli akurat zlinkowani ze swoimi konsolami sieciowymi. Konkurencyjna firma wygenerowała potężny impuls elektromagnetyczny w głównej siedzibie sieci. Komputery HDC były odporne na podobne ataki, terminale z podpiętymi do nich ludźmi niestety nie.

Tak właśnie skasowano rodziców Tetsami.

Siedem lat później dziewczyna poszła w ich ślady. Ale już jako wolny strzelec. Mimo że mogła zarobić o wiele więcej, gdyby przyjęła propozycję pracy w którejś z korporacji. Od ośmiu lat standardowych zajmowała się też włamaniami do systemów komunikacyjnych.

W jej danych była jeszcze jedna ciekawa informacja.

„Nic dziwnego, że ufa Jorgensonowi”.

Ivor przybył na Bakunina ze Styksu trzy lata po rodzicach Tetsami. Pracował w dziale transportu HDC do momentu rozpieprzenia firmy przez konkurencję. W jego aktach nie było zbyt wiele informacji osobistych, ale Dom doskonale radził sobie z czytaniem między wierszami. Pokrywające się adresy zamieszkania w ciągu kolejnych siedmiu lat potwierdziły jego podejrzenia dotyczące związku, jaki łączył tego faceta z hakerką. Jorgenson musiał być przyjacielem rodziny i to on zaopiekował się dzieckiem, gdy doszło do tragedii.

Kolejną ciekawą sprawą, którą wyniuchał Magnus, było to, że ich drogi się rozeszły,

gdy Tetsami zaczęła pracować w fachu rodziców. Według danych miała wtedy zaledwie trzynaście lat.

Z innych zapisów wynikało niezbicie, że Jorgenson jest idealnym kierowcą do takiej roboty. Dwadzieścia standardowych lat pracy zawodowej i ani jednej nagany. Od czasu likwidacji HDC pracował jako wolny strzelec. A co chyba najważniejsze, nie miał żadnych powiązań z Konfederacją.

Mimo tak znakomitych referencji Dom podchodził do kandydatury Ivora z wielką nieufnością. Przypuszczał jednak, że może to mieć coś wspólnego ze wzmianką o Styksie.

Trzeci folder dotyczył Johanna Levy'ego.

Dane na jego temat były bardziej skąpe, ale wynikało z nich niezbicie, że jest tym za kogo ma go Tetsami: przedstawicielem najciemniejszej strony Godwina. pochodził z Paschala. Z dokumentów wynikało, że brał czynny udział w powstaniu przeciw teokracji na rodzimej planecie. Jeśli to prawda, musi się cieszyć sporym szacunkiem we wschodnich dzielnicach miasta.

Wspomniany bunt miał miejsce już po odejściu Doma z ZRW, lecz nawet on słyszał o tych wydarzeniach. Nauczyciele, prawnicy i studenci protestowali przeciw coraz bardziej ekstremalnej polityce władz. Gdy Patriarchowie Paschala zwrócili się o pomoc do Rady, rewolucyjniści zrozumieli, czym naprawdę jest ekstremizm. Z tego, co dotarło do Magnusa, wszyscy rebelianci spoczęli w masowym nieoznaczonym grobie. Słyszał również, że właśnie po tej akcji jego brat został zwolniony z czynnej służby i awansował za biurko w centrali.

Rewolucyjna przeszłość prawnika Levy'ego mogła być atutem, ale dla Doma większe znaczenie miał fakt, że człowiek ten zyskał opinię wyjątkowo uzdolnionego kasiarza. Czekając z hakerką przed jego księgarenką, zastanawiał się jednak, czy może zaufać człowiekowi, na którego temat posiada tak skąpe dane.

Odpowiedź była prosta: nigdy nie będzie miał wystarczających danych o nikim.

Księgarnia, przed którą czekali, wydała mu się wyjątkowo ironicznym żartem Paschalijczyka. Zdaniem Doma miejsce to pasowało do reszty otaczającego ich wszechświata jak przysłowiowa pięść do nosa. W Literaturze Bolszewickiej - jak ją nazwał właściciel - sprzedawano bowiem wyłącznie anarchistyczne opasłe woluminy. Myśl o tym, że lada chwila poproszą człowieka, który całe życie neguje kapitalizm, aby pomógł im wskrzesić wielką korporację, zakrawała zdaniem Magnusa na absurd.

Siedział teraz obok Tetsami na przednim fotelu używanego powierzchniowego rojta. Oboje mieli na sobie bardzo podobne kombinezony z włókna pokrytego skórą i osobiste generatory pola ochronnego. Dominic pozbył się garnituru dyra, wyrzucając go do zsypu na

śmiecii pod koniec drugiego dnia pobytu w hotelu Waldgrave.

Dzisiaj przeprowadzili się do znacznie tańszego lokum. Magnus wynajął niewielki magazyn od Bleek Munitions. Zrobił to, ponieważ budynek ten miał bezpośredni dostęp do tuneli elektromagnetycznego metra, w którym schronił się z dziewczyną po ucieczce z lochów katedry.

Dominic zauważył właśnie, że znów bębni palcami po desce rozdzielczej wozu. Musiał się skupić, by zablokować ten tik. Siedzieli tu już ponad dwie godziny. Zaparkowali wóz przy skrzyżowaniu Sacco i Lenina, naprzeciw księgarni, i czekali na odpowiedni moment. Tetsami wołałaby, aby nikt postronny nie wszedł do środka, będą rozmawiali z właścicielem.

- Co wiesz o Johannie Levym? Oprócz tego, że jest znakomitym ekspertem od materiałów wybuchowych.

Hakerka ziewnęła i spojrzała na niego. Jeśli dostrzegła emfazę w zadanym pytaniu, w żaden sposób tego nie okazała.

- Znam go od wielu lat. Nigdy wcześniej nie pracowaliśmy razem, ale cieszy się szacunkiem w moich kręgach. Ma związki z niemal wszystkimi. Nie słyszałam, aby osobiście dokonał jakiegoś zamachu, ale jego nienawiść do Konfederacji jest ponadprzeciętna nawet jak na tutejsze warunki.

Dominic przeniósł wzrok na oblepioną antykapitalistycznymi plakatami fasadę księgarni.

- Uważasz zatem, że dołączy do naszej ekipy pomimo tak wielkich różnic poglądowych...

- On nie ma żadnych przekonań. Utrzymuje tę księgarnię, żeby nie wyróżniać się z tłumu. Zarabia prawdziwe pieniądze na wykonywaniu specjalnych zleceń, kontaktowaniu ludzi i pomaganiu miejscowym w zwalczaniu wpływów Konfederacji.

- „No tak, przecież to były prawnik, pomyślał Magnus. Mam kolejny dowód na to, jak porypany jest Bakunin. Anarchista i prawnik zawsze znajdą tutaj pracę”. - Podobno był zamieszany w rewoltę przeciw teokracji na swojej rodzimej planecie - kontynuowała tymczasem dziewczyna. - A to daje mu sporo punktów u tutejszych graczy.

Nie powiedziała nic, czego nie dowiedział się wcześniej z danych dostarczonych przez Argusa...

Dominic poczuł dziwne ukłucie - czyżby winy? - na myśl o ściągniętych aktach osobowych. Nie wspomniał o nich Tetsami, rzecz jasna. Zachowywanie podobnych spraw dla siebie weszło mu już w krew, i to zanim ZRW zaimplementowało mu w głowie procedury

zabezpieczeń.

Nie powiedział jej.

Ale czy powinien to zrobić?

Tetsami poklepała go po ramieniu.

- To on. Idziemy.

Niski łysiejący dżentelmen zamykał właśnie drzwi księgarni. Dominic, przebiegając za hakerką przez ulicę, nadal nie widział w nim rewolucjonisty ani specja od materiałów wybuchowych. Miał też spory problem z wyobrażeniem go sobie na szpicy oddziału przenikającego do okupowanego przez Konfederatów kompleksu GA&A

Stanęli za księgarzem, gdy ten odwracał się, by ruszyć chodnikiem. Wyglądał na zamyślonego. Nie zauważył Tetsami i mało brakowało, a wpadłby na nią.

- Co jest? - zapytał krótko.

- Cześć, Johann - odparła z uśmiechem na ustach.

Levy oparł się plecami o drzwi i otarł czoło dłonią.

- Moja droga... Miałem ogromną nadzieję, że udało ci się już wyrwać z tej planety.

Tetsami wzruszyła ramionami.

- Jest sprawa. Musimy pogadać.

Księgarz zaczął się pocić. „Fajnego rekruta mamy”, pomyślał Dom.

- Wiesz, dziecko, że wyznaczono nagrodę za twoją głowę?

Przytaknęła.

- Możemy wejść?

Rozejrzał się lękliwie, gdy potwierdzał. Otworzył szybko drzwi i wpuścił ich do księgarni.

Poprowadził ich między zapchanymi regałami części wystawowej. Były tak wielkie i masywne, że człowiek czuł się przy nich maleńki i nieważny. W powietrzu unosił się zapach starego papieru, który dodatkowo potęgował wrażenie wyobcowania tego miejsca. Wolną przestrzeń na ścianach zajmowały portrety bóstw socjalizmu: Marksa, Lenina, Mao, Cheviota.

Zatrzymali się dopiero w niewielkim, pozbawionym okien kantorku na zapleczu. Levy zamknął dokładnie drzwi i zasiadł za zielonym metalowym biurkiem, którego blat tonął pod stosami książek oraz porozrzucanych dokumentów. Tetsami otworzyła usta, lecz właściciel księgarni uciszył ją syknięciem, nie przestając grzebać w jednej z szuflad.

Wyjął z niej niewielkie urządzenie elektroniczne. Dominic rozpoznał je od razu. Był to przenośny generator pola antypodsluchowego. W sumie nic wymyślnego - bariera zniekształcała tylko fale dźwiękowe - ale Magnus otrzymał pierwszy czytelny sygnał, że ten



gość może nie być tym, na kogo wygląda.

- Kim jest twój przyjaciel?

Hakerka się uśmiechnęła.

- Możemy już rozmawiać?

- Gdyby to miejsce nie było czyste, dowiedziałbym się o tym już dawno temu.

- Levy ponownie otarł pot z czoła. - Mów, co was tutaj sprowadza.

Dominic ustalił z Tetsami, że to ona zajmie się organizacją roboty. Dlatego przyjął tak obcą mu pozycję obserwatora.

- Pytałeś o tego pana, Johann. To mój nowy zleceniodawca. Więcej nie musisz wiedzieć.

- Chcesz przyjąć nowe zlecenie w takim momencie? - zdziwił się. Hakerka skinęła głową. - Przecież oni polują na ciebie! Nie mówiąc o pięciuset czy nawet sześciuset innych osobach. Codziennie kogoś dopadają. Siedzimy cicho jak myszy pod miotłą z powodu tej zabawy w dwa ognie. Byłbym ustawiony do końca życia, gdybym cię teraz zastrzelił...

- Ale nie zrobisz tego.

Dominic poczuł lodowatą kulę lęgnącą się na dnie żołądka. Czy komukolwiek uda się wyjść cało z tej zadymy? Czy w jego ukrytej komunie będzie ktoś, gdy w końcu zdoła tam dotrzeć? Jeśli szukają tylko sześciuset ludzi, to oznacza, że pozostały tysiąc... „Nie myśl o tym, czemu teraz nie możesz zaradzić”.

- Skąd pewność, że tego nie zrobię?

Po tych słowach Levy'ego Magnus zamarł.

- Może stąd, że jesteś cholernie ciekawskim człowiekiem. I wiesz, że musiałam trafić na coś niezwykle interesującego, skoro zdecydowałam się wyjść na ulicę mimo tak ciężkiej sytuacji.

Pokiwał głową, uśmiechając się pod nosem.

- Zaciekawiłaś mnie. Przyznaję. O czym mowa?

- O czymś, za co wpadnie ci działka w wysokości stu ton albo udziały w sporej korporacji.

Levy momentalnie poszarzał na twarzy.

- To kwota wyższa niż cokolwiek... - Musiał zaczerpnąć tchu. - Czego ode mnie chcecie?

- Chcemy, żebyś włamał się do sejfu.

- O jakim modelu mówimy?

Tetsami spojrzała na Doma. Systemy bezpieczeństwa w Godwin Arms były jego

domeną.

- To egzemplarz zrobiony na specjalne zamówienie w Kaivaku Security. Został przysłany z Kanaki pięć lat temu i zespolono go z fundamentami budynku. Z czterech stron otacza go lita skała. Fundamenty są nad nim.

- Zatem można się przebić tylko od frontu.

Magnus przytaknął.

- Podwójne drzwi otwierane naprzemiennie. Nie mogą być otwarte w tym samym czasie.

- Mają tę samą konstrukcję?

- Nie. Zewnętrzne są tylko po to, by wydłużyć czas potrzebny na sforsowanie zabezpieczeń. Prawdziwym problemem będą wewnętrzne. Mają metr grubości. Od zewnątrz pokrywa je dwudziestocentymetrowa warstwa stali mikrostopowej. Pod nią za warstwą włókien diamentowanych ukryto generator pola Emersona z niezależnym źródłem zasilania. Zamki są elektromagnetyczne, a całość można otworzyć za pomocą systemu hydraulicznych...

Levy uciszył go, unosząc dłoń.

- To mi wystarczy. Wątpię, abym był w stanie wam pomóc.

- Widziałam, jak kiwałeś głową - zaprotestowała Tetsami. - Wiesz, jak się włamać do takiego sejfu.

- Może i wiem, ale musiałbym robić to osobiście. Tu nie chodzi o instrukcje, wy potrzebujecie żywego człowieka do wykonania tej roboty.

- Owszem - przyznała.

Po tych słowach cisza się przedłużyła. Levy spojrział na Tetsami, potem na Doma. Szary odcień jego skóry stał się jeszcze mocniejszy. Po chwili znów zaczął kręcić głową.

- Nie. - Hakerka próbowała coś wtrącić, lecz nie dał sobie przerwać. - Wiesz doskonale, że ja nie biorę udziału w żadnych włamach. Mogę je dla ciebie zaplanować. Umiem też wykonać dowolny ładunek wybuchowy. Daj mi wystarczającą ilość czasu, a wyszkolę cię na doskonałą... Nie. Nie pójdę osobiście na żadną robotę. Jestem zbyt stary, by się w to bawić.

Dominic poczuł, że kącik ust znów zaczyna mu drgać. Próbował stłumić ten odruch.

- Wie pan, gdzie jest ten sejf, panie Levy?

- To nie ma znaczenia...

- Owszem, ma - przerwał mu Magnus. - Sejf należy do Godwin Arms. - Uśmiechnął się pod nosem. Udało mu się skupić na sobie uwagę księgarza. A nerwowy tik samoistnie

zniknął. - Do tej samej korporacji, którą przejęli Konfederaci.

Prawda zaczęła powoli docierać do Levy'ego.

- ZRW... Będę potrzebował numeru seryjnego i dokładnych danych tego sejfu...

Dominic wymacał dołek biointerfejsu na karku. Kątem oka dostrzegł, że Tetsami zauważyła, iż sięgnął do złącza. Uniosła nawet pytająco brew. Nadal nie wiedziała, na ile jest już maszyną, a na ile jeszcze człowiekiem. To jednak nie miało teraz żadnego znaczenia.

- Mogę dać ci komplet danych, jakich będziesz potrzebował. Wystarczy, że podłączę się do twojego terminala.

Levy ponownie otarł czoło.

- Nie wyrażę zgody na udział w tym przedsięwzięciu, dopóki nie powiecie mi dokładnie, jak zamierzacie tam wejść, a co ważniejsze, wyjść, nie narażając zespołu na rozstrzelanie przez dwie kompanie komandosów Konfederacji.

Tetsami popatrzyła na Doma. Dał jej znak, że może kontynuować. To nadal było jej przedstawienie.

- Wiem, Johann. Wszyscy będziemy dzielili ryzyko i zyski. Nikt z pozostałych nie Pójdzie z nami, jeśli nie będzie pewien planu.

- O kim mówisz?

- Jesteś pierwszym, z którym się skontaktowaliśmy. Musieliśmy mieć pewność, że zdołamy otworzyć sejf, jeśli mamy tam iść.

- Ilu nas będzie?

- Dwaj hakerzy, dwaj ochroniarze, magik od elektroniki, gość znający się na budowie paraliańskich okrętów i ty.

Levy spojrział na Doma i zapytał:

- On jest specem od softu czy elektroniki?

- Od ochrony - odparł Magnus.

- Będzie też naszym ekspertem od systemów zabezpieczeń założonych przez GA&A przed inwazją Konfederacji - dodała Tetsami.

Te wyjaśnienia uspokoiły księgarza. Przestał się pocić, a jego twarz odzyskała naturalny kolor.

- Domyśliłem się po tym, jak opisał sejf. Dobrze jest mieć specę od zabezpieczeń. A jeszcze lepiej takiego, który pracuje na obiekcie.

- Gdybym tam nadal pracował - Dom wzruszył ramionami - nie musielibyśmy się włamywać.

- Rozumiem. - Levy miał taką minę, jakby wiedział coś, czego Magnus nawet się nie

domyśla. - Wybraliście już pozostałych członków zespołu?

Tetsami pokręciła głową.

- Nie wszystkich. Chciałam zapytać, czy nie zaproponujesz jakichś sensownych kandydatur. Masz sporo kontaktów w tych okolicach. Wiesz, kto jest wolny albo chętny do takiej roboty.

Księgarz westchnął głośno.

- Powinienem was dodatkowo skasować za takie informacje.

Dominic wyjął kilogramowy banknot z KUKiAS i położył go na stercie papierów.

- Potraktuj to jako zaliczkę.

- Widzę, że nie wierzysz w półśrodki. - Banknot natychmiast zniknął. - Tak z głowy mogę zaproponować specja od elektroniki i softu. Porozmawiajcie z Tjaelem Mosasą. To dwaj najlepsi hakerzy na tym kamyku.

- Dwaj? - zdziwił się Dom.

- Porozmawiajcie z nim.

- Gdzie go znajdziemy? - zapytała Tetsami.

- Pracuje w Proudhone. Rozkręcił biznes obok kosmoportu. Powinien być zainteresowany. Wasza propozycja przemówi do jego mizantropii.

Magnus wstał i wyciągnął dłoń. Levy jej nie uścisnął.

- Zaczekajmy z tym do ubicia interesu.

- Damy ci znać - odparł Dom, wzruszywszy ramionami.

- A ja w tym czasie poszukam wam eksperta od paraliańskich okrętów - rzucił na pożegnanie księgarz.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

### **ZBRODNIĘ WOJENNE**

„Etyka staje się problemem,  
jeśli zaczynasz brać ją na poważnie”.

*Księga mądrości cynika*

„Stajemy na z góry przegranej pozycji,  
gdy wypowiadamy wojnę ludziom,  
którzy nie mają nic do stracenia”.

Francesco Guicciardini (1483-1540)

To była piąta noc od rozpoczęcia operacji na Bakuninie. W ciągu dwóch poprzednich posterunki rozlokowane na perymetrze kompleksu miały pełne ręce roboty przy odpieraniu niegroźnych, lecz upierdliwych ataków ze strony koalicji kolektywów północy. Na tej planecie roilo się od ludzi nienawidzących wszystkiego co konfederacyjne.

Na razie jednak nie mieli do czynienia z poważnym zagrożeniem. I dopóki siły pułkownika nie będą wychodziły poza granice kompleksu, nie powinno dojść do eskalacji działań.

Ta noc była już spokojniejsza.

Na tyle spokojna, by kapitan Kathy Shane mogła rozmyślać o końcu swojej kariery. Pod jej posterunkiem tłoczyło się ośmuset trzydziestu siedmiu jeńców otoczonych nieprzenikalnymi barierami energetycznymi.

Ośmuset trzydziestu siedmiu.

Ta liczba wryła jej się w pamięć. Wczoraj było ich ośmuset czterdziestu trzech. Dwóch zostało zabitych dla przykładu, dwóch zmarło od ran odniesionych podczas walki o kompleks, jeden z mężczyzn spróbował ucieczki, jedna kobieta popełniła samobójstwo.

Była w ciąży.

Ośmuset trzydziestu siedmiu.

Czterystu dziesięciu mężczyzn. Trzysta osiemdziesiąt dziewięć kobiet. Trzydzieścioro ośmiorgo dzieci.

Shane stała samotnie na pomoście, który oddział inżynieryjny zbudował nad ruinami baterii przeciwlotniczej numer siedemnaście. Kropotkin zaszedł już dawno teraz miała przed oczami cieniutki sierp Guillaume'a przesuwający się po równie wąskiej tarczy Schwitzguebela. Obecność dwóch księżyców na niebie nie doprowadzała wprawdzie do rozszczepienia cieni, niemniej ich obrysy były mocno rozmyte

Nawet przy tak skąpym oświetleniu Kathy mogła rozpoznać sylwetki poszczególnych jeńców. Tylko kilku z nich było wojskowymi. Pozostali pracowali tutaj jako robotnicy, sekretarki, inżynierowie, naukowcy, laboranci.

Ci ludzie mieszkali na terenie kompleksu wraz z rodzinami.

Linie obrony GA&A albo zostały unicestwione podczas ataku, albo do ostatniej chwili osłaniały ucieczkę niemal sześciuset ludzi - z czego prawie połowę stanowiły dzieci. Pułkownik musiał wysłać w teren kilka drużyn komandosów z rozkazem odszukania i zabicia zbiegów.

To była piąta noc od lądowania na Bakuninie i zajęcia siedziby Godwin Arms & Armaments.

Piąta noc od chwili, gdy pułkownik Dacham wydał rozkaz rozstrzelania wszystkich pracowników tej korporacji.

Shane nie potrafiła tego zaakceptować, wykorzystywała więc wszystkie kruczki i możliwości, jakie dawało jej stanowisko dowodzenia, by odwlec wykonanie wyroku jeszcze o chwilę. Na razie zdołała ocalić jeńców, ale masowe egzekucje miały się rozpocząć następnego dnia o świcie.

Najbardziej ją przerażało - a do tej pory nie przypuszczała nawet w najgorszych snach, że jest zdolna do odczuwania strachu - że jej podwładni zgodzili się na popełnienie tak ogromnego okrucieństwa, i to bez oporów. Kobiety i mężczyźni, za którymi poszłaby do piekła i z powrotem, teraz stali się jej zupełnie obcymi ludźmi rozmawiającymi o rozstrzelaniu ośmiuset cywilów z takim luzem i spokojem jakby chodziło o zaplanowanie czasu na kolejnej przepustce.

Podczas obiadu porucznik Murphy, facet, którego znała od czasu szkolenia na Occisise - i jak sądziła do tej pory, jej najlepszy przyjaciel - zaczął się zastanawiać nad najlepszym sposobem utylizacji tyłu ciała. Mówił o tym tak beznamiętnie, że nie wytrzymała. Przepraszyła wszystkich, poszła do kibla i zwróciła posiłek.

Teraz także drżała na całym ciele.

Przeszła na drugi koniec prowizorycznej platformy, do wznoszącej się tam konstrukcji. Wojska inżynieryjne miały spory zapieprz podczas przerwy obiadowej. Ktoś naprawdę wziął sobie do serca wywody Murphy'ego. Na platformie zamontowano szerokopasmowe działko plazmowe. W odróżnieniu od reszty instalacji obronnych na perymetrze to stanowisko miało kryć ogniem wyłącznie teren, na którym tłoczyli się więźniowie. Jeśli użyje się go przeciw cywilom, ich ciała wyparują pozostawiając tylko ledwie widoczne cienie na wypalanej skale. Problem utylizacji zwłok będzie rozwiązany. Całkowicie.

Shane przymknęła oczy i wyobraziła sobie te pół sekundy potrzebne, by działko osiągnęło pełną sprawność bojową. W ciągu tej pół sekundy ośmiuset trzydziestu siedmiu ludzi poczuje, jak żywe tkanki oddzielają im się od kości. Pół sekundy, podczas której zostaną wykasowani na wieczność.

Pół sekundy to cholernie długo.

A to ona własnymi rękoma będzie musiała aktywować broń.

Kapitan Kathy Shane rozplakała się po raz pierwszy, odkąd wstąpiła do sił specjalnych.

Ona musi wykonać ten rozkaz. Nie może obciążyć swoich podwładnych tak wielką

odpowiedzialnością. Nie wyda nikomu tak potwornego polecenia.

Sama też nie będzie w stanie nacisnąć spustu.

Zawiedzie, a wtedy pragmatyczny jak zawsze Murphy odsunie ją na bok i odpali działko. Jest do tego zdolny. Wiedziała też, że nie będzie miał z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia.

Kiedyś lubiła Murphy'ego.

Pieprzony pułkownik Dacham. Żeby go piekło pochłonęło. On był najgorszy w tym wszystkim. „Czy tylko ja zdałam sobie sprawę, że trafiliśmy pod dowództwo psychopaty?”

Była oficerem, ale dochrapała się tego stopnia po latach służy, drogą kolejnych awansów. W głębi serca pozostała jednak zwykłym żołnierzem i dlatego docierało do niej częściej niż do innych, że dowódca ma przesrane.

Spojrzała w dół, na jeńców, i zrozumiała, że tym razem to coś więcej niż tylko przesrana sprawa.

Pułkownik nie powinien otrzymać awansu na tak wysoki stopień, a tym bardziej stanowiska dowodzenia. Wywiad Konfederacji musiał przecież wiedzieć, że razem z podległymi jej oddziałami trafiła w ręce szaleńca.

Shane podeszła do balustrady na krawędzi pomostu i dostrzegła kaprała Connera stojącego na warcie, niecałe pięćdziesiąt metrów na zachód od barier siłowych. Miał na sobie pełen pancerz, a broń trzymał w taki sposób, jakby miał nadzieję, że ktoś jednak spróbuje ucieczki na jego zmianie.

Connera także lubiła.

Myliła się. Jej ludzie nie zostali przekazani pułkownikowi. Nie należeli już do niej i szczerze wątpiła, by ten stan znów uległ zmianie.

Obróciła głowę, przenosząc wzrok na ledwie widoczne sylwetki cywilów oraz kapral Hougland trzymającą wartę po wschodniej stronie. Ona także miała na sobie pełen pancerz, ale wyglądała na mniej spiętą niż Conner.

Jakże Kathy pragnęła teraz, by coś się wydarzyło! Tam na dole byli niemal sami cywile, lecz to przecież ponad ośmiuset ludzi. I tylko trzech komandosów stojących na straży. Wliczając w to ją. Pozostałe instalacje przygotowano do obrony perymetru przed atakiem z zewnątrz. Ogrodzenie na tym odcinku nie było wcale tak silnie strzeżone.

„Ruszcie się ludzie - ponaglała ich w myślach. - Wiecie dobrze, co trzeba zrobić. Nie bądźcie głupi, pełno wśród was naukowców, menadżerów... Naprawdę nie rozumiecie, że gdy wszyscy naraz spróbujecie pokonać te zapory, nie zdołamy was powstrzymać? Nie macie przecież nic do stracenia...”

W tym miejscu zamarła. Poczwała powiew chłodnego wiatru na spoconej brwi. Uśmiechnęła się.

- Ja też nie mam.

Usłyszała w słuchawce głos dobiegający z komunikatora.

- Co to było, kapitanie? - pytał Conner.

„Jesteś stanowczo zbyt pobudzony, chłopcze”.

Shane nałożyła hełm i przełączyła się na noktowizję. Naprawdę nie miała nic do stracenia. Jeśli wykona ten rozkaz, skończy jak wszyscy oficerowie zamieszani w tę masakrę - przed sądem polowym - podczas gdy pułkownik rozplynie się w ZRW jak w przysłowiowej mgle.

Z dwojga złego woląla trafić pod sąd z powodu buntu.

- Kapralu Conner, wydaje mi się, że widzę jakiś ruch za perymetrem. Zachodnia flank, twoje skrzydło.

Zareagował zgodnie z jej przewidywaniami, obracając się twarzą w kierunku przedpola, by nikt nie mógł zaatakować go od tyłu. Teraz miał za plecami zapory i Shane.

- Niczego nie widzę, kapitanie.

- Pilnuj swojej flanki, Conner. Ty także, Hougland.

Druga z pilnujących więźniów uniosła kciuki w górę i także obróciła się tyłem do Kathy.

Jedynym problemem był teraz zasięg ogłuszacza. Shane wyłączyła transponder i zaczęła schodzić z platformy. Najpierw musiała dopaść Connera. On mógł narobić więcej szkód.

Dotarła na poziom ziemi - popękanej i wciąż poczerńiałej po wybuchu głowicy, która zmiotła stojącą tutaj wieżę. W tym momencie odezwała się Hougland:

- Kapitanie, ja także nic nie widzę.

- Nie spuszczaaj oka z przedpola. Widziałam jakieś poruszenie na zachód od pozycji Connera. Już wezwałam wsparcie z okrętu.

Conner słyszał te wymianę zdań. Był jeszcze zielony; to pierwsza misja, na którą go wysłano. Shane wiedziała, że od tej chwili będzie się bał każdego cienia. Musiała dotrzeć na jego stanowisko, zanim otworzy ogień. W przeciwnym razie zaroi się tutaj od innych komandosów.

„Co ty wyrabiasz?” - zapytała sama siebie. Właśnie zamierzała spieprzyć sobie resztę życia.

Pulsująca w żyłach krew dudniła jej w uszach. W ustach czuła miedziany posmak.



Nagle zaczęła zauważać rzeczy, których jeszcze kilka minut temu nie była świadoma: cichy chrzęst spalonego gruntu pod podeszwami jej butów, oddech odbijający się echem od osłony hełmu, dziwnie rytmiczny, podświadomie odbierany ruch więźniów za ogrodzeniem po lewej, ucisk, z jakim uprząż sprzętu wpijała się jej przy każdym kroku w krocze i barki.

Włączyła tryb bojowy. Widziała teraz na wizjerze hełmu stanowiska Connera i Hougland. Ta druga miała osłony ustawione na maksimum, ale Conner musiał zmniejszyć przesył energii z generatora pola do trzech czwartych mocy, ponieważ włączył także zamknięty obieg antyskażeniowy. Gdyby nie to, że zamierzała go zaatakować, zapewne udzieliłaby mu reprimendy za tak wielkie marnowanie energii. Teraz, gdy systemy pancerza przeszły na obieg zamknięty, do kaprała mógłby się podkraść nawet paraliański lewiatan.

Shane dotarła do narożnika ogrodzenia i zatrzymała się tam. Nie była jeszcze w pełni przekonana co do swojego następnego kroku.

Nakazała komputerowi zmianę statusu Hougland i Connera. Na wrogi. Urządzenie przyjęło informację bez słowa komentarza, a moment później usłyszała pierwszy meldunek. „Odległość od celów 28,5 i 105,3 metra”. Widoczna na wizjerze sylwetka Connera została obrysowana czerwoną linią. Komputer rozpoczynał właśnie pełnozakresowe skanowanie, by uzyskać dokładniejszy obraz, mimo że namierzanego osłaniał wał ziemi usypany wokół stanowiska.

- Kapitanie, gdzie pani jest, do kurwy nędzy?

Cholera. Hougland coś zauważyła. Zapewne dotarło do niej, że Shane zniknęła jej z taktycznego. „I co teraz?”

- Sprawdzam perimetr. Mamy do czynienia z nierozpoznanym zagrożeniem. Zachować ciszę radiową. Wyłączyć transpondery. Pilnować flank. Nie chcę słyszeć nawet słowa, dopóki nie znajdziecie się w bezpośrednim zagrożeniu.

Shane uśmiechnęła się. Zyskała trochę czasu. Hougland nie będzie kwestionowała rozkazów przełożonej w samym środku walki bez względu na to, co o nich sądzi. Zarówno ona, jak i Conner zniknęli z ekranu taktycznego, gdy tylko wyłączyli transpondery. Komputer był jednak na tyle zmyślny, że zachował ostatnie ich położenia i dołączył je do analizy potencjalnych zagrożeń.

Shane ruszyła w stronę Connera. Zgodnie z ostatnim zapisem baz danych i jej przewidywaniami kapral zwiększył moc pola osobistego do maksimum. To oznaczało, że wyłączenie go z walki bronią energetyczną może być trudniejsze, niż do tej pory przypuszczała. Na szczęście wszyscy członkowie oddziału zostali wyposażeni w sprzęt do prowadzenia działań skrytych. Zgodnie z wymogami sztabu. Dlatego Shane miała przy sobie

wysokoenergetyczny ogłuszacz falowy. Był to robiony tylko dla wojska specjalny model, który zasysał energię jak karabin plazmowy, ale jego zadaniem było wchodzenie w interakcję z typowymi osłonami siłowymi. Krótko mówiąc, zamieniał włączone pole ochronne w ogłuszające.

Jedyny problem polegał na tym, że jego zasięg nie przekraczał pięciu metrów.

Shane włączyła system ECM, gdy znalazła się w odległości dziesięciu kroków od stanowiska kaprała. To był kolejny pożeracz mocy, lecz nie chciała, by Conner zaalarmował kogoś przez komunikator albo namierzył ją na własnym komputerze taktycznym. Hougland mogła wprawdzie zauważyć zniekształcenie pola przy jego stanowisku, ale lepsze to niż zaalarmowanie całej jednostki.

Gdy Shane podchodziła na siódmy metr, kaprał zaczął panikować. Zdała sobie sprawę, że musiał zauważyć, iż jest zagłuszany. Komunikator nie działał, radar zwariował, a obraz na jego wyświetlaczu zrobił się zamazany albo drgał.

„Pamiętaj o tym, czego cię uczono - upomniała go w myślach. - Nie strzelaj, dopóki nie zobaczysz celu. Jeśli nie spanikujesz, oboje wyjdziemy z tego cali i zdrowi”.

Sześć metrów. Ostatnia szansa na zawrócenie.

Gdy była pięć metrów od celu, Conner się odwrócił. Shane widziała jego wytrzeszczone oczy. Pocił się i dyszał ciężko w zamkniętym obiegu. Skierował broń prosto na nią. Pomyślała w tej chwili, że jest tak wystraszony, iż może wystrzelić pierwszy.

Zamiast tego na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Rozpoznał ją i uspokoił się nieco.

W tym samym momencie wypaliła w niego z ogłuszacza.

Fala jasnoniebieskich błyskawic przetoczyła się po jego pancerzu i kaprał padł. Shane wyłączyła zakłócanie. Transponder Hougland wciąż był nieaktywny, nikt niczego nie meldował na pokład okrętu. Jej druga ofiara nie miała pojęcia o tym, co spotkało przed chwilą Connera.

A on leżał twarzą do dołu przewieszony przez wał ziemi otaczający jego stanowisko. Shane położyła mu but na ramieniu i zepchnęła go w głąb dołu. Odwracając się, dostrzegła grupę więźniów lewitujących w polu siłowym tuż za barierą. Obserwowali ją. Nie wiedząc, co robić, przytknęła wyprostowany palec do dolnej części wizerunku, mając nadzieję, że zrozumieją tak czytelny gest i nie narobią hałasu, który zniweczy ich szanse na ucieczkę.

Tak też się stało. Teraz była już pewna, co musi zrobić. Jej kariera skończy się w chwili, gdy Conner się przebudzi. Czyli mniej więcej za godzinę, najpóźniej za trzy.

Ruszyła na wschód, w kierunku Hougland. W zagrodzie po prawej coraz więcej budzonych cywilów obserwowało jej poczynania. Modliła się, by jej kolejna ofiara nie

zwróciła na to uwagi. Jeśli się obejrzy, zanim Shane dotrze na odległość mniejszą niż dziesięć metrów, trzeba będzie użyć wobec niej bardziej zabójczej broni.

A tego Kathy chciała uniknąć za wszelką cenę.

Na razie Hougland obserwowała flankę, jak robiłby każdy zawodowiec. Liczyła na to, że Conner i dowódca zadbają o jej ochronę. Gdy Shane przeszła kolejne pięćdziesiąt metrów wzdłuż ogrodzenia, w jej hełmie rozległ się brzęczyk komunikatora.

Szlag!” O mały włos nie powiedziała tego na głos. Nadawał Murphy. Właśnie włączył transponder w swoim pancerzu. Znajdował się sto dwadzieścia siedem metrów na południe-południowy wschód od jej pozycji i szybko się zbliżał.

„Do cholery, przecież miał mieć wolne o tej porze!”

Była zaledwie trzydzieści metrów od stanowiska Hougland, lecz kończyły jej się opcje.

Nie mogła pozwolić, by kapral odebrała jakieś sygnały w komunikatorze, więc ponownie włączyła zagłuszanie. Ale zrobiła to o wiele za wcześnie. Jeśli Hougland była w zasięgu pola, to dosłownie na jego granicy. Shane ruszyła biegiem w kierunku jej stanowiska.

Przebyła kolejne piętnaście metrów i znalazła się poza narożnikiem ogrodzenia. Kapral próbowała zidentyfikować i zlokalizować źródło zakłóceń. Sekundę później dostrzegła pędzącą w jej kierunku Shane.

Kathy obejrzała się w prawo i zauważyła Murphy’ego. Nie poruszał się z przesadną szybkością...

Może zdoła doprowadzić to wszystko do szczęśliwego końca.

Hougland odwróciła się i wymierzyła w Shane ze standardowego wąskoszczelinowego karabinu plazmowego macmillan-schmitt. Nie namyślając się wiele, Kathy wykonała gest dłonią nakazujący paść na ziemię. Miała nadzieję, że będzie to wystarczająca zachęta. Kapral musiała podjąć decyzję w ułamku sekundy.

I natychmiast zniknęła w swoim okopie.

Shane dobiegła do wału ochronnego i zanurkowała w głąb stanowiska, strzelając w locie z ogłuszacza. Kiedy Hougland się obudzi, nie będzie pewna, co ją trafiło.

Kathy wylądowała na pancerzu swojej podwładnej i natychmiast wyłączyła zagłuszanie. Na ekranie taktycznym zobaczyła, że Murphy nadal zbliża się do jej obecnej pozycji. Nie odbierała jednak żadnych prób połączenia. Chyba miała szczęście i porucznik nie zauważył jej skoku do okopu Hougland. Albo nie był pewien, co tak naprawdę widział.

Tylko co teraz?

Murphy to zawodowiec. Jeśli nawet wybrał się na nocną przechadzkę, dotarłszy w

poblize prowizorycznego więzienia, od razu musiał zauważyć brak odczytu transponderów na taktycznym. I nie zameldował do sztabu bazy o tym odstępstwie od regulaminu. A teraz był siedemdziesiąt metrów od niej.

Jeńcy, dzięki Bogu, nadal zachowywali się spokojnie.

Zrozumiała, że musi wyjść mu naprzeciw i załatwić sprawę.

Włączyła ponownie transponder i wygramoliła się z okopu. Zrobiła kilka głębszych wdechów, by się uspokoić, a potem ruszyła w kierunku Murphy'ego. Czuła na sobie spojrzenia ludzi stojących gdzieś tam, w mroku. Nagle cały kompleks GA&A stał się dla niej wrogim terytorium. Szła prosto na Krwawy Przyływ, ale obecność potężnego desantowca nie była już dla niej żadnym pocieszeniem.

Wydawał jej się złowieszczy.

Shane i Murphy zbliżali się do siebie. Kathy modliła się w duchu, by porucznik nie włączył komputera, zanim staną twarzą w twarz.

- Co pani robi tutaj, kapitanie? - zwrócił się do niej przez radio.

Wciąż dzieliło ich około pięćdziesięciu metrów.

- Nie mogłam zasnąć, więc zluzowałam Clarka. - Postanowiła trzymać się prawdy.

Przynajmniej chwilowo.

Usłyszała głośne parsknięcie. Murphy nie cierpiał, gdy coś szło niezgodnie z planem. Niemniej rzadko - jeśli w ogóle - wyrażał na głos swoją dezaprobatę wobec improwizowanych działań dowódcy. Dzisiaj jednak wszystko wskazywało na to, że tak właśnie postanowił zrobić.

- Z całym szacunkiem, kapitanie, ale w takim razie powinna pani stać na pozycji zajmowanej przez Clarka. Mam nadzieję, że zwróciła pani także uwagę na moją wcześniejszą sugestię, że prowizoryczne więzienie jest zbyt słabo strzeżone.

Pamiętała tę jego uwagę. Szła nadal. Jeszcze dwadzieścia metrów.

- Nie mamy wystarczającej liczby ludzi do pilnowania wszystkiego. Gdyby nie te wypadki do Godwina...

- Raz jeszcze z całym szacunkiem, nie mielibyśmy tego problemu, gdyby wykonywała pani rozkazy pułkownika z mniejszym opóźnieniem.

Murphy jej przerwał. Musiał być naprawdę mocno zestresowany. Piętnaście metrów.

- Wątpię, abyśmy mieli z tym jakiś problem.

- Kapitanie... - Shane widziała już zarysy twarzy porucznika. Usta miał mocno wykrzywione. Wyczuwała też gniew w jego głosie. Nie wiedział jeszcze, ale coś podejrzewał.

- Wydaje mi się, że od przyziemienia ma pani problem z tą misją.

„O wiele dłużej, chłopie”.

Znajdowali się dziesięć metrów od siebie. Po prawej mieli wypalone fundamenty budowli, która kiedyś była siedzibą ochrony kompleksu GA&A. W powietrzu wciąż utrzymywał się swąd spalenizny, jego ulotny zapach przenikał nawet przez filtry do wnętrza pancerza Shane.

Murphy się zatrzymał.

- Przedstawiłam swoje zastrzeżenia pułkownikowi. Nie rozumiem, dlaczego to pana tak martwi, poruczniku.

Siedem metrów. Murphy wyjął broń i skierował ją na Shane.

- Może dlatego, że to także moja misja, więc czuję niepokój, gdy widzę, że przełożony zachowuje się dziwnie.

„O Boże! - pomyślała, zwalniając krok. - Więc o to ci chodzi”. Czyżby Murphy monitorował transmisje radiowe w obrębie kompleksu? I dlatego znalazł się tutaj?

- Chce pan do mnie strzelić z tego powodu?

Porucznik cofnął się o krok.

- Wydaje mi się, że mamy tutaj do czynienia z czymś w rodzaju buntu.

- Zamierza pan strzelić do przełożonego, ponieważ coś się panu ubzdurało?

Sytuacja nie rozwijała się zgodnie z planem Murphy’ego.

- Słyszałem pani rozmowy z Connerem i Hougland. Tam nie ma żadnego przeciwnika.

Co pani wyprawia, u licha?

Shane znowu ruszyła w jego kierunku. Miała nadzieję, że jej głos zabrzmiał tym razem pewniej.

- Murphy, wie pan dobrze, jakim żółtodziobem jest Conner. Jedyne rozwiązanie, żeby zrobić z niego człowieka, to wrzucić go na głęboką...

Sześć metrów.

- Powinna pani to ustalić z...

Miała go w zasięgu ogłuszacza.

- Jakoś nie przypominam sobie, abym musiała ustalać harmonogram ćwiczeń indywidualnych z podległymi mi oficerami. Zapytam raz jeszcze, poruczniku Murphy: zamierza pan za to do mnie strzelić?

Nie był już wściekły. Strach wziął nad nim górę. I tak powinno być. Bo jeśli kapitan mówi prawdę, to on trafi pod sąd polowy. Natychmiast opuścił broń.

Shane uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Będzie pan miał szczęście, jeśli nie trafi przed pluton egzekucyjny. Proszę wracać na

kwaterę, od tej chwili to pański areszt domowy.

Murphy skinął głową wewnątrz hełmu, odwrócił się i ruszył w stronę okrętu, Shane szła za nim, trzymając się w odległości pięciu metrów.

- Jeszcze jedno pytanie, poruczniku. Miał pan jakichś współników czy sam pan wymyślił ten spisek?

Murphy westchnął głośno.

- Zrobiłem to na własną rękę. Nikt nie wie, że tu jestem.

Shane włączyła zakłócanie i strzeliła do niego z ogłuszacza. Zwalił się z nóg sztywny jak kłoda, zanim zrozumiał, co się dzieje.

Kathy stanęła nad nim, czekając na wycie syren alarmowych. Nikt ich jednak nie uruchomił. Nikt nie widział upadku Murphy'ego. Zatem porucznik powiedział prawdę. Nikt nie wiedział, że zszedł z pokładu okrętu.

Shane przetoczyła nieprzytomnego komandosa w ruiny dawnego centrum ochrony GA&A i narzuciła na jego pancerz kilka odłamków gruzu. Potem, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Krwawy Przyływ, ruszyła w stronę tymczasowego więzienia.

Miała godzinę, góra półtorej.

I nadzieję, że któryś z jeńców będzie wiedział, gdzie poprowadzić resztę tego tłumu.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

### **POSIEDZENIE RADY**

„Rządom bardziej zagrażają ich wyborcy  
niż jakiegokolwiek siły zewnętrzne”.

*Księga mądrości cynika*

„Wielka potęga nigdy się nie zastanawia,  
czy powinna dominować nad mniejszymi nacjami.  
Jeśli naprawdę jest wielka, robi to, bo może”.

Borys Kalecki (2103-2200)

Minęło półtora miesiąca od spotkania na Marsie. Dyplomatyczna inwazja na Ziemię została rozpoczęta.

Dimitrij Olmanow uczestniczył w każdym posiedzeniu Kongresu Terrańskiego od ustanowienia Statutu. Obecne miało numer jedenasty i było pierwszym w drugim stuleciu Konfederacji. Oficjalne obrady miały zostać otwarte dopiero za dwa standardowe miesiące,

ale politycy już dzisiaj rozpoczęli swoje gierki.

Kongres pełnił trzy funkcje: określał na nowo polityczne granice Konfederacji, przyjmował lub awansował planety członkowskie oraz - co chyba najważniejsze - dokonywał zmian w Statucie, dokumencie, dzięki któremu ten interes wciąż się kręcił.

Głównym wskaźnikiem wpływów była liczba miejsc pierwszych w tym parlamencie. Dimitrij przypominał sobie o tym za każdym razem, gdy jego myśli zbłądziły na sprawę Bakunina. Pierwszy rząd składał się z czterdziestu trzech foteli, cały Kongres liczył natomiast siedemdziesięciu trzech przedstawicieli - lub osiemdziesięciu trzech, jeśli liczyć deputowanych światów przyjętych na okres próbny na ostatnim posiedzeniu.

Delegaci Syriusza i Centauri zasiadali w dwudziestu dwóch fotelach pierwszego rzędu. Te dwa stronnictwa kontrolowały większość miejsc pierwszych od chwili powołania Konfederacji. Oznaczało to, że dwie najbogatsze, wywodzące się z dawnej Europy frakcje - czego trzy pozostałe nie omieszkały wytykać przy każdej okazji - zawsze dominowały podczas obrad parlamentu Konfederacji.

Ale nic nie trwa wiecznie.

Jedenaste posiedzenie mogło przynieść zmianę tego układu. Podstawową funkcją najwyższego zgromadzenia była promocja nowych członków. Przedstawiciele nowych planet przechodzili przez kilka etapów - od okresu próbnego przez nowicjat bez prawa głosu, możliwość czynnego udziału w obradach, pełne członkostwo i w końcu osiąkali pierwszeństwo.

Ze wcześniejszych ustaleń wynikało, że sześć planet powinno przeskoczyć z pełnego członkostwa do pierwszego rzędu. Dwie należały do Sojuszu Alfy Centauri, jedna do Wspólnoty Syriusza, trzy kolejne do innych frakcji Konfederacji. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z przewidywaniami, Cynos i Occisis zachowają większość w pierwszym rzędzie. Najmniejszą jak do tej pory, ale jednak większość.

Problem polegał jednak na tym, że wcześniejszych ustaleń niezwykle rzadko dotrzymano.

Dimitrij przemierzał kompleks dyplomatyczny w asyście nieodłącznego Ambrose'a. Dzisiaj opuścił wieżę Konfederacji po raz pierwszy od powrotu z pamiętnej podróży na Marsa. Wielka budowla wznosiła się za ich plecami, sięgając niemal na kilometr w australijskie niebo. Strzelista wieża była hołdem dla aroganckiej dumy ludzkości. To określenie w sporej części odnosiło się do działalności Dimitrija, o czym zresztą doskonale wiedział.

- Oto kolejny grzech - stwierdził, omiatając panoramę otaczającego ich miasta.

- Słucham? - mruknął Ambrose.

Dimitrij pokręcił głową.

- Duma. Ciekawe, czy Dolbrianie byli równie dumni ze swojej Twarzy jak my z naszego rządu.

- Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, sir.

- Wiem. Nikt z nas nie zna odpowiedzi. I na tym polega jego piękno. Wystarczy kolejne sto milionów lat i to wszystko obróci się w pył. Wszystko, co dzisiejszym liczykrupom wydaje się takie ważne. - Olmanow dostrzegł na twarzy swojego towarzysza wyraz pustki, który świadczył zazwyczaj o tym, że Ambrose zgubił wątek, próbując wyobrazić sobie wygląd albo zachowanie liczykrupy.

Szef Rady westchnął głośno.

Dzielnica dyplomatyczna otaczała podstawy wieży, jakby jej mieszkańcy chcieli wielbić ów cud techniki.

Cały teren ukształtowano sztucznie, likwidując wszelkie oznaki naturalnego życia. Każda grudka żwiru została ułożona ręcznie i od tej pory była monitorowana przez kamery przemysłowe. Krzewy, fontanny i kwiaty były wszędzie.

„Sceneria niemal tak naturalna jak organizm Ambrose’a”, pomyślał Olmanow.

Świadomość, że w co drugim krzaku ukryto urządzenia monitorujące, czyniła te ogrody jeszcze bardziej martwymi. Przynajmniej w odczuciu Dimitrija. Był to przejaw tego samego ludzkiego pragnienia kontroli, które swego czasu zadławiło społeczność Marsa, tylko bardziej skoncentrowany.

Po pewnym czasie szef Rady i jego towarzysz dotarli do budynku użytkowego w głębi ośrodka należącego do Sojuszu Centauri. Na jego bezpretensjonalnym frontonie nie było żadnej tabliczki informacyjnej. Równie dobrze mógłby służyć za magazyn albo skład narzędzi dla ogrodników, niemniej mieściła się tutaj centrala drugiej co do wielkości frakcji Konfedu.

Dimitrij przybył tu, by spotkać się z Pearce'em Adamsem, człowiekiem reprezentującym Archeron w Kongresie Terrańskim, szefem wywiadu i delegatem Sojuszu Centauri w Ziemskiej Radzie Wykonawczej oraz wiceprezesem odpowiedzialnym za sprawy bezpieczeństwa w Kompanii Handlowej Centauri.

Ambrose sprowadził swojego pryncypała po schodach do podziemnej części kompleksu, ponad trzykrotnie większej od znajdującego się nad nią budynku. Dimitrij nie naciskał żadnych klawiszy, nie używał kluczy ani nie otwierał ust do pilnujących centrali strażników, a mimo to wszystkie pancerne grodzie stawały przed nim otworem.



Olmanow wątpił, aby choć jedno przejście na monitorowanym terenie wokół wieży było dla niego niedostępne. Gdy wkroczył do ziemskiego gabinetu Adamsa, zauważył, że gospodarz ustawił klimatyzację na najniższą możliwą temperaturę. Sam zasiadał za biurkiem w koszuli z krótkim rękawem, a i tak wyglądał na człowieka, któremu doskwiera gorąco. Dimitrij nie zdjął marynarki. Zimno spowodowało nawrót bólu w stawach, tego samego, przez który jak pamiętał, cierpiał na Marsie.

Zastanawiał się, czy Adams tak bardzo tęskni za domem czy po prostu postanowił dopiec osobie, która ma nad nim pewną władzę.

Jedyną dekoracją tego pomieszczenia była holoprojekcja na ścianie przedstawiająca wypiętrzone w warunkach niskiej grawitacji góry, u których podnóża szaleje nie kończąca się nigdy śnieżna zawieja. Od czasu do czasu wirtualne okruchy lodu wpadały w promienie podwójnych słońc, tworząc przepiękne tęcze.

Dimitrij zrozumiał, że w tym wypadku prawie na pewno chodzi o tęsknotę za domem.

- Wolałbym, aby ta rozmowa odbyła się w cztery oczy - rzucił Adams tytułem powitania.

Ambrose nie zareagował.

Olmanow zerknął na ochroniarza i zdecydował, że wyklócanie się o jego obecność nie ma tym razem najmniejszego sensu, mimo że Ambrose nie stanowił dla Centaurianina żadnego zagrożenia.

- Poczekaj za drzwiami - poprosił.

- Dobrze, sir.

Ochroniarz odszedł na pięćdziesiąt metrów od szefa i ponownie zamarł. Drzwi zamknęły się za nim, pozostawiając Olmanowa i Adamsa sam na sam z lodową zawieją.

- Jaki jest powód pańskiej wizyty? - zapytał Centaurianin.

Dimitrij nie usiadł. Złożył obie dłonie na lasce i oparł się na niej.

- Chciałem zapytać, dlaczego dwóch reprezentantów EWSE zagłosowało przeciw operacji Rasputin.

Adams spojrział na niego dziwnie.

- O to powinien pan raczej zapytać przedstawiciela Wspólnoty Syriusza...

- Nie chcę na razie rozmawiać z Kalin Green. - Centaurianin siedział nieruchomo z twarzą tak samo beznamiętną. - Mogę przedstawić swoją teorię na ten temat?

- Oczywiście. Nadal nie rozumiem, po co pan przyszedł.

- Zrozumie pan. - Olmanow spojrział na holoprojekcję, zanim zaczął mówić.

- Przygotowanie takiej operacji jak Rasputin wymagało wielu lat żmudnej pracy.

Głównie pańskiej i waszego wywiadu, jako że propozycję firmowały Syriusz i Centami.

- I co z tego?

- Te dwa odmienne głosy mogły przynajmniej teoretycznie doprowadzić do tego, że lata pańskiej pracy poszłyby na marne.

- Tak by się stało, gdyby reprezentanci Indi nie wstrzymali się od głosowania. Dimitrij uśmiechnął się do skutego lodem holograficznego krajobrazu.

- A dlaczego się wstrzymali? - Adams nie odpowiedział. - Koalicja zmontowana przez Indi powinna być przeciwna operacji Rasputin. Jej zdaniem, pomijając wszystkie kwestie czysto prawne, byłby to niebezpieczny precedens pozwalający ZRW mieszać się w sprawy niezależnych planet. A ponieważ Syriusz i Erydan posiadają większość miejsc pierwszych, koalicja Indi uważa Radę za narzędzie europejskich delegatów. - Dimitrij obejrzał się i popatrzył Adamsowi prosto w oczy.

- Z jakiegoś powodu jednak postanowiono o tym zapomnieć. I dopuścić do tego, by Rasputin przeszedł.

- Dlaczego miałyby im na tym zależeć? - Centaurianin się uśmiechnął.

- Z tego samego powodu, dla którego panu zależało na przeciwnym wyniku głosowania.

- Mógłby pan przejść do sedna, darując sobie te makiaweliczne wywody? - Adams należał do nielicznych członków Kongresu Terrańskiego, którzy nie cierpieli skomplikowanych procedur dyplomatycznych. Jeśli Dimitrij podziwiał go za coś, to właśnie za tę otwartość i prostotę.

Oraz za odwagę, która pozwalała mu rozmawiać z szefem Rady w taki sposób. Niewielu ludzi mogło się tym poszczycić.

- Chodzi o to - dodał - że zbliżające się posiedzenie Kongresu może doprowadzić do istotnych przetasowań w strukturach władzy Konfederacji. Indi zaczyna przeważać. Polityka ekspansji, jaką prowadzi od niemal stulecia, dała jej dodatkowe głosy. Koalicja może zyskać przewagę po kolejnych nominacjach.

- Wszyscy o tym wiemy.

- A wiecie też o tym, że Indi zamieni kilka miejsc pozbawionych głosu na pierwsze?

Mur obojętności na twarzy Adamsa po raz pierwszy zaczął pękać. Niemal niezauważalnie - Centaurianin umiał się kontrolować w stopniu niedostępnym innym ludziom, lecz jedna sekunda nieuwagi wystarczyła, by Dimitrij zrozumiał, iż trafił w czuły punkt rozmowy.

- To byłoby poważne odstępstwo od zasad. - Adams wolno cedził słowa.

- Od zasad, owszem - przyznał Olmanow - ale nie od prawa. System awansowania to tradycja, nie obowiązek. Dotyczy ona każdej zamieszkaney od minimum osiemdziesięciu lat planety, której populacja przekroczyła w tym czasie pół miliarda mieszkańców.

- Jej nazwa musiałaby się najpierw znaleźć w treści Statutu.

Dimitrij potaknął.

- Musi tam trafić. Ale był już precedens...

- Pięć planet zajęło pierwsze miejsca natychmiast po wpisaniu do Statutu. Tak, wiem. Tyle że to był początek Konfederacji. Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z operacją Rasputin.

- Wszystko - odparł Olmanow.

\*\*\*

Robert Kaunda zasiadł w jednej z prywatnych jadalni hotelu Victoria. Holograficzna kopuła, która otaczała jego i delegata Protektoratu, tworzyła iluzję, że znajdują się sami na dachu budynku. Ale błękit nieba i przybój fal Pacyfiku były całkowicie sztuczne, jako że nadal przebywali w samym centrum stolicy. Siedzieli w sporej sali otoczeni podobnymi pęcherzami pola siłowego, pod którymi jedli posiłek inni delegaci.

Dla nich wszakże liczyło się tylko to, że zostali odizolowani od świata pod tym holo, jakby rzeczywiście trafili na dach najdroższego hotelu w Sydney.

Kaunda upił łyk herbaty i powtórzył:

- Byłbym przeciwny dawaniu Konfederacji, a precyzyjniej mówiąc, jej Radzie, tak wielkiej władzy, nawet jeśli mamy do czynienia z sytuacją, w której obie strony coś zyskują.

Sim Vashniya, delegat Protektoratu Ludowego Epsilon Indi w Radzie Wykonawczej i reprezentant Sziwy w Kongresie Terrańskim - nie wspominając o całej reszcie piastowanych przez niego stanowisk - wydawał się o wiele niższy od Kaundy, mimo że usadowił się prościej niż Unita. Na jego twarzy widać było wyłącznie zadowolenie.

- Wcześniej zgadzałeś się z moją argumentacją...

- Tylko przy liczeniu miejsc pierwszych. Jak słusznie wspomniałeś, Wspólnota Syriusza i Sojusz Centauri dysponują większością, ale dzięki dwóm dysydemtom mogliśmy zablokować całą operację.

Vashniya nawet nie drgnął. Kaunda pomyślał nawet, że karłowaty Sziwianin wygląda jak posąg wyrzeźbiony w egzotycznym drewnie. Jeden z tych, które sklepy pamiątkarskie na Mazimbie oferują bogatym turystom z Waldgrave albo Banlieue. Staruszki z Mulawayo produkują je na masową skalę, by obrotni handlarze sprzedawali je potem po sto kredytów każdemu spoza planety. Po potrąceniu marży sklepowej rzeźbiarki otrzymują skromną zapłatę

- jeśli mają szczęście, zarobią kredyt na godzinę. Ale przynajmniej mają co jeść.

- Doprawdy? - mruknął Unita.

- Tak, mogliśmy ją zablokować. Czyż nie dlatego dwóch dysydentów głosowało przeciw operacji?

Kaunda odstawił filiżankę.

- Słucham? - Nie cierpiał tych intelektualnych politycznych gier. Dowodził strukturami wywiadu Unii Niezależnych Światów tylko dlatego, że zawsze był silniejszy od innych i nie pozwalał swoim zastępcom na wciskanie kitu. Może i przelał przy tym sporo krwi, lecz na pewno nie tyle, ile kosztowałyby rządy jego konkurentów. Niemniej funkcja szefa policji w Mulawayo, a potem wywiadu całej planety nie nauczyła go zbytnej delikatności w postępowaniu z innymi. Dlatego musiał słuchać lepszych od siebie w tej dziedzinie, jak choćby Vashniyi. Co nie zmieniało faktu, że bardzo, ale to bardzo nie lubił pokładać zaufania w innych.

- W Radzie nic nie dzieje się przypadkiem. Tych dwóch Syriuszan oddało głosy w taki właśnie sposób, ponieważ zostało to wcześniej zaplanowane.

- Chcieli utracenia własnej propozycji. - Kaunda wypowiedział to zdanie całkowicie beznamytnym tonem, nie okazując przed rozmówcą zaskoczenia. Po chwili zastanowienia doszedł jednak do wniosku, że jego przeciwnicy polityczni mogli nie chcieć, by Rada mieszała się w ich sprawy.

- Sądzili, że będziemy głosowali solidarnie przeciw, dzięki czemu przegramy dwadzieścia do dwudziestu dwóch. Nie rozumiem tylko, dlaczego złożyli te propozycje, skoro nie zależało im na jej uchwaleniu.

Vashniya pogładził się po brodzie.

Operacja Rasputin jest zakrojona na bardzo szeroką skalę. Dopięcie jej końcowych stadiów na ostatni guzik wymagało kilkuletniej pracy wywiadów Centauri i Syriusza. A na to z kolei potrzebowano zgody ZRW.

- Rozumiem.

ZRW zazdrośnie strzegła swojego miejsca w hierarchii wywiadów Konfederacji. Gdyby władze jakiejś planety bądź frakcji spróbowały podjąć podobną akcję na własną rękę...

Cóż, to mogłoby się źle dla nich skończyć.

- Twierdzisz zatem - powiedział Kaunda - że propozycja złożona ZRW była zasłoną dymną...

- ...mającą za zadanie ukryć reorientację wywiadów Centauri i Syriusza. Dlatego zależało im na utraceniu tej propozycji.

- Ale byli i są w stanie dokonać tego, zanim ZRW zdoła zainterweniować. - Polityka od dawien dawna była bardzo pokręcona. Praca w unijnej policji wydawała się o wiele prostsza, choć bardziej niebezpieczna.

- Owszem. Plan polegał na tym, by przygotować operację Rasputin, pozwolić, żeby Rada ją utraciła, a potem przeprowadzić siłami jednostek wojskowych Centauri albo Syriusza bez wiedzy ZRW. Postawiliby Kongres przed faktem dokonanym.

- Tyle że Protektorat wstrzymał się od głosu i Rada przejęła dowodzenie.

- Do czego przyłożyliśmy rękę. - Vashniya uśmiechnął się nieco szerzej.

- Przyznam, że bardziej mi pasowało, gdy odcinaliśmy się od tej operacji.

- Nadal to robimy. A nawet więcej. - Sziwianin przeniósł wzrok na panoramę Sydney.

- Gdy opadnie kurz, a Kongres zbierze się po raz pierwszy w tym stuleciu, zobaczymy na własne oczy, jak kończy się prymat Europejczyków. Radzę dobrze się temu przyglądać, panie Kaunda.

Unita także przeniósł wzrok na otaczające ich miasto. Nie odezwał się jednak słowem.

- Gdy operacja okaże się fiaskiem, nikogo to nie zdziwi, ale jeśli się powiedzie...

- Jeśli się powiedzie - powtórzył Kaunda.

\*\*\*

Opuszczenie Marsa zajęło mu niemal miesiąc.

Było to trudniejsze, niż wcześniej przypuszczał. W ciągu minionych dziewięciu lat zdążył przywyknąć do tych surowych krajobrazów, zabójczej pogody i co chyba najważniejsze, całkowitego odosobnienia.

Jego decyzji nie przyspieszyła nawet wiedza o tym, że na Bakuninie leżącym piętnaście lat świetlnych od Układu Słonecznego lada moment rozpęta się piekło.

Zważywszy na relacje czasowe pomiędzy oboma systemami gwiazdowymi, tamtejsze wydarzenia należały już do przeszłości. Teraz najważniejsze było zbliżające się posiedzenie Kongresu Terrańskiego oraz to, co stanie się podczas obrad.

Dzisiaj najbardziej niepokoił go fakt, że po dziewięcioletniej izolacji znajdzie się nagle w ogromnym tłumie ludzi. W końcu jednak musiał opuścić kryształową krainę marzeń, w której przebywał od tak dawna. Pomodlił się po raz ostatni przy samotnym grobowcu, a potem ruszył w kierunku najbliższego osiedla.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

### **CISI WSPÓLNICY**

„Ludzie obawiają się sztucznej inteligencji

głównie ze względu na jej sztuczność”.

*Księga mądrości cynika*

„Te myślące maszyny są obrazą majestatu Boga”.

August Benito Galiani (2019-\*2105)

Dominic skupiał wzrok na widoku za przednią szybą, nie zwracając uwagi na utkwione w nim spojrzenie Tetsami. Nowiusieńka antygrawitacyjna ciężarówka mknęła tunelem, jakby skonstruowano go specjalnie dla niej, a nie na potrzeby kolejki elektromagnetycznej.

- Nie rozumiem, dlaczego go kupiłeś - powiedziała hakerka, gdy cisza zaczęła się przedłużać.

- Będziemy musieli korzystać z tunelu, jeśli chcemy wykonać tę robotę.

- Tyle to sama wiem - mruknęła, odwracając wzrok od jego ponurego oblicza.

Sunęli tunelem kolejki łączącej Godwin z Proudhonem, mijając umieszczone na ścianach magnesy z tak regularną częstotliwością, że Tetsami czuła się jak krwinka popychana pulsem w głąb betonowych żył niewyobrażalnego giganta. Do tej pory musieli już przekroczyć granice wschodnich dzielnic, co znaczyło, że znajdowali się pod lasami. Jeśli będą mieli szczęście, ta podziemna autostrada doprowadzi ich aż w okolice Proudhonu.

Połączyli rekonesansowy kurs trasą kolejki z wizytą u potencjalnego specja od kompów. Podziemna jazda była też, co Tetsami musiała przyznać, najbezpieczniejszym sposobem na dotarcie do sąsiedniej miejscowości.

- Nie musiałeś go jednak kupować. Z tego, co wiem, nikt nie pilnuje wjazdów.

- Martwisz się o stan mojej kasy?

- Tak, u licha, martwię się o twoje finanse. Nigdy w życiu nie przypuszczałam, że kiedyś nadejdzie taki dzień, gdy pół megagrama wyda mi się sumą zbyt małą, by...

- Ten tunel był naprawdę tanią inwestycją.

- Tanią? - Mało brakowało, by się zachłysnęła. - Pomijając fakt, że te pijawki z Banku Mahajan jeszcze nikomu nie dały zarobić, wpompowałeś w te ruiny prawie sto kilogramów.

- Jak już wspominałem, traktuję ten zakup jak zwykłą inwestycję. - Palec Doma zaczął bębnić o stery. - Przestań w końcu myśleć o pieniądzach, które wydajemy. Teraz jestem całkowicie oddany naszej operacji.

- A jeśli coś pójdzie nie tak?

Magnus przyłożył dłoń do policzka.

- Nie ma takiej opcji. Przynajmniej dla mnie.

Beznamiętny ton, jakim wypowiedział te słowa, zmroził Tetsami. Nie pierwszy raz obawiała się swojego nowego partnera. Dlatego postanowiła nie zerkać w kierunku jego pozbawionych wyrazu oczu, którymi przewiercał mrok panujący w tunelu. Antygrawem kierował komputer, ale Dom nawet na moment nie odwrócił się do niej podczas tej rozmowy. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy w głębi ciemności jest coś, co tylko on może widzieć.

Tak bardzo tęskniła za uściskiem Wora! Czułaby się o wiele lepiej, gdyby to on siedział teraz po drugiej stronie kabiny, chociaż pojazdem nie musiał kierować człowiek. Niestety, na jego sekretarce było tylko nagranie, w którym przeproszał za chwilową nieobecność i obiecywał, że wróci za mniej więcej trzy dni.

Spojrzała znowu na Doma i postanowiła zmienić temat.

- Jak tam rozwija się nasza przykrywka?

- Bankierzy kupili moje aluzje, a plotki rozchodzą się tutaj z szybkością błyskawicy. Kiedy zgłosiłem się po zamówione lasery górnicze, właściciel interesu wziął mnie na stronę i oświadczył, że ma pozaplanetarnego klienta bardzo zainteresowanego dolbriańskimi artefaktami.

Czyżby dostrzegła cień uśmiechu na jego twarzy?

Przykrywka polegała na prostej zmyłce, która pozwalała wytłumaczyć zakup tuneli nieczynnego metra i masy sprzętu górniczego, w tym laserów oraz bardziej ezoterycznych rzeczy. Dolbrianie - nazwę zawdzięczali pierwszej planecie, na której odkryto dowody udanego terraformingu przeprowadzonego przez nieznaną cywilizację - byli istotami, które wymarły przed dziesiątkami milionów lat.

Ślady ich istnienia znajdowano na całym terytorium Konfederacji. Ludzie odkryli pierwsze z nich na marsjańskiej równinie Cydonia. Problem polegał jednak na tym, że pozostałościami po tej tajemniczej rasie nie były ruiny ich miast czy choćby szczątki maszyn, tylko poddane procesom terraformingu planety.

Rozmaici specjaliści twierdzili, że na terytorium Konfederacji jest od pięciu do nawet dwunastu takich przekształconych światów. Planet, na których bez interwencji z zewnątrz nie powinno - i nie mogło - rozwinąć się życie, ponieważ pierwotnie nie miały nawet odpowiedniej atmosfery. Chodziło o ciała niebieskie w systemach z potrójnymi słońcami albo krążących zbyt blisko własnych gwiazd lub za daleko od nich. Planet w systemach zbyt młodych, za starych, niestabilnych...

Na tej krótkiej liście znajdował się także krążący wokół słabiutkiego pomarańczowo-czerwonego słońca Bakunin, który otrzymał tę nazwę, dopiero gdy stanął na nim pierwszy

człowiek. I zajmował wysoką pozycję, skoro Dolbri znajdowało się bliżej niego niż reszta planet Konfederacji. Co jakiś czas pojawiali się tutaj naukowcy, by po pokonaniu wszelkich barier natury biurokratycznej i politycznej szukać namacalnych dowodów bytności Dolbrian w tutejszych górach bądź na dnie oceanów.

Nie zniechęcał ich nawet fakt, że do tej pory zdołano wydobyć zaledwie kilogram obrobionego przez Obcych kamienia. Było nie było, sto milionów lat to szmat czasu.

Poszukiwanie dolbriańskich artefaktów stało się także rozrywką znudzonych miejscowych bogaczy, zwłaszcza jeśli mieli nie po kolei w głowie. Z tego właśnie powodu nadawało się idealnie na przykrywkę dla znacznie poważniejszej akcji i tłumaczyło potrzebę zakupu sprzętu wydobywczego.

- Sądysz, że pod Górami Diderota mogą się kryć jakieś dolbriańskie ruiny? - zapytała Tetsami.

Dostrzegła uśmiech, a może było to tylko złudzenie spowodowane miganiem światła za szybą.

- Dolbrianie - odparł Dom - są mitem stworzonym po to, żeby wytłumaczyć istnienie kilku dziwnych formacji skalnych na Marsie, nie mówiąc już o tym, że idealnie wypełniają luki w teoriach dotyczących ewolucji na planetach nadających się do zamieszkania.

Nie była w stanie ocenić, czy mówił poważnie czy też żartował. Jak zwykle zresztą.

- Wierzysz w to?

Pokręcił głową.

- Już nie...

- Mógłbyś dokończyć to zdanie? - poprosiła Tetsami po kilku sekundach milczenia.

- Wybacz. Coś mi się przypomniało. Stare dzieje.

Uznała, że tym razem jej nie okłamał. Nie wiedziała niemal nic o jego przeszłości, ale gdy powiedział jej, że służył kiedyś w ZRW, zrozumiała, że tak będzie lepiej. Po rozmowie na dachu hotelu Waldgrave unikała jak ognia tematów dotyczących jego życia przed założeniem Godwin Arms & Armaments. Starła się też ukryć palącą ją mimo wszystko ciekawość.

Dominic musiał wyczuć to niewypowiedziane pytanie, a może po prostu miał nastrój do zwierzeń. W każdym razie rzucił sam z siebie:

- Byłem kiedyś na Cydonii.

- Byłeś? - Wbrew sobie poczuła, że jej zainteresowanie tematem nadal rośnie. I to bardzo.

Skinął głową.



- Dawno temu. Pracowałem wtedy jeszcze dla Rady Wykonawczej. Gdy atmosfera planety zrobiła się zdatna do oddychania, porzucono wiele starych bunkrów, baz terraformingu i obozów naukowych. ZRW wykorzystywała je czasem do organizowania tajnych spotkań. Służyły nam za kryjówki, służbowo i prywatnie. A najwięcej ich mieliśmy wokół Cydonii.

Tetsami nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Rozbawiła ją wizja szpiegów i tajniaków tłoczących się na terenie największego odkrycia archeologicznego. To było tak niedorzeczne...

- Gdy podzieliłem się wątpliwościami z moim przełożonym - kontynuował tymczasem Dom - zabrał mnie na równinę i pokazał mi Twarz. Stwierdził, że chce mnie tym sposobem nauczyć pokory.

Jechali przez moment w całkowitej ciszy, dopóki Tetsami nie zadała kolejnego pytania:

- I nauczył?

- Słucham?

- Nauczył cię pokory?

Usłyszała śmiech Dominika Magnusa. Po raz pierwszy od chwili, gdy go spotkała.

\*\*\*

Pechowa linia metra nie dotarła nigdy do kosmoportu w Proudhonie, gdzie miała być stacja końcowa. Tunel urywał się kilka kilometrów od rogatek miasta płataniną rusztowań i porzuconego na pastwę losu ciężkiego sprzętu. Finansowa zapaść dotknęła projekt zniecka, przerywając prace nad nim dosłownie w jednej chwili.

Dominic zaparkował antygrawa za wielkim kombajnem, którego jakimś cudem nie rozebrano jeszcze na części. Opuścił kabinę, by poszukać wyjścia prowadzącego na powierzchnię. Tetsami została sama pośrodku gigantycznego placu budowy.

Wyglądało na to, że są pierwszymi ludźmi, którzy odwiedzili to miejsce po upadku projektu. Jedno było pewne: nikt przed nimi nie dostał się tutaj od strony Godwina. Przeciwny kraniec linii, ciągnący się pod miastem, wypełniały śmieci, graffiti i od czasu do czasu siedliska bezdomnych.

Tutaj widoczny w zimnym świetle reflektorów ciężarówka tunel wydawał się dziewiczo nieskazitelny. Tam gdzie kończyły się rusztowania, jego ściany wyłożono równo jasnymi płytkami, nie brakowało też ani jednego elektromagnesu. Pasywne kręgi tkwiły niewzruszenie w białych plastikowych obudowach. Chromowane wykończenia wciąż lśniły spod grubej warstwy kurzu, który zbierał się na nich całymi latami. Dziesięć metrów za

pasem rusztowań, na samym końcu tunelu stał jeszcze ciężki kombajn, którym drążono tunel. Wyglądał jak gargantuiczny owad sholografowany podczas zabójczego ataku na ofiarę; jego macki, czyli wysięgniki, zamarty w połowie drogi do kamiennej ściany. Tego potwora nie zdołałby powstrzymać żaden masyw górski.

Tetsami otworzyła drzwi kabiny na szczycie bestii i wcisnąwszy się do środka, przesunęła wzrokiem po zakurzonej konsoli. Dopiero teraz dotarło do niej, dlaczego nie zabrano stąd kombajnu. Elektromagnesy osadzone w ścianach tunelu, mimo że płaskie, zwężyły jego przekrój o ponad metr. Ten gigant mógł opuścić podziemia tylko w częściach.

Hakerka się uśmiechnęła, siadając za sterami kombajnu, przesunęła też dłońmi po nieczynnych panelach sterujących. „Piękna jesteś, bestio”, pomyślała. Cylindryczny tułów maszyny spoczywał na gąsienicach, z dziobu wystawał tuzin ramion drążących uzbrojonych w lasery, głowice, wiertła. Całość była opancerzona lepiej od czołgu. To nie był delikatny pojazd. I dlatego tak się jej podobał.

Szkoda, że nie ma sposobu na wydobyć go z tej dziury.

Dominic wrócił po dłuższej chwili. Znalazł pochylnię prowadzącą na powierzchnię. Hakerka opuściła kabinę kombajnu, lecz wcześniej zauważyła na jednym z pulpity gniazdo biointerfejsu.

Szyb techniczny kończył się na łagodnym zboczu wzgórza, w stosunkowo rzadko zalesionym terenie. Dzięki temu mieli znakomity widok na panoramę Proudhonu, a zwłaszcza na rozległe tereny kosmoportu.

Tetsami po raz pierwszy ujrzała inne miasto. To znaczy osobiście, na własne oczy, gdy nie była podpięta do sprzętu, dzięki któremu załatwiała interesy.

Gdy schodzili w dół kamienistego zbocza, ich oczom ukazywały się kolejne części potężnego kompleksu przeladunkowego. Co kilka sekund startowała z niego albo lądowała na nim jakaś jednostka. Z tej perspektywy nie potrafili oddzielić kosmoportu od miasta. Może dlatego, że był nierozdzielalną częścią Proudhonu. Przypominał zmutowaną chromowo-neonową roślinę, której stalowe korzenie tuneli przenikały ziemię wokół, dając podstawę masywnym betonowym liściom lądowisk. Część z tych odnóży zagłębiała się w tkankę miasta, inne otaczały je ciasnymi pierścieniami. Położone w oddali stare pasy startowe przerobiono z czasem na szerokie aleje, uziemione na nich pasażerskie giganty adaptowano na luksusowe hotele, a te statki, które miały odpowiednią wysokość, stawały się nowymi wieżami kontroli lotów.

Nad całością czuwała gęstwina białych marmurowych wież stojących w centrum miasta - jedyna oaza porządku w tym morzu chaosu. Tam mieściła się siedziba Proudhon

Spaceport Development Corporation, kto wie, czy nie najbogatszego przedsiębiorstwa na tej planecie.

Tetsami rozboleła głowa na samą myśl o tym, jak trudno zapanować nad takim kolosalnym przedsięwzięciem. Proudhon Spaceport Development Corporation radziła sobie jednak doskonale nie tylko z ruchem, ale i z bezpieczeństwem lotów, którego strzegły dziesiątki wież z systemami obrony przeciwlotniczej.

- Wiesz, gdzie musimy dotrzeć? - zapytała Doma, gdy dotarło do niej, jak wielki jest kosmoport.

Skinął głową.

- Interes Mosasy jest tam.

Wskazał miejsce, gdzie miasto i port przenikały się wzajemnie. Na ogromnej idealnie płaskiej przestrzeni pomiędzy wieżami i pasmem gór stały rzędy zaparkowanych statków. Gdy Tetsami przyjrzała im się uważniej, zauważyła, że wszystkie te jednostki to... wraki.

Niektórym brakowało sterówek, inne pozbawiono sekcji napędowych, kabin albo podwozi. W wielu przypadkach wiek pozbawił maszyny wszystkich znaków rozpoznawczych, lecz sądząc po tych, które się zachowały, zezłomowane jednostki pochodziły ze wszystkich zakątków Konfederacji.

Niektóre mogły należeć kiedyś do floty wojennej, a spora część wyglądała, jakby je zestrzelono podczas działań zbrojnych.

Nikt nie zatrzymał pary przybyszy, gdy zeszli ze wzgórz i wkroczyli pomiędzy kadłuby od dawna martwych statków kosmicznych. Wokół panowała niesamowita cisza, nawet odgłosy tętniącego życiem kosmoportu zdawały się nie docierać na to cmentarzysko.

- Cholera - mruknęła Tetsami. - Tjaele Mosasa ma chyba koncesję na wybebeszenie wszystkich porzuconych albo zestrzelonych jednostek, które przewinęły się przez to miejsce.

- Umowa z ochroną Proudhon Spaceport była bardzo zyskownym przedsięwzięciem - usłyszała w odpowiedzi.

Ale ten głos nie należał do Doma.

Oboje odwrócili się równocześnie w kierunku nieco spłaszczonej sfery. Miała ponad metr średnicy w najszerszym miejscu. Lewitowała mniej więcej na wysokości oczu dziewczyny, kierując na nią co najmniej trzy różne sensory. Głos dobiegał spod pogiętych metalowych osłon.

- Dziewczyna i cyborg przybyli, by spotkać się z Mosasą?

„Cyborg? Czym to coś na nas patrzy?”

Urządzenie zaczęło krążyć wokół nich, zachowując taki dystans, by nie wpaść na

żadną z zezłomowanych maszyn.

- Obawiam się, że on zajęty - wyskrzeczowało. - Może w czymś pomóc?

Tetsami przyglądała się z niekłamaną fascynacją temu latającemu kawałkowi złomu. Jej zdaniem ktoś zamontował w nim napęd z małego antygrawu.

- Musimy się zobaczyć z Mosasą - oznajmił Dom.

Maszyna prychnęła pogardliwie, jakby ją uraził. To nasunęło hakerce przypuszczenie, że ktoś osobiście steruje latającym robotem. Jej zdaniem nie rozmawiali z oprogramowaniem.

- Może zapytać, kto o to prosi?

- Nie - odparł Magnus.

Urządzenie przechyliło się nieco, jakby chciało pokazać, że sarkazm nie jest mu obcy.

- Doprawdy? Ma mu przeszkodzić, ponieważ para włóczęgów bez imion, którzy nawet nie...

- Johann nas przysła - przerwał Dom ten wywód.

Robot natychmiast się wyprostował i odparł niemal rozdrażnionym tonem:

- Trzeba było od razu mówić. Za mną.

Po tych słowach latająca sfera obróciła się wokół własnej osi i ruszyła przejściem pomiędzy dwoma rzędami wraków na tyle wolno, by nadażyli za nią, przyspieszywszy nieco kroku. Gdy oddaliła się na dziesięć metrów, znów wykonała obrót i zapytała:

- Na co jeszcze czekają?

Poszli za nią.

- Ciekawe, jakim cudem to coś lata - dziwiła się Tetsami, gdy skręcali po raz kolejny między wraki, wędrując za prowadzącym ich urządzeniem.

Robot obrócił się wokół osi, nie zwalniając nawet na moment, i znów skierował na nich wszystkie posiadane sensory.

- Na imię ma Losowy Krok, panienko. Jest zaawansowaną holograficzną matrycą kryształową, pozostałością po Rasie, która już nie istnieje przez samą siebie. Obecnie partner w Korporacji Szabrowniczej Mosasy.

Robot skręcił po raz kolejny, a Tetsami poczuła zimny pot na plecach.

„SI? Ale to przecież...” Powstrzymała tę myśl, zanim doszła do słowa „nielegalne” albo - co byłoby jeszcze gorsze - „niemoralne”. Tutaj, na Bakuninie, nie istniało żadne prawo, które zabraniałoby Mosasie współpracować ze sztuczną inteligencją. To chyba jedyne miejsce w Konfederacji, gdzie nadal można to robić.

„Może dlatego, że ta planeta nie należy do Konfedu?”

Zważywszy na miejsce pochodzenia jej rodziców, takie myśli o sztucznej inteligencji

zakrawały na hipokryzję. Było nie było, wielu ludzi mogło Tetsami traktować bardzo podobnie. Gdyby oczywiście wiedzieli, skąd przybyła jej rodzina.

Minęli rozszabrowany wrak luksusowego liniowca i trafili na właściciela tego interesu stojącego na skraju kolistego placu.

Mosasa był wyjątkowo wysokim czarnoskórym mężczyzną o srogim obliczu. Nie miał żadnych włosów na głowie, nawet brwi. Za całe odzienie służyły mu szorty koloru khaki, pas z narzędziami i sześć kolczyków. Właśnie manipulował przy jakimś urządzeniu ustawionym na trójnogu. Namierzał nim stojącą po drugiej stronie placu ogromną sekcję napędową należącą kiedyś do okrętu wojennego.

Gdy obrócił się, by omieść wzrokiem gości, Tetsami zauważyła, że większą część jego lewego boku pokrywa tatuaż smoka. Gad połyskiwał i zmieniał barwy w bladym świetle Kropotkina. Wyglądało na to, że wydziergano go jakimś fotoreaktywnym tuszem. Szyja smoka oplatała kark Mosasy, a jego głowa kryła się za uchem. Gdy właściciel złomowiska spojrzął na nich, ujrzeli troje błyszczących oczu, z czego jedno należało do wytatuowanego gada.

- Pogadam z wami za chwilę - oświadczył czarnoskóry gigant, pochylając się ponownie nad trójnogiem. Urządzenie, które obsługiwał, wyglądało na miotacz promieni albo cząstek. Rozszerzający się ku górze torus, na który zostało skierowane, miał średnicę ponad dziesięciu metrów.

Robot - „Losowy Krok”, poprawiła się w myślach Tetsami - podleciał do niej i Doma i oznajmił bardzo wyniosłym tonem:

- Mówił, że zajęty.

„Świetnie - pomyślała hakerka - mamy do czynienia z drażliwym komputerem”. Co gorsza, wyglądało na to, że jest on nierozzerwalnie związany z Mosasą. Na myśl o tym, że będzie musiała pracować z nadętą sztuczną inteligencją, włosy zjeżyły się jej na głowie.

Złomiarz tymczasem nadal majstrował przy miotaczu.

- Co on robi? - zapytał Dom, kierując te słowa do latającego robota.

- Powie, jak się dowie, z kim rozmawia.

Magnus spojrzął na dziewczynę. Wzruszyła tylko ramionami. To było teraz jego przedstawienie. Wolą nie dawać okazji do tego, by zauważył, jak obco czuje się na tym terenie. Jakimś cudem udało się jej zachować spokój, gdy zaczęli wprowadzać w życie wymyślony przez nią plan, ale szczerze mówiąc, miała pełno w gaciach na samą myśl o tym, co zamierzają zrobić.

„Do tego jeszcze ta pieprzona sztuczna inteligencja, a czemu by nie?”

- Dadzą spokój - powiedział Losowy. - My zgrany zespół. Jeśli Johann ich tu przysłał, będą potrzebować obu.

- Dominik i Tetsami - przedstawił ich Magnus. - Powiem więcej, jeśli zgodzicie się dla nas pracować.

Mało brakowało, by hakerka podskoczyła ze strachu, gdy robot zatoczył wokół niej ciaśniejsze koło i zatrzymał się nie dalej niż trzy centymetry od jej twarzy.

- Tetsami?

Na całe szczęście nie pisnęła też z zaskoczenia.

- T... tak - wyjąkała.

Dominic spojrział na nią dziwnie, jakby po raz pierwszy zauważył jej ^łopotanie.

„Człowieku, czy ty naprawdę jesteś taki nieświadomy?”

- Zna to nazwisko, ale czy ona mówi o tej samej rodzinie, o której myślał?

Cholera. Nazwisko Tetsami było bardzo popularne na Dakocie, lecz na pozostałych planetach z Siedmiu Światów mało kto o nim słyszał. Jeśli jednak komuś chciałoby się przekopać przez historię dwudziestego pierwszego stulecia, a zwłaszcza przez okres Ludobójczej Wojny przeciw Rasie, mógłby trafić na kilku ważnych Tetsami. Dla całej reszty ludzkości było to tylko kolejne nic nie mówiące nazwisko. I dlatego nigdy nie myślała o jego zmianie.

Aczkolwiek, jeśli zważyć na fakt, że Tetsami została genetycznie zmodyfikowana, by móc operować bioelektronicznym interfejsem, oraz osobliwą harmonię, jaką mogła osiągnąć dzięki niemu ze sztuczną inteligencją Rasy...

To coś musiało ją znać. Było tak stare, że mogło brać udział w wojnie. Chciała coś powiedzieć, ale w ustach tak jej zaschło, że zdołała tylko skinąć głową.

- A to ci fart. Musi kiedyś pogadać o sprawach zawodowych, towarzyszko...

Ten twór znajdował się stanowczo zbyt blisko. Tetsami czuła, że zaczyna drzeć. Dominic wybawił ją jednak od najgorszego, wtrącając:

- Miałaś nam powiedzieć, co on robi.

- No tak.

Robot podleciał do Magnusa, dzięki czemu hakerka mogła w końcu odetchnąć. „To mnie zna - pomyślała. - Ta cholerna kulka mnie zna!”

Cofnęła się i przysiadła na rozmontowanym panczeru bojowym. Przesunęła palcami po bliznach pozostawionych przez dziesiątki mikrometeorów, jednym uchem słuchając wyjaśnień Losowego.

- ...innymi słowy próbuje tak przeprogramować pole Emersona, by mogło

zatrzymywać zwykle pociski.

- Wszyscy inżynierowie próbowali tego dokonać, odkąd udało im się powtórzyć Wyniki jego eksperymentów w warunkach laboratoryjnych - odparł Dom.

- Też mu to mówił - poparł go robot - ale on nadal przekonany, że pole może odbić energię kinetyczną cząstek.

- Ciekawe jak. Z tego, co wiem, tu chodzi o przechwytywanie czystej energii, Chociaż... gdyby doprowadzić do przesterowania...

- On też twierdzi, że to strasznie trudna sprawa. Odwróć się, bo jeśli ta próba skończy się jak wszystkie poprzednie...

Tetsami nie spoglądała w kierunku placu, lecz i ona poczuła podmuch potwornego gorąca po oślepiającym blasku, który był efektem trafienia w torusową sekcję napędową. Chociaż patrzyła w innym kierunku, refleksy odbijające się od piasku oślepiły ją na moment.

Obejrzała się, przecierając oczy. Spodziewała się widoku stopionego urządzenia, ale krąg nadal był na swoim miejscu, a Mosasa stał tuż obok aparatury i kiwając głową, sprawdzał tabele odczytów.

Latający robot przechylił się i obrócił kilkakrotnie o paręnaście stopni. Zachowywał się jak człowiek, który kręci ze smutkiem głową.

- Jest przekonany, że to tylko problem z oprogramowaniem - wyjaśnił.

Tetsami podniosła się ze zbroi i podeszła do Doma.

- Co spowodowało tak jasny błysk?

- Pole siłowe przekształcające kilka gramów węgla w energię - wyjaśnił, wskazując torus.

- Pole może dokonać czegoś takiego? - Poczuła, że mimowolnie sięga dłonią do noszonego na pasku generatora.

Nagle przestała czuć się bezpieczna.

Dominic dostrzegł jej reakcję i skwitował ją uśmiechem.

- Spokojnie, pola osobiste, nawet te produkowane dla wojska, skalibrowano tak, że są w stanie przyjąć długość fal emitowanych przez obiekty nie cięższe od pojedynczych elektronów.

- Poza tym - wtrącił Losowy - małe pole zostałoby przeładowane ładunkiem tej wielkości. Lepiej pogada z Mosasą, zanim on tak przejmie się wynikami testu, że zapomni o ich obecności.

Robot pognał w kierunku czarnoskórego mężczyzny i gigantycznego kręgu.

Tetsami nie spuszczała wzroku z torusa.

- To generator pola? Gdy zobaczyłam go po raz pierwszy, sądziłam, że to sekcja napędowa jakiegoś statku kosmicznego.

- I miałaś rację.

Spojrzała na Doma.

- Ta sama technologia, która pozwala twojemu generatorowi na powstrzymanie promienia laserowego, służy też do napędzania jednostek przestrzennych podczas lotów wewnątrzsystemowych, nie wymagających prędkości nadświatlnych. Z jednej strony masz plazmę albo wodór, z drugiej strumienie rozpędzonych fotonów.

- Aha - mruknęła hakerka.

- Masz dziwne luki w wiedzy. - Wzruszyła ramionami. - A twoje nazwisko mówi coś temu latającemu komputerowi.

- Ja ciebie nie pytam o przeszłość - wypaliła i zaraz tego pożałowała. Powinna zbyć go jakąś gładką odpowiedzią, a zamiast tego dodatkowo skupiła uwagę na problemie. Na szczęście Magnus nie zamierzał iść dalej tym tropem. Spojrzał na nią po prostu, skinął głową i zamknął temat.

Po chwili Losowy i Mosasa podeszli na skraj placu, umożliwiając mu rozpoczęcie negocjacji. Dwadzieścia minut później był o kilogram złota lżejszy, ale zyskał zgodę obu rozmówców.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

### **SPADOCHRON ZE ZŁOTA**

.Prawdziwi wrogowie są równie rzadcy jak prawdziwi przyjaciele”.

*Księga mądrości cynika*

„Łatwiej wybaczyć wrogowi niż przyjacielowi”.

William Blake (1757-1827)

Obiektywnie rzecz biorąc, ucieczka nie mogła pójść lepiej.

Wyłączywszy z akcji siebie, Hougland i Connera, Shane utworzyła trzydziestosześcioletnią lukę na północnym odcinku linii obrony. Jakimś cudem udało jej się też przeprowadzić jeńców między pozostałymi posterunkami. Funkcjonariusze ochrony GA&A zadbali o to, by w szeregach uwalnianych panowała cisza i porządek. Kathy pilnowała jedynie tyłów kolumny, wypatrując wysłanych przez pułkownika oddziałów, których zadaniem będzie wytropienie i zabicie uciekinierów.



Po godzinie marszu znaleźli schronienie w okolicznych lasach. Tutaj nie sięgały obiektywy satelitów szpiegowskich, ale nadal musieli uważać na przelatujące nisko wahadłowce. Shane pozwoliła, by dwaj oficerowie ochrony kompleksu poprowadzili kolumnę - ci ludzie chyba wiedzieli, dokąd powinni się udać - aczkolwiek, ku jej wielkiemu zdziwieniu, nie skierowali się wcale do Godwina. Ona także nie miała zamiaru tam iść. Zdawała sobie sprawę, że pułkownik skoncentruje wszystkie siły na przestrzeni łączącej kompleks GA&A i miasto. Równocześnie wiedziała, że nawet tak niespodziewany kierunek ucieczki nie uchroni ogromnej masy ludzi przed wykryciem, gdy poszukiwania rozpoczną się już na dobre. Oddalenie się od najbliższego ośrodka cywilizacji mogło tylko opóźnić ten moment.

Shane miała świadomość, że jej misja jest z góry skazana na niepowodzenie. Wciąż znajdowała się wystarczająco blisko kompleksu, by usłyszeć ogłoszenie alarmu.

Chroniła jednak ludzi uciekających w kierunku Gór Diderota, modląc się o cud.

I po kolejnych dwóch godzinach cud się zdarzył.

\*\*\*

Ucieczka nie mogła udać się lepiej. Pięć długich dni później Shane nadal tak uważała.

\*\*\*

Kathy Shane leżała wyciągnięta wygodnie na swojej pryczy, rozmyślając o szkoleniowych holo, które wyświetlano im na pokładzie Krwawego Przypływu, zanim wykonali skok na Bakunina. Tego rodzaju wykłady - poprzedzające zrzut ludzi na powierzchnię obcego globu - roily się zazwyczaj od propagandowych wtretów. Wszyscy dobrzy żołnierze wiedzieli o tym w skrytości ducha. Potrzebowali jednak tej odrobiny kitu, by uwierzyć, że znajdują się po właściwej stronie konfliktu i pomagają ofiarom, nie ich prześladowcom. Że sam Bóg stoi za ich plecami, zachęcając do kontynuowania misji. W takich sytuacjach człowiek wierzy w każde słowo, jakie usłyszy, albo okłamuje się, by w nie uwierzyć.

- Nie sądzisz, Murphy, że to wszystko wyglądało zbyt dobrze?

Pokaz był na tyle udany, że większość jej podwładnych zapomniała, czym naprawdę są nielegalne działania zbrojne.

Pokaz musiał być dobry, by jej ludzie nie kwestionowali rozkazów wydawanych przez pułkownika. I by święcie wierzyli, że mieszkańcy Bakunina zasługują na taki los.

Powinna była poprowadzić kilka innych odpraw, zanim pokazała im to holo. Zrozumiała, że zostali otumanieni, ledwie spojrziała im w oczy...

Bakunin, ojczyzna miliona zbrodni.

Bakunin, planeta, na której każdy człowiek to złodziej albo morderca.

Bakunin, ekonomiczna czarna dziura próbująca wciągnąć Konfederację w chaos anarchii.

Bakunin, miejsce, którego typowi mieszkańcy zastrzelą cię, zgwałcą, a potem jeszcze ukradną ci buty tylko dlatego, że nie ma tam prawa zabraniającego podobnych czynów.

Kiedy później Shane zobaczyła ich reakcje na rozkaz Dachama dotyczący likwidacji więźniów, zdała sobie sprawę, że jej podwładni postrzegają Bakunina bardziej jako emanację pierwszego kręgu piekieł niż kolejną zasiedloną planetę. Gdyby Klaus kazał im przeprowadzić nalot dywanowy z użyciem nuklearnych mikroglowic unicestwić cały kontynent, większość komandosów wykonałaby jego rozkaz, nie mrugnawszy nawet okiem. A ci, którzy mieliby jakieś opory, po prostu siedzieliby cicho.

Jej podwładni.

Zadrzała na całym ciele.

Pomieszczenie, w którym ją ulokowano, nie powstało z myślą o przetrzymywaniu więźniów. Materac, na którym leżała, unosił się na powierzchni elektrostatycznego fluidu o zmiennej lepkości i był o wiele wygodniejszy niż jej dawna koja na Krwawym Przypływie. Miała też do dyspozycji osobną łazienkę z nieograniczonym dostępem do gorącej wody. Oprócz tego otwartą wnękę kuchenną, dzięki której o każdej porze dnia i nocy mogła zamówić odpowiadający jej posiłek. Otrzymała nawet wielki zestaw holo umieszczony na ścianie naprzeciw wejścia.

Jedynym dowodem na to, że traktowano ją jak więźnia, były zamknięte na klucz drzwi.

Shane chyba po raz setny w ciągu minionych czterech dni zastanawiała się, co by było, gdyby po prostu odłączyła się od kolumny uciekinierów, kiedy wydostali się bezpiecznie poza perimetr. I po raz kolejny doszła do tego samego wniosku: idąc za nimi, dokonała właściwego wyboru. Wśród uciekinierów tylko ona była uzbrojona, gdyby ich tam zostawiła, nie mieliby żadnej osłony.

Uwalniając tych ludzi i doprowadzając ich do kryjówki w górach, zmarnowała karierę - co tam kariera, całe jej życie poszło się paść.

Na szczęście dla jeńców ich dawny szef, niejaki Dominic Magnus, dysponował jeszcze jednym obiektem, do którego kierował wszystkich ocalałych. Jej kolumna znajdowała się trzy godziny marszu od kompleksu GA&A, gdy patrol ukrytej komuny dostrzegł uciekinierów i zaprowadził do podziemnej kryjówki przez ciąg jaskiń, jakich wiele było w Górach Diderota.

Pech chciał, że dowódca patrolu dostrzegł także idącą na tyłach postać w zbroi. Bojownicy byliby ją usmażyli, gdyby nie reakcja uwolnionych jeńców, którzy murem stanęli w jej obronie. Zamiast egzekucji na miejscu usłyszała: „Dziękujemy, kapitanie Shane, proszę złożyć broń, kapitanie Shane, proszę się nie ruszać, kapitanie Shane, proszę za nami, kapitanie Shane, proszę zdjąć pancerz, kapitanie Shane, porozmawiamy później, kapitanie Shane...”.

W pewnym momencie zamknięto za nią drzwi i zostawiono ją w tym pomieszczeniu ubraną jedynie w przepoconą bieliznę. Od tamtej pory nie widziała ani nie słyszała ludzi, którzy ją pojмали. Jako że pomieszczenie miało dostęp do wody i żywności, mogli ją tu trzymać w nieskończoność.

Ale to więzienie i tak było lepsze od brygu na Krwawym Przypływie.

Przesunęła dłonią po głowie. Niesforny kosmyk wydał jej się dziwnie nie na miejscu. Siedziała tutaj tak długo, że włosy zdążyły odrosnąć. Zamiast przyciąć je na modłę Occisisa, uznała, że czas na zapuszczenie pełnej prostej fryzury. Poprzeczne pasy były symbolem przynależności do piechoty przestrzennej, więc zachowanie ich na głowie wydało jej się wysoce niestosowne w obecnej sytuacji.

Czekanie na to, by wreszcie coś się wydarzyło, działało jej na nerwy.

„Do licha, a jeśli o mnie zapomnieli?”

Zachichotała pod nosem. Bardziej prawdopodobne, że teraz, gdy poznała lokalizację ich kryjówek, będzie siedziała w tym pomieszczeniu, dopóki nie przeniosą wszystkich uwolnionych jeńców w inne bezpieczne miejsca. W takim wypadku mogliby ją nawet porzucić, zostawić w kompleksie kierowanym przez komputery na pastwę losu, do czasu wyczerpania zapasów wody i żywności. A mogły jej wystarczyć na kilka lat...

„Daj spokój, Kathy. Gdyby chcieli zachować to miejsce w tajemnicy, mogli ci po prostu strzelić w łeb”.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że rozumiała ich punkt widzenia. Sama nie zaufałyby sobie w podobnej sytuacji. Zdrada oficera korpusu wydałyby się jej wysoce nieprawdopodobna. Już prędzej uwierzyłyby w to, że pułkownik Dacham sfingował ucieczkę, aby znaleźć kryjówkę reszty pracowników GA&A. ZRW było zdolne do tego rodzaju sztuczek. Dlatego bez trudu przyjęła teorię, że ci ludzie mają ją za agentkę Klausa.

Naraz po raz pierwszy od pięciu dni drzwi otworzyły się na oścież. Jakby jej myśl uruchomiła systemy alarmowe. Zdziwiona Shane zeskoczyła z materaca i stanęła z dala od wejścia w postawie obronnej - jakby to mogło obronić ją przed strzałem z karabinu laserowego. Stała prawie naga - nie miała na sobie nic z wyjątkiem przydziałowej bielizny -

spoglądając prosto na rozsuwające się drzwi.

W progu pojawiła się ciemna sylwetka sierżant Marii Zanzibar, osoby, która wedle jej wiedzy pełniła funkcję szefowej ochrony tej komuny. Za nią stało dwóch przybocznych odzianych w czarne pancerze z monotworzywa. Obaj trzymali w dłoniach tępo zakończone miotacze laserowe. Z miejsca, w którym Shane stała, przypominały stare dobre griffithy 3A. Kathy nie miała jednak czasu, by przyjrzeć im się dokładnie, ponieważ Zanzibar przekroczyła próg i metalowe skrzydło znów przywarło do framugi.

Shane odprężyła się, ale tylko odrobinę.

Szefowa ochrony zatrzymała się tuż za drzwiami, patrząc jej prosto w oczy. W całej Konfederacji trudno byłoby znaleźć dwie bardziej różniące się od siebie kobiety. Zanzibar była smukła, wysoka, przypominała sylwetką zwinną panterę. Shane wyglądała przy niej jak buldog na sterydach. Barwę skóry również miały z przeciwległych krańców skali w tej kategorii ludzkich podziałów. Maria była czarna jak smoła, a Kathy potwornie blada. Tam, gdzie kapitan miała krągłości, sierżant była płaska jak decha. Rozbudowane mięśnie komandoski kontrastowały ze smukłością ciała szefowej ochrony. Shane wyglądała jak osoba zdolna do pokonania każdej przeszkody, Zanzibar jak kobieta, która potrafi je płynnie ominąć.

Maria miała na sobie szary kombinezon pełniący w tej komunie rolę munduru. W dłoni trzymała niewielką walizeczkę. Rzuciła ją chwilę później na materac i powiedziała:

- Ubierz się. Ktoś chce z tobą rozmawiać.

- Kto? - zapytała Kathy.

Szefowa ochrony nie odpowiedziała.

Shane zastanawiała się chwilę, czy nie odmówić, ale dość szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Co by jej to dało? Mogli tu wejść i wyciągnąć ją siłą, ubraną albo naga. Podniosła walizkę, spojrzała na Zanzibar i westchnęła głośno, gdy zrozumiała, że szefowa ochrony nie zamierza wyjść i zostawić jej samej. Odchyliła wieko i wyjęła darowane jej ubranie. Taki sam szary kombinezon.

Gdy zapięła ostatni rzep, Zanzibar skinęła głową. Drzwi natychmiast rozsunęły się z cichym sykiem, jakby ktoś tylko czekał na jej znak.

Szefowa ochrony szła przodem. Obaj uzbrojeni strażnicy maszerowali za plecami Kathy. Razem pokonali niekończący się labirynt korytarzy. Wiele z nich miało odnogi kończące się wylotami rur albo leżącymi luzem wiązkami końcówek kabli. Spora część lamp nie działała. Mijane elementy wyposażenia wyglądały, jakby ktoś właśnie wyjął je z kartonów po bardzo długim okresie składowania.

Z tego, co Shane widziała, przemierzali jedną z klasycznych samowystarczalnych komun, od których roilo się na niegościnnej powierzchni Bakunina. Pod tym kompleksem - co zauważyła, gdy wprowadzano ją i uwolnionych jeńców - znajdowały się szyby wiodące do zbiorników wód gruntowych oraz podziemne reaktory. Jak pamiętała, tego typu siedziby prawie nigdy nie miały części powierzchniowej.

Krótko mówiąc, była to idealna kryjówka, o której istnieniu pułkownik Dacham nie miał bladego pojęcia. Gdyby było inaczej, to miejsce zamieniłoby się już dawno w dymiący radioaktywny krater.

Shane poczuła perwersyjną radość na myśl o tym, że większość personelu korporacji GA&A zniknęła z powierzchni planety - przynajmniej z punktu widzenia jej dawnego przełożonego.

Po jakimś czasie wygląd korytarzy uległ pewnym zmianom. Zamiast pomieszczeń mieszkalnych mijali teraz biura, w końcu skorzystali też z windy. Zanzibar odezwała się do panelu kontrolnego w języku, którego Shane zupełnie nie знаła, i kabina ruszyła w górę.

Jechali.

I jechali.

Po mniej więcej dwudziestu piętrach mechaniczny głos oznajmił, że minęli poziom ziemi. Wyświetlacz zmienił kolor, ale kabina nie zwolniła. Zatrzymali się kolejne dwadzieścia pięter wyżej.

„Mają tutaj penthouse”, pomyślała Kathy.

Gdy drzwi się rozsunęły, nie zobaczyła jednak luksusowego apartamentu, aczkolwiek nie mogła powiedzieć, że trafiła w zupełnie nieznanne miejsce. Przed sobą miała przezroczystą, niewątpliwie opancerzoną przegrodę, za którą widziała typowe centrum dowodzenia - być może stąd zarządzano całą komuną.

Zanzibar natychmiast poprowadziła ją dalej, lecz Shane zdążyła zauważyć, że w zatłoczonym pomieszczeniu są holo monitorujące ruch powietrzny, obrazy z kamer umieszczonych na perymetrze, wskaźniki kontroli reaktorów oraz... co najmniej kilka programów rozrywkowych nadawanych przez lokalne stacje.

Gdy Kathy minęła przegrodę, nagle dotarło do niej, że towarzyszący im strażnicy gdzieś zniknęli.

Zanzibar poprowadziła ją w głąb korytarza, za trzy kolejne posterunki i dwie wzmocnione grodzie. W końcu, gdy minęły już więcej zabezpieczeń, niż trzeba było pokonać, aby się dostać na pokład Krwawego Przyływu, szefowa ochrony zatrzymała się przed nieoznakowanymi drzwiami.

Za nimi mieścił się bogato wyposażony gabinet. Jego podłogę zasłano grubymi wykładzinami, na ścianach wisiały wielkie lustra i ozdoby z pozaplanetarnego drewna. Za biurkiem w głębi pomieszczenia, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, zobaczyła... Klausę Dachama.

Zamarła, ale tylko na kilka sekund. Mężczyzna po drugiej stronie blatu był nieco wyższy i bardziej barczysty od pułkownika. Miał też mniej zmarszczek na twarzy i gładsze dłonie.

Był jednak tak podobny do pułkownika jak jego rodzony syn.

Mężczyzna wskazał jej krzesło stojące przed biurkiem, mówiąc:

- Proszę siadać.

Gdy Shane zrobiła krok do przodu, drzwi za jej plecami zamknęły się z cichym sykiem. Wszystkie mięśnie jej ciała napięły się na ten dźwięk. Spojrzała przez ramię. Dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo jest zdenerwowana. Serce waliło jej jak oszalałe, twarz miała czerwoną, czoło spocone...

„Można by pomyśleć, że zaraz ruszę do walki”.

Przeniosła wzrok na człowieka za biurkiem. Przyglądał się jej piwnymi lśniącoymi oczyma, które niewiele różniły się barwą od drewnianych elementów wystroju.

„Kto wie, czy to nie prawda”.

Zajęła oferowane jej miejsce i nagle dotarło do niej, z kim ma przyjemność.

- Pan Dominic Magnus, jeśli się nie mylę? Prezes Godwin Arms & Armaments.

Skinął głową, szybko, ledwie dostrzegalnie.

- Pani kapitan Katherine Shane, jedna z osób dowodzących operacją, której celem było pozbawienie mnie tego tytułu. - Bezbarwny ton, jakim wypowiadał te słowa był o wiele bardziej przerażający niż wrzaski pułkownika.

- Zdaje się, że pozbawiono mnie tego stopnia - odparła.

Znów skinął głową, w identyczny sposób.

- Na to wygląda.

Do cholery. Czy on także ma ją za wtyczkę? Naprawdę uważa, że uwolnienie wszystkich jeńców było zmyłką potrzebną do tego, by ją tutaj przyprowadzili?

„Cóż - pomyślała Shane - ja przyjąłabym takie założenie”.

- Uwalniając moich pracowników, dokonała pani rzeczy wielkiej - kontynuował tymczasem Magnus. - Zostanie pani za to oskarżona o zdradę, bunt i dezercję, nie mówiąc już o wielu innych pomniejszych zarzutach.

Kathy wyprostowała się na krześle.

- Reagowałam na nieleganie wydany rozkaz, sir.

„Co ty wyprawiasz? Dlaczego usprawiedliwiasz się przed tym człowiekiem?”

- Mogła pani po prostu odmówić wykonania rozkazu. Nie musiała pani pomagać wrogowi.

A jeśli to jednak jest pułkownik? Przebrał się, by ją zadreńczyć.

- Taka odmowa także skończyłaby się degradacją i osadzeniem w brygu, sir.

- Ale mogłaby pani przynajmniej dowodzić swoich racji. Żaden sąd polowy nie skazałby pani za taką odmowę.

- Gdybym to zrobiła, miałabym ośmiuset zabitych cywili na sumieniu, sir.

- Za zdradę karze się śmiercią, kapitanie.

- Sądzi pan, że mogłabym żyć z taką plamą na sumieniu, sir?

Tym razem cisza trwała nieco dłużej.

- Proszę wyrzucić mi przysługę i przestać zwracać się do mnie per „sir” - powiedział Dominic, zanim zrobiło się bardziej niezręcznie.

- Jak zatem mam się do pana zwracać?

- Dom, panie Magnus, ej, ty tam... W naszej sytuacji „sir” nie wydaje mi się najodpowiedniejsze. - Wstał i zerknął w długie lustro wiszące na ścianie za jego fotelem. Założył dłonie na plecach, palec jednej drgał mu rytmicznie. - Proszę wybaczyć te pytania, ale chciałem sprawdzić pani kondycję psychiczną.

- Po co to panu?

- Zaraz do tego dojdziemy. Najpierw chciałbym wyrazić ogromną wdzięczność za uratowanie moich ludzi.

- To nie było...

- Wiem, przez co musiała pani przejść przed podjęciem tej decyzji. Sam znalazłem się w bardzo podobnej sytuacji piętnaście lat temu. Wiem też, jakie rany może ona spowodować.

Opuścił ręce. Shane milczała. Pułkownik Dacham osobiście poprowadził odprawę na temat tego człowieka. Dlatego wiedziała, że Magnus był przed piętnastu laty wysoko postawionym funkcjonariuszem Ziemskiej Rady Wykonawczej. Zdaniem pułkownika stał się zdrajcą, zaczął zwalczać wszystko, na czym opierała się Konfederacja, i tak dalej, i tak dalej. Przypomniawszy sobie te słowa, Kathy poczuła mimowolną sympatię do stojącego przed nią człowieka. A ten obrócił się ponownie i oparł dłonie o blat biurka.

- Do takich decyzji nie dojrzewa się w jednej chwili.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - Czyżby zamierzał ją o coś oskarżyć? Nie, to nie zabrzmiało zbyt groźnie. Ten facet potrafił ukrywać emocje, nawet kiedy mówił.

- Musiała pani stracić ochotę do dowodzenia swoimi komandosami na długo przed podjęciem tej decyzji.

- Ale... - zaczęła Kathy, chcąc zaprotestować, mimo że podświadomie czuła, iż Dominic Magnus ma rację. Od bardzo dawna, chyba od chwili awansu na pierwszy stopień oficerski, tliło się w niej narastające uczucie zawodu. Co do służby, jak i co do siebie. W rzadkich przyływach szczerości wobec siebie przyznawała, że jest nikim więcej jak najemnikiem aktualnego rządu. Ile czasu upłynęło od chwili, gdy po raz ostatni uwierzyła w treść raportów przekazywanych jej na odprawach? W to, że walczy po stronie dobrych ludzi?

No właśnie: ile?

Całe lata.

Dominic kiwał głową, jakby słyszał, o czym teraz myślała.

- Komu pozostajesz wierna, Shane?

Dobre pytanie. Zastanawiała się nad tą kwestią już od dłuższego czasu. Na pewno nie chodziło o Konfederację, którą postrzegała jako samonapędzającego się biurokratycznego molocha zainteresowanego wyłącznie zachowaniem obecnego *status quo*. Podobnie było z rządami planetarnymi zasługującymi w zdecydowanej większości na obalenie przez buntowników, tych samych, których kazano jej zabijać. A już na pewno nie była wierna ZRW. I siłom specjalnym z Occisisa też. Poczowała ogromne zaskoczenie, gdy zdała sobie z tego sprawę, ponieważ dawno temu korpus był dla niej całym światem i czuła się zaszczycona, gdy wstępowała w jego szeregi. Morze czasu upłynęło od chwili, gdy po raz ostatni czuła dumę, że jest komandosem. Dziesięć kolejnych bezsensownych wojenek, w których uczestniczyła, pozbawiło ją złudzeń.

Pozostało jej już tylko jedno. Jeden cel, któremu mogła być wierna.

- Moim ludziom - odparła. Jej podwładnym, jej drużynie, jej podoficerom, jej przyjaciółom. Wszystkim tym, którzy stali się nagle obcy, gdy pułkownik Dacham przejął dowodzenie. Naraz poczuła, że łzy kręcą się jej w kącikach oczu. Miała nadzieję, że Magnus tego nie zauważył. - Moim ludziom - powtórzyła znacznie chłodniejszym tonem.

- Znakomicie - odparł Dominik. - To jedyna rzecz warta poświęcenia. - Zapadł się ponownie w głęboki fotel, kiwając głową. - Co zatem chciałabyś teraz zrobić, Kathy?

Zacisnąc dłonie na szyi Klausea Dachama i walić jego łbem o gródź, dopóki mózg nie zacznie wypływać uszami.

- Nie wiem - wyszeptała.

Splótł palce i spojrzał na nią znad uderzających o siebie opuszek.

- Mogę mieć propozycję, która cię zainteresuje.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

# LOJALNA OPOZYCJA

„Przyszłość jest zemstą przeszłości”.

*Księga mądrości cynika*

„Jesteśmy trupami na przepustce”.

Włodzimierz Lenin (1870-1924)

Dominicowi Magnusowi nie zależało na werbowaniu Shane, lecz zrobił to, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Na pierwszy rzut oka ruch ten wydawał się kompletnie bezsensowny, ponieważ pozostałych wciąż potencjalnych członków zespołu dobierał z ogromną ostrożnością.

Może zrobił to, ponieważ poczuł empatię wobec kobiety, która musiała wyrzec się Konfederacji, podobnie jak on kiedyś uczynił.

„Tyle że ona miała szczęście i mogła podjąć decyzję, zanim zginęli ludzie”.

Ale gdy wyciągał do niej rękę, instynkt szefa korporacji znów wziął górę i Dom zrozumiał, że nie może się już wycofać. Nie skorzystał nawet z tego, że zaskoczona Shane nie chciała początkowo przyjąć jego oferty. Zabawił się za to w adwokata diabła i zaproponował jej coś, czego nie mogła odrzucić.

To nie będzie akt zdrady, przekonywał. Jeśli weźmie udział w tym skoku, pomoże ocalić życie wielu swoich dawnych towarzyszy broni. To może być nawet akt skruchy z jej strony.

Dominic znenawidził siebie za te słowa już w chwili ich wypowiedzenia. Była taka bezbronna, a on mieszał jej w głowie...

Wiedział jednak, że ta korporacja jej potrzebuje. Tak samo jak jego ludzie.

Nie przestał jej kusić nawet wtedy, gdy wyznała mu, kto dowodził operacją przejęcia GA&A.

\*\*\*

Dominic opuścił miejsce spotkania mocno zdziwiony, że potrafił zachować taki spokój. Przeszedł do części obserwacyjnej, bezwiednie zaciskając dłonie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu tiki należały do jego najmniejszych zmartwień.

Drzwi odsunęły się bezgłośnie, odsłaniając Tetsami i Zanzibar. Obie kobiety siedziały przed wielkim lustrem weneckim, tym samym, które wisiało za biurkiem w sąsiednim

gabinecie. Widział przez nie Shane siedzącą w pomieszczeniu, które opuścił. Nadal wyglądała na oszłomioną. Dominic pomyślał nawet, że może to być efekt jego niespodziewanego wyjścia.

Zanzibar siedziała przed konsolą systemu monitorowania, lecz nie zwracała w tym momencie uwagi na wykresy zapisów ciśnienia krwi obserwowanej komandoski, zmian pola elektrycznego jej skóry, rozszerzenia źrenic i tym podobnych reakcji. Zamiast tego spoglądała Domowi prosto w oczy z bardzo, ale to bardzo zatroskaną miną.

- Sir... - Nawet jej głos był znacznie cichszy niż zazwyczaj. - Ona mogła kłamać, mówiąc o...

- Odprowadźcie ją do jej pokoju. Dokończę to przesłuchanie w innym terminie. - Magnus wypowiedział te słowa wolno i z rozmysłem. Nie miał pewności, czy zdoła utrzymać kontrolę nad ustami.

Maria przyglądała mu się dłuższą chwilę, potem skinęła głową i wyszła.

Tetsami spojrzała na siedzącą za lustrem komandoskę.

- Jesteś pewien, że mieszanie jej w nasze sprawy nie okaże się błędem?

- Ona ma bezcenne informacje.

- A jeśli jest podstawiona?

- Nie jest - wycedził Dom lodowatym tonem.

Tetsami obróciła się powoli i spojrzała mu w oczy, prosto w oczy po raz pierwszy, odkąd otworzył drzwi. Na jej twarzy widać było to samo zatroskanie, które Magnus wcześniej zauważył u Zanzibar. W tym momencie zrozumiał, że znów drga mu policzek.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Gdyby była podstawiona, nie wspomniałaby o moim... - Dom przytknął drżącą dłoń do twarzy. - Nie powiedziała mi o Klausie Dachamie.

- Czy mogę...

- Potrzebuję chwili spokoju - wyszeptał w odpowiedzi.

- Ale...

- Wyjdź!

Tetsami ominęła go. Wyglądała tak, jakby nie potrafiła zdecydować, czy powinna się bać czy raczej zignorować jego wybuch. Zniknęła za drzwiami, zanim Dom zauważył, która z tych opcji w końcu przeważała.

Został sam w pokoju obserwacyjnym.

- Klaus... - wyszeptał.

To imię z trudem przeszło mu przez krtani.

Widział, jak Zanzibar wchodzi do gabinetu i wyprowadza z niego Shane. Maria знаła go od prawie dziesięciu lat, ale z pewnością nie wiedziała, jakie myśli błakają mu się teraz po głowie. Pokazał jej tylko skraj rany na duszy, którą zawdzięczał Klausowi Dachamowi. Tetsami w ogóle nie wiedziała, o co tu chodzi.

A Shane...

Jej zdaniem przejęcie GA&A było pierwszym etapem jakiejś większej operacji ZRW.

„Czy to ma jakieś znaczenie? Na przykład dla Klause?”

Śmierć Helen Dacham odbiła się mocno na obu jej synach. Na Klausie chyba bardziej niż na nim. Zadziwiająco, jak taka tragedia potrafi wyostrzyć pamięć, przypomnieć zdarzenia, które dawno powinny zostać zapomniane.

Helen wychowywała ich samotnie, ale nie była zbyt dobrą matką. Miała skłonność do okazywania skrajnych emocji. Chłapa. Biła swoich synów. Zmuszała ich do zebrania wśród turystów z Waldgrave.

Rada Wykonawcza była jedyną nadzieją na ucieczkę spod jej kurateli. Dla niego i dla Klause.

Ucieczka...

Uciekał od tak wielu lat.

Dominic trzymał dłonie na oparciu fotela, na którym przed chwilą siedziała Zanzibar. Lewą zacisnął tak mocno, że obicie zagłówek zetknęło się z metalowym szkieletem.

To było największe osiągnięcie Doma w ZRW. Zdołał „zdławić” wojskową rebelię na Styksie, nie tracąc nawet jednego agenta. Dali mu nawet pochwałę za sprawne przeprowadzenie chirurgicznego uderzenia.

Pławił się w blasku chwały, gdy otrzymał wiadomość, że Helen Dacham była w tym czasie na Styksie, właśnie w Perdition.

W mieście, które już nie istniało.

Zdezercerował z ZRW i żył na obrzeżach Konfederacji, dopóki...

Po raz pierwszy od dziesięciu lat musiał stawić czoło czemuś zgoła nieoczekiwanemu. I po raz kolejny stał za tym jego brat. Przeniósł wzrok na pusty gabinet i zdał sobie sprawę, że drży na całym ciele.

- Mój Boże, Klaus. Jeszcze ci mało? - Pociągnął oparcie krzesła i bez trudu wyrwał je z piasty w podłodze. Metal miażdżony jego lewą dłonią zachrzęścił głośno. Dominic prawie nie poczuł, że pseudociało na jego palcach pęka.

„Przecież już raz mnie zabiłeś!” Walnął krzesłem w lustro odgradzające go od sąsiedniego pomieszczenia. Było pancerne, więc mebel odskoczył od niego. Odbijany obraz

zafalował gwałtownie, a na konsoli zapaliło się kilka czerwonych kontroltek. Magnus zamachnął się krzesłem po raz kolejny.

*- Dlaczego mi to robisz, Klaus?*

*- Nie wiesz?*

*- Chodzi o Radę?*

Brat roześmiał mu się w twarz.

Krzesło drugi raz zderzyło się z lustrem weneckim. Odbiło się ponownie, pozostawiając jednak niewielkie zagłębienie na szklanej tafli.

*- Handel bronią jest na samym końcu listy zainteresowań Rady. Tym razem to sprawa osobista. - Klaus przestał się śmiać.*

*- O czym ty mówisz? - Jonah zrobił krok w kierunku poręczy, zastanawiając się cały czas, gdzie jest jego ochrona. Wypadł z gry po wydarzeniach na Styksie. Pięć lat temu. Brata nie widział jeszcze dłużej.*

*- Mogłeś ją ocalić, Jonah.*

*Boże, nie.*

Dominic zamachnął się jeszcze mocniej. Huk zderzenia był znacznie głośniejszy niż poprzednio. Z pęknięć w szklanej tafli posypał się biały pył. Widok sąsiedniego pomieszczenia nie był już jednolity, mienił się też wszystkimi kolorami tęczy. Gdzieś w oddali zawyła syrena.

*- Co ja, co ktokolwiek mógł zrobić w tej sytuacji?*

*- Zamknij się. Zginęła przez twoją cholerną operację na Styksie!*

*- Zastanów się, co mówisz! To była tajna akcja. ZRW nie mogło...*

Dominic zamachnął się po raz czwarty i lustro pękło z hukiem.

*Pistolet Klause wypalił, a Jonah przeleciał przez barierkę z wielką dziurą w barku.*

Krzesło przebiło się przez barierkę w asyście miliardów odłamków polimerowego szkła.

*Jonah spadał, obracając się wokół własnej osi. Nad sobą widział idealnie błękitne niebo. Pod nim znajdował się zielonkawy szlam zbiornika rekultywacyjnego.*

*Błękit, zieleń, błękit, zieleń.*

Odłamki lustra migotały, opadając na podłogę. Wyglądały jak zmutowane kryształki lodu podczas zimowej zawieruchy, raz były przezroczyste, raz odbijały otoczenie. Szkło, lustro, szkło, lustro.

*Błękit, zieleń.*

*Szkło, lustro.*

*Wpadł do zbiornika rekultywacyjnego. Specjalne szczepy bakterii zaczęły go trawić.  
Poczuł ból.*

Usłyszał głośny trzask, gdy tafla rozbitego szkła zderzyła się z podłożem. Krzesło odbiło się od biurka stojącego pośrodku gabinetu i także wylądowało na podłodze. Syrena wciąż wyla w oddali.

Dominic uniósł lewą dłoń. Z pęknięć sztucznej skóry sączył się bezbarwny płyn. pigment znów był wyłączony, mógł więc zobaczyć kryjący się we wnętrzu jego ciała chromowany szkielet.

Chciał zapłakać, ale nie potrafił.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

### **SZKLANE SUFITY**

„Najbardziej nienawidzimy tych,  
którzy bardzo nas przypominają”.

*Księga mądrości cynika*

„Od siebie różnimy się nie mniej niż od innych”.

Michel de Montaigne (1533-1592)

Gdy Zanzibar wyprowadziła Shane z sali przesłuchań, Tetsami ruszyła za nimi. Chwilę później o mało nie dostała zawału, słysząc zawrozczenie syren alarmowych.

Idąca kilka metrów przed nią szefowa ochrony przystanęła i nasłuchiwała przez chwilę, przekrzywiwszy lekko głowę.

- Nie ma powodów do obaw - powiedziała, obracając się do hakerki.

„Sądząc po wyrazie twojej twarzy, paniusiu, jest wręcz przeciwnie”.

Tetsami powstrzymała się od kąśliwego komentarza. To równie dobrze mogła być prawda. Przynajmniej z jej punktu widzenia. Jedynym człowiekiem, któremu coś groziło w tym właśnie momencie, był Dom. Problemy psychiczne, z którymi borykał się obalony prezes, osiągnęły przed chwilą apogeum.

Jadąc windą w towarzystwie Zanzibar i uwięzionej komandoski, Tetsami uznała, że ma już dość cholernych niespodzianek. Takich jak ukryty kompleks Doma i jego polisa ubezpieczeniowa. Ilekroć zaczynała wierzyć, że Magnus traktuje ją jak pełnoprawnego współlnika, i w to, że otrzyma równorzędny udział po podziale łupów, zdarzało się coś, co przypominało jej o tym, jak bardzo nie pasuje do tego układu.

To był jej skok, do jasnej cholery. Tak, to prawda, Dom wspiera tę operację finansowo, ale bez jej udziału niczego by nie wskórał. Nie wiedziałby nawet, co będzie potrzebne do przeprowadzenia włamu. Gdyby jakaś inna grupa wolnych strzelców planowała ten skok, to ona stałaby na jej czele.

Tyle że Magnus nie był jednym z wolnych strzelców operujących na terenie Godwina. Miała do czynienia z prawdziwym dyrem, który musiał dominować nad wszystkim i wszystkimi wokół. I któremu przychodziło to z naturalną łatwością.

Czasami miała ochotę go udusić.

- Skoro udało nam się dotrzeć niepostrzeżenie do Proudthonu, w drodze powrotnej spróbujemy zajrzeć do kryjówki, w której powinno być kilku moich ludzi - powiedział nie tak dawno temu.

„Kilku, akurat”.

Jak się wkrótce okazało, w „kryjówce”, czyli w gigantycznej komunie, w którą Dom sporo zainwestował na przestrzeni minionych lat, przebywało więcej niż „kilku ludzi”, bo niemal półtora tysiąca uciekinierów z zaatakowanego kompleksu GA&A.

Ten gnojek miał schron, o którym wiedział tylko on i szefostwo ochrony. Tak na wszelki wypadek, jakby spodziewał się podobnego krachu. Innymi słowy, kupił go sobie na własność. Komuna Diderot musiała kosztować o wiele więcej, niż zwróciła mu ubezpieczalnia.

Winda zatrzymała się na jednym z poziomów mieszkalnych. Zanzibar odprowadziła eskortowaną komandoskę do jej pokoju - a może Kathy była już sprzymierzeńcem? Gdy drzwi zasunęły się ponownie, hakerka i szefowa ochrony zostały same na korytarzu. Wokół nie było widać uzbrojonych strażników, co zdawało się potwierdzać przypuszczenia na temat zmiany statusu więźniarki.

Maria przyjrzała się swojej towarzyszce z wyraźną dezaprobatą.

- Znajdziemy ci jakiś kąt na noc, potem dostaniesz dostęp do komputerów systemu ochrony.

Tetsami wzruszyła ramionami. Zanzibar była kolejną niespodzianką, która jej się nie spodobała, choć nie potrafiła jeszcze powiedzieć dlaczego.

Aczkolwiek to ostatnie nie do końca było prawdą. Hakerka doskonale wiedziała, dlaczego nie lubi szefowej ochrony. Ta kobieta znała Doma o wiele lepiej niż ona. Głupi powód do irytacji, jeśli się głębiej nad tym zastanowić. W końcu Maria współpracowała z Magnusem od założenia GA&A.

- Chodź ze mną. - Zanzibar przywołała ją machnięciem ręki.

Idąc kilka kroków za nią, hakerka uznała, że wysoki wzrost tej kobiety może być kolejną przyczyną animozji.

- Ty mnie chyba nie lubisz? - rzuciła, zadziwiając samą siebie bezpośredniością.

Szefową ochrony także tym zaskoczyła. Maria zatrzymała się w pół kroku i spojrzała przez ramię. Stały w jednym z wszechobecnych na wpół wykończonych korytarzy, które wyglądały jak zapchane cholesterolem arterie podziemnej komuny.

- Skąd to przypuszczenie?

- Daj spokój. Odkąd się tu znalazłam, traktujesz mnie jak zakaźnie chorą osobę... albo nie, jak natrętnego akwizytora. Masz taką minę, jakbyś chciała zamknąć mnie z tą cholerną komandoską.

Zanzibar pokręciła głową i ruszyła dalej.

- Przesadzasz.

- Akurat. Gdybyś wypowiedziała te słowa odrobinę chłodniejszym tonem, język by ci w gębie zamarzał.

Tym razem szefowa ochrony nie zwolniła kroku. Rzuciła jednak miazdzące spojrzenie przez ramię.

„Rób tak dalej - pomyślała Tetsami - zrażaj do siebie ludzi Doma. Przecież dopiero co zasugerował, że Zanzibar powinna być członkiem zespołu...”

O to chodziło. To ona planowała ten cholerny skok. I nie cierpiała szefowej ochrony. Totalnie. A sądząc po ostatnim spojrzeniu, mogła liczyć na wzajemność.

\*\*\*

Tetsami spędziła resztę dnia w maleńkim module mieszczącym się w samym sercu komuny. Jej zdaniem pokój ten nie różnił się niczym od celi, w której przetrzymywano kapitan Shane. Zanzibar dopisała hakerkę do listy osób posiadających dostęp do systemu ochrony, ale zrobiła to z taką miną, jakby amputowano jej którąś z kończyn. Oczywiście bez znieczulenia.

Gdy Tetsami została w końcu sama, od razu sprawdziła, czy może otworzyć drzwi.

- Żeby nie było niedopowiedzeń - mruknęła, siadając w fotelu przed wbudowanym holo.

W podłokietniku miała wmontowanego pilota. Włączyła urządzenie, przelatując kolejno lokalne programy. Nie skupiała się jednak na prezentowanych treściach. Przestała naciskać klawisz, gdy sygnał dwóch stacji nałożył się na siebie, jakby ktoś chciał udowodnić, że ma mocniejszy nadajnik od konkurencji.

Gapiała się na tęczowe obrazy, rozmyślając o robocie, którą wykonywała.

Obiektywnie rzecz biorąc, radziła sobie całkiem dobrze. Kolejni ludzie, których będą potrzebowali, zgadzali się na udział w skoku. I jeśli nawet nie lubiła Zanzibar, musiała przyznać, że ktoś taki jak dawny szef ochrony GA&A będzie cennym nabytkiem dla zespołu. Czy istnieje ktoś bardziej odpowiedni do tej roboty?

Shane, dezenterka z oddziałów, które przejęły korporację Doma, także powinna się znajdować wysoko na jej liście.

Pomimo niechęci do sztucznej inteligencji... nie, chwila, to określenie było stanowczo zbyt łagodne. Te twory były przerażające, ohydne i bała się ich jak diabeł święconej wody. Mimo że czuła odrazę na samą myśl o latającym robocie Mosasy, wiedziała także, że nikt nie poradzi sobie lepiej z komputerami niż Losowy, stworzona przez Rasę maszyna obdarzona sztuczną inteligencją. Z tego właśnie powodu zabroniono tym twórcom wstępu na terytorium Konfederacji. Za posiadanie sztucznej inteligencji groziła w niej kara śmierci.

„Za to i za manipulowanie w genach istot inteligentnych - dodała w myślach. - No przyznaj wreszcie, że nie cierpisz zabaweczki Mosasy, ponieważ za bardzo przypomina cię. Przypomina ci, że nie do końca jesteś człowiekiem”.

Obwody Losowego były liczącym setki lat reliktem, podobnie jak jej geny. Jej ród powstał w okresie, gdy niemal każda nacja próbowała - nieudolnie zresztą - stworzyć życie.

Gdy nastał czas Wojen Zjednoczeniowych, dowództwo ONZ zdecydowało, że gmeranie w genomie człowieka nie jest dobrym pomysłem. Każdego obywatela, któremu coś zmodyfikowano, pakowano w transportowce i wysyłano na drugi koniec najdłuższego tunelu czasoprzestrzennego, dodając mu do towarzystwa pozostały niechciany element.

W efekcie tych posunięć genetyczni wygnańcy zasiedlili Tau Ceti, system, w którym szczęśliwym trafem krążyły aż dwie planety nadające się do zamieszkania. Rodzina Tetsami trafiła na skutą wiecznymi lodami Dakotę razem z większością ludzi poddanych działaniu inżynierii genetycznej. Pozostali wydziedziczeni zajęli Haven, a potem pięć kolejnych planet w sąsiednich systemach.

Siedem Światów jest dzisiaj jedną z pięciu potężnych frakcji Konfederacji.

Rodzice Tetsami uciekli z Dakoty - a było to naprawdę nieprzyjemne miejsce rządzone twardą ręką przez jeden z najbardziej despotycznych reżimów Konfedu - i przybyli tutaj, na Bakunina. Dzięki genetycznemu i technologicznemu dziedzictwu znaleźli doskonale płatne i bardzo cenione posady w sektorze hakerstwa bojowego.

Te prestiżowe stanowiska, jak się okazało, doprowadziły w końcu do ich śmierci.

Gdy Ivor Jorgenson przemycił ją z tego pobojuwiska, Tetsami była zbyt młoda, by w pełni zrozumieć, co się wokół niej dzieje. Po latach, mimo jego nalegań, poszła w ślady



rodziców. I jak widać, mało brakowało, by skończyła jak oni.

Tetsami nie ufała korporacjom i dlatego już dawno temu poprzysięgła, że do końca życia pozostanie wolnym strzelcem. Nigdy nie zaprzeda duszy koncernowi, nawet gdyby oferowano jej dziesięciokrotnie więcej, niż zarobi na ulicy.

A po jakimś czasie, jeśli szczęście dopisze, opuści ten cholerny grajdołek i poleci do innego systemu.

Problem polegał jednak na tym, że powrót do Konfederacji byłby możliwy tylko w sytuacji, gdyby wyrzekła się korzeni. A gdyby ktoś odkrył jej pochodzenie, ludzie patrzyliby na nią jak ona na Losowego. I to pomimo faktu, że po tylu pokoleniach jej geny powinny być tak samo ludzkie jak każdej innej kobiety. Nawet najdokładniejsze skanowanie nie mogło wykryć żadnej istotnej różnicy.

Jedynym darem, jaki otrzymała od rodziców, była niezwykła biegłość w obsłudze biointerfejsu.

Swojej normalności może dowodzić kolejnymi skanami, lecz ludzie i tak będą ją traktowali jak dziwadło.

Może na tym polega jej prawdziwy problem z Zanzibar?

Wirujące w obłędym tempie myśli rozproszyło nagle denerwujące brzęczenie. Dźwięk powtórzył się kilkakrotnie, zanim Tetsami zrozumiała, że to dzwonek przy drzwiach. Gdy otworzyła oczy, dotarło do niej, że odpłynęła na dłuższą chwilę. Pojedynki gladiatorów wygrały wojnę na moc sygnału z rozbijaniem samochodów na arenie.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. W korytarzu stał Dominic Magnus.

Wyglądał... dziwnie.

- Mogę wejść?

Wzruszyła ramionami i odsunęła się na bok, nie mając pewności, czy pytanie powinno ją zirytować.

Dominic wszedł do pokoju, zerkając w kierunku holo, na którym para napakowanych sterydami byczków walczyła na piły łańcuchowe. Pokręcił głową na ten widok, po czym przysiadł na skraju łóżka.

- Nie zdziwiłbym się, gdybyś była na mnie wściekła - powiedział.

Hakerka opadła na fotel i wyłączyła holo w momencie szczególnie makabrycznego starcia.

- Sama nie wiem, czy powinnam być na ciebie wściekła.

Westchnął głośno, a Tetsami zrozumiała w końcu, dlaczego wydawał jej się dziwniejszy niż zwykle. Wyglądał na zmęczonego, chociaż taka mina zdawała się zupełnie

nie pasować do jego twarzy. Bardziej nawet niż kichnięcie do marmurowego posągu.

- Wybacz, że wydarłem się na ciebie w pokoju obserwacyjnym. Ta wiadomość spadła na mnie tak niespodziewanie...

Hakerka zdała sobie nagle sprawę, że mówią o dwóch różnych rzeczach.

- Hej, chwila, moment.

- O co chodzi?

- Uważasz, że mogłam się na ciebie obrazić, ponieważ byłeś wściekły? - Dom wyglądał na zagubionego. - No dobra, chyba nie wyraziłam się precyzyjnie. - Zaczepnęła tchu i zaczęła raz jeszcze. - Jeśli jestem na ciebie zła, to na pewno nie za wrzaski w tamtym pokoju. - Skrzywił się, gdy to mówiła. - Chcę wiedzieć, dyruniu, czy jestem twoją współniczką w tym skoku czy tylko kolejnym człowiekiem na posyłki,

- Jesteśmy współnikami - odparł Magnus, zniżając głos, jakby nie do końca zrozumiał znaczenie tego słowa.

Wtedy dotarło do niej, że on nadal myśli o czymś zupełnie innym.

- Wyjaśnijmy sobie jedno, do licha. Możesz finansować ten skok, ale to ja go planuję. Wyciągnęliśmy się wzajemnie z tamtego bagna. Bylibyśmy martwi, gdyby nie obustronna pomoc, i nikt nigdy nie wpadłby na pomysł tego skoku.

- Wiem.

- Dlatego myślałam, że działamy ramię w ramię.

- Bo tak jest.

- Doprawdy? - Tetsami zerwała się z fotela i kopnęła w emiter holo. - Dlaczego więc nic mi nie powiedziałeś o tej pieprzonej komunie?

Dominic zaczerpnął tchu.

- Trzymałem jej istnienie w sekrecie. Konfederaci ścigali moich pracowników. Nie chciałem, aby trafili na ich ślad...

- I dlatego nic mi nie powiedziałeś? Włączyłeś Shane i Zanzibar do zespołu, nie pytając mnie nawet o zdanie!

- Obie spełniają nasze wymagania, a Shane wie ponadto...

- Gównu mnie obchodzi, co wie Shane! Z tego, co ja wiem, ona równie dobrze może być nałożnicą tego pułkownika.

Dominic siedział nieruchomo, nie odzywając się przez dłuższą chwilę. Potem mruknął:

- Wątpię.

- Zatem jestem twoją współniczką czy tylko kolejnym człowiekiem na posyłki?

- A gdybym powiedział, że traktuję cię jak mojego pracownika?

„Ty popaprany gnoju”.

- Rozpieprzyłabym ten cholerny sejf, mając tylko kangura do pomocy. I zniknęłabym po otrzymaniu doli. Na dobre.

- A gdybym powiedział, że jesteś moją współpracownicą?

A jaka to różnica? Zamierzała spieprzyć z tej planety tak czy owak.

- Nie wiem.

- Przyszedłem tutaj także z kilku innych powodów.

- Słucham? - Nie lubiła, gdy tak nagle zmieniał temat.

- Kończy nam się czas. Jeśli wierzyć Shane, przejęcie GA&A przez Konfederatów to początek jakiejś większej operacji. Gdy uzyskają pełną kontrolę nad moją dawną korporacją, przejdą do etapu drugiego.

- Czyli?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Shane nie ma pojęcia, o co chodzi. Tak czy owak, wznowienie produkcji będzie wymagało sprowadzenia nowych serwerów. Muszę je importować z innego systemu, zatem dostawa dotrze na Bakunina dopiero za tydzień, może później. Mamy więc około dziesięciu dni, póki nie zakończą ich instalacji.

- A nowe serwery oznaczają nowy system zabezpieczeń.

„Cudnie, tego tylko nam brakowało”.

- Musimy wyruszyć, zanim zostaną uruchomione, w przeciwnym wypadku ani Zanzibar, ani nawet tuzin najlepszych ekspertów od paraliańskich jednostek nam nie pomoże.

- Aleś mnie ucieszył, człowieku. Tydzień?

- Dziesięć dni, współpracowniczko.

Tetsami zerknęła na niego i uśmiechnęła się.

- Ty draniu.

- Słyszałem już gorsze epitety pod swoim adresem.

- Nie wątpię.

- Musimy wypełnić luki w naszym zespole, a ty powinnaś też doszlifować plan, abyśmy mogli bezpiecznie wejść...

- ...i wyjść.

- I wyjść - zgodził się Dom.

- Potrzebujemy jeszcze eksperta od okrętów i kierowcy. Levy twierdził, że zna dobrego fachowca, a pilot, z którym próbowałam się skontaktować, powinien już wrócić do Godwina.

- Świetnie. Jedź z Zanzibar i Shane do miasta. Dokończcie robotę.

- A co z tobą? - Tetsami wskazała go palcem.

- Spotkamy się w magazynie za kilka dni. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. - Sięgnął do kieszeni kombinezonu, wyjął niewielki komputer i wsunął go do wyciągniętej dłoni hakerki. - To da ci dostęp do naszej gotówki, na wypadek gdybyś jej pilnie potrzebowała.

Tetsami spojrzała na swoją rękę. Drań zaskoczył ją po raz kolejny.

Mogłaby przysiąc, że czuje ciężar tych trzystu kilkudziesięciu kilogramów, które wciąż mieli na koncie. Dominic wyszedł, pozostawiając ją ze wzrokiem utkwionym w przenośnym urządzeniu, w którym znajdowała się cała ich wirtualna kasa.

Znów była wściekła, aczkolwiek nie rozumiała dlaczego.

„Zatem jestem jego współniczką. Drań”.

Został tylko tydzień...

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### PRZECIEKI

„Jesteśmy własnością tych, których nienawidzimy”.

*Księga mądrości cynika*

„Chęć zdobycia władzy i utraty wolności  
to najdziwniejsze z pragnień”.

Francis Bacon (1561-1626)

- Nie znoszę niesubordynacji, kapitanie Murphy.

Były porucznik stał sztywno jak posąg.

- Tak jest.

Klaus przyjął go w tymczasowym centrum dowodzenia, czyli w dawnym gabinecie Dominica. Powinien być zadowolony z dotychczasowego przebiegu operacji Rasputin. Faza pierwsza przebiegała sprawnie i szybko. Za osiem tutejszych dni przybędą nowe serwery. W wieży mieszkalnej roilo się od obywateli Konfederacji, czyli jego ludzi.

Ale Klaus nie czuł zadowolenia.

Pierwszym powodem takiego stanu rzeczy był jego brat.

Drugim dezercja Shane.

A teraz jeszcze to.

- Nie cierpię też nieposłuszeństwa.

- Tak jest.

Klaus westchnął. Czy jego słowa docierały do tego człowieka? Czy Murphy zrozumiał ich znaczenie? Najpierw Shane, potem tych pięcioro komandosów, a teraz... Przecież to jakaś zaraza. Trzeba ją zdławić w zarodku, zanim zainfekuje całą kompanię.

- I co ja mam zrobić z tymi ludźmi?

- Trzymamy ich w areszcie, sir.

- Czy to odpowiednia kara za bunt, kapitanie Murphy? - Komandos miał puste nieobecne spojrzenie. - Musimy wysłać oddziały do Godwina, tego wymaga nasza misja. Nie będę tolerował żadnych oznak nieposłuszeństwa. Zwłaszcza że przez zdradę jednej z naszych nie możemy się doliczyć ponad tysiąc czterystu wrogich agentów.

- Tak jest.

- Wyjątkowe sytuacje wymagają podejmowania wyjątkowych działań, nie sądzi pan? - Murphy nie odpowiedział. - Nie sądzi pan, kapitanie?

Po dłuższej przerwie nadeszła odpowiedź:

- Tak jest.

- Świetnie. Chcę, by najstarszy stopniem, czyli dowódca drużyny, trafił do pokoju przesłuchań na pokładzie Krwawego Przyływu. Resztę macie mieć na oku.

Murphy nawet nie drgnął.

- Odmaszerować.

Kapitan obrócił się na pięcie i wyszedł.

Klaus wiedział, że te kłopoty zawdzięcza Shane. Gdyby nie podrzuciła swoim dawnym podwładnym kukułczych jaj, żaden z tych pięciu żołnierzy nie pomyślałby nawet o niewykonaniu jego rozkazów.

Shane i te jej rozkazy ZRW. Żołnierze bez przerwy zasłaniaли się nimi, cytując mu tę samą treść: „Do chwili zakończenia pierwszego etapu operacji nie wolno przenosić konfliktu na inne rejony Bakunina”. Szlag by was trafił. On jeden przybył tu osobiście. On jeden miał prawo wydawać rozkazy. On jeden odpowiadał przed ZRW. Dowodził tą operacją od samego początku...

Dlaczego ci ludzie sabotują jego posunięcia?

Dlaczego Dimitrij podważał jego autorytet? Przecież Klaus robił wszystko, czego chciał ten stary dziad. Przemyślał tę sprawę, i to wiele razy, po czym doszedł do wniosku, że neutralizacja Dominica Magnusa jest nieodłączną, choć niepisaną częścią tej misji.

Po co by go tutaj przysyłali, gdyby było inaczej?

Klaus obrócił fotel i spojrzał przez przezroczystą ścianę kopuły na panoramę Godwina. Miasto w świetle zachodzącego słońca wyglądało jak fosforyzujące pole grzybów. Tych trujących, które można znaleźć pod kamieniami w mrocznych zakątkach lasu.

Cały Bakunin taki był. Jątrzący się nowotwór na ciele Konfederacji.

A jemu przypadła w udziale rola chirurga.

Zdołałby usprawiedliwić wypalenie tej planety do gołej skały. Posłałby jej mieszkańców do wieczności, prowadząc zmasowany ogień z orbity. To by rozwiązało oba problemy. Jego osobisty i ten dręczący Konfederację.

„Nie - pomyślał Klaus - to by było zbyt łatwe. Oni potrzebują planety zamieszkaną od osiemdziesięciu lat i mającej minimum pół miliarda obywateli”.

Na Bakuninie przebywało w tym momencie ponad miliard ludzi, a pierwsi koloniści pojawili się na nim sto cztery lata temu.

- Znalazłeś sobie idealne miejsce na uwicie gniazdka... bracie.

Kloaka pełna zaraz i perwersji. Wrzące bagno podobne do tego, w którym zdaniem Klause zginął Jonah.

Tym razem nie popełni błędu. Nie odejdzie, dopóki ciało martwego Dominica nie spocznie na jego rękach.

Wbudowane w biurko holo zabrzęcało, zwracając jego uwagę. Któryś z inżynierów znalazł czas i naprawił urządzenie, więc Klaus mógł swobodnie z niego korzystać, nie narażając się za każdym razem na ból głowy. Odebrał połączenie.

Z wyświetlacza spoglądał na niego Jonathan Whissen-Hall, jeden z cywilów znajdujących się na pokładzie Krwawego Przypływu. Był łącznościowcem pracującym dla ZRW, posiadał na tyle wysoki dostęp, że mógł czytać zakodowane przekazy.

- O co chodzi, panie Hall? - Klaus wiedział, że skracanie skomplikowanego dwuczłonowego nazwiska irytuje tego człowieka, ale cholerstwo było zdecydowanie za długie, a cywil znał swoje miejsce i nigdy nie okazał otwarcie niezadowolenia.

- Otrzymaliśmy pierwszy sygnał synchronizacyjny. Przyszedł pocztą tachionową.

- Aha. - Wyglądało na to, że bieg spraw zaczyna przyspieszać. - Jak to się ma wobec harmonogramu?

- Mieścimy się w granicach czasowych. Pierwszy sygnał nadano z Ziemi trzy dni po naszym odlocie.

- Świetnie. Ile czasu zostało do posiedzenia Kongresu?

- Zważywszy na opóźnienie, sześćdziesiąt pięć dni standardowych.

Nie mieli zbyt wiele czasu, lecz Klaus przypomniał sobie, że takie posiedzenia trwają.

Sesja mogła się zakończyć nawet po pół roku.

- Czy otrzymaliśmy jakieś ważne wiadomości z tym sygnałem? - zapytał.

- Ostatnie dane wywiadu na temat Bakunina i kilka innych informacji. Przesyłam zabezpieczony pakiet do pańskiego gabinetu.

Klaus skinął głową i przerwał połączenie.

Dokonali unifikacji czasu z przedstawicielem Rady. A skoro o tym mowa...

Zerknął przez ramię w kierunku Godwina. Ogromna żółtoczerwona kula Kropotkina znikła właśnie za horyzontem. Czas porozmawiać z Websterem. Upewnił się, że drzwi do gabinetu są zablokowane, i wyjął zaszyfrowane holo. Położył je na biurku, przeszedł test DNA i wpisał kod.

Chwilę później usłyszał głos Webstera dochodzący z błękitnej sfery obrazu kontrolnego.

- Witam, pułkowniku.

- Ma pan dla mnie jakieś wieści?

- Na razie Konfederacja przegrywa mecz z przemytnikami broni z Bakunina, i to wysoko: tysiąc trzysta osiemdziesiąt siedem do zera.

- Nikt nie zadenuncjował kolejnych pracowników GA&A?

- Ciekawa sprawa z tymi ludźmi, pułkowniku. Gdy zaczyna pan do nich strzelać, od razu się chowają. - Klaus nie cierpiał sarkastycznych uwag Webstera. Niestety, był to jedyny agent, jakiego pozyskał poza oficjalnymi kanałami Rady.

- Ukrycie tak ogromnej liczby ludzi wydaje się niemożliwe.

- Pułkowniku, rozmawiamy o całej planecie. W samym Godwinie mieszka niemal dziesięć milionów ludzi, a ci, których pan szuka, do tego czasu mogli dotrzeć do Troy albo Proudhonu. Jeśli ich celem było to drugie miasto, są już zapewne gdzieś w przestrzeni.

Klaus walnął pięścią w bok oparcia fotela. Nie cierpiał polegania na ludziach pokroju Webstera.

- Oni trzymają się razem. Muszą być gdzieś blisko.

Ośmiuset ludzi nie mogło rozplątać się w lasach, i to po zaledwie trzech godzinach.

- Tylko pracownicy Magnusa mogliby coś na ten temat powiedzieć.

Z dziwnego tonu Webstera można było wywnioskować, że nie mówi wszystkiego. To też nie spodobało się Klausowi.

- Ma pan jakieś wieści o Dominicu?

- Tak.

- Zaszły się gdzieś ze swoimi ludźmi?

- Nie. Rozповіда plotki o poszukiwaniu dolbrińskich artefaktów w pobliskich górach. - Tym razem w głosie Webstera pobrzmiwało rozbawienie.

- Słucham?

- Tyle się dowiedziałem. To musi być jego przykrywa.

„Tyle to sam wiem”, pomyślał Dacham.

- Nie zna pan jego aktualnej lokalizacji?

- To mi wygląda na próbę podjęcia jakiejś akcji przeciw GA&A.

Dominic był na tyle szalony, by spróbować odbić swoją korporację.

- Wezmę to pod rozwagę.

- Proszę się rozchmurzyć, mam też dobre wiadomości.

- Słucham?

- Pamięta pan jeszcze tę zdradziecką dziwkę czy jak pan tam nazwał Kathy Shane?

Klaus pochylił się nad emiterem holo. Jego zainteresowanie nagle wzrosło.

- Tak?

- Mam informacje, które mogą doprowadzić pana do miejsca jej aktualnego pobytu...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

### ZARZĄDZANIE

„Odważa pojawia się wtedy,  
gdy nie widzisz już innych rozwiązań”.

*Księga mądrości cynika*

„Rząd ma prawo odpowiadać ogniem,  
gdy jest ostrzeliwany”.

Damion Castle (1996-2065)

Tetsami tak bardzo skupiała się na jeździe zatłoczonymi ulicami Godwina, że nie usłyszała pytania zadanego przez Shane.

- Co powiedziałaś? - odezwała się, dopiero gdy skręciła w jedną z napowietrznych autostrad przecinających śródmieście miasta.

- Ten tunel naprawdę przechodzi pod kompleksem GA&A?

- Tak.

Ruch na wyższych poziomach był nieco spokojniejszy niż w dole. Te drogi wybierali najczęściej wracający z pracy dyrowie. Nawet teraz, tuż przed północą, roiło się od ich



luksusowych limuzyn. O Godwinie można było wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że miasto żyje według normalnych podziałów dnia i nocy.

- To ogromny wyłom w systemie bezpieczeństwa - wtrąciła Zanzibar z taką irytacją w głosie, że ktoś niezorientowany mógłby pomyśleć, iż nadal pełni obowiązki szefa ochrony kompleksu.

Tetsami zbyła ją wzruszeniem ramion. Im więcej luk w systemie, tym lepiej dla nich.

- Nie było go tam, gdy budowaliście GA&A. Powiadają, że ten projekt upadł, ponieważ ważnym szychom nie mieściło się w głowie, że ogólnodostępny tunel może przechodzić pod ich działkami. Naciskali na sponsorów inwestycji, dopóki nie Wycofali poparcia.

Shane spojrzała na nią tak dziwnie, jakby usłyszała coś nieprawdopodobnego.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że ich zaskarżyli?

Tetsami wybuchnęła śmiechem. Na twarzy Zanzibar także pojawił się grymas wskazujący na rozbawienie.

Komandoska pokręciła głową i przeniosła wzrok za okno pojazdu, na mijane wysokościowce.

- Wiesz coś o tym „fachmanie” od paraliańskich jednostek, którego ma nam przedstawić twój znajomy?

- Nie wiem - przyznała hakerka. - Rozmawialiśmy tak krótko, jak tylko się dało. - Ale zaraz dodała z nieskrywaną irytacją: - Dom twierdzi, że sprawdził tego Kwiatka.

Z podaniem tej informacji zczekał, rzecz jasna, do chwili wyjazdu. Rzucił ją mimochodem, jakby fakt, że sprawdza wszystkich podwójnie, nie miał większego znaczenia.

„Ciekawe, czy i mnie tak sprawdziłeś”, pomyślała Tetsami. Drań zapewne miał już jej pełne akta. Dysponował kwitami na wszystkich, z którymi współpracował.

Docierały do głównego skrzyżowania, więc hakerka zdjęła nogę z gazu antygravitacyjnego vana. Po przeciwnej stronie przecznicy wznoszono właśnie kolejnego monolitycznego giganta. W chwili obecnej był to dopiero stalowy szkielet otoczony wieńcem zrobotyzowanych dźwigów. Ich ramiona pochylały się nad ulicami i sąsiednimi budynkami, znacznie niższymi.

- Kwiat... - mruknęła pod nosem Shane, gdy Tetsami wcisnęła mocniej pedał hamulca. Sądząc z tonu, jakim wypowiedziała to słowo, nie miała zbyt wysokiego mniemania o żadnym tutejszym ekspercie od paraliańskich okrętów.

- Tylko dlatego, że... - zachnęła się hakerka.

- Padnij! - wrzasnęła nagle Kathy, zsuwając się z fotela. Zanim zdążyła dodać:

„snajper”, jasny ostry jak brzytwa promień przeszył karoserię wozu.

Tetsami natychmiast włączyła osobiste pole ochronne, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, że na nic ono się nie zda przeciw tak potężnej broni. Facet był doskonałym strzelcem. Trafił w wóz, obliczywszy dokładnie jego zachowanie przed skrzyżowaniem. Hakerka mogła w tej sytuacji zrobić tylko jedno - dodać gazu. Bez zastanowienia, pragnąc tylko wyrwać się stąd jak najszybciej i za wszelką cenę, skierowała antygrawę pod ostrym kątem w górę.

Wóz wyrwał do przodu, wznosząc się równocześnie, i w tej chwili zadrżał mocno. Coś naprawdę wielkiego walnęło w tylną burtę. Wstrząsowi towarzyszył głuchy huk, w pojeździe natychmiast zrobiło się duszno i gorąco. Jedno skrzydło tylnego wjazdu odpadło zupełnie. Tetsami nie widziała tego, lecz dochodzące z paki dźwięki nie pozostawiały wątpliwości. Zanzibar klęła ile wlezie w sobie tylko znanym języku.

Kolejne trafienie zaliczyły w bok vana - trudno powiedzieć, czy był to jakiś samochód czy następny pocisk - i nagle wszystkie przyrządy na desce rozdzielczej przestały działać. Wóz wypadł z tunelu jazdy, nadal rozwijając maksymalną prędkość. Cały czas tracił wysokość. Leciał prosto na budowany wieżowiec.

Tetsami widząc, że stery nie reagują, a gigant ze stali zbliża się z ogromną prędkością, zacisnęła powieki i zasłoniła twarz rękami.

Kolejne strzały. Van uderzył w coś i zawibrował jak struna basowa. Głucha eksplozja, której towarzyszył intensywny zapach ozonu, uświadomiła hakerce, że właśnie stracili ogniwa zasilające. Antygraw przechylił się, a mgnienie oka później wykonał pełną beczkę. Niemal w tym samym momencie zarył w coś nosem, zatrzymując się w miejscu z przeraźliwym jękiem.

- Kurwa, kurwa, kurwa. - Tetsami zaczęła się wyplątywać z upręży.

Van leżał na boku, wbił się podwoziem w nasadę jednego z dźwigów.

- Ktoś jest ranny?

Zanzibar wyczołgała się spod stosu pojemników, które zaścielały cały tył wozu. Przewozili w nich pancierz bojowy Shane. Szefowa ochrony, klnąc nadal na cały głos, rozrywała właśnie jedno z opakowań, by wydobyć z niego karabin szturmowy. Tuż za nią buda pojazdu kończyła się jak ucięta nożem.

- Shane! - wrzasnęła Zanzibar, ignorując Tetsami. - Shane, do cholery! Kim oni są? Ilu ich jest? Gdzie siedzą?

„Do licha, kobieto, ona może nie żyć”. Hakerka wytoczyła się spod fotela i znalazła miejsce, na którym mogła stanąć. Zostały im tylko minuty, jeśli nie sekundy - a tylko Kathy dostrzegła napastników. Tetsami spojrzała w kierunku fotela pasażera: dezzerterka leżała za

nim mocno zgięta, tam gdzie zsunęła się przed pierwszym strzałem snajpera. Spoczywała teraz w pozycji płodowej przygnieciona z jednej strony konstrukcją siedzenia, z drugiej zaś wgiętymi elementami karoserii.

- Shane? - wyszeptała hakerka.

Odpowiedział jej cichy jęk. Maria odsunęła Tetsami na bok, przepychając się w pobliże rannej. Tego było już za wiele.

- Zanzibar, do jasnej cholery! Zajmij się kryciem naszych dup! Masz przecież tę Pieprzoną broń! - Maria zrobiła wielkie oczy, słysząc taki wrzask. - Ruchy!

Mentalna blokada zniknęła i szefowa ochrony momentalnie ukryła się za dostępną osłoną, kierując lufę karabinu w stronę otworu ziejącego w tyle vana.

„Właśnie zmarnowałyśmy trzy kolejne cenne sekundy”.

- Shane?

Rozległ się jeszcze jeden jęk, a potem niewyraźne słowa:

- Chyba coś mnie przygniotło...

- Gdzie oni są?

- Widziałam tylko jednego. Na ośmiobocznym wieżowcu. Na jego dachu. Północna strona. - Shane zaczęła ciężko dyszeć. - To komandosi. Ekipa czyścicieli pułkownika.

- Ilu ich jest?

Tym razem Kathy odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili. I po kolejnym jęknięciu.

- Powinno być co najmniej trzech. Snajperzy kryją ogniem skrzyżowanie. To zasadzka. Mogą mieć też wsparcie oddziału szturmowego... - Shane musiała zamilknąć, by zaczerpnąć tchu. Głos miała zduszony. - Okrążą nas... - Ucichła po tych słowach i nie zareagowała nawet na mocne szarpnięcia. Ale wciąż oddychała.

- Słyszałaś? - zapytała Tetsami, obracając się do Zanzibar po zbyt długich jak na jej gust oględzinach nieprzytomnej dezenterki.

- Słyszałam. Taka broń nie zapewni nam osłony przed tymi cholernymi snajperami. To karabin plazmowy o małym zasięgu. Ale powinien zatrzymać oddział szturmowy, jeśli go mają. Przynajmniej na chwilę. Snajperzy mogą jednak strzelać do nas jak do kaczek. Wystarczy, że rozwalą do końca karoserię vana.

- Widzisz jakichś snajperów?

- Jednego. Facet, który pozbawił nas tylnej części wozu, siedzi w połowie trapezoidalnego budynku po wschodniej stronie skrzyżowania.

- Mamy jakąś osłonę przed którymś z nich?

- Szkielet budowanego wieżowca zasłania nas przed strzelcem atakującym od

północy, ale ten na wschodzie... - Wskazała lufą otwór w tyle wozu. - Gdybym przesunęła się o krok, mogłabym go zobaczyć. Jest naprzeciw, po drugiej stronie autostrady.

- A autostrada, jeśli dobrze rozumiem, nie zapewni nam żadnej osłony.

- To trzydziestometrowy pas równego jak stół betonu. Nie ma tam nic, za czym można by przycupnąć. Nie zdołamy zwiać.

- Nie domyślasz się, gdzie może być ten trzeci?

- Nie wiem nawet, czy jest trzeci.

„I co teraz?” Tetsami wyjrzała przez rozbite okno w przedniej części vana. Wóz wbił się w południowo-wschodni narożnik budowanego wysokościowca. Gdy spojrzała przed siebie, na południową ścianę, zobaczyła roboty, stopy elementów konstrukcyjnych i wóz nadzorca zmiany kierującego pracą wszystkich dźwigów.

To nasunęło jej pomysł.

Przekradła się na drugi koniec wozu, w pobliże stanowiska Zanzibar, by ocenić sytuację z drugiej strony.

- Uważaj! Jeszcze kilka centymetrów, a znajdziesz się na linii strzału.

Za pasem ziemi niczyjej ciągnęła się autostrada, za którą stał budynek służący za bazę drugiego snajpera. Natomiast nad skrzyżowaniem hakerka dostrzegła tylną część północno-wschodniego żurawia... Była znacznie krótsza od ramienia wysięgnika, lecz i tak sięgała aż nad jezdnię.

Tetsami przegramoliła się do fotela kierowcy i wyjrzała przez przednie okno. Z tego miejsca także nie mogła dostrzec właściwego końca dźwigu. Usiłowała sobie przypomnieć, na której maszynie zauważyła wcześniej podczepiony dźwigar, po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że właśnie na tym żurawiu.

- Zanzibar, mam pewien pomysł.

- Co chcesz zrobić?

- Pobiegnę do przyczepy nadzorca zmiany.

- Co takiego? - Maria przez ramię zerknęła na Tetsami. Potem rzuciła okiem na wybite okno i przyczepę. - To pięćdziesiąt metrów otwartej przestrzeni, a my nie wiemy nawet, gdzie czai się trzeci strzelec.

- Ci dwaj, których pozycje już znamy, nie będą mnie widzieli. Mam też osobiste pole siłowe.

- Które wytrzyma półtorej sekundy kontaktu z wojskowym laserem.

- Będziesz mnie osłaniała, jeśli ktoś otworzy ogień.

- Do licha, dziewczyno, ta pukawka ma za mały zasięg.

- Ale błysnie oślepiająco przy każdym strzale. Dzięki temu nie będą mogli dokładnie celować.

- Szlag by cię... - Zanzibar przykucnęła i wysunęła lufę broni przez wybite okno, przygotowując się do osłaniania Tetsami.

- Masz lepszy pomysł?

- Nie, i w tym problem.

Hakerka rzuciła szybkie spojrzenie na zieloną kontrolkę generatora pola. Świeciła się. Jej niewidzialna osłona działała.

Skinęła szefowej ochrony, wyskoczyła przez rozbite okno i zaczęła biec. Sekundę później oślepił ją jasny błysk i poczuła pieczenie w prawym barku. Jej pole siłowe skompensowało część wystrzelonej energii, sporo jednak przedostało się i sięgnęło ciała. Poczwała smród topiących się syntetycznych monowłókien.

Była w polu rażenia trzeciego snajpera.

Musiała wiać.

Kluczyła przez moment, starając się uniknąć trafienia w promień wojskowego lasera, gdy nagle zobaczyła, że jej cień wydłuża się w kierunku przyczepy. Potężny rozbłysk musiał pochodzić z broni Zanzibar. Karabin plazmowy za jej plecami dawał więcej światła niż zapalona flara.

Tetsami odważyła się zerknąć na obudowę generatora pola. Kontrolka nie miała już soczycie zielonej barwy. Teraz była bursztynowa. Kolejny promień przerył ziemię toż przed nią. Przykucnęła, a potem uskokczyła w bok, przetaczając się po ziemi.

Połowa drogi za nią.

Trzeci snajper siedział gdzieś wysoko, na prawo od niej. Domyślała się, że musi być gdzieś na szkielecie wieżowca.

Zerwała się na równe nogi i pognęła w kierunku przyczepy. Po kilku krokach znów przypadła do ziemi.

Tu trafił ją kolejny promień energii. Tym razem oberwała w nogę. Poczwała smród topiącego się tworzywa, a potem trudny do opisanego ból w łydce. Spojrzała w dół. Wokół rany pulsowały tęczowe kręgi światła, wyglądało to tak, jakby promień lasera rozszczepiał się na niewidzialnej eliptycznej osłonie. To, że widziała efekt działania pola, oznaczało rychły koniec przeladowanego generatora.

Zgrubienie na pasie generującym elipsoidalne pole siłowe świeciło teraz krwistą czerwienią. Rozległ się także piskliwy sygnał alarmowy. Jej noga zaczynała się smażyć.

Trzy metry od przyczepy zerwała generator z paska i odrzuciła go w biegu daleko od

siebie, uskakując jednocześnie za róg przyczepy. Zdołała przywrzeć plecami do rozgrzanego słońcem metalu w tej samej chwili, gdy urządzenie eksplodowało. Osunęła się na ziemię, dysząc ciężko i czekając, aż karabin laserowy przetnie jej nieosłonięte ciało na pół. Dopiero po kilku sekundach zrozumiała, że nic takiego się nie stanie.

Spojrzała w górę. Zanzibar wysunęła miotacz plazmy za okno vana, kierując lufę na zacieniony fragment rusztowania. Na jej oczach z broni wytrysnął stożek pomarańczowej energii. Rozbłysk był tak mocny, że cały teren budowy wyglądał jak prześwietlone zdjęcie. Maria musiała podkręcić moc na maksimum. Czarnoskóra szefowa ochrony właśnie odwracała się do niej i pokazywała uniesiony dumnie kciuk.

Tetsami miała szczęście. Przyczepa stała pod pewnym kątem do budowanego wieżowca. Obły narożnik ukrył ją przed wzrokiem trzeciego snajpera.

Wstała, wciąż nie mając czucia w jednej nodze, i ruszyła oparta plecami o ścianę przyczepy. Blisko przeciwległego końca znalazła wejście. Nacisnęła klamkę.

Zamknięte...

- Szlag by to trafił.

Taka prosta przeszkoda spieprzyła jej plan. Nie miała czasu na rozbieranie zamka.

Dobra, jakie są szanse na to, że ktoś jest teraz w środku? Powinny być całkiem spore. Tetsami skinęła głową do swoich myśli. Większość wykonawców utrzymuje co najmniej jednego żywego nadzorcę przy budowach tych rozmiarów. To musi być facet, który wyłączył cały sprzęt, gdy zobaczył, jakie piekło rozpętało się nad skrzyżowaniem. Ten sam, który zainkasował sporą łapówkę za wpuszczenie trzeciego snajpera na teren budowy.

Na pewno dysponuje zewnętrznymi sensorami, więc trzeba to mądrze rozegrać.

- Mówię do dupka siedzącego w tej puszcze. - Tetsami stanęła w wyzywającej pozie z ręką w kieszeni i krzywiąc usta w udawanej złości. - Mam tu kilka granacików AM, wiesz, gościu, jakiego gnoju potrafia narobić. Jeśli podrzucę jeden pod tę twoją przyczepkę, moja partnerka nie będzie musiała jej dziurawić, żeby cię usmażyć.

Zanzibar podkreśliła wagę jej słów, odpalając kolejną porcję plazmy w konstrukcję superwieżowca. Hakerka podziękowała jej w myślach za to wyczucie czasu.

Gdyby miała przy sobie granaty zawierające antymaterię, jeden błąd mógłby posłać w niebyt nie tylko przyczepę, ale i całą tę budowę. Ta broń była bardzo niestabilna, mało kto więc szedł z nią na pole walki, gdzie zabłąkany promień albo impuls elektromagnetyczny mogły uruchomić reakcję prowadzącą do utworzenia dwustumetrowego krateru. Za to terroryści uwielbiali te granaty, głównie z powodu ich niewielkich rozmiarów i niemożności wykrycia - chyba że coś zaczynało w nich szwankować.

Nie wiedziała, czy poskutkowała groźba użycia granatu czy też facet wystraszył się szalejącej z miotaczem Zanzibar, niemniej drzwi przyczepy natychmiast stanęły otworem. Wgramoliła się do środka, odsuwając na bok człowieka o twarzy białej jak kreda i sterczących włosach. Na pierwszy rzut oka nie był wiele starszy od niej.

- Słuchaj, ja nie wiem, o co tutaj biega - wymamrotał. - Nie chcę kłopotów. Firma zrobi mi...

- Firma powiesi cię za jaja, koleś, jeśli się dowie, że wpuściłeś na teren budowy tego popieprzonego komandosa.

- Ja nie mam z tym nic...

- Zamknij się!

Tetsami dotarła na przeciwległy kraniec przyczepy, do centrum kontroli maszyn. Na ścianie znajdowały się monitory przekazujące widoki z kamer czołowych poszczególnych robotów.

Poniżej ustawiono sporą konsolę komputera i wyświetlacze pokazujące aktualną wysokość budowanego wieżowca. Wiele kontrolki płonęło czerwienią, informując o zagrożeniu pożarowym. Hakerka zauważyła także to, czego szukała: gniazdo biointerfejsu obok łącznika z siecią.

Wyjęła z kieszeni cienki kabel optyczny i sprawdziła, czy końcówki mają odpowiednią średnicę. Pasowały.

- Hej, nie możesz...

- Nie wkurwiał mnie, blondas, bo urżnę ci jajca i wepcham do nosa.

Facet zamilkł.

Podłączyła kabelek do gniazda, upewniając się, czy terminal będzie wykonywał jej polecenia. Potem zaczerpnęła kilka razy tchu, by uspokoić nerwy, a na koniec przytknęła okrągłą końcówkę kabla do wgłębienia u nasady karku.

Magnetyczne łączy przyłgnęło do gniazda z cichym, lecz dobrze słyszalnym kliknięciem. W ciągu ułamka sekundy jej oprogramowanie skontaktowało się ze sprzętem. Niby mgnienie oka, ale dla niej zawsze była to wieczność. Wiedziała jednak, że to tylko wina wszczepionego interfejsu, który spowalniał jej funkcje życiowe do chwili osiągnięcia pełnej kompatybilności z zewnętrznym oprogramowaniem.

Czas znów rozciągnął się w nieskończoność. Jej zmysły zostały odłączone. Na moment stała się oprogramowaniem biointerfejsu. Najpierw zobaczyła niekończący się błękit. Potem usłyszała szum. Poczula zapach pomarańczy i ukłucia igieł wbijanych w całe ciało.

Nagle odzyskała wszystkie zmysły, których jej komputerowa część nie potrzebowała.

Interfejs zawładnął za to jej wzrokiem. Miała przed oczyma wiele sześcianów oznaczonych ikonami opcji. Unosiły się na znajomym błękitnym tle. Słuch nadal rejestrował dźwięki dochodzące z realnego świata. W tej chwili było to głośne dyszenie blondasa. Jak na jej gust zbyt wolne, ale to akurat mogła zrzucić na karb za bardzo wyostrzonych zmysłów, dla których czas w wirtualu płynął teraz znacznie szybciej. Nie mogła na razie poruszać członkami, zmysł dotyku także był wyłączony z wyjątkiem prawej dłoni, która miała służyć za łącznik z kontrolerami w świecie wirtualnym.

Te ustawienia były proste jak diabli i zabugowane, że hej... Wciąż czuła zapach pomarańczy. Gdy oprogramowanie terminala zwróciło jej kontrolę nad mięśniami, uśmiechnęła się szeroko.

Zaczęła się poruszać po oprogramowaniu. Na trzecim poziomie obserwacyjnym odkryła, że zapach pomarańczy nie był kolejnym bugiem. Wystarczyło, że popełniła prosty błąd, a przyjemna woń zamieniła się w trupi odór. Było to zabezpieczenie, które zakończyłoby w tym momencie połączenie z interfejsem, gdyby nie była tak dobrze wyszkolonym zawodowcem.

Tetsami zignorowała tę zmianę i rozpoczęła dialog ze sprzętem ukrytym w jej czaszce. Musiała wyłączyć gniazdo węchowe, zanim odór stanie się obezwładniający.

„Powinam była zrobić to wcześniej. Powinam wiedzieć, że te pomarańcze nie znalazły się tu przypadkiem”.

Teraz nie miało to już znaczenia. Większość hakerów nie potrafiłaby odłączyć któregoś ze zmysłów bez utraty kontaktu, ale jej takie ograniczenia nie dotyczyły, więc nic wielkiego się nie stało.

Siedziała przed nadrzędnym terminalem budowy, który miał pod sobą wszystkie pozostałe komputery, co znaczyło, że nie musi się trudzić, obchodząc kolejne warstwy zabezpieczeń. Większość blokad i tak dotyczyła wyłącznie prób włamania z zewnątrz. Dlatego w niespełna trzy sekundy zyskała dostęp do sześcianu pokazującego jej obrazy z terenu budowy.

Przeskanowała je najszybciej, jak mogła, spoglądając na świat oczyma dziesiątek robotów. W pewnej chwili usłyszała przyspieszony oddech blondaska - stawał się coraz głośniejszy, jakby facet podchodził bliżej.

- Nawet o tym nie myśl! - wrzasnęła.

Nie wiedziała, czy zrozumiał, co mówiła, ponieważ operowała teraz w tempie wirtualnym, ale sądząc po docierających do niej dźwiękach, znowu się zatrzymał.

„Jest”.



Znalazła to, czego szukała. Miała widok z kabiny północno-wschodniego dźwigu. Przeleciała wzrokiem listę dostępnych kamer, dopóki nie znalazła odpowiedniej. Obraz przedstawiał opancerzonego komandosa stojącego na dachu wieżowca. Drugi obiektyw ustawiła na snajpera przyczajonego w połowie wysokości innego budynku, na wschodzie. Trzeci zogniskowała na facecie ostrzeliwującym vana z dziesiątej kondygnacji budowanego giganta.

Teraz musiała zhakować oprogramowanie.

Najpierw przeszła na poziom kodowania, by obejść ewentualne zabezpieczenia, ale jak się okazało, były wyjątkowo proste do pokonania. Wystarczyła odrobina zachęty i ramię północno-wschodniego dźwigu zatoczyło pełen krąg.

Weszła w system kontroli żurawia, pozostawiając za sobą kilka ulepszonych hiperprogramików, dzięki którym mogła uruchomić wielokamerowy podgląd na tamtych dwóch snajperów i jednocześnie zgrywać zarejestrowane koordynaty do programu inżynierskiego.

Dźwig podniósł dwutonowy legar i zaczął się obracać, nabierając szybkości, wykonując zadania przekazywane ze zhakowanej konsoli.

Program inżynierski robił dokładnie to, co mu kazała. Wyświetlił profile prędkości i rotacji obok obrazu z kamery w kabinie. Tetsami uśmiechnęła się po raz drugi. Ramię dźwigu nie sięgnęłoby komandosa, ale teraz, gdy zlikwidowała wszystkie ograniczenia i procedury zabezpieczeń, komputer zyskał pełną swobodę manewru i był w stanie posłać legar tam, gdzie sobie życzyła. Było to tym łatwiejsze, że przenoszony przedmiot nie musiał mieć zerowej prędkości po dostarczeniu na miejsce.

Zatwierdziła miejsce złożenia legara.

Ramię dźwigu cofnęło się o kilka stopni, a potem ponownie pomknęło w kierunku północnym, przyspieszając do granic wytrzymałości wielkiego urządzenia. Lina, na której wisiał legar, ułożyła się niemal równolegle do ramienia, a ciężki element budowlany ciął powietrze jak patyk, którym dziecko wywija na sznurku. W ściśle określonym momencie chwytaki mocujące rozwarły się na całą szerokość, pozwalając mu odlecieć.

Snajper stojący na dachu ośmiobocznego wieżowca nie patrzył w górę. Dopiero w ostatniej chwili podniósł głowę, ale było już za późno: mknący z wielkim impetem legar uderzył go na wysokości kolan.

Komandos został zmiażdżony dwiema tonami stali. Legar zgarnął go, masakrując przy okazji spory fragment dachu. Wirując, zrywał anteny, światła lądowisk, porwał nawet kilka zaparkowanych tam autolotów. Na koniec rozbił jeszcze wejście do szybu windy.

A Tetsami sterowała już kolejnym dźwigiem, tym z północno-zachodniego narożnika budowy. Stalowy element trzymany przez jego chwytaki wybił spory otwór na dwudziestym piętrze trapezoidalnej budowli. Nie musiała go wypuszczać, by wykonał swoją robotę, przebił się więc przez ściany wieżowca jak szpilka przez złożone warstwy papieru.

Miała szczęście. Dostrzegła snajpera. Ciężar wbił go w ścianę, wypchnął za okno po drugiej stronie narożnika i zrzucił na ziemię. Nie musiała wykonywać drugiego podejścia.

Blondas zaczął wrzeszczeć.

Dźwięk był tak niski z powodu spowolnienia, że początkowo myślała, iż dotarł do niej zgrzyt metalu zderzającego się ze ścianą. Jej nos, przykuty do czasu realnego, dość szybko uświadomił jej, jak bardzo się myliła. Poczowała smród topionych tworzyw, przeciążonych obwodów i płonącego ciała.

Trzeci snajper nie był idiotą. Zauważył śmierć swoich towarzyszy i próbował unieszkodliwić komputery w przyczepie. Chybił, ale naprawdę nieznacznie. Jeszcze chwila albo dwie i dostanie ją jak na tacy.

I to by było tyle w kwestii jej taktycznego geniuszu. Należało go zdjąć w pierwszej kolejności.

Tetsami wybrała kamery dające jej podgląd na walczącego komandosa. Miał na sobie pełen pancerz. Na poły wychylał się z dziesiątej kondygnacji. Mierzył w dół, bez wątplenia w nią. Na jej oczach obraz został na moment prześwietlony. To Zanzibar i jej plazmowy karabin.

Spodziewała się oślepienia, lecz obiektywy robota, którymi patrzyła na świat realny, dostosowywały się błyskawicznie do zmiennych warunków. Sprawdziła tabliczkę znamionową maszyny. Miała do czynienia ze spawaczem operującym palnikiem plazmowym.

Przejęła kontrolę nad robotem, natychmiast jednak zrozumiała, że nie zdoła się zbliżyć do pozycji ostatniego snajpera, nie alarmując go. A ociężała maszyna wyciągała maksymalnie kilometr na godzinę i wyglądała jak bestia z horrorów. Wszędzie miała wyloty palników i manipulatory. Zbiornik plazmy pośrodku kadłuba wyglądał jak bomba...

„Do diabła, to cudo jest chodzącą bombą”.

Nagle obraz stał się zamglony, a wewnątrz przyczepy wypełnił smród kolejnego minimalnie chybionego strzału. Tetsami natychmiast zajęła się łamaniem zabezpieczeń robota. Były odrobinę lepsze niż te na dźwigach, ale i tak obesła je w trzy sekundy.

Na wypadek utraty kontaktu z konsolą główną zaimplementowała jeden ze swoich programów w module automatycznego spawacza. Zawarła w nim trzy proste rozkazy: zamknąć wyloty przepustów, włączyć generator plazmy na pełną moc i po sekundzie zwolnić

zaczepy magnetyczne.

Przyczepa zatrzęsała się po raz kolejny na skutek potężnej eksplozji. Tetsami wyrwała wtyczkę z gniazda i wróciła do realnego świata. Ciało blondasa drżało spazmatycznie w kącie. Kolejny promień lasera nie przeszył wnętrza.

Jej pocisk trafił w cel.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY SPRAWY ZAGRANICZNE

„Różnimy się od Obcych tym, że uważamy,  
iż znamy siebie lepiej. Podobieństwo między nami  
polega jednak na tym, że podobnie jak oni nie znamy się na niczym”.

*Księga mądrości cynika*

„Atrament w kałamarzu uczonego  
jest świętszy niż krew męczennika”.

Mahomet (570-632)

Sierżant Maria Zanzibar po raz pierwszy od siedmiu lat zwątpiła w słusność osądu pana Magnusa. Ta myśl okazała się najboleśniejszym przeżyciem, jakie zapamiętała z tego okresu. Była całkowicie oddana Dominicowi, traktowała więc zdradę jak jedną z najbardziej odrażających zbrodni, na równi z kazirodztwem i bratobójstwem.

Dlatego próbowała ostrzec szefa, przekonać go, że zadaje się z niewłaściwymi ludźmi. Ale zdała sobie sprawę, że mówi do ściany, i to jeszcze na długo przed feralnym przesłuchaniem Shane.

Powinna była zrezygnować.

Zamiast tego zaakceptowała decyzję o wcieleniu w życie tego dziwaczego planu. W jednym bowiem Dom się nie mylił: potrzebował Marii oraz jej wiedzy na temat zabezpieczeń kompleksu GA&A.

Nadal mogła odejść w geście protestu. Może to by skłoniło pana Magnusa do zastanowienia, aczkolwiek znała go zbyt dobrze, by wierzyć w podobną przemianę. Odsunęła więc na bok myśl o dalszych protestach, pomagała w realizacji skoku... i skończyła tutaj, na placu budowy w samym sercu Godwina, ostrzeliwana przez wroga, mając do pomocy dwie kobiety, którym za grosz nie ufała.

Nawet teraz, gdy dotarła do skrzyżowania Sacco z zachodnią nitką Lenina, nadal nie

potrafiła uwierzyć, że udało im się ująć z życiem z zastawionej pułapki. Co gorsza, odczuwała zupełnie nieprofesjonalną satysfakcję z myśli, że to Tetsami ocaliła im tyłki. Pan Magnus mianował ją szefową ich trójki i wywiązała się z tego zadania śpiewająco...

Wkurzając tym Zanzibar do białości.

Ani Tetsami, ani tym bardziej Shane nie zasługiwały na jej zaufanie. Hakerka pracowała w swoim zawodzie jako wolny strzelec, była więc lojalna wyłącznie wobec siebie. Shane zdradziła, a co za tym idzie straciła honor, trudno więc było zdawać się na nią.

Zanzibar splunęła na sam środek skrzyżowania. Spojrzała na zegarek - piętnaście minut po umówionym terminie spotkania. Nie tak źle, zważywszy, że musiała iść na piechotę. Tetsami ukradła ciężarówkę z placu budowy, by przewieźć ranną dezerterkę do lekarza, pozostawiając Marii spotkanie z księgarzem nazwiskiem Levy i specem od paraliańskich jednostek, którego nie wiedzieć czemu zwano Kwiatem.

„Też sobie wybrał imię”.

Maria przeskanowała wzrokiem okoliczne zabudowania, szukając śladów ewentualnej pułapki, ale nie dostrzegła niczego niepokojącego. Obawiając się kolejnych niespodzianek, taszczyła ze sobą niemal opróżniony karabin plazmowy. Energii miała na zaledwie półsekundową emisję promienia, lecz groźny wygląd broni dawał do myślenia każdemu zbirowi, a tych nie brakowało w zapuszczonej dzielnicy.

Po raz ostatni sprawdziwszy nocną panoramę pustej ulicy, opuściła lufę broni i podeszła do drzwi księgarni. Za oknami wystawowymi nie paliło się światło, Literatura Bolszewicka była zamknięta na cztery spusty. Maria odczekała chwilę, zanim nacisnęła dzwonek.

„Czy nie przyciągnęłam tutaj ogona?”

Była to paranoiczna myśl, niemniej warta rozważenia. Przecież komandosi mogli dysponować także drużyną naziemną. Uniknęła wcześniejszego schwywania tylko dlatego, że oddaliła się z terenu budowy, wykorzystując podziemia. Godwin dysponował imponującą siecią kanalizacji miejskiej. Nie było chyba człowieka, który znałby cały system, ale Maria orientowała się w nim całkiem dobrze. Swego czasu zapamiętała rozmieszczenie głównych magistral, dzięki czemu mogła się pojawić ulicach niemal dziesięć kilometrów od pola walki ze snajperami.

Czy to wystarczyło?

Nie miała okazji odpowiedzieć sobie na to pytanie. Interkom ożył, laser zaczął ją skanować, a holograficzne odzwierciedlenie niskiego znerwicowanego mężczyzny zapytało:

- Kto tam?

Facet był stary, łysawy i mówił z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców Paschala albo Thubohu. To mógł być Levy. Podała mu hasło.

- Patriotka.

- Na Bakuninie nie ma patriotów.

- W takim razie jestem partyzantem.

- Wejdźcie, towarzyszko. - Słowo towarzyszko okraszone było sporą dozą sarkazmu.

Zanzibar wzruszyła ramionami. Rozmowa przebiegła zgodnie z jej przewidywaniami. Teraz musi spotkać się z Kwiatem i sprawdzić naocznie co z niego za „ekspert”.

„Do realizacji naszego planu będziemy potrzebowali cudu”.

Drzwi się rozsunęły i Johann Levy zaprosił ją do księgarni. Podążyła za nim mijając regały pełne papierowych książek. Zaprowadził ją do ciasnego zagraconego pomieszczenia na zapleczu. Jedyne w miarę czystym miejscem był tu fragment blatu pomalowanego na zielono metalowego biurka, na którym ustawiono generator pola przeciwpodśluchowego, szerokopasmowy detektor sygnału i zabezpieczony holoprojektor. Sprzęt był wyłączony, działał tylko monitorujący pomieszczenie ekran, który skutecznie blokował wysyłanie i odbieranie wszelkich transmisji.

Kwiat siedział za biurkiem.

Niewiele brakowało, by Zanzibar jęknęła ze zdziwienia, gdy przekroczyła próg. Wiele wysiłku wymagało od niej także zachowanie niewzruszonej postawy, ale wzięła się w garść i zdołała zająć miejsce wskazane jej przez Levy’ego, nie okazując ogromu zaskoczenia.

Nie spodziewała się, że jej rozmówca będzie nieczłowiekiem.

Co więcej, że stanie twarzą w twarz z prawdziwym Obcym.

Na terytoriach Konfederacji zamieszkiwało całkiem sporo nie ludzi. Podobnie było też na Bakuninie. Niemal każdy obywatel natknął się choć raz w życiu na przedstawiciela któregoś z gatunków stworzonych dzięki inżynierii genetycznej, rzecz jasna przed erą unifikacji. Jedną z frakcji tworzących Konfed, tak zwane Siedem Światów, zamieszkiwali potomkowie wywodzących się ze starej Ziemi genetycznie zmodyfikowanych nie ludzi, dzielący się na ponad sto całkowicie odmiennych gatunków.

Mimo tak ogromnych - można by nawet powiedzieć: przerażających - różnic istoty te nie należały jednak do Obcych.

W ciągu dwóch stuleci istnienia Konfederacji ludzkość trafiła w przestrzeni zewnętrznej tylko na pięć rozumnych pozaziemskich cywilizacji. Pierwszą byli Dolbrianie, którzy wyginęli przed dziesiątkami milionów lat, pozostawiając po sobie zaledwie kilka śladów. Istniała także Rasa, która wypowiedziała ludzkości wojnę totalną i została

praktycznie unicestwiona w trakcie kilkuletnich walk. Jej przedstawiciele od tamtej pory nie mogli opuszczać macierzystej planety krążącej wokół Procjona, a bojowe stacje Narodów Zjednoczonych wciąż likwidowały każdy pojazd próbujący wyjść poza atmosferę. Paralianie z kolei byli żyjącymi w wodzie istotami nie posługującymi się żadną zaawansowaną technologią, co jednak nie przeszkodziło im w teoretycznym rozwinięciu matematyki i fizyki, dzięki którym poznali strukturę tachionową przestrzeni na wiele wieków przed odkryciem przez człowieka tunelu czasoprzestrzennego prowadzącego na Vegę. Następnym gatunkiem były robale z Helmnitha. Naukowcy Konfederacji - na ile Zanzibar się orientowała - wciąż próbowali się z nimi porozumieć. Ostatnimi ze znanych ludzkości Obcych byli ziomkowie Kwiatu, Voleranie.

Volerę odkryto dzięki ekspansywnej polityce kolonialnej Protektoratu Indi. Sześćdziesiąt dwa lata wcześniej jedna z licznych jednostek zwiadowczych tej frakcji odkryła wysoce obiecującą planetę krążącą wokół gwiazdy na obrzeżach przestrzeni Protektoratu.

Na czwartej planecie systemu Tau Puppis znaleziono nieliczną populację skrzydlatych istot dysponujących niezwykle rozwiniętą technologią. Po zwyczajowym nadaniu jej nazwy - w tym wypadku była to Volera - ludzkość odkryła, że nie ma do czynienia z miejscową cywilizacją, ale z wysuniętą placówką potężnego imperium międzygwiazdowego.

Odtąd dyplomaci obu stron próbowali doprowadzić do pokojowego ustalenia strefy wpływów międzygwiazdowych potęg i zapobiec potencjalnemu niszczycielskiemu konfliktowi. Rozmowy na ten temat prowadzono jednak po drugiej stronie przestrzeni Konfedu, na granicach Protektoratu, niemal dziewięćdziesiąt lat świetlnych od Bakunina.

Tymczasem za zielonym metalowym biurkiem siedział prawdziwy Voleranin zwany nie wiadomo dlaczego Kwiatem, który twierdził, że jest specem od paraliańskich okrętów wojennych.

Zanzibar opadła powoli na wskazane krzesło, próbując nie gapić się otwarcie na Obcego.

Levy zamknął drzwi. Wyglądały na zwyczajne, zrobiono je z cienkiego drewna i zawieszono na zawiasach, ale wytrenowany słuch Marii wychwycił charakterystyczny syk, gdy zetknęły się z futryną - oznaczało to, że zainstalowano w nich kolejne monitory przeciwposłuchowe albo inne fizyczne urządzenia ochronne.

Jej zdaniem chodziło o obie rzeczy naraz. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że nieład w gabinecie księgarza to tylko pozory. Gdziekolwiek staruszek był, zawsze miał pod ręką jakąś ukrytą broń.

A te najmniejsze gabarytowo zazwyczaj bywały najbardziej niebezpieczne.

- Nazywasz się Maria Zanzibar, jeśli mnie pamięć nie myli? - zapytał.

- A pan Johann Levy.

Przytaknął.

- Znalazłem specja od paraliańskich jednostek, który wyraził zainteresowanie udziałem w waszej eskapadzie.

Zanzibar pokiwała głową i wykorzystała okazję, by omieść wzrokiem Voleranina. Wyglądał jak skrzyżowanie węża z ptakiem i... krzewem. Z szerokich ramion wyrastały mu skrzydła, którymi akurat owinał się jak peleryną. Korpus miał długi, smukły, chyba zakończony ogonem - tego ostatniego jednak Maria nie była pewna, jako że dolna część ciała kosmity kryła się za biurkiem.

Jego pióra - tak przynajmniej nazywali je ludzie - miały czerwoną, brązową i żółtą barwę. Były jaśniejsze od spodu i ciemniejsze z wierzchu. Z wyglądu przypominały bardzo płaskie rozłożyste liście.

Szyja tej istoty była niesamowicie długa. Wyprostowana mogła osiągać długość jednej trzeciej całego ciała. Voleranin nie miał na niej piór - czy też listowia - tylko nagą brązową skórę.

Kończyny także miał nagie, każdą z dodatkowym łokciem bądź kolaniem. Wszystkie kończyły się trzema przeciwstawnymi palcami. W tej chwili Obcy opierał obie ręce na blacie, splatając palce w bardzo ludzkim geście.

Nieludzka za to była pozycja jego nogi, zbudowanej identycznie jak ręka, tylko dłuższej i lepiej umięśnionej. Voleranin wygiął ją do tyłu i trzypalczystą stopą podpierał sobie głowę istic gadzią, jak żywcem przeniesioną z dinozaura. Z kopułowatej czaszki o wydatnych mięśniach szczękowych wyrastał kościany dziób. Całość widziana z profilu, zważywszy na charakterystyczne wygięcie szyi, przypominała znak zapytania. Zanzibar próbowała dostrzec zarys rysów twarzy w żółto-czarnych cętkach zdobiących całą głowę, ale poddała się po chwili. Ta istota miała idealnie okrągły gładki łeb, jak nie przymierzając kula pistoletowa, i widoczne na nim tylko usta.

- Witam - odezwała się Maria. - Jak wspomniał pan Levy, jestem sierżant Zanzibar. - Miała nadzieję, że mówiąc te słowa, spogląda we właściwe miejsce. Zastanawiała się, czyby nie należało podać Obcemu ręki, lecz zrezygnowała z tego gestu. - A ty kim jesteś?

- Moje imię tłumaczy się jako Kwiat. - Po tym zdaniu istota wykonała skomplikowany wymach rękami, który szefowa ochrony uznała za gest powitalny.

- Rad jestem, że poznałem twoje potrzeby. - Jego głos był bardzo dziwny: wysoki, piskliwy, nosowy i wystudiowany. Słuchało się go jak człowieka, który cały czas ma ochotę

kichnąć. - Od dawna nie spotkałem nikogo, kto by potrzebował moich porad w tej materii.

- Właśnie po to tutaj przybyłam. Mam sprawdzić, czy jesteś tym, za kogo się podajesz.

- „Posłuchaj sama siebie, przecież nawet nie popierasz tego projektu”- Zanzibar szybko oddaliła od siebie tę myśl. Otrzymała zadanie znalezienia kogoś, kto będzie znał wszystkie wejścia i wyjścia z okrętu stojącego na lądowisku Nie płacono jej za to, by go oceniała pod innymi kątami. - Potrzebujemy kogoś z rozległą wiedzą o systemach, mechanice, uzbrojeniu i całej reszcie szczegółów dotyczących okrętów wojennych projektowanych przez Paralian. Potrzebujemy kogoś, kto zna konkretną klasę tych jednostek. Dogłębnie, łącznie z modyfikacjami robionymi przez Konfederację.

Istota skinęła głową, imitując kolejny ludzki gest, co wyglądało wszakże dość śmiesznie przy tej długości i wiotkości szyi.

- Twoje prawo być sceptyczną.

- Wybacz, ale nadal mam pewne wątpliwości.

- Chcesz zatem, abym ci wyjaśnił, jak stałem się ekspertem?

Zastanawiała się cały czas, jakim cudem to mówi. Ząbkowany dziób był nieruchomy, ledwie się poruszał w trakcie wypowiedzania kolejnych słów. Kilka razy zerknęła mu do środka i dostrzegła skomplikowane podniebienie pełne otworów i mięsistych zastawek. Wyglądało na to, że Kwiat ma w nim także co najmniej trzy języki.

Zanzibar pomyślała, że tak pewnie wyglądałaby gra na flecie, gdyby ktoś mógł ją obserwować z wnętrza instrumentu.

- Śmiało - odparła.

- Mieszkam na terytorium Konfederacji Terrańskiej od trzydziestu lat standardowych. W ciągu ostatnich dwudziestu trzech lat wiele misji dyplomatycznych zatrudniało mnie jako imperialnego obserwatora wojskowego.

Maria poczuła, jak kącik jej ust unosi się w górę.

- Byłeś szpiegiem?

- Obserwatorem. Jedną z rąk imperatora utworzyła akademię, w której szkolono jego uszy. Stałem się tam jednym z nich. Moją specjalnością było obserwowanie wojsk Konfederacji.

- Zatem nie pełnisz już tej funkcji?

- Czas mojej służby cesarzowi dobiegł końca. Nadal studiuję wasz sprzęt bojowy, ale teraz wyłącznie na własny użytek.

- Ciekawe hobby.

Kwiat zrobił kolisty gest wolną stopą. Zanzibar uznała, że to odpowiednik wzmacnia



ramieniem.

- Studiowałem ten temat nawet wtedy, gdy byłem jeszcze samcem. Jeśli kiedyś wrócę do imperium, udam się do mojej akademii. Ale nie dlatego, że obca cywilizacja okazała się ciekawsza niż moja. Bakunin pozwolił mi na swobodne kontynuowanie nauki. Otrzymałem więcej wolności, niż kiedy byłem przedłużeniem ręki imperatora.

- Rozumiem. Twierdzisz zatem, że posiadasz informacje, których szukamy?

- Potrzebujecie informacji, których dostarczył mi Kalcthwee'rat. - Zanzibar po raz pierwszy usłyszała paraliańskie wyrażenie wypowiediane w sposób zbliżony do oryginalnego.

- Kalcthwee'rat znaczy Krwawy Przyływ. To zaprojektowany na Paralianie i zbudowany przez Konfederację desantowiec. Zmodyfikowana wersja transportowca piątej klasy zwanej przez ludzi Barakuda. Pod względem rozmiarów klasyfikowany gdzieś pomiędzy niszczycielem klasy Manta a lekkim bombowcem Młot. Może poruszać się w nadprzestrzeni oraz wewnątrz systemów, nie wyłączając manewrowania w atmosferze, zarówno z pomocą antygrawów, jak i bez nich. Barakudę zaprojektowano początkowo do...

- Wystarczy - rzuciła Zanzibar, unosząc dłoń. - Czy pan Levy poinformował cię, co zamierzamy zrobić?

- Nie znam szczegółów misji. Wiem tylko tyle, że będę miał sposobność bezpośrednio obserwować działania bojowe ludzi. Udział w waszym przedsięwzięciu ma zatem ogromną wartość dla moich badań. Nawet jeśli nie wiąże się z tym żadne wynagrodzenie.

„A niech mnie - pomyślała Zanzibar. - Obcy pragnący dreszczyku emocji”.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

### **WARTOŚCI RODZINNE**

„Nie ma takiego aspektu polityki,  
którego nie zastosowano by wcześniej  
w relacjach wewnątrzrodzinnych”

*Księga mądrości cynika*

„Skoro państwo nie wymaga od obywatela  
absolutnego poddaństwa,  
dlaczego jest ono koniecznością w rodzinie?”

Mary Astell (1666-1731)

Nazwa Infrastruktura Komórkowa pasowała bardziej do zakładów produkcyjnych niż

do szpitala. Przynajmniej zdaniem Tetsami. Budynek mieszczący placówkę medyczną, widziany z daleka, także kojarzył jej się z fabryką. Była to otynkowana na szaro zwarta piramida, tak typowa dla niezwykle modnej w Godwinie bunkrowej architektury. Nie miała ani jednego okna i umieszczonych nad powierzchnią ziemi wejść. Nie było tu też żadnych oznakowań sugerujących, że jest to szpital. I to taki z prawdziwego zdarzenia, nie dziupla, w której pozabawiano ludzi organów, z jakimi miała do czynienia w dawnych czasach.

Tetsami prychnęła na tę myśl. Całe jej dotychczasowe życie mieściło się w kategorii „stare czasy”. Choć było jej to nie w smak, dzisiaj mogła tylko wspominać okres królowania wśród wolnych strzelców na hakerskiej scenie korporacyjnego zadupia, jakim był Godwin.

Nie bez racji zresztą. Przez minione osiem lat ani razu nie wpakowała się w tak rzadkie gówno. Mając w pamięci tragiczną śmierć rodziców, unikała jak ognia wiązania się z korporacjami - choć ta decyzja kosztowała ją wiele kilogramów dochodu - aby uniknąć namierzenia podczas jednej z wielu wojenek, jakie od czasu do czasu wstrząsały brudną ekonomią Bakunina. Teraz wszakże tkwiła po szyję w morzu syfu, tego samego, który pozbawił życia jej matkę i ojca.

Nic więc dziwnego, że wspominała „stare dobre czasy”.

Czasy, gdy jedynym laserem, z jakim miała do czynienia, było urządzenie odczytujące dane z dysków optycznych.

Jedynym plusem wkroczenia w elitarny świat rozgrywek międzykorporacyjnych był dostęp do o wiele lepszej opieki medycznej. Shane otrzymała opiekę należną dyrowi, i to tutaj, w samym centrum śródmieścia Godwina. Tetsami mogła ją przewieźć do wschodnich dzielnic, gdzie szpitale były o wiele tańsze. Znała tam kilka nor, które gwarantowały pacjentom względne bezpieczeństwo. Niestety, w tamtych okolicach roiło się od informatorów i gnojków ze zbyt długimi jęzorami.

Tutaj, w Infrastrukturze, Shane miała szanse na kurację, o której nie dowiedzą się od razu bonzowie kierujący obecnie kompleksem GA&A. Ci lekarze kasowali słono, ale dawali też pewność, że cię nie sprzedadzą.

Nie mogli tego zrobić, mimo że pobierali opłaty z góry. Jedna plotka o nieszczelności tego systemu kosztowałaby ich krocie, ponieważ utraciliby wielu wpływowych klientów ceniących sobie nade wszystko dyskrecję.

Tetsami stała w jednej z prywatnych poczekalni, czekając na informacje o stanie dezenterki.

- Tylko nie spieprz wszystkiego - napominała się szeptem od czasu do czasu.

Ta sprawa zbyt mocno cuchnęła. Wiele wskazywało na to, że ktoś zastawił na nie pułapkę. Hakerka miała nadzieję, że to nie była robota Shane. Z drugiej jednak strony tylko jej Dom nie prześwietlił na wylot.

Jeśli źródłem przecieku nie była Kathy, każdy mógł być podejrzany...

- Hej, mała, ponoć chciałaś ze mną rozmawiać.

Tetsami obróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z mężczyzną, który wchodził do pokoju.

- Ivor!

Jorgenson zatrzymał się w progu. Miał ponad dwa metry wzrostu. Przerastał ją o ponad półtorej głowy. Włosy mu już posiwiały, ale oczy nadal były błękitne jak lód.

Podbiegła i przytuliła się do niego mocno.

Poklepał ją po plecach i powiedział:

- Też się cieszę, że cię widzę, chociaż nadal nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

- Siadaj. - Odsunęła się od niego, by przycupnąć na jednym z głębokich foteli. - Zaraz opowiem ci o wszystkim.

Ivor skinął głową i upchnął tyłek na sąsiednim siedzisku.

- Lepiej to zrób, pysiu, wystraszyłaś mnie jak szlag. Najpierw przesyłasz mi zakodowaną wiadomość, że masz jakąś robotę dla mnie. Potem prosisz o spotkanie w Infrastrukturze. Mogłaś chociaż wspomnieć, że nie ciebie skasowali.

Tetsami dostrzegła troskę w oczach Ivora i nie wiedziała, czy śmiać się czy płakać

- Wybacz, wszystko odbyło się tak szybko. Z trudem znalazłam czas na napisane wiadomości do ciebie. Trzeba nieźle smarować, żeby dostać się tutaj, jeśli nie jesteś znanym dyrem.

- Tak czy owak, cieszę się, że nie o ciebie chodziło. Ale dziewczyno, co ty robisz na otwartej przestrzeni? Słyszałem, że...

- To prawda.

Jego twarz zastygła nagle.

- Kto wystawił na ciebie kontrakt?

- Ivor...

- Powiedz, który drań ważył się zaoferować pieniądze za twoją głowę?

- Ivor...

- Zabiję gnoja!

- Ivor!

Tetsami nie opuściła uniesionych rąk, dopóki nie zamilkł.

- To poważniejsza sprawa, niż ci się wydaje. Nie załatwisz tych drani, przynajmniej nie w pojedynkę.

Westchnął i pokręcił głową.

- W co ty się znowu wpakowałaś, pysiu?

- Chyba w najbardziej dochodową robotę, o jakiej moglibyśmy kiedykolwiek marzyć.

\*\*\*

W trakcie rozmowy z Ivorem Tetsami zrozumiała, że spotkanie z dawno nie widzianym opiekunem dodało jej tak potrzebnej teraz otuchy. Poczowała przypływ błęgiego spokoju i... złości, jako że całe dorosłe życie spędziła, budując mit własnej samowystarczalności i niezależności.

Ale gdy po raz kolejny wspomniała najbardziej ekscytujące i najkoszmarniejsze przeżycia ostatnich dwunastu dni, nagle zaczęła wątpić w sens angażowania siwowłosego „wujka”.

I nie chodziło bynajmniej o to, że impulsywne zaproponowanie jego kandydatury było przejawem sentymentów albo braku profesjonalizmu. Ivor był najlepszym pilotem, jakiego znała osobiście. O lepszym nawet nie słyszała. Służył kiedyś we wsparciu lotniczym Styksyjskiej Gwardii Prezydenckiej. A jakieś dwadzieścia lat temu sprawował jednoosobowo kontrolę nad całym systemem obrony planetarnej Styksu. Na Bakuninie chyba tylko Tetsami znała ten szczegół jego życiorysu, lecz nawet jej Ivor nie powiedział, jakim nazwiskiem posługiwał się w tamtych czasach. Już dawno zerwał wszelkie kontakty ze Styksem i jego mieszkańcami.

Od dwóch dekad, czyli od chwili przylotu na tę planetę, pracował na reputację znakomitego fachowca.

Tak, był najlepszym pilotem, jakiego kiedykolwiek poznała. Ufała mu też jak nikomu innemu.

Jej obawy miały znacznie głębsze podłoże.

Ta misja była cholernie niebezpieczna, a ona nie chciała stracić ostatniego, choć przyszywanego członka rodziny. Dlatego w trakcie rozmowy nawet na chwilę nie opuściła jej myśl o korporacyjnej wojnie, w trakcie której zostało zniszczone Holographic Data Comm. Sygnał EMP nie usmażył jej tak jak rodziców, ponieważ wtedy nie miała jeszcze sprzętu pod czaszką. Ivor, który zajmował się podówcześnie przemytem danych dla HDC - głównie umieszczaniem kopii wybranych produktów w zamkniętych systemach komputerowych najbardziej hermetycznych komun - zdał sobie momentalnie sprawę, że genetyczne dziedzictwo Tetsamich czyni z ich dziecka idealne narzędzie dla korporacji. Gdyby nie

wykradł jej w porę, zapewne zrobiłaby krótką, acz błyskotliwą karierę jako zawodowa hakerka w Troy Broadcasting Corporation. Karierę zakończoną identycznie jak w przypadku jej rodziców.

Gdy sprawiła sobie biolink, niewiele brakowało, by Ivor uderzył ją po raz pierwszy w życiu - ale zdołał się powstrzymać, choć miał krewki temperament. Teraz, wtajemniczając go w szczegóły skoku, odczuwała coraz mniejszą ochotę na mieszanie go do tej niebezpiecznej rozgrywki. Zaczynała w końcu rozumieć, czego się obawiał, gdy szła w ślady rodziców.

\*\*\*

Ivor wypowiedział pierwsze słowa po mniej więcej godzinie wyjaśnień.

- I pomyśleć, że kiedy miałaś sześć lat, uważałem cię za wyjątkowo grzeczne dziecko.

- A ja miałam ciebie za rezolutnego człowieka, wujku. Znowu unikasz odpowiedzi. -

Tetsami nie była pewna, co chciałyby od niego usłyszeć.

- Wiesz, że mam pewne zobowiązania...

- Podrzucanie towarów do Jeffersonu? Daj spokój.

- Nie kpj z uczciwego zarabiania na życie.

- Nie przepracowałeś uczciwie jednego dnia w swoim życiu.

Ivor zerwał się z fotela i zaczął chodzić w kółko, przeczesując włosy wielkimi paluchami.

- Wiesz, jak tego nie cierpię. Jesteś jedyną bliską mi osobą, jaką miałem po wylądowaniu na tej niegościnnej skale. Naprawdę musisz się pakować w takie historie? Doprowadziłaś do tego, że osiwiąłem, a teraz robisz wszystko, żebym do kompletu wyląsiał.

- Osiwiałeś dziesięć lat przed moim urodzeniem.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Podobnie jak kolor twoich włosów.

Ivor westchnął i zatrzymał się na środku poczekalni.

- Wiesz, że mnie wrabiasz? - mruknął. Tetsami skinęła wolno głową, znów czując ulgę i niepokój zarazem. - Zrobię to tylko dlatego, by mieć cię na oku - dokończył.

- Jasne.

Po tym oświadczeniu zdryfowali na bezpieczniejsze tematy. Od ich ostatniego spotkania minął już rok standardowy, mieli więc sporo do nadrobienia. Dopiero po dłuższej chwili Tetsami wyciągnęła z „wuja”, że rzekome wożenie towarów do Jeffersonu to tylko przykrywka: tak naprawdę chodziło o przemyt materiałów propagandowych do komun zaopatrujących to miasto w żywność.

- Po co to wszystko?

Ivor wzruszył ramionami.

- Kongresmeni z Jeffersonu uznali podobno, że jeśli część komun przejdzie na demokapitalizm, będzie można kupować od nich lepszą żywność za niższą cenę. Moim zdaniem chodzi jednak o zemstę. Ci fanatyczni Amerykanie nie lubią, kiedy nazywa się ich komuną imienia Thomasa Jeffersona.

- Ale to przecież prawda.

Ivor się roześmiał.

- Tylko im tego nie mów.

- Chodziło mi o to, że jeśli nie są komuną ani korporacją, muszą być państwem. A skoro tak, ktoś może zrobić im...

Drzwi poczekalni rozsunęły się, przepuszczając mężczyznę w błękitnym jednoczęściowym drelichu. Twarz zasłaniała mu plastikowa maska, w której w miejscu oczu znajdowały się ruchome obiektywy, a usta i nos zakrywała kratownica głośnika.

- Czy to wy czekacie na informacje o pacjentce numer D5/789/3467? - zapytał.

Tetsami skinęła głową.

- Możecie ją odwiedzić. Jej obrażenia nie były aż tak poważne, jak początkowo przypuszczaliśmy. Nadpłata za nie wykonane usługi została już zwrócona na konto, z którego pobrano zaliczkę.

Hakerka wstała z fotela, ujęła Ivora pod łokieć i ruszyła za lekarzem.

Razem przebyli wykładane drewnianymi panelami korytarze, stąpając po grubych wykładzinach importowanych z Protektoratu. W pewnym momencie Ivor zwolnił, pochylił się i wyszeptał jej na ucho:

- Pacjentka D5 łamane przez siedemdziesiąt osiem coś tam, coś tam? Czy ta wasza komandoska nie ma imienia i nazwiska?

- Jeśli chodzi o tych lekarzy, nie ma.

Izolotka, w której leżała Shane, mogła z powodzeniem udawać pokój hotelowy. Kathy wyglądała, jakby niedawne wydarzenia w ogóle nie odbiły się na jej zdrowiu. Siedziała na skraju łóżka, a piżama, którą dostała, przypominała bardziej kimono niż papierowe jednorazowe cuda, w jakich Tetsami spodziewała się ją ujrzeć. Jediną oznaką odniesionych ran był siniec otaczający zasklepione rozcięcie na prawym policzku. Gdy weszli, dezerterka podniosła wzrok i obdarzyła Tetsami krzywym półuśmiechem.

- Ta dziura bije na głowę wszystkie pokładowe ambulatoria.

- Jak się czujesz? - zapytała hackerka.

- Dobrze... pod względem fizycznym.

- Możemy się stąd zbierać?

Shane potaknęła.

- Powiedzieli, że nic mi nie będzie. Nie musieli mnie nawet otwierać. Aczkolwiek... - Spojrzała na Ivora. - To chyba nie jest Zanzibar... Chyba że mam bardziej pochrzanione pod czaszką, niż do tej pory sądziłam.

- No tak, poznajcie się: Kathy Shane, Ivor Jorgenson.

Siwowłosy olbrzym wyciągnął dłoń i obdarzył poobijaną dezenterkę szerokim uśmiechem.

- Miło mi. - Shane także zdołała się rozpromienić mimo opuchlizny na twarzy i uścisnęła mu rękę. - Przechodziłeś przypadkiem obok tego szpitala czy masz na tyle nierówno pod sufitem, że pracujesz dla Dominica?

Ivor potrząsnął głową.

- Dwa razy pudło. - Nadal uśmiechał się całą gębą.

- Ubieraj się lepiej - wtrąciła Tetsami - i spieprzajmy do tego magazynu...

- Z tym może być problem. Lekarze wywalili mój kombinezon.

Hakerka obejrzała ją od stóp do głów.

- Przewiewna ta sukienka. A niech to... - pokręciła głową. - Nie ocalałam żadnej z naszych toreb, zabrałam jedynie pojemniki z twoim pancerzem i kilka pukawek. Szlag by to trafił.

Shane wzruszyła ramionami.

- Nie ma się czym przejmować.

- Masz. - Ivor zrzucił z ramion skórzaną kurtkę i podał ją siedzącej na łóżku pacjentce.

Shane nie przewyższała Tetsami. Mimo że miała masywną budowę kulturystki, zniknęła w odzieniu Jorgensona jak w namiocie.

- Dzięki... - założyła na nogi parę szpitalnych kapci ustawionych na podłodze obok łóżka. - Możemy iść.

Hakerka nie oponowała. Wyprowadziła Ivora i Kathy na ulicę, wybierając najkrótszą drogę. Słyszała, jak rozmawiają za jej plecami.

- Tetsami powiedziała mi, co wam się przydarzyło. Tak mi przykro.

- Nie musi pan...

- Wiem, jak to jest, kiedy towarzysze broni obracają się przeciw komuś.

- To raczej ja obróciłam się przeciw nim.

- O tym też coś wiem.

Gdy dotarli do wyjścia, hackerka zapytała:

- Jak się tutaj dostałeś, Ivor?

Wskazał głową na parking widoczny po drugiej stronie drzwi.

- Tam jest mój wóz.

- Świetnie, musimy opróżnić ciężarówkę, którą sobie przywłaszczyłam. Spaliłam jej transponder, ale prędzej czy później ktoś ją tutaj odnajdzie.

- Przywłaszczyłaś? - zdziwiła się Shane.

- Ukradłam - wyjaśniła Tetsami. - Byłaś nieprzytomna, kiedy się do niej wlamywałam.

Ruszyli ramię w ramię w kierunku parkingu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

### KONTROLA ZYSKÓW

„Historia to tylko zbiór przypadków”.

*Księga mądrości cynika*

„Nikt nie dotrze tak wysoko jak ten,

kto nie wie, dokąd zmierza”,

Oliver Cromwell (1599-1658)

Dominic szedł przez starożytną jaskinię. Jego myśli były równie czarne jak zeszlone kamienne ściany, które go otaczały. Znajdował się prawie dwieście metrów pod najniższym poziomem komuny. Jedynymi śladami cywilizacji były tutaj lampy pozostawione przez dawnych budowniczych i dochodzący ze wszystkich stron szum ogromnego reaktora zimnej fuzji.

Bez względu na temperatury panujące w śnieżnej dolinie, przez którą wiodła jedyna droga do wnętrza podziemnej cytadeli, temperatura w tym miejscu nigdy nie przekroczyła dziesięciu stopni Celsjusza ani nie spadła poniżej.

Oddech Doma zamieniał się w parę, wywołując efekt halo wokół prostokątnych lamp, które wyznaczały trasę jego wędrówki.

Było tu tak cicho i spokojnie, że mógłby wędrować tymi korytarzami bez końca. Mógłby zatracić się w sercu jedyne go łańcucha górskiego na Bakuninie, swoistego kręgosłupa samotnego kontynentu tej planety. To byłoby takie proste i łatwe. Gdyby wszedł w któreś z odgałęzień widocznych w świetle otaczających go reflektorów, nikt nigdy nie odnalazłby jego ciała. Jaskinie te ciągnęły się aż po krańce gór, do granic wiecznej zmarzliny.



Dominic poczuł zaskoczenie, gdy zrozumiał, jak bardzo atrakcyjne wydało się to rozwiązanie. Myśl o samobójstwie odkryła przed nim ten aspekt osobowości, którego najbardziej nie lubił. Dlaczego tak rozpaczliwie pragnął uciec od tego wszystkiego?

Skalne ściany cofnęły się w mrok, gdy doszedł do olbrzymiej komory, zatracając się we wszechobecnych ciemnościach. Podłóże jaskini tonęło w mroku niespełna dziesięć metrów od miejsca, gdzie się zatrzymał. Tylko jedna lampa oświetlała ten przestwór - ta, która wisiała nad wejściem za jego plecami.

Szedł tutaj niemal godzinę i właśnie dotarł do ostatniego zakątka, który odwiedzili amatorzy speleologii wywodzący się z budowniczych komuny. Był zapewne pierwszym człowiekiem, który przybył do tej komory od czasu ukończenia kompleksu znajdującego się teraz gdzieś tam nad jego głową, a miało to miejsce przed wielu laty. A już na pewno był pierwszym gościem od chwili opuszczenia komuny Diderot, czyli od niemal dekady.

Przejął ten podziemny kompleks przed rokiem, ale do tej pory nie zdołał go w pełni uruchomić. Był jednak całkowicie pewien, że nikt z jego podwładnych nie zapędził się aż tak daleko: ci ludzie mieli zbyt wiele roboty i tyle urządzeń do naprawienia, a wysłał ich tutaj tylko garstkę. Komuna według oryginalnych planów miała pomieścić dziesięć tysięcy mieszkańców, on zaś sprowadził do niej niespełna tysiąc czterystu ludzi. Mniej niż tysiąc, jeśli odliczyć dzieci, rannych i starców.

Przesunął dłonią po ścianie. Ktoś użył lasera, by wyryć w obsydianie listy inicjałów. Opuszki jego palców śledziły linie zagłębień. To było najtrwalsze z dzieł, jakie wyszły spod rąk budowniczych komuny. Te zagłębienia w skale, w miejscu, gdzie warunki atmosferyczne nigdy nie ulegają zmianie, na planecie, która praktycznie jest tektonicznie martwa, przetrwają milion lat dłużej niż każdy inny ślad bytności człowieka na Bakuninie.

To skojarzenie nasunęło Domowi myśl o Dolbrianach, którzy podobno stworzyli warunki do życia na tej planecie. Może te ich tajemnicze posągi, kopce i rowy także były wielkim kosmicznym graffiti?

Sam się zdziwił, słysząc swój śmiech.

Jego dawny przełożony, Dimitrij, nie pochwaliby tej reakcji. Stary drań wielbił Dolbrian.

Pomysł ten trącił jednak jakąś strunę w duszy Doma. Było nie było, czyż nie tego właśnie pragną wszyscy wokół? Zaznaczenia swojej obecności w niezmiennym i wiecznym wszechświecie? Pokazania „tutaj byłem” w największej możliwej skali?

Dolbrianie pozostawili po sobie całą masę takich znaków. Ludzie oglądali te graffiti milion stuleci po ich wymarciu. Albo zniknięciu. Czy co tam się z nimi stało.

Dominic spojrział w głąb mrocznej jaskini. Nie dostroił fotoreceptorów, by mieć lepsze pole widzenia. Stał tam po prostu, przyglądając się idealnym ciemnościom.

Jaki on pozostawi znak po sobie?

Bracie, dlaczego mi to robisz? - zapytał, wydychając gęste kłęby pary. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu zaczął myśleć o sprawach wykraczających daleko poza granice korporacji, którą stworzył.

- Panie Magnus? - odezwał się ktoś za jego plecami. Głos dobiegał z korytarza. Jego właściciel ciężko dyszał. - Panie Magnus? - To rozległo się już znacznie bliżej. Tym razem słychać było także odgłos butów uderzających o twarde kamień. Chwilę później kolejny kłąb pary uniósł się nad mroczną otchłanią.

- Tak? - Dom obrócił się, by popatrzeć na niskiego śniadego mężczyznę. Mając w głowie wszczepiony komputer, pamiętał imiona i nazwiska wszystkich osób, które dla niego pracowały. Człowiek stojący obok niego dowoził nocą ludzi na trzecią zmianę, a w dzień pełnił funkcję gońca. Na imię miał Desmond.

- Wyciągnęliśmy z magazynów autolot, o który pan prosił. Stoi na lądowisku.

- To antygraw?

- Tak.

Dominic skinął głową.

- Możemy go poświęcić?

- Jakoś bez niego przeżyjemy.

Cisza się przeciągała. Desmond nadal stał tuż obok niego.

- Coś jeszcze?

- Cóż, sir... - zaczął. Dominic obrócił się, by stanąć twarzą w twarz z podwładnym. - Zainstalowaliśmy holo i generatory pola. Widzieliśmy przy tym jakichś ludzi, sądzimy więc, że nasza kryjówka mogła zostać zdekonspirowana.

- Generatory pola miały temu zapobiec - zauważył Magnus. Desmond pokiwał głową. Cisza znów zaczęła się przeciągać, więc Dom uciął ją kolejnym zdaniem: - Ale nie zapobiegły, jak widzę.

- Ta komuna nadal jest zbyt odkryta. Wielu z nas czuje strach, zwłaszcza że zagrożenie nadal istnieje.

Magnus pokiwał głową. Kupił to zadupie niespełna rok temu, co nie dawało zbyt wiele czasu na przygotowania.

Z Klausem na karku ta komuna naprawdę nie była bezpiecznym miejscem. Jego brat stał za systematycznym namierzaniem ludzi pracujących dla GA&A. Jeśli dowie się o

lokalizacji tego miejsca, zrobi wszystko, by je zniszczyć. A wystarczy mu do tego ułamek sił użytych podczas zajmowania kompleksu korporacji.

Dominic musiał poprawić bezpieczeństwo swojej nowej siedziby.

Skinął głową na tę myśl i poprowadził Desmonda z powrotem do komory reaktora i windy, którą mogli wjechać na wyższe poziomy komuny.

- Rozumiem. Wydaje mi się, że znalazłem rozwiązanie. Coś, na co mogłem wpaść o wiele wcześniej.

Następne kilka godzin poświęcił na opracowanie planu, zorganizowanie ekipy inżynierskiej i budowlanej, a potem wcielenie swojej idei w życie. Gdy załatwił wszystko, umocnił autorytet i ukoił własne obawy. Od tej chwili komuna da sobie doskonale radę i bez jego obecności tutaj.

Kiedy wsiadał do autolotu - tym razem prawdziwego antygrawu bez dysz kierunkowych - Bakunin skrył się w mrokach bezksiężycowej nocy.

Dominic wystartował z zaśnieżonego lądowiska na skraju dachu centralnego budynku komuny. Pozwolił komputerowi prowadzić pojazd w pierwszej fazie lotu, by patrzeć na znikającą w dole konstrukcję.

Budynek był masywny, biały, przypominał ściętą piramidę otoczoną pasem zieleni pochodzącej z hydroponicznych cieplarni. Jego podstawa zajmowała niemal całą bezimienną dolinę.

Autolot wznosił się nadal, wkrótce, gdy wszedł w granice sfery obronnej komuny, powietrze wokół niego zamigotało wszystkimi barwami tęczy. Ta kopuła pola siłowego nie mogła zatrzymać promieni lasera ani strumieni plazmy, nie zdołałaby także usmażyć elektroniki nadlatujących pocisków konwencjonalnych - kompleks nie dysponował mocą do tego potrzebną. Jej działanie było więc bardziej pasywne, ograniczało się do redukcji promieniowania podczerwonego i elektromagnetycznego, aby komuna nie odcinała się od tła otaczających ją gór.

Po kolejnym błysku oznaczającym, że autolot Doma przeleciał przez ekrany holo, piramida i otaczający ją kompleks zniknęły jak za dotknięciem magicznej różdżki. Na graniach wokół doliny rozmieszczono dwanaście niezależnych holoprojektorów, których zadaniem było wyświetlanie obrazu dziewiczych skał nad szczytami najwyższych zabudowań komuny. Z tak bliskiej odległości każdy by zauważył, że ma do czynienia z projekcją, ale obserwator znajdujący się w korytarzach powietrznych na pułapach przelotowych albo na sąsiednich szczytach czy też patrzący na ten rejon przez obiektywy satelitów nie mógł zobaczyć niczego dziwnego.

Niestety, na prowizoryczne choćby uruchomienie tych zabezpieczeń potrzebowano jeszcze pełnych dwóch dni. A Dom nie chciał opuszczać podziemi, dopóki prace nad nimi nie zostaną zakończone. Starał się zminimalizować tym sposobem ryzyko ataku, na który jego komuna - będąca dziś miejscem schronienia dla setek uchodźców - nie powinna być narażona. Wojny korporacyjne nigdy nie obejmowały rzesz pracowników. Chodziło w nich wyłącznie o przejęcie kapitału.

Problem w tym, że Dom nie przewidział pojawienia się Klausa.

Dlatego oddalając się od martwych, pokrytych śniegiem szczytów, miał nadzieję, że te skromne środki wystarczą na razie, by zapewnić bezpieczne schronienie jego załodze.

Należało to jednak przewidzieć. Cała komuna powinna się mieścić pod powierzchnią ziemi i mieć potężną osłonę przeciwlotniczą.

Oddalając się od łańcucha górskiego, uznał w końcu, że za późno już na te gorzkie żale.

\*\*\*

Dominic okrążał Godwin szerokim łukiem, przelatując antygrawem nad gęstymi lasami porastającymi okoliczne wzgórza. Zarośla w dole pasowały do tego krajobrazu jak przysłowiowa pięść do nosa, chociaż przy odrobinie dobrej woli można było uznać, iż powstały w wyniku zatrzymywania przez niebosiężne góry mas nadciągającego z oceanu gorącego tropikalnego powietrza. Według wielu fachowców wyglądały jednak, jakby ktoś zasadził je tutaj celowo.

Wyznawcy teorii o interwencji Dolbrian postrzegali te lasy jako żywy dowód na terraformowanie Bakunina. Wskazywali przy tym na fakt, całkiem rozsądnie zresztą, że choć planeta powinna być skuta lodem, to wyjątkowa kombinacja jej odległości od dogasającej gwiazdy, nieskończenie małe odchylenie od osi i gruba warstwa gęstej, przeładowanej wilgocią atmosfery uczyniła ze strefy równikowej miejsce nadające się do rozwoju życia.

Po jednej stronie gór znajdowała się nieprzebyta gęstwina, po drugiej pustynie, a brak tektoniki oznaczał, że stan ten trwa od momentu wypiętrzenia tego łańcucha, który datowano mniej więcej na okres rozkwitu kultury Dolbrian.

Dominic pokręcił głową. Wciąż nie potrafił uwolnić się od myśli o starożytnych cywilizacjach.

To przez Dimitrija. Stary miał fioła na punkcie tych istot. Jeżeli któryś z ostatnich zabiegów - dzisiaj przeszczepimy panu nerekę, w przyszłym roku wątrobę, potem poprawimy system nerwowy, wymienimy szpik kostny - nie doprowadził do jego końca, właśnie Dimitrij stał za atakiem ZRW, który odebrał Domowi GA&A.

Szczerze mówiąc, Dimitrij mógł osobiście nadzorować tę akcję.

Dimitrij.

Dominic zabiłby go z równie wielką rozkoszą jak własnego brata.

Magazyn wynajęty od korporacji Bleek mieścił się w północno-zachodniej dzielnicy Godwina. Budynek postawiono nad zakręcającym w tym miejscu łagodnie tunelem kolejki mającej połączyć to miasto z kosmoportem w Proudhonie. To był aktualny cel podróży Doma. Lot w prostej linii z komuny do magazynu trwałby kilka godzin krócej i pozbawiłby go okazji do paru głębszych refleksji, niestety trasa prowadziła dokładnie nad kompleksem GA&A, a potem nad wschodnimi dzielnicami Godwina. Nie zamierzał więc podejmować tak wielkiego, niepotrzebnego i w dodatku podwójnego ryzyka. Po starcie skierował autolot na północ, w kierunku pustkowi, potem, gdy na horyzoncie zamajaczyły syntetyczne białe marmury Jefferson City, skręcił na zachód, aby po kolejnym nawrocie zbliżyć się do Godwina tunelem powietrznym biegnącym od strony Nowego Paryża.

Gdy przelatywał nad dzielnicami mieszkalnymi na obrzeżach miasta - były to zamknięte enklawy patrolowane nieustannie przez armię ochroniarzy - niebo za górami na wschodzie zaczynało już jaśnieć. Widząc czerwony blask zalewający szczyty od przeciwnej strony, wyobraził sobie ten sam łańcuch górski przed milionami lat, gdy wszystkie granie czynnych wulkanów były wciąż ostre i strome.

Skręt na północ sprowadził go nagle nad połacie dzielnicy fabrycznej.

Wylądował, gdy cień rzucany przez góry minął go, cofając się na wschód, a kanciaste zabudowania dzielnicy przemysłowej znalazły się w blasku wstającego właśnie czerwonego słońca.

Magazyn wydzierżawiony od Bleek Munitions nie wyróżniał się niczym szczególnym - był kanciasty, pozbawiony okien, przekombinowany. Subtelności miał tyle co uderzenie w twarz. W odróżnieniu od GA&A, Bleek nie było scentralizowaną korporacją, dlatego potrzebowało wielu oddziałów porzucanych według znanego tylko jej szefom planu logistycznego. W tym miejscu miano przechowywać amunicję, która potem powinna trafić do kosmoportu w Proudhonie i dalej, do innych systemów. Dlatego budynek zbudowano dokładnie nad tunelem kolejki podziemnej. Gdy okazało się, że metro jednak nie powstanie, magazyn stracił pierwotne znaczenie, a ponieważ leżał zbyt daleko od tradycyjnych tras przewozowych, stał się dla firmy zbędnym obciążeniem. Dlatego nikt go od dawna nie używał.

Z tego także powodu był idealnym miejscem do urzeczywistnienia planu Doma.

„Naszego planu”, pomyślał Magnus, przypominając sobie o Tetsami.

Odkąd GA&A przejęli Konfederaci, dopiero przez ostatnie dwa dni nie miał hakerki przy sobie. Nagle dotarło do niego, że w ciągu tego krótkiego czasu przywykł do niej, co więcej, łaknął jej towarzystwa. Na tę myśl zrobiło mu się nieswojo. Nie chciał dopuścić do siebie świadomości, że jest dla niego czymś w rodzaju emocjonalnej protezy.

To byłoby zbyt nieprofesjonalne.

Emocjonalne zaangażowanie przy tego rodzaju robocie mogło być niebezpieczne, bardzo niebezpieczne.

Musiał zmienić sposób myślenia o niej.

„Nasza operacja”.

Przedsięwzięcie, które zaczął realizować wspólnie z Tetsami, różniło się diametralnie od jego dawnej korporacji. Stąd też i inne miał oczekiwania. Dziewczyna uświadomiła mu coś jeszcze. Ci ludzie nie byli jego pracownikami, tylko partnerami w interesach. Cokolwiek robił, hakerka miała w tym taki sam udział jak on. Nie ona, także wszyscy pozostali członkowie zespołu.

Dominic popchnął osłonę kabiny i stanął na prowizorycznym lądowisku. W tym samym momencie rozsunęły się drzwi w odległej nadbudówce i z windy zamontowanej w narożniku dachu wynurzyły się dwie osoby - sierżant Zanzibar i siwowłosy olbrzym, który wydał mu się dziwnie znajomy.

„To Ivor Jorgenson. - Dominic sprawdził nazwisko zdobiące kartotekę tego człowieka. - Gdzie ja cię już widziałem?”

Szefowa ochrony i pilot mieli przy sobie szerokopasmowe karabiny plazmowe macmillan-schmitt. To była idealna broń do walki na krótkim dystansie, zminiaturyzowana wersja działek montowanych na pojazdach bojowych. Piechota Konfederacji uwielbiała te cudeńka, mimo że były po wielokroć bardziej energożerne niż tej samej wielkości miotacze laserowe. W odróżnieniu od tych ostatnich jeden strzał z takiej pukawki mógł oczyścić ze śladów życia całą powierzchnię dachu.

Komandosi nazywali je „kieszonkowymi słońcami”.

Zanzibar i jej towarzysz opuścili broń, gdy zobaczyli, kto przyleciał. Maria podeszła do Doma, a siwowłosy został na posterunku przy szybie windy.

- Witamy w Godwinie, panie Magnus. Nie miał pan żadnych problemów po drodze?

Dominic pokręcił głową.

- Nie.

- Zabezpieczenie tego miejsca to istny koszmar. Dwa razy wpadliśmy w zasadzkę zorganizowaną przez komandosów. Drugą zastawili na Mosasę i Losowego, gdy

sprowadzaliśmy ich do miasta.

Ta wiadomość nie spodobała się Domowi.

- Mosasa nigdy nie pracował dla GA&A.

Zanzibar przytaknęła.

- Wygląda na to, że kilka szczegółów naszego planu przeciekło do pułkownika Dachama.

- Niech to licho i podatki! - Magnus walnął pięścią w karoserię antygrawa, nie zważając zupełnie na przerażoną minę szefowej ochrony.

- Zabezpieczyłam ten budynek, na ile to było możliwe - zameldowała Zanzibar. - Wszyscy siedzą na dole, w pomieszczeniach magazynu. Nikt nie kontaktował się z ludźmi przebywającymi na zewnątrz. Martwiłam się trochę o naszą komunę.

- Niepotrzebnie - uspokoił ją Dom. - U nas wszystko w porządku.

- Jeśli Dacham namierzy jej położenie...

- Do licha, Zanzibar! Jak sądzisz, co robiłem przez te dwa dni?

- Przepraszam, sir.

Magnus zaczerpnął głęboko tchu.

- Nie. To ja przepraszam. To były dla mnie naprawdę ciężkie dni. - Sam się zdziwił, widząc swoją dłoń na ramieniu szefowej ochrony. - Nie przejmuj się komuną. Zadbaliśmy o nią. Możesz zająć się swoją robotą.

- Namierzenie tego magazynu to tylko kwestia czasu.

- Będziemy go potrzebowali raptem przez kilka dni. Wszyscy są już na miejscu?

Zanzibar skinęła głową.

- Mosasa i Losowy przybyli wczoraj.

- Nic im się nie stało?

- Nie. - To słowo zabrzmiało dziwnie. - Komandosy próbowali wziąć z zaskoczenia eskortę, to znaczy nas, mnie i Ivora. Zostaliśmy obezwładnieni, ale z jakiegoś powodu pominęli Mosasę. - W głosie Zanzibar wyczuł podejrzliwość.

- Co tam się stało?

- Wygląda na to, że nasz przyjaciel usmażył trzech komandosów. Zrobił to w pojedynkę, kiedy byliśmy nieprzytomni.

- Nie odniósł przy tym żadnych obrażeń?

- Nawet go nie drasnęli.

- Coś mi tu śmierdzi.

- Podobnie jak mnie.

- Nie wiesz, kto może być źródłem przecieku?

Szefowa ochrony potrząsnęła głową z widoczną irytacją.

- Nie. Stawiałabym na Shane. Tyle że ona nie miała pojęcia o Mosasie ani o tym, że miał przyjechać wczoraj.

- Zatem pozostaje sam Mosasa.

- Owszem. To jego tłumaczenie o chybieniu z ogłuszacza jest za bardzo naciągane. Z drugiej jednak strony na własne oczy widziałam usmażonych komandosów. Nie sądzę, by pułkownik chciał zapłacić tak wysoką cenę za utrzymanie jego przykrywki.

Dom westchnął.

- Miej go na razie na oku. Chodźmy na spotkanie z zespołem. Nie mamy zbyt wiele czasu na skopanie dupy Klausowi.

\*\*\*

Przed południem - ale już po tym, jak Dom wysłuchał raportu Tetsami - zespół zebrał się po raz pierwszy w pełnym składzie.

„Teraz Klausowi wystarczyłoby odpalenie jednej jedynej rakiety”, pomyślał Magnus, zasiadając na prawo od rzutnika holo.

Wnętrze magazynu można było dzielić wedle uznania dzięki systemowi sterownych komputerowo przesuwanych ścian. Pomieszczenie, w którym miała się odbyć odprawa, stworzono dzięki takim właśnie programowalnym modułom. Uczestnicy zasiedli w sześcianie o boku dwudziestu metrów i gdyby nie pomoc Mosasy, który przywiózł ze sobą aktywne systemy tłumiące, będące integralną częścią aparatury przeciwpodśluchowej, mieliby spory problem z echem podczas czekających ich rozmów.

Dziewięć osób zasiadło wokół okrągłego „stołu”, czyli podwyższenia, na którym stała kiedyś jakaś ciężka maszyna. Dominic i Tetsami zajęli miejsca obok projektora holo skierowanego na sam środek blatu.

Magnus splótł dłonie przed sobą, zanim rozpoczął odprawę.

- Wszyscy już wiecie, przynajmniej z grubsza, co planujemy zrobić. Czas zatem na bardziej szczegółowe wyjaśnienia. Ale zanim to nastąpi, daję wam jedyną i ostatnią szansę na wycofanie się z tego przedsięwzięcia.

Dominic przyjrzał się uważnie zebranym. Oferta została złożona. Levy wyglądał na mocno zdenerwowanego. Ptakopodobna istota kiwała głową na przydługiej szyi w bardzo dziwny sposób. Smok wytatuowany na ciele Mosasy miał bardziej wyrazistą minę niż człowiek, którego zdobił.

Nikt się jednak nie wycofał.



Dominic skinął głową.

- Świetnie. Skoro zebraliśmy się po raz pierwszy w komplecie, sądzę, że powinniśmy się sobie przedstawić... Tetsami?

Hakerka wstała. Otrzymała zaszczyt przedstawienia zgromadzonym wszystkich członków zespołu, ponieważ plan, który mieli realizować, zrodził się w jej głowie. Denerwowała się, czego wyrazem było choćby przeczesywanie włosów dłonią. Wyglądała przy tym, jakby nie spała od kilku dni.

- Znacie mnie wszyscy dobrze i zapewne rzygacie już na mój widok, bo przez ostatnie sześćdziesiąt cztery godziny wyciskałam z was każdą informację, ale aby formalnościom stało się zadość, powtórzę raz jeszcze: nazywam się Kari Tetsami.

- Zabawne: mimo że wszystkie dane hakerki były w jej aktach, Dom dopiero teraz zauważył, że dziewczyna ma również imię. - Jestem odpowiedzialna za koordynację naszego przedsięwzięcia. Jeśli będziecie mieli jakikolwiek problem z realizacją planu, zwracajcie się prosto do mnie. - Wskazała ręką siwowłosego olbrzymia, który kończył właśnie trzecią kanapkę, przepijając ją wielkim kubkiem kawy. - Oto Ivor Jorgenson, najlepszy pilot, jakiego znam na tej skale. On będzie odpowiedzialny za ewakuację zespołu penetrującego kompleks. - Kontynuowała prezentację, jadąc w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara: - Kathy Shane, komandoska, która przeszła na naszą stronę. Była na tyle miła, że zdezerterowała w pełnym rynsztunku bojowym. Jej zadaniem będzie wprowadzenie zespołu drugiego na pokład okrętu wojennego. - Teraz kolej na czarnoskórego specja od komputerów: - Tjalee Mosasa jest ekspertem w dziedzinie łączności, elektroniki, systemów zabezpieczeń i tym podobnych rzeczy. Zdołał już dokonać bardzo istotnych przeróbek transpondera w panczeru Shane, ale do jego najważniejszych obowiązków będzie należało zadbanie, aby nowi zarządcy GA&A nie zauważyli naszego wejścia.

Wskazany uklonił się grzecznie, blask holoprojektora odbił się od jego gładkiej łysiny. Obok niego unosił się w powietrzu kulisty robot trzymający w jednym z manipulatorów walizeczkę.

- Maszyna, którą tam widzicie, jest sterowana przez Losowy Krok, czyli sztuczną inteligencję. - Dominic zauważył, że dziewczyna wypowiedziała te słowa nieco ostrzej niż poprzednie. - Jej zadanie będzie polegało na włamaniu się do komputerów paraliańskiego okrętu wojennego. - Obok siedział niski, łysawy i wiecznie zdenerwowany staruszek. Magnus dopiero teraz zwrócił uwagę, że księgarz wybrał miejsce pomiędzy dwiema obcymi istotami. - Johann Levy zna się na materiałach wybuchowych. Jemu przypadnie najważniejsza robota, czyli otwarcie sejfu.

Następny był ptak, istota, na której skupiały się teraz spojrzenia reszty członków zespołu.

- Kwiat jest Voleraninem i na wypadek, gdybyście jeszcze tego nie wiedzieli, zwracajcie się do niego per ono, ponieważ pozostałe formy osobowe są dla niego wielką obrazą. Nasz skrzydlaty przyjaciel udzieli nam kompletnych wyjaśnień na temat systemów uzbrojenia okrętu, z którymi możemy mieć do czynienia podczas akcji. Kwiat nie pójdzie z nami do kompleksu, ale nasz sukces zależy od niego w takim samym stopniu jak od każdego z was. - Przyszła kolej na szefową ochrony: - Maria Zanzibar zna wszystkie systemy zabezpieczeń w kompleksie. Przeszła również szkolenie bojowe, więc będzie odpowiadała za osłanianie zespołu otwierającego sejf. Jako ostatniego przedstawiam wam Dominica Magnusa, właściciela złota, które mamy ukraść. - Dom uklonił się zebranym. - A teraz pomówimy o zyskach - dodała Tetsami. - Każdemu z nas przypadnie w udziale dwadzieścia megagramów złota, czyli krócej mówiąc, dwadzieścia ton tego kruszcu albo... adekwatny udział w akcjach przejętej za ukradzione pieniądze korporacji. - Uśmiechnęła się. - Teraz, kiedy już się poznaliśmy i wiemy, ile możemy zarobić, czas zapoznać się ze szczegółami czekającej nas roboty.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

### **KONFERENCJA PRASOWA**

„Najemnicy nie wygrywają tyłu wojen  
co fanatycy, za to żyją dłużej”.

*Księga mądrości cynika*

„Złoto jest wszystkim, bez złota nie ma nic”.

Denis Diderot (1713-1784)

Ta prawda dotarła do Tetsami w trakcie prowadzenia odprawy. „To naprawdę się dzieje!” Skok, który wymyśliła i zaplanowała - po części z desperacji - wchodził w decydującą fazę.

Do tej chwili, nawet stając przed pozostałymi ośmioma członkami zespołu, miała głębokie przekonanie, że cały ten pomysł jest czysto hipotetyczny. Że ona i Dom prowadzą pozorowane działania obliczone na zabicie czasu, podczas gdy tak naprawdę usiłują znaleźć dobry sposób na zejście Konfederatom z celownika.

Ale nie zabijali czasu, a pomysł okazał się jak najbardziej realny. Co więcej, tylko ten

skok dawał im szansę na przetrwanie. Dominic - wedle tej pokrętej logiki - potrzebował korporacyjnej podbudowy, aby chronić siebie i „swoich ludzi”. Albo zdoła osiągnąć ten cel, albo wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli z nim do czynienia, będą musieli zapaść się pod ziemię i czekać, aż ludzie pracujący dla ZRW opuszczą Bakunina.

A to mogło potrwać, zważywszy, że nikt nadal nie wiedział, po co tu właściwie przybyli.

Tetsami włączyła holo i zaczęła przedstawiać szczegóły planu, od początku czekając na nieuniknione jej zdaniem reakcje i komentarze typu: „jaja sobie robisz” albo „to się nie może udać”. Ukrycie zdenerwowania wiele ją kosztowało, zwłaszcza że obok siedział Ivor. A brnąc przez tę odprawę, czuła taki ból brzucha, jakby ktoś ścisnął ją w pasie imadłem.

Na szczęście udało jej się zmniejszyć samokontrolę Doma.

- Pierwsza sprawa - powiedziała, wywołując aktualną panoramę kompleksu GA&A. - Oto orzeszek, który musimy rozgnieść. - Robiła zbliżenia na poszczególne detale, opisując ich znaczenie. - Kompleks jest otoczony liczącym dwieście pięćdziesiąt metrów średnicy kręgiem instalacji obronnych, na którym ustawiono dwadzieścia wież. Każda z nich ma, to znaczy miała pięćdziesiąt metrów wysokości. Zbudowano je z betonu wzmocnianego włóknom diamentowym, wyposażając w baterie rakiet przeciwlotniczych, sensory i generatory pola Emersona. - Przesunęła wskaźnik na zachodnią część kompleksu. - A teraz pora na dobre wieści. Połowa z tych fortyfikacji została zrównana z ziemią przez rakiety ZRW. Całe tyły apartamentowca korporacji, tego wysokiego budynku na zachód od płyty lądowiska, nie mają w tym momencie stałej linii obrony. Podobnie jest z ruinami dawnego centrum dowodzenia i północnym skrzydłem biurowca. ZRW załatało tę dziurę własnym sprzętem. Zbudowano nowe prowizoryczne wieże, ale mierzące tylko dwadzieścia metrów. Na nich znajdują się teraz konfederackie systemy uzbrojenia i sensory. Skonfigurowano je jednak tak, by służyły do odpierania ataków naziemnych, nie lotniczych. Na pokładzie Krwawego Przypływu jest wystarczająca ilość systemów komputerowych, by okręt poradził sobie z każdym nalotem. Problem polega tylko na tym, że systemy uzbrojenia transportowca nie nadają się do zwalczania jednostek naziemnych. Na szczycie każdej z dziesięciu nowych wież zamontowano więc działka plazmowe. Z tego, co wiem, chodzi o model macmillan-schmitt HD350...

Shane potwierdziła tę wiadomość, a kilku innych członków zespołu pokiwało głową z uznaniem.

- Tu także - kontynuowała Tetsami - mam dla was dobrą wiadomość. Nasi przeciwnicy dysponują na razie wyłącznie komputerami pokładowymi okrętu, a te są

przeciążone. Dlatego działka muszą być obsługiwane przez ludzi, których także brakuje naszemu przeciwnikowi. Komandosów jest za mało, by mogli chronić cały perymetr i prowadzić równocześnie misje patrolowe na terenie kompleksu. - W tym momencie hakerka spojrzała na Kathy, przekazując jej głos.

- Na miejscu jest kontyngent liczący stu dwudziestu żołnierzy sił specjalnych. Każde stanowisko HD350 wymaga obsługi minimum jednego kanoniera i jednego technika, tak więc aby obsadzić je w pełni, trzeba by wydelegować połowę stanu osobowego każdej wachty.

Tetsami podziękowała jej za tę krótką informację.

- Dodajcie do tego minimum pięciu ludzi, którzy muszą przebywać na pokładzie Krwawego Przyływu, i dziesięciu rannych w walce bądź wypadkach, jakie miały miejsce od początku tej operacji, a okaże się, że przeciwnik nie dysponuje wystarczającą liczbą ludzi, by obsadzić cały perymetr. Mówimy tutaj oczywiście o okresach spokoju pomiędzy kolejnymi alarmami, kiedy to służbę wartowniczą pełni zaledwie dziesięciu żołnierzy...

- Dzięki czemu pułkownik mógł rzucić przeciw nam dodatkowych siedemdziesięciu komandosów - wymamrotała Zanzibar.

- ...a większość instalacji obronnych obsługują cywile.

- Co ulega diametralnej zmianie, gdy ktoś ogłosi alarm - dodała Maria już pełnym głosem.

- I dlatego mam nadzieję, że uda nam się tego uniknąć. - Tetsami zmieniła ogniskową hologramu, by pozostali członkowie zespołu mogli przyjrzeć się lepiej środkowej części kompleksu. Tam też przesunęła koniec wskaźnika, podświetlając kolejne budynki, opisując rozmieszczenie działów GA&A, w końcu skupiła się na centralnym lądowisku, które z trudem mieściło niemal stumetrowy transportowiec Konfedu. - A teraz przejdziemy do kwestii związanych z okrętem ZRW. Kwiecie?

- Dziewczyna przekazała głos Obcemu.

Ptakopodobna istota podrapała się stopą po szyi, wyciągając równocześnie trójpalczystą dłoń w kierunku hologramu. Trzy stawy kończyny pozwalały na poruszanie nią z płynną gracją.

- Krwawy Przyływ to jednostka, którą zaprojektowano jako transportowiec dla sił szybkiego reagowania. Dlatego ma rozmiary sporego frachtowca, ale to nie znaczy, że jest powolny. Oryginalna konstrukcja była nadmiernie wyposażona. Okręty tej klasy posiadały napędy tachionowe, konwencjonalne oraz antygrawy. Mówię oczywiście o generatorach kwantowych, nie tych wolniejszych, a zarazem bezpieczniejszych, opartych na katalizie. Ze względu na tak wielkie skomplikowanie systemów żaden okręt nie był w stanie zabrać na

pokład więcej niż pięciuset pasażerów... - Obcy przeszedł do opisywania jednostki, która wylądowała w kompleksie GA&A.

Tetsami słyszała tę wypowiedź po raz trzeci. Kwiat nie skupiał się w swoim referacie na militarnym znaczeniu zmian, które wprowadzono na okrętach klasy Barakuda Pięć - dodanie dziesiątek rodzajów broni i wzmocnieniu pancerza, co skutkowało zmniejszeniem liczby przewożonych żołnierzy. Wypunktował za to korzyści, jakie wynikały z powyższych przeróbek. Takich jak całkowite oddzielenie generatorów tarcz energetycznych od napędu, dzięki czemu Krwawy Przypływ mógł pokryć polem ochronnym cały kompleks GA&A, nie włączając przy tym silników. Albo jak pomocniczy rdzeń komputera, który po przeprogramowaniu mógł przejąć - z trudem, bo z trudem - rolę dotychczasowych systemów zabezpieczeń.

Kwiat chwycił sterownik rzutnika i pokazał zebrany kilka schematów. Część z nich była powszechnie dostępna, kilka Obcy kupił bądź ukradł z różnych sieci w ciągu ostatnich dni, a resztę sam narysował. Największą uwagę na tę część prezentacji zwracał Mosasa i zgodnie z przewidywaniami Tetsami, Ivor.

- Tutaj i tutaj... - Kwiat użył wskaźnika dla oznaczenia miejsc obok legarów podwozia - są punkty dostępu do generatorów pola Emersona. Jak niemal wszystkie okręty Konfederacji, także Barakudy dysponują systemami, które generują wielowarstwowe koncentryczne pole siłowe. Każda z tych warstw może mieć inną częstotliwość, dzięki czemu całość jest w stanie przechwycić energię wielu trafień naraz. Z informacji, jakie zdobyłem, wynika, że Krwawy Przypływ włączył tylko jedną z nich, obejmując polem siłowym teren chronionego kompleksu. Ale nawet przy takim ograniczeniu zasięg pola musi stanowić gigantyczne obciążenie dla generatorów, zwłaszcza że nie mają one wspomaganie ze źródeł znajdujących się w GA&A. Teraz, gdy okręt wylądował na powierzchni planety i wysunął legary podwozia, możliwe będzie dotarcie do generatorów pola Emersona przez te obwody tutaj. - Dwa punkty załśniły czerwienią. - To obejścia głównego komputera.

W tym momencie Losowy uniósł się nieco wyżej.

- A co z dostępem do niego?

- Teoretycznie istnieje możliwość wejścia do głównego komputera przez sieć ochrony GA&A, ponieważ Konfederaci wykorzystują główną jednostkę obliczeniową okrętu do tymczasowego zarządzania kompleksem. Ale odradzałbym tę opcję, ponieważ nie wiemy, jakim interfejsem dysponują. Możemy tylko przypuszczać, że został stworzony naprędce przez obecnych na miejscu programistów ZRW. Lepszym rozwiązaniem wydaje mi się bezpośrednie wejście do systemów pomocniczego rdzenia Krwawego Przypływu. - Obraz

obrócił się, zmniejszył, a miejsce schematów zajął model sekcji kadłuba. - Tutaj mamy rdzeń pomocniczy. Umieszczono go tak blisko środka okrętu, jak to tylko możliwe...

- Czym jest ta wielka sfera po drugiej stronie grodzi? - zapytał Ivor.

Kwiat zmniejszył obraz jeszcze bardziej, aby elementy kadłuba były lepiej widoczne.

- To generator antygravitacyjny, który znajduje się dokładnie w centralnym punkcie kadłuba. Rdzeń pomocniczy umieszczono w tym punkcie, aby uniknąć jego uszkodzenia podczas ewentualnej walki, a generator może...

- Tego się właśnie obawiałem - mruknął pilot.

- Czy zbliżenie się na taką odległość do systemu ekstrakcji kwantowej jest bezpieczne? - zapytała natychmiast Zanzibar.

Kwiat zakołysał głową.

- Jedynym zagrożeniem mogłaby być radiacja, ale ona występuje tylko wtedy, gdy napęd działa. Tutaj mamy w dodatku podwójne osłony.

Ivor zaklął pod nosem

- To cholerstwo lubi się psuć.

Na to Obcy wykonał kolisty gest stopą.

- Przecież nie chcecie nim nigdzie lecieć...

- To prawda - przyznała Tetsami. - A skoro o tym mowa, przejdźmy do zespołu naziemnego i do tego, jak Losowy dostanie się do rdzenia. - Latający robot uklonił się jej nisko. - Do zespołu należą Shane, Mosasa i Losowy, a raczej ta walizeczka, którą trzyma w manipulatorze nosiciel Losowego.

Robot złożył aluminiową walizkę na blacie.

- Nie wspominam o tym fakcie każdemu, kogo spotkam, ale w tej niepozornej osłonie znajduje się jedna piąta mojego mózgu, czyli zdalnie sterowana kryształowa matryca z kilkoma portami dostępu czyniąca ze mnie istotę, którą jestem.

- Ciekawe, jak będziesz tym kierował, skoro będziemy na ekranowanym terenie - mruknęła Zanzibar.

Robot wysunął manipulator, by otworzyć wieko i pokazać wszystkim klawiaturę, kable, niewielki projektor holo i zatrzęsienie gniazdek. Jedno z nich wyglądało jak biointerfejs.

Tetsami nie chciała nawet myśleć o implikacjach wynikających z tego pokazu.

- Pan Mosasa skonstruował to dla mnie - wyjaśnił Losowy. - Abym mógł wychodzić z domu, oglądać otaczający mnie świat et cetera.

- Tak czy inaczej - wpadła mu w słowo Tetsami - Losowy będzie kołem zamachowym

machiny, która zdejmie nam z karku zagrożenie ze strony systemów zabezpieczeń ZRW. Ja będę go wspierała z zewnątrz, ale musimy mieć kogoś, kto dostanie się osobiście do rdzenia na Krwawym Przyptywie, aby mieć całkowitą pewność, że został wyłączony. Pierwszym etapem tej operacji będzie dostarczenie walizeczki z Losowym do terminala przy rdzeniu pomocniczym.

Hakerka odebrała Obcemu pilota i zmieniła wyświetlany obraz. Teraz nad środkiem stołu krążył wolno glob Bakunina. Hologram wyglądał jak niedokończony globus, lecz każdy z obecnych wiedział doskonale, że tak właśnie wygląda ta planeta. Większą część powierzchni pokrywała bezkresna biel, wyjątkiem był tylko pas ciągnący się wokół równika, tam też znajdował się samotny kontynent Bakunina. Łąd ciągnął się skosem z północy na południe, od jednej czapy lodowej do drugiej. W środkowej jego części widać było mikroskopijną czerwoną kropkę. Leżała po zachodniej stronie jedyne go pasma gór. Obok niej mogli zobaczyć nieco większy niebieski punkt.

- Czerwonym kolorem oznaczyliśmy granice GA&A, niebieskim Godwina. - Tetsami zaczęła krążyć wokół stołu, dostosowując krok do tempa obrotu planety. - Problem pierwszy: musimy przerzucić nasze zespoły naziemne do kompleksu, nie uruchamiając przy tym alarmu. Aby tego dokonać, trzeba podjąć działania odwracające uwagę obrońców, póki Shane nie przekroczy granicy perymetru. Pierwszą przeszkodą, jaką tam napotkamy, będzie pole Emersona. Wojskowe tarcze są w stanie wykryć każde źródło promieniowania elektromagnetycznego, jakie zbliży się do perymetru, czyli na przykład panczerze Shane i Losowego. Drugą przeszkodą będzie łączność radiowa oraz kody transponderów. Te ostatnie z pewnością zostały zmienione po tym, jak Kathy zdezerterowała. Będziemy musieli zablokować wszystkie transmisje, aby dać jej szansę na wejście. I to w taki sposób, aby nikt się nie zorientował, że coś jest nie tak. - Gdy hackerka mijiała Zanzibar, usłyszała, jak dawna szefowa ochrony kompleksu mruczy pod nosem coś w rodzaju „powodzenia”.

- Walka gladiatorów niesie nam ratunek.

Niemal wszyscy spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- Co takiego?

Tetsami nacisnęła klawisz pilota i nad równikiem planety pojawił się kolejny punkcik, tym razem żółty. Przesuwał się razem z widoczną pod nim powierzchnią.

- Problem z wprowadzeniem Shane niepokoił mnie od dłuższego czasu... Wiecie, o co mi chodzi? Jak można walnąć w nich mocnym impulsem elektromagnetycznym i jednocześnie liczyć, że nie potraktują tego jako atak? A rozwiązanie było tak proste... o ile ktoś ogląda programy holowizyjne kręcone na tej skale. Ta żółta kropczka to satelita firmy

Troy Broadcasting Corporation.

Hakerka poczuła nagle, że jej usta rozciągają się w uśmiechu. Ta część planu posłużyła jej do dokonania osobistej zemsty.

I to w nader wyrafinowany sposób.

- To zupełnie nowy satelita, umieszczony na orbicie geostacjonarnej dokładnie nad Godwinem. Do jego zadań należy także niszczenie wszystkiego, co stanowi konkurencję. - Tetsami nacisnęła kolejny klawisz i zebrani ujrzeli pojedynek na moc sygnału pomiędzy kanałami nadającymi walki gladiatorów i rozbijanie wozów na arenie. - Troy Broadcasting nadaje silny sygnał kierunkowy prosto na Godwin. Tym sposobem zagłuszają wszystkie naziemne źródła transmisji. Ta firma nie spocznie, dopóki nie wyeliminuje całej konkurencji i nie zmonopolizuje nadawanych tutaj kanałów. Ludzie odbierają jej sygnał na komputerach, autopilotach autolotów, nawet za pomocą sieci energetycznych. Ktoś w końcu pošle atomówkę na orbitę i załatwi sprawę, ale na razie...

- Aha. - Ivor rozumiał pokręcone poczucie humoru Tetsami, mimo że nie zawsze pochwalał jej żarty.

- Mogę włamać się do tego satelity i tak skupić promień nadawania, by zawęzić jego odbiór tylko do granic kompleksu GA&A. Nasi przeciwnicy przez dłuższą chwilę nie będą mieli pojęcia, co się wyrabia, ale na ich ekranach taktycznych nie pojawi się nic prócz tych programów. Sądzę, że będą potrzebowali około piętnastu minut na zablokowanie transmisji takiej mocy. To najkrótszy czas potrzebny do ręcznego ustawienia ekranów, tak by blokowały wszelkie sygnały przychodzące.

Tetsami przełączyła widok na kompleks GA&A. Nad nim pojawił się timer i ruchome niebieskie punkty oznaczające trasy patroli - uzyskane głównie dzięki zeznaniom Shane i uzupełnione danymi z punktów obserwacyjnych na szczytach najwyższych wieżowców Zachodniego Godwina.

Zegar przyspieszył, podobnie jak niebieskie kropki, gdy Tetsami nacisnęła kolejny klawisz pilota. Po dojściu do odpowiedniego momentu włączyła stopklatkę. Na timerze była szósta pięćdziesiąt.

- Przygotowujemy tunel do przeprowadzenia ataku. Za trzy dni powinniśmy mieć wydrążone oba szyby prowadzące na powierzchnię. - Włączyła dwie czerwone kropki. Pierwsza była w południowo-wschodnim zakątku kompleksu, dokładnie pod wieżą numer siedem. Druga na skraju zarośli, jakieś czterysta metrów od tylnej ściany biurowca.

- Zespół podziemny znajdzie się tutaj. - Podświetliła kropkę na terenie kompleksu. - Zespół naziemny tutaj. - Kropka przy lesie zaślniła mocniej.



- Jakim cudem zdołaliście ukryć drążenie tych szybów? - zainteresowała się Zanzibar.  
Hakerka wzruszyła ramionami, uśmiechając się szerzej.

- Oni jeszcze nie wiedzą, jak wygląda tutaj normalna sytuacja. Nie mają też nikogo, kto by im powiedział, że lekkie drgania podłoża mogą być czymś niepokojącym. Zwłaszcza że koordynujemy czas drążenia ze startami frachtowców z Proudhonu. Każdy start przybliża nas do celu o kolejny centymetr. Do tej pory przeciwnik zdążył się już przyzwyczaić do tych drgań i robi, co może, by je ignorować, a prosty system komputerowy, którym dysponuje, pozwala na utrzymywanie go w błogiej niewiedzy. Powiedziałam, że będziemy gotowi dopiero za trzy dni, ponieważ musimy robić częste i długie przerwy.

- I nikt tego nie sprawdził do tej pory? - zapytała Zanzibar.

Dominic odezwał się po raz pierwszy od początku odprawy:

- Konfederaci odkryli tylko tyle, ile im się chciało dogrzebać w analizach geologicznych: że pod łańcuchem górskim jest mnóstwo jaskiń i korytarzy, które rezonują na skutek drżeń ziemi. Każdy wykonawca, z którym miałem do czynienia, twierdził, że na tym terenie nie da się przeprowadzić sensownych pomiarów, bo każdy odczyt jest pełen duchów i ech, więc sprawdzający powinni przyjąć najprostsze i najbardziej logiczne wyjaśnienie. O ile w ogóle zwrócili uwagę na te drgania.

Tetsami natychmiast weszła mu w słowo.

- Znajdziemy się na pozycjach wyjściowych o godzinie szóstej trzydzieści. Za pięć dni, licząc od dzisiaj. Ja zhakuję satelitę. Zagłuszmy ich o szóstej pięćdziesiąt. W tym momencie rozpoczniemy skoordynowany atak. Zespół naziemny dostaje się na powierzchnię. Samochód ewakuacyjny czeka w tunelu. Shane, Losowy, Ivor i Mosasa mają trzy minuty na dotarcie do skraju lasu. Tam powinni zobaczyć tę niebieską kropkę. - Tetsami wskazała na samotny punkt za budynkiem biurowca. - Ten wartownik będzie odseparowany od reszty. Wszystkie wieże wokół niego zostały zautomatyzowane, a komandosi z jego zmiany są na lądowisku, w budynkach albo po przeciwnej stronie kompleksu. Shane załatwi go dalekosiężnym ogłuszaczem. Odda tylko jeden strzał, ale to powinno wystarczyć. Dzięki temu Mosasa zyska dziesięć minut na transfer danych z jego transpondera do zmodyfikowanych systemów zbroi Kathy. Potem Ivor spali komputer nieprzytomnego komandosa i zaciągnie go do pobliskiego lasu. - Tetsami znów przyspieszyła czas projekcji, zwolniła, dopiero gdy zegar pokazał siódmą pięć. - W tym momencie nasi przeciwnicy, jeśli posiadają choć załączki mózgow, powinni zablokować moją transmisję z satelity. Shane i Mosasa są już wewnątrz perymetru. Tjajele ma włączone maskowanie, dzięki temu unika wykrycia przez kamery i oczy ludzi obserwujących centrum kompleksu przez te kluczowe

dziesięć minut. Podąża za radarowym cieniem Shane. Kathy prowadzi go, omijając kolejne posterunki. W tej chwili musimy liczyć na to, że modyfikacje zrobione w jej transponderze i komunikatorze sprawdzą się w stu procentach. Trasa patrolu doprowadzi ich do tego miejsca.

- Holo przyspieszyło do siódmej dziesiątej. - Przejdą przez ten dziedziniec. W ciągu kolejnych trzech minut Shane będzie jedynym wartownikiem w tej części kompleksu. Zdaży dotrzeć do okrętu i wejść na jego pokład, zanim ktokolwiek się zorientuje, że zboczyła z ustalonej trasy. Mosasa tymczasem dostaje się do pola siłowego okrętu przez szczelinę w podwoziu, zmienia częstotliwość wewnątrz kadłuba na neuronową i eliminuje tych pięciu komandosów przebywających wtedy na pokładzie...

- Chwileczkę - przerwała jej Zanzibar. - Jakim cudem chcecie przeprogramować systemy tak wielkiego ptaszka w zaledwie trzy minuty?

- Nie będziemy ich przeprogramowywać - zapewnił ją Tjale.

- Nie musimy - poparł go Kwiat. - Pole ogłuszające jest jednym z elementów zaprogramowanych w centrali dowodzenia Krwawego Przypływu. To część polityki bezpieczeństwa stosowanej przez Konfederację, zwłaszcza we frakcji Alfy Centauri...

- Dziękuję, Kwiecie - uciszyła go Tetsami. - Gdy komandosi pełniący służbę na pokładzie okrętu zostaną wyeliminowani, Shane dostarczy Losowego do rdzenia pomocniczego w półtoręj minuty i pozwoli mu się do niego podpiąć. To krytyczny moment naszego planu. Losowy musi przejąć kontrolę nad systemami bezpieczeństwa pomiędzy siódmą trzynastą i dziesięć sekund a siódmą czternaście i czterdzieści sekund, gdy pomiędzy okrętem a wartownikami nie ma żadnej komutacji. To pozwoli uniknąć wykrycia zmiany. W innym przypadku żołnierze pilnujący perymetru zorientują się, że coś jest nie tak. Następnym zadaniem Losowego będzie wyczyszczenie pokładowych systemów zabezpieczeń, aby Mosasa mógł dostać się na pokład bez sygnałów z transpondera, zanim wyczerpie się jego aktywny kamuflaż.

- Nie dajecie przypadkiem Mosasie zbyt wąskiego marginesu czasowego? - zapytała Zanzibar.

- Losowy zdaży ze wszystkim - zapewnił ją ponownie Tjale.

- Tak wygląda trudniejsza część zadania - dodała Tetsami. Levy skomentował to stwierdzenie cichym prychnięciem. - Od zablokowania transmisji radiowych na terenie kompleksu nasze oba zespoły nie będą miały ze sobą kontaktu. Ale to akurat dobrze dla nas. Przeciwnik będzie miał mniej sygnałów do przechwycenia. Niestety, oznacza to także, że zespół podziemny będzie musiał wkroczyć do akcji, wierząc na słowo w powodzenie grupy naziemnej. Dokładnie o siódmej dwadzieścia pięć zespół numer dwa, złożony z pana

Magnusa, Zanzibar i Levy'ego, przebijają się do piwnicy budynku, wchodzi piętro wyżej i udaje się do północnej części trzeciego podziemia biurowca. To nie powinno być trudne, zważywszy, że będzie ich miał na oku nasz anioł stróż z nadzoru systemów bezpieczeństwa... - „Czy nie zapomniałam powiedzieć wszystkiego na temat sztucznej inteligencji?” Skwitowała tę myśl wzruszeniem ramion. - Sejf, do którego mamy się dostać, znajduje się w technicznej części podziemi. Istnieją więc spore szanse na to, że nasi przyjaciele z ZRW nie mają bladego pojęcia, na czym siedzą od kilku dni, a co za tym idzie, nie postawili straży w tamtej okolicy. Levy otworzy sejf, a w środku...

Tetsami okrążyła stół już dwukrotnie i ponownie zbliżała się do swojego fotela. Spojrzała na Doma i podała mu pilota. Gdy siadała, on wstał. Wyglądał w tej chwili bardziej władczo niż kiedykolwiek od czasu ich spotkania. Nagle odzyskał postawę dyra, przywódcy. Zacerpnął tchu i uśmiechnął się do zebranych. Nie był to zbyt olśniewający uśmiech, ale hakerka wiedziała, że jedyną osobą, która to zauważy, będzie Zanzibar.

- W tym sejfie - oświadczył Magnus - spoczywa czterysta trzydzieści pięć megagramów naszej przyszłości.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY KONFLIKT INTERESÓW**

„O interesowności człowieka  
nigdy nie dowiesz się wystarczająco wiele,  
aby mu w pełni uwierzyć”.

*Księga mądrości cynika*

„Właściwe jest naturze ludzkiej  
nienawidzić tego, kogo się obraziło”.

Korneliusz Tacyt (ok. 56-ok. 120)

- Sześć dni temu w mieście Godwin doszło do niespodziewanego i niczym nie sprowokowanego ataku na trzech żołnierzy naszego oddziału. Kapral Sterling i kapral Higgins zginęli na miejscu. Dwie godziny później sierżant Robert Clay, trzecia ofiara ataku, zmarł w wyniku odniesionych poparzeń, które objęły ponad dziewięćdziesiąt procent powierzchni jego skóry... - Pułkownik Klaus Dacham zamilkł, aby słowa te wryły się w pamięć słuchaczy.

Powtarzał to samo przemówienie już po raz drugi, dla żołnierzy kolejnej zmiany.

Sądząc po twarzach ludzi zgromadzonych w kafeterii, zyskał ich uwagę. Wygłaszane przez niego słowa mogły być transmitowane do wszystkich osób przebywających w kompleksie, teraz na przykład słuchali go także pracownicy cywilni, ale Klaus uparł się, by osobiście przedstawić sprawę komandosom. Ci ludzie musieli usłyszeć to, stojąc z nim oko w oko, aby zrozumieć, o jaką stawkę toczy się ta gra.

Dacham pozwolił, by w jego głosie pobrzmiwała nuta gniewu.

- Ci trzej żołnierze zostali wysłani do Godwina, aby schwytać dezenterkę. Zginęli na służbie. Zginęli, ponieważ ta planeta jest siedliskiem zdrady. - Klaus oparł dłonie o mównicę. - Trzech komandosów z Occisisa zaatakowała zniechęcona banda tutejszych przestępców, którzy nie zawahali się zabić ich podczas wykonywania misji. Dwaj zostali zmasakrowani nie do poznania, trzeciego poparzyła eksplozja zbiornika z plazmą. - Raz jeszcze walnął dłońmi o mównicę. - Dlaczego tak się stało?

Przyjrzał się uważnie widowni. Wszyscy wyglądali na zaniepokojonych. Patrzyli tylko na niego. Świetnie. Może przesadził z tą „bandą przestępców”, ale potrzebował małej hiperboli, aby dotrzeć do tych głębów.

Klaus wyczuwał emanujący z nich gniew, nawet z tej piątki, którą musiał zdyscyplinować w ubiegłym tygodniu.

- Dlaczego? Skąd ten niczym nie sprowokowany atak? Dlaczego ci ludzie walczą za dezenterkę, skoro na żadnej cywilizowanej planecie osoba taka nie otrzymałaby pomocy? Dlaczego, pytam raz jeszcze? - Każde z tych powtórzeń było jak maczuga, którą okładał słuchających go komandosów. - Otóż dlatego, że Bakuninem rządzą zupełnie inne zasady. A naszą jedyną winą jest zażegnanie wojny pomiędzy kilkoma spekulantami. My walczymy wyłącznie z Godwin Arms & Armaments. Otrzymaliśmy rygorystyczne, i kto wie, czy nie niebezpieczne dla nas rozkazy, aby unikać starć z innymi organizacjami tej planety.

Klaus nie spuszczał oka z audytorium. Uśmiechnął się w duszy, gdy zauważył, że część zebranych kiwa głową. Jednym z nich był kapitan Murphy, następca Shane, człowiek, który znacznie bardziej podobał mu się na tym stanowisku. Ale pułkownik nie okazał zadowolenia, jego twarz pozostała maską wykutą w gniewie i determinacji, w uczuciach, którymi pragnął się teraz dzielić z podwładnymi.

- Co więcej, musimy nieustannie odpierać ataki z zewnątrz. Nie ma tygodnia, żebyśmy nie bronili perymetru przed uzbrojonymi bandami... Dlaczego tak jest? Graliśmy do tej pory według zasad tego świata. Mimo wielkiego zagrożenia ograniczyliśmy się do pokonania sił podległych zarządowi GA&A, a i tak wciąż jesteśmy atakowani bez ostrzeżenia i powodu... Dlaczego?

Klaus odczekał moment, by dotarło do nich ostatnie powtórzenie.

- Powiem wam dlaczego. Dlatego, że wylądowaliśmy na Bakuninie, gdzie nie ma żadnych reguł! Wymażcie z pamięci stwierdzenia, że to normalna planeta. Znajdujecie się w świecie, który od samego początku toczy wojnę z Konfederacją, bo tylko dzięki niej może istnieć. Tutaj nie obowiązują żadne zasady! Rozumiecie, co do was mówię? A skąd bierze się to całe zło? Z braku praw, moralności i właśnie zasad. Tutaj rządzi wyłącznie brutalna siła bandytów wygnanych z najdalszych zakątków Konfederacji. Jeśli macie jeszcze jakieś wątpliwości, wymażcie je z pamięci. Wydano nam wojnę! - Klaus poczuł przypływ podniecenia, gdy patrzył na zebrany przed nim tłum. Wygrywał tych ludzi dla siebie, w zasadzie już ich podbił. - Wydano nam tę wojnę w chwili, gdy Bakunin przyjął ziarno anarchii i przeciwstawił się wszystkiemu, na czym zbudowano Konfederację... Jedności, zróżnicowaniu i rządowi prawa!

Wszyscy żołnierze zerwali się z miejsc, gotując mu owację na stojąco. Pozwolił, by aplauz obmywał go kolejnymi falami.

Teraz, gdy komandosi otrzymali twarde przekazy, z kim mają walczyć, byli już jego ludźmi.

Klaus dobrze zrobił, decydując się na odwiedzenie poparzonego sierżanta Claya. Odłączenie go od aparatury także okazało się doskonałym posunięciem.

\*\*\*

- Gdzie byłeś, u licha? - zapytał Klaus.

Zdołał wykrzesać z siebie iskrę niezadowolenia mimo świetnego nastroju, w jaki wpadł po spotkaniu z żołnierzami. Siedział w swoim gabinecie, spoglądając na lśniąca błękitem sferę i słuchając elektronicznie zniekształconego głosu.

- Byłem poza zasięgiem... Ale jak słyszę, nie wyglądasz na zadowolonego z tego, że rozmawiamy.

- Znikasz na pięć dni, a ja mam być zadowolony? - Klaus odchylił się i obrócił fotel, by spojrzeć na zachodzące słońce. Zastanawiał się, w którym miejscu miasta przebywa teraz Webster. Zastanawiał się też, z kim tak naprawdę rozmawia. Nie miał żadnego haka na swojego interlokutora, bo pieniądze to tak naprawdę żaden hak.

- Nie bądź takim niewdzięcznikiem, Klaus. Pamiętaj, kto tu komu robi przysługę.

- Drogie te twoje przysługi.

- Zgodziłeś się na warunki, które ci przedstawiłem. To ty jesteś geniuszem taktycznym, który spieprzył operację schwytania Shane.

Klaus ponownie obrócił fotel, był tak wściekły, że z trudem się powstrzymał, by nie

zmieść z blatu zabezpieczonego holoprojektora.

- Jak śmiesz...

- Nie muszę ci dawać niczego więcej, Klaus. Dałem ci Shane, dałem ci Mosasę.

Dacham wciąż kręcił głową, ale powoli odzyskiwał spokój. Webster miał szczęście, że pozostał anonimowy. Nikt nie miał prawa mówić do niego takim tonem i przeżyć. Cierpliwość Klausu wyczerpała się w tym właśnie momencie.

- Obawiam się, że nasza dalsza znajomość jest bezcelowa.

- Nie rób niczego głupiego, Klaus. Nie teraz, kiedy mogę ci dać za jednym zamachem wszystkich.

Dłoń Dachama zawisła nad wyłącznikiem.

- O czym ty mówisz?

- A jak sądzisz? Po co mnie wynająłeś?

- Wszystkich?

- Tysiąc trzysta osiemdziesiąt siedem osób, jeśli dobrze liczę. Do tego Dominica, Shane i jeszcze kilka dodatkowych osób.

- Gdzie oni są?

- Nie.

Klaus milczał przez dłuższą chwilę. Gdy przemówił ponownie, o mało się nie wydarł na Webstera.

- Co znaczy: nie?

Jego rozmówca zachichotał.

- Szkoda, że nie masz włączonej wizji po swojej stronie. Chciałbym widzieć teraz twoją twarz.

Dacham chwycił projektor, uniósł go z blatu i potrząsnął nim mocno, jakby tym sposobem mógł zaszkodzić rozmawiającemu z nim człowiekowi.

- Co znaczy: nie?

- Znaczy, że masz mi wynagrodzić ryzyko, które ponoszę.

- Jakie znowu ryzyko?

- Uwierz mi, nie chcesz tego wiedzieć. Musisz jednak zapłacić mi cztery razy tyle co dotąd, jeśli chcesz otrzymać tę informację.

- Nie wiesz, o co prosisz.

- Wiem dokładnie, o co proszę. Co więcej, mam przed sobą monitor z aktualnym stanem konta i powiem ci, co wiem, dopiero gdy zobaczę, jak zmieniają się na nim cyferki.

- Już teraz?

- Chyba że wolisz przykrą niespodziankę z rana. Albo i dwie.
- O czym ty mówisz?
- Płać.

Klaus zastanawiał się przez chwilę, krótką chwilę, a potem sięgnął do terminala i zaczął przelewać fundusze. Załatwił to w kilka minut. Mając konto w ZRW, mógł wydawać nieograniczone sumy na nieksięgowane wydatki. Wzdrygał się przed tym tylko dlatego, że Webster go zmuszał.

Gdy pozna tożsamość tego faceta, co kiedyś na pewno nastąpi, zabije go bez mrugnięcia okiem.

Nawet jeśli okaże się kobietą.

- Masz już te pieniądze na koncie.
- Świetnie, Klaus. Poczekaj chwilkę, myślałem, że mimo wszystko dasz się raz jeszcze ponieść dumie.
- Gadaj, do cholery.

- Mam dwie wiadomości, więc lepiej zanotuj sobie moje słowa, bo na pewno ci ich nie powtórzę. Pierwsza sprawa: oto koordynaty pewnej doliny w górach, która może ci się wydać bardzo interesująca... - Klaus zapisał lokalizację komuny Dominica na dysku komputera. - Druga sprawa: jeśli chcesz dopaść Dominica, musisz dokonać kilku modyfikacji okrętu, którym przylecieliście, i to przed szóstą rano.

## **CZEŚĆ TRZECIA**

### **TAJNE OPERACJE**

„Co nie jest przybite, należy do mnie.  
Co mogę poruszyć, nie jest przybite”.  
Collis P. Huntington (1821-1900)

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

### **PRZECIEK DO MEDIÓW**

„Większą część życia spędzasz beczynnie,  
czekając na nadejście katastrofy”.  
*Księga mądrości cynika*  
„Własność to rzecz, którą ukradłeś”.  
Pierre-Joseph Proudhon (1809-1865)

Godzina 6.30.00 czasu godwińskiego

- Macie dwadzieścia minut. Weźcie się w końcu w garść.

Głos Tetsami odbił się echem od sklepienia tunelu, mimo że wyszeptała te słowa do mikrofonu wąskopasmowego komunikatora kierunkowego. W oddali, za tonami sprzętu wiertniczego, widziała tylko czerwone światła pozycyjne autograwa Ivora.

Mosasa, Shane i Losowy czekali przy nim na sygnał do wyjścia na powierzchnię.

Hakerka ukryła się pomiędzy rusztowaniami na samym końcu tunelu. Znad jej głowy dobiegał cichy pomruk tria robotów górniczych, które przywarły do ścian trójkątnego otworu. Szyb ten prowadził pod ostrym kątem w górę i kończył się przy betonowym sklepieniu około trzydziestu metrów wyżej. Z kryjówki Tetsami z trudem można było dostrzec fundamenty biurowca GA&A, chociaż roboty oświetlały je promieniami celowników laserowych.

Za godzinę ta masa betonu przestanie istnieć.

- Shane dotarła do pozycji wyjściowej - dobiegł z komunikatora głos Jorgensona.

Zespół naziemny był już na szczycie szybu. Shane znalazła się trzydzieści metrów bliżej powierzchni ziemi niż roboty drążące tunel pod budynkiem. Wymagało to pokonania wielopiętrowych rusztowań. Szyb pod lasem, pokonawszy skalne podłoże, w którym drążono tunel kolejki elektromagnetycznej, biegł jeszcze przez prawie piętnastometrową warstwę gliniastej gleby. Aby zapobiec zapadnięciu się tak długiego komina, należało zastosować całą masę rusztowań, ale na ostatnich pięciu metrach wspinający się ludzie nie będą mieli już żadnych dodatkowych podpór.

Jeśli zajdzie taka potrzeba, Ivor wprowadzi do tego szybu swój antygraw - tylko jemu Tetsami powierzyłaby to zadanie.

- Przekaż zespołowi, żeby czekał na sygnał.

- Przekażę - odparł siwowłosy olbrzym.

Wielometrowa osłona skał i ziemi uniemożliwiała Shane oraz jej towarzyszom korzystanie z krótkofalówek. W tym momencie Ivor był jedynym ogniwem łączącym ich z Tetsami. Ale gdy rozpoczną wykonywanie zadania, pozostanie im już tylko jeden sposób komunikacji - spoglądanie na cyferblaty zegarków.

A wskazywały już szóstą trzydzieści pięć. Czas zająć się satelitą.

Hakerka otworzyła tylne drzwi zaparkowanego obok vana. Siedząca na pace Zanzibar zajmowała się sprawdzaniem poziomu energii każdej dostępnej broni. Dominic i Levy, zajmujący fotele w głębi, także przeglądali ekwipunek. Pierzasty Kwiat siedział nieruchomo na fotelu pasażera. Obcy nalegał, aby zabrano go do tunelu, chociaż swoje zadanie,



polegające wyłącznie na dostarczeniu danych, już wykonał. Chciał jednak osobiście uczestniczyć w tej operacji i teraz przyglądał się przygotowaniom dziwną ptasią, pozbawioną oczu facjatą.

Tetsami przyciągnęła do siebie skrzynkę z przenośnym przekaźnikiem i podłączyła do niej leżący na podłodze tunelu kabel. Był to link anteny satelitarnej, którą zostawili na powierzchni, przy najbliższym szybie technicznym.

Ustawiała skrzynkę przy drzwiach wozu, otworzyła ją i włączyła zasilanie. Nad nadajnikiem pojawił się wirujący wolno holograficzny glob. Kolorowe kropki nad nim oznaczały każdy zidentyfikowany śmieć orbitujący wokół Bakunina. Tetsami wprowadziła kilka sekwencji kodów, usuwając z hologramu kolejne zapisy. Gdy skończyła pracę przy klawiaturze, pozostała tylko jedna żółta kropka przesuwająca się nad równikiem równo z obrotem planety.

Hakerka spojrzała na szefową ochrony kończącą właśnie przegląd broni.

- Zanzibar, żeby nawiązać kontakt z tym satelitą, muszę wypaść z obiegu na kilka minut. Utrzymuj w tym czasie kontakt z Ivorem, na wypadek gdyby wystąpiły jakieś problemy.

Maria skinęła tylko głową. Tetsami nie spodobała się jej mina.

Zanzibar nie podchodziła zbyt entuzjastycznie do tej misji, aczkolwiek nadal była lojalna wobec Doma. Szczerze mówiąc, nie ufała nikomu z zespołu z wyjątkiem swojego przełożonego.

Mimo solennych zapewnień Doma hackerka rozumiała uprzedzenia tej kobiety. Dwa oddzielne ataki komandosów poirytowały członków zespołu, nie mogły być bowiem dziełem przypadku. Magnus jednak zapewniał wszystkich - a głównie Zanzibar i Tetsami - że nadal ma wszystko pod kontrolą.

Jeśli chcieli dokonać tego włamu, musieli wyruszyć w ściśle określonym przedziale czasowym bez względu na to, czy był przeciek czy go nie było.

Hakerka przeniosła wzrok za Zanzibar i Kwiatą, na Doma.

„Ty chyba coś przed nami ukrywasz. Zawsze coś przed nami ukrywasz”.

Podłączyła się do przenośnego przekaźnika i natychmiast poczuła, jak soft opanowuje jej zmysły. Było to naprawdę dobre oprogramowanie, sama je przecież napisała. Odłączało wszystkie zmysły, aby mózg mógł przyjąć i przerobić największą ilość danych w jak najkrótszym czasie. A pozbawienie się zmysłów to było coś. Coś wielkiego.

Poczuła, jakby ktoś wystrzelił ją w sam środek niekończącej się pustki, do wirtualnego wszechświata, z którego usunięto wszystko prócz jej umysłu i satelity komunikacyjnego.

Dostrzegła lśniącą żółtą kropkę, a gdy zdołała bardziej skupić myśli, pomknęła w jej kierunku. W kategoriach czasowych panujących teraz w świecie Tetsami było to majestatycznie wolne podejście, chociaż odszukanie obiektu i dotarcie do niego tak naprawdę zajęło jej kilka ułamków sekundy.

Satelita przypominał złotego pająka. Jego korpus miał kształt sfery składającej się z geodezyjnych sześcioboków, z nóg tryskały ciągnące się w nieskończoność promienie żółtego światła. Hakerka sunęła nad powierzchnią urządzenia, szukając w niej jakiegokolwiek luki. Czuli się przy tym jak maleńka muszka wlatująca w pajęczynę.

Widziała miliony struktur pod sobą, lśniących, złotych, jadowitych. Systemy obronne satelity zostały uaktywnione i czekały na jej pierwszy błąd, aby pochłonąć jej umysł i wysać go do sucha.

Na szczęście Troy Broadcasting bardziej się obawiało fizycznego uszkodzenia satelity albo utraty któregoś z programów niż przeprogramowania nadajnika. Nie było to może wielkie niedopatrzenie, ale Tetsami nie potrzebowała niczego więcej. Jej muszka wylądowała na węźle kontroli systemu, tuż obok promieni złotych laserów, i wpiła się w sterownik kontrolujący anteny nadajnika.

Cielsko satelity zadrżało, gdy wprowadzała do jego systemów kolejne komendy. Bronił się, próbując zatruć wstrzykiwane przez nią dane, lecz ona także dysponowała groźnym jadem. Zdołała się w końcu wtopić w jego struktury, choć tylko dlatego, że nadrzędnym zadaniem satelity było przetrwanie, a kolejnym nieprzerwane nadawanie za wszelką cenę.

Moment później Tetsami oddzieliła się od stworzonego przez siebie podprogramu i odsunęła od struktur sterujących satelitą. Złoty pająk zaczął się przepoczwarzać. Na jego pancerzu pojawiła się czarna plamka, maciupeńka kropeczka. Program Tetsami.

Po krótkiej chwili nogi poruszyły się spazmatycznie. Pojaśniały mocno i zaczęły się łączyć w zespolone grube odnóże. Jedna z wchłanianych świetlistych nóg przeszła przez Tetsami jak snop światła rzucanego przez latarnię morską. Umysł hackerki wylądował na arenie TBC, w samym środku kolejnej walki gladiatorów. W jej kierunku opadał właśnie masywny topór, ale zanim roztrzaskał odsłoniętą czaszkę, kontakt został przerwany.

Wykonała zadanie.

Zaśmiała się w myślach, znając koszty, na jakie naraziła właśnie Troy Broadcasting. Może to nie będzie wystarczająca zapłata za śmierć jej rodziców, lecz ten programik narobi takich szkód w module sterowania, że TBC wyda kilka megagramów, aby pokryć straty z tytułu utraconych zysków i wymiany sprzętu.

Nie to jednak było teraz najważniejsze.

Tetsami odłączyła się od gniazda. Sprawdziła czas. Szósta czterdzieści siedem.

- Miałaś jakieś problemy? - zapytała szefową ochrony.

Zanzibar zaprzeczyła ruchem głowy.

Hakerka sięgnęła po komunikator, by wywołać Ivora.

- Załatwiłam satelitę - powiedziała, a potem poczekała, aż sekundnik dotrze do zera. -

Dwie minuty do rozpoczęcia akcji.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

### **PRZEKROCZENIE RUBIKONU**

„Każdy, kto nie walczy o własny interes,  
zgłasza się na ochotnika do boju o cudze korzyści”.

*Księga mądrości cynika*

„Wszystkie wojny mają handlowe podłoże”.

Robert Celine (1923-1996)

Godzina 6.50.00 czasu godwińskiego

- ...dwa... jeden... Już!

Hełm zmodyfikowanego pancerza Shane tłumił dobiegające z dołu, spomiędzy rusztowań, okrzyki Ivora. Na wydany przez niego rozkaz uaktywniła trzy rozmieszczone nad jej głową roboty górnicze.

Osłona wizjera spolaryzowała się, gdy otoczyły ją promienie laserów wgrzyzających się w kilkumetrową warstwę ziemi oddzielającą tunel od powierzchni. O metal rusztowań zabębnił grad odłamków.

Kawały ziemi wielkości pięści spadały gęsto jak krople deszczu, rozbijając się o kolejne przeszkody na drobny pył. Shane musiała się chwycić mocniej, gdy na jej głowę runęła kontrolowana lawina gleby.

Wewnątrz hełmu miękkie uderzenia brzmiały jak odgłosy rozdieranego płótna. Niespełna minutę później było już po wszystkim. Huk spadających kamyków zastąpiło wycie wiatru wlatującego z impetem do wydrążonego szybu. Shane spojrzała w górę i dostrzegła nad sobą gwiazdziste, ale szarzejące już niebo poranka.

Ruszyła w górę, zanim Ivor zdążył wydać polecenie. Na wyświetlaczu w jej hełmie

zaroilo się od świetlnych sygnałów, ledwie wystawiła głowę na otwartą przestrzeń. Zakłócenia świadczyły o tym, że jej odbiorniki trafiły w zasięg wielokilowatowego sygnału z satelity Tetsami. Obróciła się i pomogła Mosasie wyjąć ekwipunek. Na pierwszy ogień poszedł wielki ogłuszacz, potem zasobnik z generatorem energii dla broni, skrzynka narzędziowa i na koniec walizka, w której znajdowała się część umysłu Losowego.

Ivor wypchnął wielkiego Murzyna na zewnątrz szybu i sam wygramolił się za nim na powierzchnię. Zaraz też pochwycił gigantyczną broń i ważące pięćdziesiąt kilogramów ogniwo zasilające. Mosasa zajął się w tym czasie swoimi narzędziami, a Shane - Losowym.

Żadne z nich nie wypowiedziało słowa, gdy biegli w kierunku zachodniego skraju lasu. Kryli się za stojącymi i powalonym pniami, zmierzając w dół łagodnego zbocza, ku zabudowaniom kompleksu GA&A. Zarośla nie rzedły aż do końca. Las po prostu kończył się jak nożem uciął około stu metrów przed perymetrem.

Cała czwórka - w tym zamknięty w walizce Losowy - znalazła się na wprost obłej ściany biurowca. Budynek zupełnie przesłaniał im widok. Zakrzywiona bryła z betonu, wysoka na sześć pięter, kryła się za linią spiczastych wież obronnych. Zdawała się drgać na skutek rozgrzania powietrza wewnątrz generowanej przez Krwawy Przyptyw kopuły bariery siłowej.

Shane, nie po raz pierwszy zresztą, zaczęła się zastanawiać, co tutaj robi.

Gdy spojrzała w tył, Mosasa i Ivor już kończyli przygotowywać ogłuszacz. Broń wyglądała paskudnie, została zmontowana przez czarnoskórego mechanika z części różnych karabinów, by mogła sprostać stawianym jej wymaganiom. A miała powalić ubranego w pełny pancerz komandosa ze stu metrów, nie alarmując przy tym nikogo innego i nie uszkadzając systemów zbroi.

„Zgodziłam się na to - pomyślała Shane - ale czy aby na pewno ratuję tym sposobem czyjeś życie? A może po prostu szukam zemsty na dawnych towarzyszach broni, którzy próbowali mnie zabić?”

- Gotowe - oznajmił Mosasa.

- I dobrze - ucieszył się siwowłosa - bo widzę już nasz cel.

Miał rację. Komandos okrążający kompleks biurowy wyłonił się właśnie zza zaoblonego rogu biurowca, wchodząc w pole widzenia Shane. W tym momencie był jedynym przeciwnikiem, jakiego mogli zobaczyć. Ten stan rzeczy miał ulec zmianie dopiero za dziesięć minut. Shane stanęła za paskudną bronią i spojrzała w jej celownik.

Potwór, z którego miała strzelić - zanim Mosasa dostał go w swoje ręce - był jej osobistym ogłuszaczem. Wśród licznych dodatków, które zamontował domorosły elektronik,

był trójnog stabilizujący, komputer celowniczy ze zintegrowaną lunetą oraz grubo izolowana osada, dzięki której broń nie dotykała ani komputera, ani trójnogu, ani strzelca. Izolacja była potrzebna, ponieważ z ogłuszacza wychodziły dwa kable nadprzewodnikowe prowadzące do ważącego pięćdziesiąt kilogramów zbiornika, który pełnił kiedyś rolę zapasowego ogniwa energetycznego w tachionowym napędzie pasażerskiego liniowca.

Zasada działania tego urządzenia była identyczna jak w przypadku starego ogłuszacza Shane. Mały rdzeń generował wąski stożek pola Emersona, który po skupieniu w cewce generatora uzyskiwał taką częstotliwość, aby po trafieniu w pole ochronne zmienić je w paralizator neuronów.

Najistotniejsza różnica polegała na tym, że broń - zanim Mosasa wziął ją w obroty - mogła doprowadzić do ogłuszenia przeciwnika z odległości co najwyżej pięciu metrów. Potem stożek pola ulegał zbyt wielkiemu rozproszeniu. Ale nawet przy tak małym zasięgu czerpał z ogniw więcej energii niż klasyczny miotacz plazmy. Dlatego Tjalee musiał dodać nowe niezależne źródło zasilania, czterystukrotnie mocniejsze od oryginalnego i na tyle niestabilne, że najprawdopodobniej stopi się po oddaniu pierwszego strzału. Wyładowanie będzie tak potężne, że systemy ochrony kompleksu GA&A na pewno by je wychwyciły, gdyby nie to, że w tej chwili wszyscy technicy Konfedu będą mieli poważne problemy ze sprzętem detekcyjnym.

Shane spojrzała w lunetę i namierzyła cel.

Zastanawiała się, czy zna osobiście żołnierza patrolującego ten teren. To na pewno nie był Conner. Widziała przed sobą człowieka uważnego, ale nie spanikowanego. Właśnie przełożył karabin plazmowy, by lufa mierzyła w skraj lasu. Bardzo systematyczny gość.

Nie przejmowała się, że wartownik może ją zobaczyć. Wszystkie sensory w jego szarym pancerzu - identycznym jak ten, który sama nosiła - były teraz oślepione przez nakładającą się transmisję z satelity.

Komputer celowniczy ogłuszacza namierzył komandosa. Dzięki wielkim umiejętnościom Mosasy posiadał odpowiednio mocne osłony.

Shane żałowała tylko jednego: że nie mieli czasu na przetestowanie tego wynalazku. Jej osobisty ogłuszacz potrzebował kilku gigabajtów bardzo czułego oprogramowania, by mógł działać zgodnie z instrukcją. Tjalee zastąpił ten soft własnymi programikami, które pilnowały, by sparabolizowany strumień energii nie rozproszył się w polu generowanym przez Krwawy Przyptyw, tylko na pancerzu wskazanego celu.

Karabin plazmowy przesunął się w kierunku ich pozycji, gdy komandos przeszedł kolejny odcinek perymetru.

Na ekranie komputera celowniczego wciąż widziała migający napis „cel namierzony”.

Na co u licha jeszcze czekała?

Czy zna tego człowieka?

Nigdy wcześniej nie zdarzyło jej się zawahać podczas walki. Nigdy.

Ale za bardzo wzmocniony promień ogłuszający mógł zabić tego żołnierza.

Komandos zatrzymał się i zawrócił. Lufa karabinu plazmowego po raz kolejny została skierowana na kryjówkę Shane. Namierzana postać zamarła na ułamek sekundy, a potem ruszyła naprzód.

Kathy nacisnęła spust.

Po raz pierwszy w życiu poczuła odrzut broni energetycznej. Wiergnięcie korpusu ogłuszacza było skutkiem eksplozji generatora. Błękitne łuki wyładowań uwolnionego pola wystrzeliły między drzewa na wysokość niemal dziesięciu metrów. Okablowanie broni stopiło się w mgnieniu oka, okopcając ściółkę. Izolacja ściemniała i popękała w wielu miejscach, a na ekranie celownika ogień wypalił ostatni widoczny na nim obraz.

Była to postać padającego komandosa.

- Mam go - oznajmiła Shane, spoglądając w kierunku skulonych towarzyszy. W końcu zdecydowała, po czyjej stoi stronie.

„Na dobre i na złe. Teraz już nie mam odwrotu”.

- Bogowie sprzyjają nam dzisiaj - wyszeptał Mosasa, zrywając się do biegu w stronę perymetru. Ivor podążył za nim, Shane kryła ich tyły. Spalony ogłuszacz pozostawiła tam, gdzie stał. Nie był im już do niczego potrzebny.

Zastanawiał ją ten Tjajele. Niby doskonały ekspert od elektroniki, ale czasami uwielbiał archaizmy. Cóż, stres potrafi zmusić człowieka do robienia strasznych głupstw. Zwłaszcza bojowy.

Ona dyszała teraz ciężko i szczyrzyła się jak maniaczka. Kimkolwiek był ten żołnierz, załatwiła go na miejscu. Biedak nie wiedział nawet, co mu się przytrafiło. Na tę myśl w jej krwiobiegu pojawiła się podwójna dawka adrenaliny. Rżała jak głupia, mimo że przed momentem usmażyła być może kogoś, kto jeszcze nie tak dawno był jej przyjacielem.

Gdy ta akcja dobiegnie końca, musi poważnie się zastanowić nad gnębiącymi ją nerwicami.

Zanim dobiegła do leżącego komandosa, Mosasa zdążył zdjąć mu hełm i właśnie zajmował się rozłączaniem przewodów prowadzących do reszty pancerza.

- Wgrałem już patche do transpondera i baz danych. Otwieraj.

Shane zdarła osłonę przykrywającą kilka portów, które Tjajele zamontował na

zewnątrznej stronie jej zbroi. Mosasa dodał kilka rozbudowanych modów do systemu operacyjnego pancerza - dzięki nim dokonał modyfikacji transpondera i odbiornika danych, pozwalając na zassanie kodów z innych urządzeń tego typu.

Gdy czarnoskóry elektronik sprzął Shane z nieprzytomnym żołnierzem, zobaczyła, że to kapral Mary Hougland.

Mosasa pokiwał kilkakrotnie głową, sprawdzając odczyty aparatury przypiętej do korpusu Shane tuż obok portów, z których teraz korzystał.

- Świetnie, zassaliśmy wszystkie potrzebne kody. Teraz jesteś nią - powiedział, wskazując na nieprzytomną i odpinając kable.

Miał rację. Shane mogła wyświetlić taktyczne bazy danych z pancerza Hougland, wszystkie informacje z przekaźnika, nawet modulator był już tak przestrojony - dzięki analizom poprzednich kontaktów głosowych - że mógł imitować głos kapral.

- Okay - odparła Kathy. - Ivor, zajmij się nią. Mosasa, idziemy. Minęła już siódma.

Shane i Tjalee pobiegli w kierunku narożnika, by pojawić się za nim zgodnie z planem marszruty wartownika. Kathy dostrzegła kątem oka, jak Ivor chwyta nieprzytomną wartowniczkę, zarzuca ją sobie na ramiona i niesie w stronę lasu.

„Teraz jestem nią”, pomyślała.

Czuła się z tym bardzo niekomfortowo.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY**

### **LUKI**

„Nigdy nie odwracaj się plecami do złoczyńcy,  
a już zwłaszcza gdy jest nieprzytomny”.

Księga mądrości cynika

„Bóg Wszchemogący nienawidzi ludzi niecierpliwych”.

Samuel Fessenden (1847-1908)

Godzina 7.01.00 czasu godwińskiego

Ivor Jorgenson biegł w kierunku lasu, kierując się na wykop. W połowie drogi poczuł palenie w płucach i potworny ból w barkach. Komandoska była cholernie ciężka. Musiał ją zdjąć z pleców choć na chwilę.

Teraz, gdy znalazł się już poza polem widzenia z kompleksu, miał czas na

odpoczynek. Ta kobieta powinna być nieprzytomna przez kolejne kilka godzin; a jego nikt nie będzie potrzebował, dopóki akcja nie dobiegnie końca, czyli najprędzej za czterdzieści pięć minut. Całe szczęście, że dysponował taką masą wolnego czasu, ponieważ w chwili gdy pozbywał się brzemienia, opierając nieprzytomną wartowniczkę o pień pobliskiego drzewa, poczuł ból we wszystkich stawach. Organizm protestował przeciw dziesięciu minutom wysiłku, jaki mu zafundował.

Był już za stary na takie numery.

W młodości mógł dźwigać taki ciężar przez kilka kilometrów. Wiedział, że był zdolny do takich czynów, ponieważ dwadzieścia lat wcześniej, gdy dochrapał się stanowiska komandora floty, służąc w gwardii prezydenta Styksu, przeniósł na taką odległość jednego ze swoich podwładnych, żołnierza rannego w katastrofie autolotu.

To jednak wydarzyło się dwie dekady temu.

Albo jeśli zastosować inny tok myślenia, dziewięć lat temu.

Albo jeśli zastosować jeszcze inny tok myślenia, nigdy nie miało miejsca.

Dyszał ciężko, oparłszy dłonie o kolana, gdy nagle zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy pomyślał o wydarzeniach na Styksie, umiejscawiając je w czasie. To, co powinno go mocno rozgniewać, teraz wydało mu się raczej... nostalgiczne. A to uczucie zawsze go zawstydzalo.

„Nie możesz traktować nostalgicznie wydarzeń, od których zdołałeś się odciąć”.

A odciął się od nich, i to najmocniej, jak tylko potrafił. Zrobił to, ponieważ wtargnięcie w niewłaściwy tunel czasoprzestrzenny pozbawiło go możliwości wspomnienia całego dziesięciolecia, podczas którego reszta wszechświata trwała jakby nigdy nic.

I mimo że świat miał to nadal gdzieś, on postarzał się o tę dekadę.

Dzisiaj był o dwadzieścia lat starszy niż podczas wydarzeń na Styksie i dlatego nie mógł wtargać tej nieprzytomnej wartowniczkę na łagodne, zalesione gęsto zbocze.

Powoli uspokoił oddech i rozluźnił obolałe mięśnie.

Teraz, gdy znów mógł się poruszać, nie czując bólu, postanowił zmniejszyć ciężar dźwiganego brzemienia. Nikt mu przecież nie kazał taszczyć całego pancerza. Jego zadaniem było wynieść nieprzytomną wartowniczkę.

Podszedł do opartej o pień kobiety.

Na piersi miała wypisane nazwisko: Hougland.

- Miło mi poznać panienkę - wysapał, szukając po omacku awaryjnych klamer. Dzięki nim mógł jednym ruchem rozhermetyzować i rozczłonkować cały pancerz. Montowano takie cuda, aby medycy mieli ułatwiony dostęp do rannych, zwłaszcza w warunkach polowych. Tak



długo obmacywał elementy zbroi, aż znalazł odpowiednią dźwigienkę. - Wybacz panienka, jeśli się narzucam, ale nie jestem w stanie dźwigać dodatkowych ciężarów - dodał, pociągając za mechanizm.

Cichy syk oznajmił, że pancierz został rozhermetyzowany. Ivor chwycił napierśnik i rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby go porzucić. Kilka metrów dalej zauważył powalone drzewo, które idealnie pasowało do tego celu. Zebrał jeszcze kilka elementów i ruszył w kierunku pnia. Musiał tylko wykopać dziurę, w której zmieści się cały pancierz.

Chwilę później, gdy wygarniał kolejną garść piachu, zauważył czerwoną lampkę migającą na obudowie osłony uda. Podniósł ją i przyjrzał się uważniej. Aktywna kontrolka znajdowała się na niewielkim urządzeniu wyprofilowanym tak, by pasowało do wewnętrznej strony osłony uda. Ivor poczuł falę mdłości, gdy ujrzał to urządzenie.

Tego rodzaju sprzęt nosił wiele nazw - błyskawica, ekspres, wybudzacz - a wszystkie znaczyły jedno: wymyślony na potrzeby wojska wspomagacz metabolizmu, łączący w sobie elementy biologiczne i elektroniczne. Uraconemu nimi delikwentowi poprawiał się refleks, mógł też szybciej odzyskać świadomość. Odbywało się to oczywiście niemałym kosztem dla organizmu. Ciśnienie krwi strzelało w górę, człowiek tracił całkiem sporo neuronów, nie wspominając już o możliwości uzależnienia. Ludzie przy zdrowych zmysłach nie stosowali więc takich metod poza polem walki.

A skoro ta komandoska podpięła sobie ekspres, musiała się spodziewać, że ktoś ją zaatakuje.

Ivor już miał się rzucić w stronę wykopu, by ostrzec Tetsami i resztę zespołu, gdy nagle dotarło do niego coś jeszcze.

Szybsze odzyskanie świadomości!...

Obrócił się i odruchowo zrobił unik, uchylając się przed konarem, który Hougland trzymała w rękach. Nie usłyszał, jak podchodziła, lecz dziękował opatrności za to, że Mosasa zabrał jej broń.

Kapral zamachnęła się po raz drugi. Tym razem Ivor poleciał do tyłu, na niestabilny powalony pień. Poczuł tylko powiew powietrza, gdy metrowej długości drąg, gruby jak udo, przemknął tuż przed jego twarzą.

„Zabraliśmy jej broń, ale dlaczego ja, u licha, nie jestem uzbrojony?”

Przetoczył się za spróchniałe drzewo, gdy ubrana teraz tylko w szorty i przepoconą koszulkę wartowniczką ponownie natarła na niego.

„Może dlatego, że ci idioci uznali, iż ktoś taki jak kierowca nie będzie potrzebował pukawki”.

- Nie uważasz - powiedział, nieomal przewracając się o leżącą na ziemi gałąź - że powinniśmy porozmawiać o tym problemie?

Kolejny zamach. Tym razem nie zabójczy. Na razie sprawdzała zasięg. Ivor powoli zaczynał mieć tego dość. Zerknął okiem przez ramię i zauważył, że cofa się prosto na krawędź wąwozu.

Ziemia obsunęła się pod nim nagle, poczuł, że nie ma oparcia pod prawą stopą. W dłoni wciąż trzymał osłonę uda należącą do wartowniczki.

- Kapralu Hougland, jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia, zanim komuś tutaj stanie się krzywda.

Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiej odrazy.

- Jestem komandosem, staruszkule! - wrzasnęła mu w twarz, skacząc do przodu i wyprowadzając miażdżące uderzenie w kierunku jego głowy.

„Zdaje się, że negocjacje nie wchodzą w grę”.

Ivor zasłonił się prawą ręką, próbując pancierzem Hougland zablokować uderzenie. Wartowniczka zrobiła wielkie oczy, gdy drąg zderzył się z metalem.

- Mój wiek świadczy tylko o tym, dziecino, że przeżyłem na polu walki parę dekad dłużej niż ty. - Ivor kopnął w spróchniałe gałęzie, posyłając w twarz Hougland chmurę drzazg. Cofnęła się, nie opuszczając konara, on tymczasem wykonał skomplikowany taniec, aby utrzymać równowagę.

Zanim ją odzyskał, jego przeciwniczka także zdołała się pozbierać i znów mierzyła w niego końcem drąga.

- Zdajesz sobie sprawę... - Przerwała mu wymachem, który musiał sparować. - ...że to bezcelowe. Powodzenie tej operacji jest w rękach innej osoby. - Zamach, blok. - Cokolwiek zrobisz, będzie po sprawie, zanim zakończymy tę walkę.

- Kłamstwo, ale kogo to teraz obchodzi?

Zamarkowała kolejny cios, aczkolwiek nieudolnie - człowiek może być doskonałym szermierzem, lecz konar to nie szpada - i zrobiła szybki wypad, by walnąć go w krocze. Ivor zręcznie uskoczył w bok.

Dość tego dobrego. Staruszek czy nie, tylko na to czekał.

Następne uderzenie zablokował jej pancierzem, ale tak, by drąg ześlizgnął się po nim i przeszedł dalej. Dostał nim w bok, poczuł, jak trzeszczą kolejne żebra. Zanim zdołała cofnąć prowizoryczną broń, pochwycił ją obiema rękami i przytrzymał.

Zacisnął palce tak mocno, że przez moment czuł strach, iż napięte do granic wytrzymałości mięśnie i ścięgna popękają. Hougland nie spodziewała się takiego obrotu

sprawy, więc zamarła na sekundę.

- Koniec zabawy. - Ivor wyprowadził w korpus wartowniczkę silne kopnięcie, po którym złożyła się wpół. - Pora na dobranoc. - Poprawił pięścią, uderzając z całych sił. Głowa poleciała jej do tyłu. Padła jak kłoda z zakrwawionym nosem i ustami.

Zanim gruchnęła o ziemię, jej siwowłosy przeciwnik zdążył odrzucić konar. Prawy bok palił go żywym ogniem.

Ivor chwycił półprzytomną Hougland za ręce i związał je w nadgarstkach własnym paskiem. Potem przrzucił wartowniczkę przez ramię i ruszył w stronę wykopu, myśląc o czekającym go zejściu po śliskich rusztowaniach na głębokość sześćdziesięciu metrów.

To z pewnością nie będzie łatwe.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

### **BEZPIECZNA WYMIANA**

„Widzieć, to wierzyć,  
ale sama wiara nie na wiele się zda”.

*Księga mądrości cynika*

„Nie licz na to, że znasz kogokolwiek”.

Sylwia Harper (2008-2081)

Godzina 7.11.00 czasu godwińskiego

Niesamowite, jak niewiele się tu zmieniło. Patrole, wieże na perymetrze, Krwawy Przyptyw, wszystko pozostało takie, jak w dniu jej dezercji. Obrazy te budziły w Shane dreszczyk emocji.

„Ciekawe, co czuje w tej chwili Dominic, skoro mnie ten widok wydaje się dziwny...”

Ta myśl skłoniła ją po raz kolejny do dyskusji z samą sobą, kto tu tak naprawdę stoi po stronie dobra. I po raz kolejny Shane doszła do wniosku, że Stwórca, jeśli miał choć odrobinę oleju w głowie, już dawno umył boskie ręce i dał sobie spokój z tym światem. Jej sierżant od musztry wydarł się kiedyś, po symulacji wyjątkowo paskudnego starcia, że nie ma czegoś takiego jak dobrzy i źli; są tylko zwyczajcy i przegrani.

„Do której kategorii należysz, Shane?”

Boże, wciąż pamiętała jego cuchnący oddech.

Dlaczego zgodziła się na to wszystko?

Próbowała wrócić myślami do teraźniejszości. Sprawdziła czas - minęło dwadzieścia sekund od chwili, gdy po raz ostatni patrzyła na timer. Według niej - cała wieczność.

Na placu pomiędzy biurowcem a apartamentowcem nie było nikogo. Ta sytuacja nie ulegnie zmianie jeszcze przez półtorej minuty. Odwróciła głowę, szukając wzrokiem Mosasy. Mogłaby go dostrzec, gdyby skupiła się bardziej.

Tjale oprócz ogłuszacza i transpondera przygotował jeszcze jedną zabawkę na potrzeby tej misji. Zmajstrował sobie osobisty kamuflaż, odpowiednik czapki niewidki. Ale Shane była pewna, że gdyby ktoś się uparł, znalazłby w magazynach wywiadu Konfederacji znacznie bardziej zaawansowane modele tego sprzętu. Zasada działania była bajecznie prosta. Ustawiasz pole Emersona na najszersze spektrum i rzucasz na jego powierzchnię projekcję holo. Niby prosta sprawa, niemniej wiązało się z nią kilka naprawdę poważnych problemów.

Pierwszym była energożemość. Im szerszy zakres częstotliwości pola, tym więcej energii potrzebował jego generator. Pobór rósł w tempie wykładniczym. Oprogramowanie zwykłych tarcz osobistych wykorzystywało napływające z ekranu dane do regulacji długości emitowanych fal, wybierając tylko te, które wydawały się potencjalnie niebezpieczne. Dzięki temu ogniwa energetyczne wystarczały na szesnaście godzin nieprzerwanego działania tarczy. Po modyfikacjach dokonanych przez Mosasę i rozszerzeniu spektrum na podczerwień i ultrafiolet czas ten skracał się do niespełna dziesięciu minut.

Kolejnym problemem były kamery i projektory holo, których sygnał musiał przenikać pole, by przynieść zakładany efekt. Mikroskopijne obiektywy i równie zminiaturyzowany sprzęt wyświetlający wisiały więc na monowłóknach tuż nad ekranem. Dzięki nim Tjale widział, gdzie idzie, chociaż otaczał go nieprzenikalny kamuflaż.

Czarnoskóry elektronik potrzebował całego dnia na skonstruowanie tej aparatury i zdaniem Shane udało mu się ona bez dwóch zdań. Teraz patrzyła prosto na niego i widziała jedynie... unoszącą się nad ziemią półkulę nieco mniej przejrzystej atmosfery.

Od czasu do czasu i zależnie od kąta patrzenia radiacja ciepła i wywołane nią drgania powietrza sprawiały wrażenie, jakby miała przed sobą lustrzane odbicie zamiast przezroczystej masy. Mosasa wydawał się w takich chwilach fatamorganą albo grą świateł.

Shane wyteżyła wzrok, mimo to z trudem dostrzegała obiektywy kamer wiszące dwa metry nad ziemią.

Na ten widok poczuła ból głowy.

Mosasa był już w połowie wysokości legara i majstrował przy systemie kontroli tarcz Krwawego Przyptywu. Po kilku sekundach powiedział:

- Wyjdź poza obręb kadłuba okrętu. Zaprogramowałem nową średnicę pola, ale może

być kilka przecieków.

- A co z tobą?

- O mnie się nie martw, po prostu oddal się na bezpieczną odległość. Masz na to dziesięć sekund.

Shane wyszła spod Krwawego Przyływu i okrążyła go, podchodząc do rampy załadunkowej na dziobie. Nie spuszczała oka z timera na wyświetlaczu w hełmie, gdy obracała się twarzą do wielkiego kadłuba.

07.13.8...

07.13.9...

07.13.10...

Dokładnie o czasie zobaczyła migającą ostrzegawczo czerwoną kontrolkę. Omyła ją słabe pole neutralne, zbyt rozproszone ze względu na odległość. U licha, Mosasa znajdował się w jego epicentrum... Shane ruszyła w kierunku legara, gdy nagle usłyszała głos dobiegający z okolic swojego nadgarstka:

- A ty dokąd się wybierasz?

To przemówiła walizka z Losowym.

- Myślałam, że jesteś wyłączony - wyszeptała, upewniając się najpierw, czy jej komunikator nie działa.

- Wyłączasz swój mózg tylko dlatego, że nie masz akurat nic do roboty?

- Chciałam...

- Wiem, co zamierzałaś zrobić. Nie martw się o Mosasę, on to wszystko wkalkulował. Sterowanie polami ochronnymi okrętu dopuszcza dużą tolerancję średnicy tarcz. Musiał je tylko przeprogramować tak, by nie sięgały dalej niż na pięć metrów poza pancerz. Nic mu się nie stało.

- Ale...

- Właż na tę rampę!

Miała do wyboru: uwierzyć Losowemu na słowo albo wypaść z bardzo napiętego harmonogramu akcji.

„Jestem zwycięzcą czy przegranym?”

- Obyś się nie mylił, Losowy.

- Uwierz mi. Wiem, do czego jest zdolny ktoś taki jak Mosasa.

Shane pognała w górę rampy, gdzie przeszła pełną procedurę weryfikacyjną przy skomputeryzowanym stanowisku ochrony, tę, do której przyzwyczała się w ciągu wielu lat służby. Z tym że po raz pierwszy obawiała się negatywnej odpowiedzi.

Po niesamowicie długim, dwusekundowym opóźnieniu komputer uznał ją jednak za Hougland.

Wkroczyła do otwartej śluzy powietrznej. W tym momencie powinna usłyszeć w komunikatorze pytanie zadane przez kogoś z obsługi okrętu zainteresowanego, dlaczego kapral Hougland szwenda się po pokładzie Krwawego Przypływu, zamiast patrolować perymetr kompleksu.

Ale nie usłyszała żadnego komunikatu, co mogło świadczyć o tym, że sztuczka Mosasy z zamianą pola zadziałała. Szkieletowa obsada z tej wachty została wyłączona na całe trzy godziny, a jeśli Losowy zdoła się podpiąć na czas do systemów bezpieczeństwa, nikt z ludzi przebywających w kompleksie tego nie zauważy.

Shane weszła na pokład i pokonała biegiem połowę długości kadłuba, aby jak najszybciej znaleźć się w pobliżu rdzenia pomocniczego. Ukrytego głęboko za magazynami broni. Prowadzący do niego korytarz pomalowano w żółto-czerwono-czarne pasy oznaczające, że wstęp do tej sekcji jest surowo wzbroniony. Nad większością drzwi, które mijiała po drodze, świeciły czerwone kontrolki - widomy znak, że są zamknięte, i to na głucho.

Pomieszczenie z komputerem znajdowało się na samym końcu korytarza. Za nim były już tylko wielkie silniki. Stalowa gródź chroniąca rdzeń przed intruzami wydawała się o wiele grubsza niż te, którymi zamykano magazyny z bronią. Kontrolka nad nią także połyskiwała czerwienią.

Kody Hougland nie zadziałały.

- Cholera.

- Żaden problem - oświadczył Losowy.

Zaterkotał jakiś silniczek, w bocznej ścianie walizki otworzyło się okienko, uwalniając wijący się sterowany kabel. Na jego końcu Shane zobaczyła cienką jak igła sondę.

- Obok panelu jest mały otwór. Włóż do niego tę wtyczkę.

Kathy zrobiła, o co prosiła sztuczna inteligencja. Niemal natychmiast zobaczyła nad sobą zielone światło.

Pociągnęła masywne drzwi i otworzyła je na oścież. Sonda wyskoczyła z gniazda, pozwalając komandosce wejść do pomieszczenia wypełnionego ekranami, wskaźnikami, terminalami, portami i klawiaturami. Kathy postawiła walizkę z Losowym na jednej z półek, na wysokości pasa po przeciwnej stronie od wejścia.

- Odwróć mnie.

- Przepraszam.

Shane obróciła walizkę, która otworzyła się natychmiast, odsłaniając wiązki wijących się kabli.

- Mamy pół minuty - oświadczył Losowy. - Rób dokładnie to, co ci powiem.

Od tej pory wykonywała jego rozkazy, szybko wtykając końcówki kabli, które wysuwały się kolejno z walizki, wpisując komendy na licznych klawiaturach, łącząc porty. W pewnym momencie musiała nawet odciąć zasilanie połowie ściany mimo głośnych protestów elektroniki.

Gdy skończyła, zegar na wyświetlaczu w jej hełmie wskazywał siódmą piętnaście i piętnaście sekund.

- Chryste, już po nas.

- Słucham? - głos Losowego dobiegł z głośnika wiszącego na ścianie.

- Mamy trzydzieści sekund spóźnienia. Rutynowy meldunek na mostek...

- Bez obaw. Obwodami komunikacyjnymi zająłem się na samym początku.

Shane uśmiechnęła się pod nosem.

- Mogłam się domyślić.

- Właśnie dlatego nie nazywają nas sztuczną głupotą. A swoją drogą, to znakomita nazwa na określenie wszystkich systemów zabezpieczeń. Gdybym miał ręce, pewnie spoliczkowałbym tego tępaka, który pisał programy do interfejsów rdzenia. Tracę sześćdziesiąt procent mocy obliczeniowej na przekomarzenie się z resztą kompleksu.

Shane rzuciła okiem w głąb korytarza.

- Gdzie Mosasa?

- Przestań się martwić o niego.

- Chcesz przez to powiedzieć, że dostał się już na pokład?

- Słuchaj, on na pewno nie zrobi niczego, co zagrozi powodzeniu tej misji.

- Gdzie zatem jest teraz?

Przed oczami miała obraz Mosasy leżącego bezwładnie u stóp legara, podczas gdy jego kamuflaż powoli przestaje działać.

- Zdecydowaliśmy, że wchodzenie przez służbę w sytuacji, gdy kończy mu się energia w generatorze pola, byłoby zbyt ryzykowne. Dlatego wybrał drogę w górę legara.

Shane próbowała zgromić Losowego wzrokiem, ale nie bardzo wiedziała, na co ma spojrzeć. W końcu więc omiotła groźnym spojrzeniem całe pomieszczenie.

- Nie pamiętam, abyśmy brali pod uwagę tę opcję podczas planowania. Przecież tam nie ma dość miejsca, by przeczołgał się do wnętrza okrętu.

- Mosasa da sobie radę.

- Przecież on ma dwa i pół metra wzrostu!
- Rozmontował się, przynajmniej częściowo, by tego dokonać.
- Co takiego?

Jedna z kratownic w podłodze zaczęła się poruszać. Shane natychmiast skierowała na nią lufę swojego lasera.

- Nie przejmuj się, to tylko Mosasa. Zdaje się, że zdradzi ci zaraz pewien niewielki sekrecik.

Kratownica się odsunęła i Shane dostrzegła czarną dłoń wynurzającą się z szybu.

- Co, u licha?...

Potem zobaczyła nogę sterczącą pod nienaturalnym kątem, trzymaną przez wspomnianą dłoń w górnej części uda. Moment później rzucona kończyna - sama noga - upadła z hukiem na pokład u stóp Kathy.

Shane się cofnęła, zanim z otworu wyleciała druga noga.

A potem lewa ręka.

Gdy w polu widzenia pojawił się wytatuowany korpus Murzyna, Losowy powiedział:

- Jak widzisz, Mosasa jest konstruktem, podobnie jak ja.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY**

### **TRWONIENIE KAPITAŁU**

„Jedną z największych niesprawiedliwości  
tego wszechświata jest to,  
że posiadając jedno życie, możesz odebrać ich tyle,  
ile dusza zapagnie”.

*Księga mądrości cynika*

„Cierpienie męczennika najpełniej przeżywają  
przypadkowi świadkowie”.

Ralph Waldo Emerson (1803-1882)

Godzina 7.24.30 czasu godwińskiego

- Trzydzieści sekund - oznajmiła przez komunikator Tetsami.

Magnus spojrzał w dół stromego szybu, gdzie z trudem dostrzegał zarysy tunelu kolejki. Za pół minuty powróci do GA&A. Znajomy chłód owionął jego nerwy. Ten sam,



który poczuł, gdy odbierano mu korporację. Tyle że tym razem nie oteębiał zmysłów...

Cieszył raczej.

- Dwadzieścia sekund.

Trójka ludzi zajęła pozycje tuż za robotami górniczymi. Levy stał w środku, Dominic i Zanzibar tulili się do ścian. Każde z nich uzbrojone było w niezwykle ciche hiperszybkie karabiny szynowe dittrich kaliber 1,5 mm.

HKS-y nie były może najpotężniejszą bronią ręczną i nie miały wielkiego zasięgu, ale dzięki ogromnej szybkostrzelności - a wypluwały trzysta monokrystalicznych stalowych igieł na sekundę - mogły pokonać każdy cel na swej drodze, nie emitując przy tym wykrywalnych z daleka impulsów energetycznych. Jedynym, choć znacznym minusem tej broni było szybkie wyczerpywanie się amunicji.

- Dziesięć sekund.

Nieśli także dwa plecaki pełne sprzętu Levy'ego. Za nimi ciągnęły się też buczące cicho magnetyczne sanie. Był to sprzęt zrobiony ręcznie, na zamówienie, chyba najdroższa rzecz, jaką zabierali ze sobą do wnętrza kompleksu - jeśli nie liczyć bezcennego Losowego. Sanie miały pięć metrów długości i dwa szerokości. Była to prosta platforma ustawiona na torusowatych generatorach antygravitacji, mogąca udźwignąć niemal dwie tony ładunku. Sterowało się nią kablem, na którego rozdwojonym końcu zamontowano panel kontrolny.

Konstrukcję sań wykonano z diamentowanych włókien aluminiowych, więc miały masę niespełna dziesięciu kilogramów.

- Już!

Jego kompani odwrócili wzrok, ale Magnus nie spuszczał oka z betonu znajdującego się pod jego - do niedawna - budynkiem. Fotoreceptory zmniejszyły ilość światła docierającego do mózgu, aby mógł obserwować pracę robotów wgrzyzających się w fundamenty wieńczące podkop. Trzy snopy skoncentrowanego światła cięły szarą masę zbyt szybko, by zdołał zaobserwować ruch poszczególnych promieni. Ich zadaniem było wycięcie regularnego trójkątnego otworu.

Odlamki sypały się w dół, bębniąc po drodze o ściany szybu i spadając na stojących w nim ludzi. Kurz wypełnił przestrzeń wokół, nawet Dominic musiał się powstrzymać od kichnięcia.

W niespełna trzy sekundy lasery dotarły do prętów zbrojenia.

Gdyby do tej pory Losowy nie zapanował nad systemem zabezpieczeń, zespół numer dwa znalazłby się w poważnym niebezpieczeństwie. W każdej ze ścian budynku zamurowano bowiem liczne czujniki mające za zadanie wykrywać próby włamania. Nie były może aż tak

skuteczne jak pole Emersona, ale ono akurat mogło działać sprawnie, jeśli przepuszczało się je przez litą materię. Z tego też powodu systemy antywłamaniowe stosowane w podziemiach budynków nadal sprowadzały się do kabli, komputerów i kamer.

Zbrojenia w betonie, które zostały właśnie przecięte przez lasery robotów, także należały do jednego z systemów alarmowych.

Tyle że teraz były już tylko policeramicznym złomem.

Maszyny górnicze dotarły do miejsca, gdzie znajdująca się powyżej podłoga ledwie utrzymywała własny ciężar. W szybie rozległ się zgrzyt rozdrabniarek i moment później powłoka betonu pękła w chmurze pyłu.

Na głowy trójki ludzi znów posypały się odłamki. Lecąc dalej, odbijały się od mruczących dziwnie sań antygravitacyjnych.

Odległościomierze robotów górniczych wykryły brak przeszkody w zasięgu manipulatorów i maszyny natychmiast ucichły.

Gdy opadł kurz, Dominic sprawdził czas na wszczepionym komputerze. Była siódma dwadzieścia pięć i dwanaście sekund. Roboty potrzebowały niespełna szóstej części minuty, by przebić się przez fundamenty. „Trzeba to zapamiętać - uznał Magnus - i wykorzystać przy budowie kolejnych siedzib”.

- Ruszamy - powiedziała Zanzibar.

Czarnoskóra sierżant opuściła broń i pognąła w kierunku otworu, by sprawdzić pomieszczenie na górze. Sekundę później przywołała do siebie Levy'ego. Ten natychmiast przejął sterowanie saniami, przeprowadzając je obok Doma, który musiał rozpląszczyć się przy ścianie szybu, aby o niego nie zawadziły. Dziwnie wyglądały, podążając za księgarzem. Próbowaly za wszelką cenę utrzymać poziom, w związku z czym w tak stromym szybie ich przód tarł o podłoże, a tył o sklepienie. Z trudem zmieściły się między robotami.

Gdy Magnus podążył śladem Levy'ego, usłyszał, że maszyny drążące zaczynają schodzić w dół szybu.

Do piwnic nie docierały odgłosy uruchomionych alarmów, nie było też widać śladów bytności człowieka. Na razie szło im nieźle.

Cała trójka dotarła w milczeniu na przeciwległy kraniec przestrzeni magazynowej. W pomieszczeniach wypełnionych skrzyniami z bronią wyprodukowaną na zamówienie fikcyjnego Prometeusza panowały egipskie ciemności.

GA&A zmontowało kilka tysięcy skrzyń uzbrojenia na potrzeby tego kontraktu. Było tu niemal wszystko, co produkowała korporacja. Ta ostatnia myśl sprawiła, że Dom zatrzymał się w pół kroku.

„Po co im było takie wielkie zamówienie? Mogli nas przecież zaatakować, zamawiając cokolwiek. A może naprawdę potrzebowali tych pięciuset ton broni?”

Do tej pory nie zastanawiał się głębiej, dlaczego ZRW przybyła na tę planetę. Ilekroć próbował rozwikłać tę zagadkę, niemal natychmiast dochodził do wniosku, że to tylko ciąg dalszy usprawiedliwionej w pewnym stopniu wendety jego brata.

Tym razem jednak sprawa zdawała się wykraczać poza jego kompetencje.

Jeśli Klaus zdołał uzyskać autoryzację do prowadzenia tej gierki, musiał mieć pełne poparcie Rady widzącej w tym ruchu własne, znacznie szersze korzyści. Coś, na co wyraził zgodę starszek Dimitrij. Polityczna akcja poza granicami Konfederacji niosła ze sobą wiele zagrożeń, dlatego musiało chodzić o coś, co usprawiedliwiałoby takie narażenie się.

Ale o co mogło chodzić?

Przez moment Dominic się zastanawiał, czy aby nie o podbój Bakunina. Może ZRW chciało przejąć...

Nie, to niedorzeczne. W ramach operacji sprowadzono tutaj około tysiąca ludzi, z czego tylko niespełna półtorej setki miało za sobą przeszkolenie wojskowe. Takie siły mogły zapanować co najwyżej nad obiektem wielkości kompleksu GA&A. Stu pięćdziesięciu komandosów to siły potrzebne do podboju średniej wielkości komuny. Na pewno nie miasta. Ani planety. A wysłanie takiej armii poza granice Konfedu, gdzie jurysdykcja Rady nie jest wcale jednoznaczna, wydawało się politycznym samobójstwem.

Samostanowienie wszystkich planet należało do podstawowych zasad zawartych w wielokrotnie naginanych, lecz nigdy jeszcze nie złamanym Statucie Konfederacji. I chyba tylko dlatego pozwolono dotąd Bakuninowi przetrwać w aktualnym kształcie.

Aczkolwiek, jeśli przyjąć założenie, że ZRW zajmuje się teraz rzeczami mniejszej wagi, musiał odpowiedzieć sobie na jedno, za to niezwykle ważne pytanie: po co im broń, którą można uzbroić niemal półmilionową armię? A gdy na Bakunina dotrą nowe komputery, ten kompleks będzie mógł jej wyprodukować znacznie więcej.

Magnus odgonił od siebie te myśli, skupiając się na osłanianiu tyłów Levy'ego. Na razie mieli fart. Szli wąskim przejściem pomiędzy dziesięciometrowymi stosami skrzyń z przygotowanym do wysłania sprzętem, nie napotykając po drodze żywej duszy. Kilka wózków widłowych stało zaparkowanych pod dziwnymi kątami, jakby ktoś kazał przerwać im pracę w najmniej spodziewanym momencie. Wyglądało na to, że od chwili ataku nikt tutaj nie zaglądał.

Gdy znaleźli się w miejscu, gdzie podziemny magazyn docierał pod piwnice biurowca, Zanzibar uniosła rękę i przywołała do siebie Doma.

Podszedł do niej i zobaczył, dlaczego się zatrzymała.

- Sir, chciałabym poznać pańską opinię na temat czasu, jaki minął od tego zdarzenia - wyszeptała.

Magnus spoglądał na niezły bałagan.

Jedna ze skrzyń rozpadła się całkowicie, a jej zawartość wypełniła szczelnie wolną przestrzeń pomiędzy oboma stosami. Na sprzęcie i drewnianej obudowie widać było zwęglone ślady po trafieniu z lasera. Spod broni wystawało na wpół przysypane ciało. W suchej atmosferze, jaka panowała w magazynach GA&A, zdążyło się z mumifikować.

- Zostawili go tutaj? - zdziwił się Dom, rzucając pytanie gdzieś w przestrzeń.

- Jeśli to ludzie z Rady, są do tego zdolni - odparł Levy.

Zanzibar pokiwała tylko głową.

Dominic rozejrzał się wokół i dostrzegł więcej blizn po laserach. Były na skrzyniach, stropie, podłodze, ścianach.

- Wygląda na to, że ten biedak zgubił się podczas ataku. Wtedy nikt nie wiedział, kto uciekł, a kogo już złapano. Nikomu nie chciało się też zbierać zwłok. - Magnus przyklęknął przy ciele.

- Znałeś go? - zapytał Levy.

- To Harrison Bradley. - Komputer Doma podsyłał dane bez słowa komentarza. - Przyjąłem go pięć lat temu. Był brygadzystą tutaj, na dole. Wygląda na to, że zrzucił jedną ze skrzyń i strzelał z za niej do komandosów. Idiota...

- Chodźmy, sir. - Poczul dłoń Zanzibar na swoim ramieniu.

- Mamy chwilę czasu. Idź po windę. Jeśli Losowy zrobił co trzeba, powinna już na nas czekać.

- Ale sir...

- Zaczekajcie tam na mnie. Potrzebuję chwili samotności.

- Sir...

- Dajże mu tę minutę. - Do uszu Doma dotarł poirytowany głos księgarza, chwilę później usłyszał oddalające się kroki obojga.

„Co to u licha może znaczyć?”

Magnus przyklęknął przy zwłokach należących do brygadzysty z drugiej zmiany, zastanawiając się, co właściwie robi. Prawdę mówiąc, nie pamiętał tego człowieka. Do licha, nigdy go nie widział na własne oczy.

Z jakiegoś powodu zamiast uciekać gdzie pieprz rośnie, jak reszta personelu magazynów, Harrison Bradley odszukał skrzynię z przeciwpancernymi miotaczami plazmy.

Bradley i reszta - bo gdyby był tylko jeden strzelec, zapewne przeciwnik nie pominąłby jego zwłok - zginęli, próbując bronić GA&A.

Dominic pomyślał, że to czyn, nad którym mógłby uronić łzę, gdyby umiał.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

### PLAN AWARYJNY

„Porażki, podobnie jak entropia,  
rosną w miarę upływu czasu”.

*Księga mądrości cynika*

„Widzieliśmy dno otchłani  
i przeraziliśmy się, że nadciąga koniec”.

William IV (2126-2224)

Godzina 7.31.20 czasu godwińskiego

Tetsami obserwowała postępy obu zespołów. Wszystko szło zgodnie z planem. Pierwsze podejście i żadnych błędów.

Od najmłodszych lat polegała wyłącznie na swojej intuicji. A dzisiaj instynkt nie dawał jej spokoju. Nic nigdy nie udawało się w stu procentach, a im lepiej szło na początku, tym...

Wydawać się mogło, że wolałaby, aby już teraz natrafili na nieprzewidzianą przeszkodę. Im dłużej na nią czekała, tym bardziej nerwowa się robiła. Gdy odezwał się brzęczyk komunikatora, odetchnęła z ulgą.

Ale i to uczucie dość szybko minęło.

Wiedziała, że coś poszło nie tak, zanim podniosła słuchawki. Ivor zaczął mówić, mimo że nie potwierdziła odbioru połączenia.

- ...mnie, dziewczyno. Mamy problem. Wielki problem. Tets...

- Słyszę cię. Uspokój się i powiedz, co się stało. Zespół naziemny przekroczył perymetr?

- Nie na tym polega nasz problem.

- Zatem o co chodzi?

- Wartowniczką, którą zdjęła Shane, miała na udzie biopak przyspieszający metabolizm.

„Błyskawicę? Nie dają ich przecież ludziom wychodzącym na wartę. Chyba że...”

- Święta matko boska i jej nieślubny synu...

- Rozumiesz? Oni czekają na nas. Musimy przerwać...

- Cholera, Ivor, spójrz na timer! Magnus i jego ekipa weszli siedem minut temu.

Powinni już być przy sejfie.

- Kurwa.

- Dlaczego nie zameldowałeś mi o tym od razu?

- Musiałem uciszyć bardzo wkurzoną wartowniczkę.

„Oj!...”

- Wybacz.

- Zapomnij o tym. Musimy ostrzec naszych...

- Zamknij się. Daj mi pomyśleć.

„Jezu, ale się narobiło”. Ludzie z ZRW wiedzieli, że atak nastąpi tego dnia. Ktoś z biorących udział w skoku przekazywał im informacje. „Nie myśl o tym teraz, zastanów się, jak ostrzec oba zespoły, zanim rozpęta się piekło. Tylko jak to zrobić...? No tak. Przecież to oczywiste!”

- Zostaw to mnie, Ivor.

- Okay. Co mam zrobić z jeńcem?

- Pilnuj jej. Może być naszą kartą przetargową, jeśli coś pójdzie nie tak.

Tetsami zapięła słuchawki i wyciągnęła nadajnik, za pomocą którego włamała się do satelity TBC. Rozglądała się, dopóki jej wzrok nie spoczął na Voleraninie.

„Dlaczego mam ciarki na widok Losowego, a ten cholerny Obcy nawet mnie nie rusza? Nieważne”.

- Kwiecie, umiesz obsługiwać ludzką broń?

- Wiem, jak działa wasza broń ręczna. Niemniej my, Voleranie, nie mamy zmysłu, dzięki któremu moglibyśmy z niej celować. Poza tym tylko kilka karabinów ma odpowiednio duże spusty, aby...

- Powiedz mi tylko, czy możesz strzelić z tej pukawki. - Wskazała stojące pod ścianą vana zapasowe plazmówki macmillan-schmitt.

Kwiat opuścił głowę i pokręcił nią na wszystkie strony. Ta jego część ciała była twarda, stożkowata i całkowicie gładka. Zdobiły ją żółto-czarne plamy przypominające test Rorschacha. Tetsami nie dostrzegła na niej niczego, co przypominałoby oczy, niemniej Obcy poruszał nią tak, jakby faktycznie przyglądał się broni.

- Tak. Mimo ograniczeń zdołam ją utrzymać. A promień rażenia powinien

skompensować brak możliwości celowania...

- Świetnie. Weź ten karabin i chodź za mną.

Miała już dość tych jego nosowych gwizdów. „Tylko czy można je nazwać nosowymi, skoro ta istota nie dysponuje narządem powonienia?”

Potrząsnęła głową, jakby tym sposobem chciała się pozbyć wszystkich natrętnych myśli.

Zaprowadziła Kwiatą w górę tunelu wiodącego do poziomego magazynowego. Biegła przez całą drogę i kilkakrotnie o mało nie wyrzuciła twarzą o ziemię, potknąwszy się o żebrowania wzmacniające konstrukcję stromego szybu i służące za namiastkę drabiny albo schodów.

Zerkała przez ramię, by sprawdzić, jak Obcy radzi sobie w tych warunkach. Ale nie musiała się martwić o niego. Kwiat używał obu nóg i jednej ręki, dzięki czemu biegł o wiele stabilniej niż ona. Jego głowa unosiła się cały czas w pobliżu geometrycznego środka wykopu, wisząc o metr przed resztą ciała. Skrzydła miał złożone na grzbiecie jak stateczniki.

Tetsami wypadła z otworu pierwsza, nie zadając sobie trudu, by sprawdzić sytuację w pomieszczeniu magazynowym. Gdyby komandosi pojawili się w podziemiach, już dawno dotarliby do niej i do vana. Na razie jednak nie podniesiono alarmu. A to znaczyło, że miała jeszcze szansę. I że Losowy dotarł bezpiecznie do rdzenia komputera pomocniczego.

Zakładając, że tak było - zdawała sobie sprawę, że musi polegać na zbyt wielu założeniach, ale nie dysponowała przecież żadnymi pewnikami - mogła jeszcze ocalić tę misję od kompletnego fiaska. Jeżeli zdoła wejść do systemu, zanim komandosi porażeni przez Mosasę dojdą do siebie.

Otworzyła pojemnik i wyjęła wtyczki łączników. W razie konieczności jej przenośny nadajnik mógł służyć jako terminal. Spojrzała na Voleranina.

- Wiesz co? Pozwolę ci pobawić się w żołnierza.

- Wydarzyło się coś niespodziewanego?

- Owszem. Komandosi są przygotowani na nasz atak. Spodziewali się nas. Musisz dogonić zespół podziemny i ostrzec go. Znasz rozkład pomieszczeń tego budynku?

- Studiowałem uważnie każdy etap planu, aby poszerzyć posiadaną wiedzę.

- Zatem wiesz, gdzie oni są. Tylko nie strzelaj, dopóki nie zostaniesz do tego zmuszony. Na razie wszystko wskazuje na to, że przeciwnicy nie wiedzą jeszcze o naszym wtargnięciu.

- Doceniam to, że uznałaś, iż mogę wykonać takie zadanie.

- Tylko ty mi zostałeś. Ruszaj.

Kwiat zakołysał głową i pognał w głąb magazynu, w kierunku szybu windy prowadzącego do piwnic biurowca.

Tetsami sprawdziła odczyty terminala i podeszła do najbliższych drzwi. To cholerne urządzenie miało zablokowany dostęp. Widziała klawiaturę i czerwoną kontrolkę, która oznaczała blokadę elektromagnetyczną. Jak pokonać takie zabezpieczenia...?

Światelko zmieniło się na zielone.

„Losowy?”

Otworzyła drzwi i znalazła gniazdo, do którego pasowała wtyczka jej terminala. Natychmiast wróciła do nadajnika i włączyła zasilanie. Sekundę później widziała już rybim okiem pomieszczenie, w którym znajdował się pomocniczy rdzeń Krwawego Przyływu. Byli tam Shane i Mosasa, lecz słyszała tylko Losowego.

- Miałem oko na nasz tunel. Tak na wszelki wypadek. Zobaczyłem, że wychodzisz, ale tam na dole nie ma mikrofonów, a ja nie umiem czytać z ruchu warg, zwłaszcza gdy ktoś stoi tyłem do kamery.

- Mamy problem.

- Tego sam się domyśliłem.

- Spodziewali się naszego wejścia. Wartowniczką, którą załatwiliście, miała przy sobie błyskawicę, dzięki której mogła odzyskać szybciej przytomność. Jeśli jej kumple z pokładu dysponują podobnymi biopakami...

- A niech to!... - zaklął Losowy. - Zamykam okręt. Opuszczam wszystkie grodzie.

Shane powiedziała coś w kierunku holoprojektora. Tetsami nie mogła jej jednak słyszeć.

- Dobra, chyba jakoś zaradziliśmy temu problemowi. Nasze panienki są teraz pod kluczem. I pozbawione możliwości komunikacji z kompleksem. Jeśli dojdzie do najgorszego, uruchomię ponownie pole ogłuszające. Stracimy na chwilę Shane, ale ja nadal będę kontrolował sytuację.

- Postaraj się tego uniknąć.

„Tylko Shane? A co z Mosasą?”

- Dobrze... - Losowy zamilkł na moment. Widoczni na holo ludzie obrócili się w kierunku zamkniętego wjazdu. - Wiesz, dziewczyno - dodała sztuczna inteligencja - masz niezłe wyczucie czasu. Nasz pierwszy komandos właśnie się obudził i wygląda na straszliwie wkurzonego.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI



## PŁYNNE AKTYWA

„Nigdy nie mów, że jest już po problemie,  
nie wspominaj, co jeszcze może pójść źle,  
i nie ciesz się, że miałeś fart - nie ma chyba pewniejszych  
sposobów na ściągnięcie większego nieszczęścia”.

*Księga mądrości cynika*

„Złoto, podobnie jak wolność,  
nie pozostanie tam, gdzie nie jest wystarczająco cenione”.

J. S. Morrill (1810-1898)

Godzina 7.26.45 czasu godwińskiego

- Pozostaje nam zatem tylko trudniejszy sposób - stwierdził Dom, cofając się od pierwszych drzwi.

Byli wszyscy troje w jednym z dziesiątek bocznych pomieszczeń, od których roило się pomiędzy szybem windy magazynowej a skarbcem usytuowanym w podziemiach biurowca GA&A.

Magnus wprowadził osobisty kod na panelu sejfu. Mechanizm nie zadziałał, lecz to akurat było do przewidzenia.

Ale dowiedział się jeszcze jednej istotnej rzeczy - system zabezpieczeń skarbcza był martwy. Na wyświetlaczu nie pojawił się napis: „Wprowadzony kod jest niewłaściwy”. Niczego na nim nie zobaczył. Najeźdźcy woleli usmażyć urządzenia, niż je przeprogramować.

Levy przyjrzał się klawiaturze.

- Ktoś tu zastosował impuls elektromagnetyczny niewielkiej mocy. To wykasowało całą pamięć. Nie otworzymy tych drzwi elektronicznie.

Zrzucili plecaki na podłogę. Dominic ustawił na trójnogu jeden z potężnych laserów tnących. Gdy skończył robotę, Levy podszedł i założył na wylocie palnika jakieś niewielkie urządzenie.

- Cofnij się - zakomenderował.

Magnus zrobił parę kroków do tyłu. Księgarz wprowadził kilkucyfrowy kod do przenośnego holo, na co laser zareagował natychmiastowym rozbłyskiem. Fotoreceptory

Doma dostosowały się zaraz do nowej sytuacji.

- Wiązka testowa bez zarzutu. Nasz sprzęt został doskonale skalibrowany.

Zanzibar trzymała się za nimi. Pilnowała im tyłków.

- Chcesz je przeciąć czymś takim? - zapytała zdziwiona.

Dominic rozumiał, o czym mówiła. Zewnętrzne drzwi sejfów miały tylko spowolnić potencjalnych włamywaczy. Mimo to mieli przed sobą idealnie gładką, równą chromowaną ścianę sięgającą od podłogi aż po sufit, czyli na wysokość pięciu metrów i niemal od ściany do ściany, co dawało mniej więcej taką samą szerokość. Po bokach zostawało nie więcej niż pół metra wolnej przestrzeni okolonej pasem czarnego metalu. Gdyby nawet nie było innych zabezpieczeń wewnątrz sejfów, te drzwi stanowiłyby wystarczającą przeszkodę dla większości złodziei. Lasery, którymi dysponowali, musiałyby pracować kilka godzin, aby się przez nie przebić.

Tyle że oni nie zamierzali przepalać ich na wylot.

Levy, milczący i ponury, wklepywał kolejne komendy w swoje holo. Na wyświetlaczu miał obraz wewnętrznej struktury drzwi. Jeszcze jedno polecenie spod palców księgarza i laser ustawił się w nowej pozycji. Także rzucany obraz uległ zmianie. Była to bowiem transmisja ze skanera umieszczonego na czubku palnika. Kolejne poruszenie lasera, tym razem o milimetry w prawo i w górę. Ledwie maszyneria się zatrzymała, Levy zaczął usuwać kolejne warstwy hologramu.

Dominic dostrzegł jakieś węże i pompy.

Po chwili holo pokazywało trójwymiarowy obraz sekcji pomieszczenia pod sejfem. Laser i umieszczony na nim skaner celowały w podłogę pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Na samym środku ekranu widniała rura wygięta w kształt litery S. Magnus mógł zajrzeć do jej wnętrza.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał.

- Najważniejszy jest czas. Rozmiar otworu zależy od gęstości, ciśnienia, lepkości i innych... - Księgarz zawiesił głos, a Dom nie zdecydował się na kolejne pytanie.

Para zielonych krzyżyków skoncentrowała się na obrazie rury. Levy wprowadzał do holo kolejne komendy, dopóki nie zgrał z nimi niewielkich kręgów. Potem sięgnął po gogle spawalnicze i założył je na oczy.

- Już - powiedział.

Magnus zmniejszył przepuszczalność fotoreceptorów do minimum. Był teraz prawie ślepy.

Moment później ciemności przecięła świetlista lanca. Zaczynała się na szczycie

trójnogu, a kończyła na podłodze, kilka centymetrów od powierzchni zewnętrznych drzwi. Dominic poczuł gorąco bijące od lasera i jego celu. Smród topionego metalu drażnił powonienie, więc i ten zmysł odłączył.

To jednak nie powstrzymało swędzenia w nosie.

Sekunda, dwie, trzy.

Po takim czasie metalowa podłoga zaczęła bulgotać wokół drażącego ją promienia światła. Na środku czarnej powierzchni pojawił się czerwony krąg o średnicy około dziesięciu centymetrów.

Levy zaczął odliczanie.

- Pięć, cztery, trzy, dwa, jest!

Dominic usłyszał głośny świst, a chwilę później z dziury w podłodze trysnął strumień niezbyt ciekawie wyglądającej pary. Syczenie cichło z chwili na chwilę, lecz drzwi wciąż osuwały się w dół. Powoli, ale nieubłaganie. Gdy opadły o trzy centymetry, świst w otworze umilkł całkowicie. Parę zastąpiła struga cieczy, która trysnęła aż na sufit.

- Szlag by was!... - jęknęła Zanzibar, odskakując w głąb pomieszczenia. - To świństwo mnie ochlapało!

Magnus przyglądał się opadaniu drzwi. Przesuwały się wolno, za wolno.

Wydawało mu się, że proces osuwania trwa godziny, lecz gdy w końcu płyn przestał płynąć, a drzwi zamarły pół metra od podłogi, timer wskazywał godzinę siódmą trzydzieści trzy.

Levy miał trzy albo cztery kanistry środka uszczelniającego dla pojazdów poruszających się w przestrzeni kosmicznej zmodyfikowane na potrzeby tej roboty. Zamiast wlewu w kształcie dzwona albo wachlarza zainstalował cieniutkie jak włos sondy. Jedną z nich włożył do otworu wypalonego przez laser. Gdy nacisnął klawisz na szczycie kanistra, znów rozległo się charakterystyczne syczenie. Chwilę później otwór był zasklepiony białym tworzywem policeramicznym.

Księgarz zostawił kanister na podłodze. Syczenie umilkło kilka sekund później.

- Na razie idzie nam nieźle - uznał Dom.

Zanzibar parsknęła, ale nie spuściła oka z wylotu korytarza.

Levy zapakował cały sprzęt na sanie antygrawitacyjne i wprowadził je do komory za na wpół opuszczonymi drzwiami. Magnus poszedł za nim.

Pomieszczenie było niewielkie, lecz zrobiło się jeszcze ciasniejsze, gdy stary kasiarz rozładował sprzęt. Ściany i strop zbiegały się tutaj ku wewnętrznym drzwiom do sejfu: czarnym, kwadratowym o boku około trzech metrów. Nad nimi migała czerwona kontrolka:

system hydrauliczny uniemożliwił otwarcie obojga drzwi równocześnie.

Księgarz złożył i rozstawił wszystkie trzy lasery. Jeden był znacznie większy. Dodatkowych gabarytów dodawał mu system chłodzący. Obok ciężkiego sprzętu Levy porozkładał sondy, węże i pozostałe kanistry z uszczelniaczem.

- Teraz zaczyna się najtrudniejsza część roboty - oznajmił. - Muszę ustawić laser numer trzy na północno-zachodni narożnik drzwi.

Powtórzył mniej więcej tę samą procedurę co przed otwarciem zewnętrznych drzwi, ale tym razem ustawiał dwa lasery równocześnie. Pierwszy, ten największy, wycelował w sam środek ściany metalu.

Po kilku minutach kalibrowania ostrzegł ich ponownie, nałożył gogle i odpalił promienie. Zaczęło się jak poprzednio - strumienie oślepiającego światła przecięły podłogę pod ostrym kątem, lecz po kilku sekundach zbladły, zaczęły pracować impulsowo. Levy odpalał jeden, zdejmował gogle, by sprawdzić odczyty na wyświetlaczu, potem zadymione szkła znów trafiały na jego nos i operacja była powtarzana od nowa.

Dopiero po pięciu minutach efekt pracy laserów zadowolił starego kasiarza. Tym razem nie było złowieszczygo syku i strumieni cieczy, tylko dwa otwory o średnicy milimetra pośrodku kraterów z poczerniałego betonu.

- Zostało pół milimetra, sądzę, że nasze węże poradzą sobie z taką warstwą.

- Levy podał Domowi jeden z gumowych przewodów. Na jego końcu była metalowa nasadka z włóknem optycznym.

Księgarz wprowadził swój wąż w otwór, Dom zrobił to samo z drugim. Sondy weszły gładko, bez oporów. Zatrzymały się dopiero po pokonaniu trzech metrów, gdy trafiły na twardą przeszkodę. Na czarnej otoczce, dokładnie na poziomie podłogi, Magnus zobaczył żółte linie. Oznaczały one, że czubki sond dotarły do celu.

Levy rzucił Domowi kanister z uszczelniaczem.

- Tylko nie przedawkuj. Musimy utrzymać idealną próżnię. Jeśli pompa się przytka, będziemy mieli problem.

Ta uwaga była naprawdę zbędna. Mieli zapasowy sprzęt na zrobienie tylko jednego otworu pilotażowego. A to nie wystarczy w sytuacji, gdy system hydrauliczny będzie w części niesprawny albo nierówno obciążony. Otwory znajdowały się w dokładnie wymierzonych czułych punktach.

Magnus wsadził sondę do końcówki węża i powoli zaczął go wycofywać, Wstrzykując równocześnie uszczelniacz. Rozszerzająca się masa policeramiczna błyskawicznie wypełniła krater. Kilka sekund później na podłodze wykwitła twarda jak

kamień biała kopuła.

Levy przyjrzał się uważnie własnej robocie, a potem sprawdził dzieło Doma.

- Świetnie. - Przeszedł do pompy. - No, panie Magnus, zaczynamy.

Dominic ponownie poczuł dziwne radosne podniecenie. Oddalił się od drzwi, by obserwować poczynania księgarza. Nie rozumiał jednak żadnego z wyświetlanych wskaźników, może z wyjątkiem temperatury i ciśnienia.

Levy podniósł osłonę czerwonego guzika i wcisnął go kciukiem.

Ciśnienie gwałtownie wzrosło, gdy ciecz zaczęła wypełniać przewody. Księgarz nie patrzył już na odczyty - teraz nie spuszczał wzroku z kopuł uszczelniacza utrzymujących węże na miejscu. Byłoby źle, gdyby któryś zaczął przeciekać. Na szczęście oba wytrzymały.

Gdy wskaźniki na holo ustabilizowały się w końcu, Dom zauważył, że mimowolnie wstrzymywał oddech.

- Świetnie - mruknął Levy.

Przerzucił kilka przełączników na niewielkiej pompie i zaczął zasysać płyn do przyniesionego zbiornika. Ciśnienie spadało szybciej, niż uprzednio rosło. Pompa zawyła, potem coś w niej mlasnęło i wszystkie wskaźniki opadły w pobliże zera. Nie zatrzymały się jednak, tylko mały dalej, aż wskazały śmiesznie niskie wartości. Pompa wciąż pracowała, lecz na holo nic już się nie zmieniało.

- Czy to tak idealna próżnia, o jakiej mówiłeś? - zapytał Dom.

- Mniej więcej - ocenił kasiarz. - Ale wystarczy. To była ostatnia przeszkoda techniczna, na którą mogliśmy trafić. - Uśmiechnął się. Magnus pomyślał, że wychwytuje nutę ironii w jego głosie. - Nie będziemy mieli żadnych problemów z...

- Cholera! - wydarła się Zanzibar.

Z zewnątrz dobiegł jakiś łoskot. Dominic natychmiast stanął obok szefowej ochrony.

Maria miała nerwy napięte do granic możliwości, gdy kierowała lufę w stronę, z której niedawno przyszli.

Źródłem hałasu okazał się kosmita. Kwiat. Właśnie wypadł mu karabin plazmowy.

- Cholera! - wydarła się po raz kolejny Zanzibar. - Mogłam cię zastrzelić!

- Rozumiem, ale narażenie się na niebezpieczeństwo w tej sytuacji było nieuniknione. Przybywam, aby was ostrzec przed potencjalnym zagrożeniem. Wszystko wskazuje na to, że przeciwnik spodziewa się naszego przybycia.

Levy się mylił. Mieli przed sobą masę poważnych problemów.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

## DZIAŁANIA PRZECIWPARTYZANCKIE

„Nigdy nie jest tak źle, jak wygląda - ale czasami  
może być jeszcze gorzej”.

*Księga mądrości cynika*

„Nie dowierzajcie nikomu,  
w kim popęd do karania jest zbyt silny”.

Fryderyk Nietzsche (1844-1900)

Godzina 7.32.15 czasu godwińskiego

Shane oparła się o gruby właz prowadzący do pomieszczenia kryjącego rdzeń pomocniczy. Ledwie słyszała dźwięki dochodzące z drugiej strony, ale nawet to, co docierało do jej uszu, świadczyło o niezwyklej aktywności całej piątki komandosów przebywających na pokładzie Krwawego Przypływu. Mimo że zostali potraktowani polem ogłuszającym.

Trójce intruzów udało się jednak zachować posiadaną przewagę. Przynajmniej chwilowo. Losowy zamknął na głucho wszystkie grodzie okrętu. On też kontrolował całą komunikację. I jeśli będzie musiał, odpali pole po raz drugi.

Innymi słowy, Shane mogła teraz siedzieć na dupie i rozmyślać nad ironią tej sytuacji.

Jej podwładni zamierzali ją zabić.

Zdawała sobie sprawę, że myślenie o takich rzeczach jest pierwszym krokiem do porażki, lecz i tak nie potrafiła się powstrzymać. Jej zadanie skończyło się wraz z dostarczeniem Losowego do pomocniczego komputera okrętu. To znaczyło, że nie miała już nic do roboty. Prócz zamartwiania się na śmierć, rzecz jasna.

O ile nie dojdzie do strzelaniny.

Jeśli jednak padną strzały, wszyscy intruzi zostaną natychmiast zabici.

- Zespół drugi otworzył zewnętrzne drzwi sejfu. - Głos Losowego dobiegał z najbliższego głośnika na ścianie. - Kwiat pędzi właśnie przez poziom magazynowy. Nie widzę, by ktoś próbował stawić mu opór.

Shane pokiwała głową. Wyglądało na to, że ich misja mimo wszystko zakończy się sukcesem, nawet jeśli trójka uczestników skoku nie dotrze na czas z pokładu Krwawego Przypływu do pojazdu ewakuacyjnego Wora. Losowy przeczesał bardzo dokładnie wszystkie dolne poziomy budynku i nie znalazł śladu komandosów.

Nie było tam ani jednego żołnierza.

Dlaczego więc tak ją to niepokoiło?

Z tego samego powodu co wyposażenie wartowników w biopaki.

Te cuda powiększały zdolności bojowe człowieka, ale czyniły przy tym tak wielkie spustoszenia w organizmach, że na Occisisie zakazano ich stosowania poza polem walki. A skoro pułkownik kazał ich użyć, musiał spodziewać się ataku.

„Mimo to weszliśmy poza perimetr...”

- ...i zostaliśmy w nim uwięzieni - dokończyła szeptem.

- Doprawdy? - zapytał Mosasa.

Odwróciła głowę i zmierzyła Tjaelego ostrym spojrzeniem. Jakimś cudem wyrzuciła go z myśli. Było to łatwiejsze niż przyznanie, że do tej pory wydawał się jej stuprocentowym człowiekiem.

A czym był naprawdę?

- Ja jestem uwięziona. Ty przecisniesz się przez te kanały wentylacyjne, którymi tu wszedłeś...

Tjaele pokręcił głową.

- Protokół, z którego skorzystał Losowy, jest używany w przypadku nagłego rozszczelnienia kadłuba. Teraz wszystkie szyby są zamknięte. Okręt przeszedł na rezerwowe systemy podtrzymywania życia.

Shane spojrzała na Mosasę innym wzrokiem. W przydymionym oświetleniu jego wytatuowany smok lśnił metaliczną zielenią.

- To była chyba najdłuższa mowa, jaką mnie kiedykolwiek uraczyłeś.

- Możliwe.

- Zatem rozwój wydarzeń zależy teraz wyłącznie od postępowania Losowego?

- Ja mu ufam.

- A masz inny wybór?

- W tym momencie oboje nie mamy żadnego.

Z głośnika znów dobiegł głos sztucznej inteligencji:

- Rozłożyli sprzęt potrzebny do sforsowania właściwych drzwi. Kwiat zdołał dotrzeć do nich. Właśnie wyjaśnia im sytuację.

- Dzięki - rzuciła Shane w kierunku ściany, a potem dodała, obracając się do czarnoskórego elektronika: - Kim ty właściwie jesteś?

- Nazywam się Tjaele Mosasa.

Gdy potrząsnęła gniewnie głową, spojrzał na nią, uśmiechając się bardzo po ludzku i

odslaniając kilka ozdobnych złotych zębów.

- Chciałaś zapewne zapytać, czym jestem. Cóż, jestem resztką przemytnika nazwiskiem Tjaele Mosasa, który odkrył pozostałości po pięciu sztucznych inteligencjach stworzonych przez Rasę. W chwili śmierci Mosasy Losowy miał pełnoprawną osobowość, ale ze względu na prawo obowiązujące w Konfederacji potrzebował ludzkiej obudowy. A jedynym człowiekiem, któremu ufał, był Mosasa.

- Losowy cię stworzył?

- Od podstaw, dodając odrobinę swojego rdzenia pamięci i tyle oprogramowania, ile mogło pomieścić ciało człowieka.

Shane pokręciła głową.

- Ale dlaczego...?

- Przecież to proste. Żeby przetrwać.

- Shane, Mosasa, mamy problem - przemówił głośnik.

- Jaki? - zapytali unisono.

- Straciłem dostęp do interfejsu łączącego okręt z resztą kompleksu.

Shane poczuła pulsowanie krwi w uszach i miedziany posmak w ustach.

- Możesz go odzyskać?

- Nie. To kwestia sprzętowa. Ktoś go nagle odłączył.

- Możesz... - zaczęła komandoska.

- Tkwimy po uszy w gównie, moje dzieci - nie pozwolił jej dokończyć Losowy i wyświetlił holo pokazujące główny plac kompleksu, przełączając się pomiędzy kilkoma kamerami okrętu. Komandosi otoczyli Krwawy Przyływ szczelnym kordonem. - Co najmniej tuzin sond próbuje mnie atakować. Zabezpieczyłem wszystkie grodzie i systemy podtrzymywania życia, ale straciłem już łączność, uzbrojenie i kontrolę lotu... a niech to! - Po chwili milczenia dodał: - Zamknęli mnie w obrębie rdzenia pomocniczego.

Shane nie spuszczała wzroku z holograficznych obrazów placu. Roiło się na nim od komandosów. To koniec. Pułkownik zwabił ich w pułapkę i schwytał wszystkich. Shane poczuła, jak do żył szerokim strumieniem płynie jej adrenalina. Desperacko pragnęła ujrzeć cel, do którego mogłaby strzelić.

- Nadaję wiadomość. Przełączam na główny ekran. Sprawdzę też, czy uda mi się wyrwać z puszki, do której mnie wsadzili.

Jeden z obrazów placu zamigotał, a po chwili zastąpiła go twarz Dachama. „Zmienił się - pomyślała Shane. - Te oczy... Jest w nich blask, którego wcześniej nie widziałam”.

Klaus spoglądał prosto w kamerę i przemawiał, jakby słuchały go tysiące.



Wystąpienie zostało dokładnie wyreżyserowane i zmontowane, aby potencjalny widz wchłonął je bez przeszkód. Pułkownik wyglądał na człowieka, który uważnie przestudiował nagrania z wystąpień najbardziej charyzmatycznych przywódców minionych trzech stuleci.

- Dominicu... - powiedział. Shane usłyszała nutę ironii w tym słowie. - Sporo czasu minęło od naszego ostatniego spotkania. - „Co takiego?” - Ale obawiam się, że to jednokierunkowa transmisja. Szkoda, że tym razem nie będę mógł posłuchać twoich tłumaczeń. Sprawiedliwości stanie się zadość... Już niedługo.

- Wiecie, o czym on bredzi? - spytała Shane szeptem, mimo że nikt nie mógł jej w tym momencie podsłuchać.

- Nie. Ale chyba uważa, że pan Magnus jest tutaj z nami.

- Nie opuścisz pokładu tego okrętu. Jesteśmy w stanie zatruć powietrze, którym oddychasz. Możemy wywołać zabójczy impuls elektromagnetyczny, który zniszczy twoje sztuczne neurony. To koniec, Jonah, bracie mój. Ale ty przecież nie żyjesz już od dziesięciu lat...

- Oni są spokrewnieni? - zdziwiła się Shane. Dostrzegła wprawdzie uderzające podobieństwo, niemniej...

- Niemniej muszę coś jeszcze uczynić, zanim poślę cię w końcu do wieczności. Zapewne pociesza cię myśl, że przynajmniej twoi sprzymierzeńcy uszli sprawiedliwości.

Obraz zmienił się ponownie. I Shane głośno jęknęła.

Teraz widziała na nim tajną komunę Doma, miejsce, gdzie zaprowadziła wszystkich uwolnionych cywilów. Świątą piramidę otoczoną szklarniami. „Co, u licha?...”

- Wystrzeliliśmy z orbity dronę zwiadowczą, aby pokazać ci ten widoczek. Mamy tam, w górze, drugi okręt, Dominicu. Dysponujemy także dokładnymi koordynatami tej doliny. - Klaus zachichotał.

Kamery drony prześlizgnęły się po piramidzie, by pokazać niebo. Najpierw Shane widziała tylko błękit, potem systemy wizyjne przełączyły się na inne sensory i niebo stało się szare, poznaczone czarnymi kropkami gwiazd. Jedna z nich wibrowała dziwnie.

- Pamiętasz jeszcze pacyfikację buntowników na Styksie? A może zapomniałeś już o niej, tak jak umyłeś ręce od ZRW i innych obowiązków, które na tobie ciążyły?

- Mój Boże... - wyszeptwała bardzo, ale to bardzo cicho Shane. „Oby nie zrobił tego, o czym myślę”.

- Kiedy wymazałeś Perdicion z mapy Styksu, Rada nazywała ten rodzaj ataku „miażdżeniem”. Od tamtej pory terminologia uległa daleko idącym zmianom. Dzisiaj mówimy o „orbitalnej redukcji celu”.

„A jednak!...”

Kathy wiedziała, co za chwilę zobaczy, mimo to nie potrafiła oderwać wzroku od holoprojektora.

Zrzucanie ciężkich obiektów z orbity było tanim zamiennikiem broni masowej zagłady.

Wystarczająco wielka masa przy odpowiednio dużej prędkości potrafiła zmieść z powierzchni ziemi każdy obiekt. Jedyną cechą wspólną z głowicami nuklearnymi był rozmiar zniszczeń po użyciu takiej broni. Największe z pocisków kinetycznych mogły wstrząsnąć tektoniką całego globu, spowodować epoki lodowcowe, wyparowanie oceanów, wygenerować każdy możliwy do wymyślenia rodzaj zniszczeń.

Shane nie musiała wspominać, że w ciągu trzystuletniej historii zbrojeń w kosmosie ludzkość wynalazła sposób na uniknięcie podobnych apokaliptycznych zniszczeń. Jakiś wiek temu pewien człowiek zrzucił z orbity tonę policeramicznej nici. Dzięki temu odkrył dwie rzeczy. Po pierwsze, dowiedział się, że mimo wszelkich oporów, z jakimi wiąże się wejście w atmosferę, nawet tak cienkie struktury policeramiczne pozostają stabilne. Po drugie, po upadku zamieniają one każdy rodzaj gruntu w drobny żużel, i to do głębokości niemal stu metrów, nie powodując niemal żadnych zniszczeń w sąsiednich rejonach.

Wibrująca czarna gwiazda przypominała teraz rozedrganą okrągłą chmurę.

Klaus nie przestawał mówić.

- Chciałem, abys wiedział, że gdybyś przyszedł do mnie i poddał się, nie musiałbym tego robić. Gdybyś wtedy postąpił inaczej, nasza matka wciąż by żyła.

Czarna chmura rosła, i to coraz szybciej. W niesamowicie krótkim czasie przesłoniła większość widzianego nieba. A potem kamera przestała nadawać. Kilka sekund później, jakby na potwierdzenie dokonania tej zbrodni, rozległ się głuchy pomruk, a pokład pod stopami Shane zadrżał mocno. Gdy poczuła te wstrząsy, żołądek podszedł jej do gardła.

- Boże, miej nas w swojej opiece - wyszeptała.

Na wyświetlaczu holo pojawiła się ponownie obojętna twarz Klausa.

- Oni byli twoją armią, Dominicu. Nie jesteś już nikim wyjątkowym, tylko zamieszkującym Bakunina śmieciem, którego muszę wykurzyć z mojego okrętu. Żałuję tylko jednego: że nie staniesz przed trybunałem.

Projekcja została wyłączona.

- Tysiąc trzystu ludzi.

- Shane - odezwał się Losowy.

Kathy oparła czoło o zimną gródź. Czy to jej wina? Czy to ona sprowadziła tego

psychopatycznego mordercę na ludzi Dominica? Czy ocaliła ośmiuset jeńców, aby Pułkownik mógł zabić całą resztę ocalonych?

Właśnie odebrano jej jedyne usprawiedliwienie, dla którego znalazła się tutaj, by walczyć z dawnymi towarzyszami broni.

- Shane!

Mosasa obrócił ją twarzą do siebie.

- Czego chcesz?

- Losowy stracił właśnie kontrolę nad systemami podtrzymywania życia. Musisz uszczelnić swój pancerz.

Wcisnęła kilka klawiszy i sprawdziła wskaźniki zasilania zbroi.

- Mam energię na kwadrans działania.

- To wystarczy - stwierdził Losowy. - Przepałą się do nas za maksimum dwanaście minut.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

### POSTRZELENIEC

„Im bardziej katastrofalna sytuacja,  
tym łatwiej i szybciej można coś spieprzyć”.

*Księga mądrości cynika*

„Zdrada jest faworytą wielu,  
ale zdrajcy nienawidzą wszyscy”.

Robert Greene (1558-1592)

Godzina 7.35.00 czasu godwińskiego

Mimo ostrzeżenia Kwiatu nie mieli zbyt wielkiego wyboru. Musieli dokończyć robotę.

- Najpierw otwieramy sejf, potem zajmujemy się zespołem naziemnym.

Po minucie szaleństwa, czyli niszczenia kamer systemu bezpieczeństwa w pobliskim korytarzu, przystąpili do dalszych planowych działań. Levy wycelował większą liczbę laserów gamma w stronę głównych drzwi sejfu. Po trzykrotnym sprawdzeniu noszonych przez członków zespołu osłon antyradiacyjnych zaczął je odpalać.

Gdyby włamywacze dysponowali nieograniczoną ilością czasu i energii, tego rodzaju palniki mogłyby przebić nawet tak mocną konstrukcję. Nie na tym jednak polegał problem.

Teraz, gdy system hydrauliczny został opróżniony, drzwi trzymały się wyłącznie na ukrytym głęboko w ich trzewiach zamku elektromagnetycznym. Jego źródło zasilania podłączone było do tego samego generatora pola, który próbował w tej chwili przejąć energię promieniowania laserów gamma.

Levy nie spuszczał oka ze wskaźników poziomu energii i od czasu do czasu Przestrajal częstotliwość kolejnych urządzeń.

Działanie sprzętu było niewidzialne dla ludzkiego oka, ale Dom mógłby przysiąc, że jego fotoreceptory podczerwieni zauważają maleńkie rozgrzane punkciki na powierzchni metalu.

- No, no - mruknął Levy, zakładając gogle.

Nagle lasery gamma przeszły na widzialne spektrum. Mimo automatycznej kompensacji sztucznych oczu Magnus oślepl na moment.

W tym samym czasie podłoga pod jego stopami zadrżała, jakby ktoś uderzył w gigantyczny gong. Dominic poczuł powiew wiatru na skórze, a gdy wzrok wrócił mu do normy, zauważył, że drzwi zniknęły.

- Dokonałiśmy tego - powiedział.

Niespodziewane przejście z promieni gamma na światło widzialne spowodowało mikrosekundowe przeciążenie obwodu zasilającego zamki. To wystarczyło, by gigantyczna waga drzwi, w połączeniu z próżnią panującą w systemie hydraulicznym, zapobiegły ponownemu włączeniu mechanizmów elektromagnetycznych.

Levy wstał zza projektora holo, a Zanzibar stanęła pomiędzy nim a Domem.

- O bogowie!... - jęknęła.

Za otwartymi drzwiami ujrzeli długie prostopadłościennne pomieszczenie. Każdy jego element wykonano z tego samego czarnego metalu. Ściany, od podłogi po sufit, zostały podzielone na skrytki o identycznych kwadratowych drzwiczkach.

Na samym środku pomieszczenia znajdowało się kilkadziesiąt kontenerów, identycznych jak te, w których GA&A sprzedawało produkowaną broń. Jeden z nich stał tuż przy drzwiach sejf. Był otwarty.

Do połowy wypełniały go imperialne banknoty z Waldgrave o nominale dziesięciu tysięcy marek.

- Zanzibar - odezwał się Dom - pomóż Levy'emu załadować forszę na sanie. Kwiat będzie was osłaniał.

- Tak jest. - Głos sierżant zabrzmiał dziwnie odlegle, gdy podchodziła do pierwszego z kontenerów.

Dominic poczuł, jak kark mu sztywnieje od rosnącego ciśnienia syntetycznej krwi. Było to miarą napięcia, jakiemu był teraz poddany. Jego biologiczne imperatywy zdołały zapanować nad doskonale skalibrowanymi mechanizmami wszczepów. Musiał skierować myśli na nieco spokojniejsze obszary. „Nie podniecaj się tak - pomyślał - bo popełnisz błąd”.

Potrzebowali prawie kwadransa na otwarcie tego sejfu.

I tylko trzech minut na opróżnienie go.

W czasie noszenia skrzyń podłoga zadrżała po raz drugi. Ten wstrząs był jednak ledwie wyczuwalny. Na tyle słaby, że żaden z członków zespołu nie skomentował tego. Mimo to Magnus nie potrafił się pozbyć irracjonalnego wrażenia, że coś jest nie tak. Nie miał na to żadnego dowodu, niemniej podejrzewał, że wie, co mogło być przyczyną odległego wstrząsu.

Miał tylko nadzieję, że przygotowania, które zlecił przed wyjazdem na akcję, zakończono zgodnie z planem.

Levy po raz kolejny zajął się prowadzeniem sań antygravitacyjnych. Złożyli na nich niemal dwumetrowej wysokości stos skrzyń zawierających gotówkę z każdego ważniejszego świata Konfederacji. Mieli w nich naprawdę wszystko: od holograficznych świadectw udziałowych z Chamsina po egzotyczne monety z Sziwy.

Magnus i Zanzibar osłaniali sanie od tyłu, Kwiat natomiast prowadził ich małą karawanę, dzierżąc karabin plazmowy w trójpalczastych dłoniach. Nadawał się idealnie na awangardę, jako że jego narząd wzroku nie potrzebował światła.

Powrót do szybu był powolniejszy niż marsz w drugą stronę. Sanie miały znacznie większe obciążenie, przez co musieli prowadzić je wolniej. Dominic czuł, że lada moment natkną się na opór ze strony komandosów. Ilekroć zbliżał się do zakrętu, spodziewał się ujrzeć Klausa.

Ku jego zaskoczeniu podziemia były równie puste jak za pierwszym razem.

Po ostrzeżeniu przyniesionym przez Voleranina wydawało się to zbyt piękne, aby było prawdziwe.

Przecucie go jednak nie myliło.

Gdy przybyli na miejsce, Tetsami stała tuż obok wylotu szybu. U jej stóp leżał przenośny nadajnik wpięty do gniazd na ścianie za plecami hakerki.

Dominic wiedział, że coś poszło nie tak, w chwili gdy zauważył jej minę. Dziewczyna gapiała się na holo, jej i tak blada twarz utraciła resztki koloru.

Magnus podbiegł do niej.

- Co się dzieje?

Tetsami spojrzała na niego. W jej oczach widział mieszaninę gniewu, strachu i bezsilności.

- To koniec - wyszeptała. - Wszyscy zginęli.

Obejrzał się przez ramię. Tamci nie usłyszeli jej słów.

- Kwiecie, Zanzibar, znieście pieniądze do vana. - Obcy skinął niezdarnie głową, Maria zasalutowała od niechcenia. Gdy księgarz ruszył za nimi, Magnus powstrzymał go, mówiąc: - Nie, Levy, ty zostań. Mogę cię jeszcze potrzebować.

Staruszek wyglądał na skonfundowanego, lecz wykonał polecenie.

Dom odczekał, aż Zanzibar i Voleranin znikną w szybie, potem znów odwrócił się do Tetsami.

- O czym ty mówisz?

Hakerka otworzyła usta, ale dopiero kilka sekund później wydobył się z nich głos.

- On wymazał ją z powierzchni ziemi.

Magnus poczuł znajomy lodowaty ucisk na dnie żołądka. „Cóż ty uczynił, Klaus?” Upewnił się, że ma Levy’ego w polu widzenia. Zauważył przy tym, że staruszek zaczyna się cofać w kierunku szybu. „Ten drań ostrzelał komunę”.

- A co z zespołem naziemnym? - zapytał, siląc się na spokój. - U nich wszystko w porządku?

- Nie wiem. Miałam z nimi kontakt, ale... - Napięcie zaczęło z niej uchodzić, w głosie pobrzmiwały coraz silniej emocje, głównie złość i gniew. - On wiedział, Dom. On wiedział, że wejdziemy na pokład okrętu. To była pułapka.

Magnus przytaknął.

Dziewczyna przyklękła obok holo, kręcąc głową.

- Najpierw odciął łącza z okrętem, potem puścił im to.

Dominic obejrzał przekaz do samego końca. Widział swojego brata po raz pierwszy od dziesięciu lat. W miarę patrzenia narastał w nim zimny gniew zamrażający każdy nerw w jego ciele. Tętniący w uszach puls spowolnił znacznie, za to zmysły zaczęły się wyostrzać, czuł i widział wszystko znacznie wyraźniej.

Gdy dotarł do momentu, w którym policeramiczna nić spada na komunę, świat wokół zamarł na amen.

- Tetsami - powiedział po chwili.

- Tak?

- Zejdź na dół do Zanzibar, Kwiatu i pieniędzy. Zmywajcie się stąd.

- Ale...

- Idź! Bierz vana, ewakuujcie się wszyscy do Godwina. Tylko nie zapomnijcie wysadzić tego szybu przed odjazdem. Powiedz Ivorowi, żeby dał nam i zespołowi naziemnemu jeszcze kwadrans. O ósmej ma stąd spadać, choćby nie wiem co się działo!

Tetsami nadal wyglądała, jakby chciała zaprotestować, lecz nic nie mówiła, tylko patrzyła na niego z bólem w oczach.

- Spotkamy się w komunie.

- Ale... - Dziewczyna zerknęła w kierunku holo, na którym przed chwilą widziała po raz kolejny chwilę zniszczenia podziemnego schronu.

- Znają już położenie naszego magazynu, a Klaus nie będzie nas szukał w Górach Diderota. Właśnie zmiądzzył naszą kryjówkę bombardowaniem z orbity. Rusz się wreszcie!

Nie musiał się powtarzać.

Levy po raz drugi pospieszył w kierunku szybu i znowu Dom go zatrzymał. Były właściciel GA&A położył dłoń na ramieniu kasiarza i powiedział:

- Nigdzie nie idziesz, będziesz mi jeszcze potrzebny.

- Do czego?

- Chodź. - Pociągnął staruszka za sobą w głąb poziomego magazynowego, w kierunku wind, którymi mogli się dostać do kompleksu biurowego.

- Co ty wyprawiasz? - dopytywał się podenerwowany Levy.

Magnus przystanął obok stosu skrzyń, które powywracały się podczas chaosu spowodowanego najazdem Konfederatów. Przeskanował tabliczkę znamionową jednej z nich wszczepionym komputerem. Tego właśnie szukał. Wyciągnął skrzynię ze stosu ułomków i oderwał jej wieko lewą ręką, sztuczną.

- Co to? - zainteresował się księgarz.

- Snajperski laser wysokiej częstotliwości. - Magnus wyjął jeden z dwunastu karabinów upakowanych w skrzyni. Broń miała długość jego ramienia. - Daj mi swoją pukawkę.

Levy oddał mu karabin szynowy, po czym ruszyli dalej, w kierunku wind.

- Co ty wyprawiasz? - powtórzył księgarz, tym razem bardziej błagalnym tonem.

Dotarli do szybu. Magnus wepchnął swojego kompana do jednej z kabin, potem wprowadził na panelu kody drugiego piętra oraz wieży kontroli ruchu lotniczego znajdującej się na dachu biurowca.

- Chcesz go zabić? - Levy zaczął się pocić.

- A co innego mógłbym zrobić w tej sytuacji? - Dominic spojrział w dół na o wiele niższego staruszka. - Obaj chcemy tego samego. Z tym że to chyba robota dla ciebie. -

Księgarz pobladł. - Ktoś sprzedał Klausowi nasze plany. Ktoś był wtyczką ZRW. Ale niezbyt dobrą. Gdyby przekazał mojemu bratu wszystko o operacji, już obaj bylibyśmy martwi. Nie uważasz, że takie postępowanie informatora wygląda na bezsensowne? No, chyba że miał w tym jakiś interes. - Winda zatrzęsa się, gdy minęli poziomy magazynowe i znaleźli się w piwnicach wieżowca.

Levy zaczął kręcić głową.

- Musisz go teraz zabić. To twoja jedyna szansa. On myśli, że jesteś na tym okręcie...

- Pierwszy błąd popełniłeś podczas rozmowy na zapleczu księgarni. Wtedy tego nie zauważyłem, ale niestety dla ciebie, mam cholernie dobrą pamięć. Wspomniałeś o zaangażowaniu ZRW, zanim ktokolwiek inny dowiedział się o tym. Umknął mi ten szczegół, bo skupiałem się wtedy na sprawdzaniu ludzi pod kątem współpracy z Radą. Zupełnie wypadło mi z głowy, że ta współpraca może mieć różne formy. - Raz jeszcze Dom spojrzał w dół na kasiarza. - Chodzi o Paschala?

Levy zamarł.

- Klaus skontaktował się z tobą, a ty dostrzegłeś okazję zbliżenia się do...

- Przestań.

- Zorganizowałeś to wszystko, by go zmylić. Żebym mógł strzelić mu w plecy. Żebym tego chciał.

Levy podskoczył i chwycił Doma za kołnierz.

- Musisz go powstrzymać. Za to, co zrobił na mojej planecie. Masz teraz szansę...

- To ciebie powinienem zabić.

Winda się rozsunęła. Księgarz odskoczył od Doma.

Magnus przytrzymał drzwi, by sprawdzić, czy korytarz jest pusty.

- Nikogo dzisiaj nie zabiję.

- Ale...

- Nie mów mi, o czym teraz myślisz, Johann, ale jeśli chcesz dopaść Klause, ta winda zawiezie cię na szczyt biurowca. - Dominic wrzucił do kabiny karabin laserowy. - Ta broń ma naprawdę dobry zasięg.

Levy spojrzał na snajperkę.

Drzwi zasunęły mu się przed nosem.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY**

### **GRA O SUMIE ZEROWEJ**

„Nie drażnij ludzi,



którzy nie mają nic do stracenia”.

*Księga mądrości cynika*

„Każdy uważa,  
że wszyscy prócz niego są śmiertelni”.

Edward Young (1683-1765)

Godzina 7.45.00 czasu godwińskiego

- Ten pomysł jest totalnie popieprzony! - wybuchnęła Shane, kierując złość na Mosasę.

Przekroczyła już dopuszczalny czas pracy systemów pancerza, każdy jej oddech zaparowywał wizjer hełmu. Według wskaźników poziom tlenu w zamkniętym obiegu zbliżał się już do zera. Ciśnienie także spadało.

Tjaele tymczasem zachowywał się jakby nigdy nic, mimo że normalny człowiek padłby nieprzytomny już po dwóch minutach przebywania w tak szkodliwym środowisku.

- To nasza jedyna szansa.

- Zalejesz ten przedział chłodziwem.

- Ustaw sobie pole osobiste na blokadę promieniowania.

- A co z Losowym? I z tobą?

- Shane - z głośnika na ścianie dobiegł głos sztucznej inteligencji - za siedem minut komandosi i tak przebiją się przez te drzwi.

- Cholera! - Kathy nie podobały się nawet jej własne myśli.

Wszystko wokół rozpadało się w drobny mak.

- Naprawdę nie możesz podłączyć się do sterowni?

- Oni się spodziewali, że mogą tego próbować - wyjaśnił spokojnie Losowy. Nie jestem w stanie wyjść poza funkcje przypisane do rdzenia pomocniczego.

Shane spojrzała na panele sufitu. Za nimi znajdował się środek okrętu i antygrav.

- Uda ci się ta sztuczka? - zapytała Mosasę.

- Jeśli włamię się do panelu kontroli, będę mógł zrobić z nim, co tylko zechcę.

- A co z promieniowaniem? - Shane nie potrafiła pozbyć się myśli o cholernie wielkiej niestabilności kwantowego antygrawu. Zbliżanie się do niego, nawet w stanie spoczynku, było bardzo niebezpieczne.

- Nie jestem człowiekiem, Shane.

- Ale czy to znaczy, że możesz sobie siedzieć obok tego świństwa, gdy zacznie działać?

- Kobieto, czas nam się kończy - ponaglił ją Losowy. - Ruchy na sprzęcie!

Mosasa podciągnął się na jedną z półek i odsunął opancerzony panel. Natychmiast zapaliły się kontrolki, zalewając całe pomieszczenie rażącym żółtym blaskiem. Android spojrzał na Shane i po ludzku wzruszył ramionami.

- Zaraz się dowiemy, czy jestem w stanie to wytrzymać - rzucił, znikając w otworze.

- To mi się nie podoba - mruknęła Shane.

- Mosasa da radę.

Kathy przestroiła pole Emersona, by blokowało szkodliwe promieniowanie. Ta zmiana kosztowała ją trzy minuty czasu pracy systemów pancerza. Wymierzyła karabin plazmowy w drzwi i czekała na rozwój wydarzeń.

- Przepraszam, Shane.

- Za co? Przecież to nie twoja wina.

Losowy nie odpowiedział od razu.

- Nie mogę tego w pełni wyjaśnić. Moja jaźń jest wprawdzie wzorowana na ludzkiej, ale myślę zupełnie inaczej niż wy. Większość istot inteligentnych nie dysponuje narzędziami, które pozwalają im sprawdzić konsekwencje swoich czynów.

- Wiedziałeś, że to się tak skończy? - zapytała.

- Mogłem się domyślić.

- Sama się w to wszystko wpakowałam. Nie wiń siebie za cudze pomyłki.

- Chodzi mi o kwestie moralne.

- Słucham?

- Czy wcześniejsza wiedza na temat czyjejś decyzji i wynikających z niej konsekwencji nie czyni cię odpowiedzialnym za nią?

Shane nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Czas ciągnął się niemiłosiernie wolno, gdy czekała na rozwój wydarzeń. Spoglądała co rusz na timer umieszczony w rogu wizjera hełmu, lecz cyferki zmieniały się na nim bardzo ociężale.

- Dlaczego nie jesteś przerażona? - zapytał nagle Losowy.

- Słucham?

- Dwie sztuczne inteligencje pracujące bez niczyjego nadzoru. Nawet dla większości Bakunian byłoby to coś niepokojącego. Ty pochodzisz z Konfedu, powinnaś wrzeszczeć z przerażenia na tę myśl.

Timer pokazał siódmą czterdzieści osiem.

- Może się wystraszę, jeśli będę miała czas na zastanowienie.

Po twarzy, mimo włączonego systemu chłodzenia, spływały jej kropelki potu. Drażniły ją, ale chociaż bardzo chciała, nie mogła teraz otrzeć czoła. Mrugała więc nerwowo, przeklinając w myślach, że nie nałożyła bandany.

- Jest mi niezwykle miło, że martwisz się o Mosasę - rzucił Losowy.

Shane skinęła głową wewnątrz hełmu, nie spuszczać wzroku z drzwi. Wydawało jej się, że dostrzegła jakąś zmianę, i natychmiast włączyła inne tryby wizji. Losowy tymczasem mówił dalej:

- On jest dla mnie czymś w rodzaju syna.

„O Boże, proszę cię - pomyślała w tym momencie Shane - nie mów mi tylko, że właśnie go straciłeś”.

- Posłuchaj uważnie, Losowy. Wybrałam drużynę, dla której chcę grać, rozumiesz? Czyli ciebie, Mosasę i pozostałych. Masz jakiś podgląd na korytarz za tymi drzwiami?

- Nie, odcięli mnie od wszystkich sensorów. Mogę odbierać tylko te sygnały, które są do mnie skierowane.

Shane spoglądała prosto na właz. Gdy jej wizor przełączył się na podczerwień, zobaczyła jakąś poświatę wokół jego krawędzi. Rozgrzewały się coraz mocniej wzdłuż obu boków.

- Losowy, widzę, że zaczęli już przepalać właz.

- Pospieszili się - odparła rzeczowym tonem sztuczna inteligencja. - Część szkieletowej załogi musiała się znajdować blisko, kiedy wchodziliśmy na pokład.

- Otwarcie włazu zajmie im od dwóch do pięciu minut. Ile czasu potrzebuje Mosasa?

- Siedem do dziesięciu.

- Miło było cię poznać, Losowy.

- Możesz ich przecież powstrzymać. Na pokładzie jest tylko pięciu komandosów.

- I tylko jedna ja.

Timer wskazał siódmą czterdzieści dziewięć.

Część drzwi świeciła także w widzialnym spektrum. Komandosi musieli używać spawarek.

Ustawiła swojego macmillana-schmitta na maksymalne wyładowanie. Producent nie zalecał tego rodzaju ognia w pomieszczeniach zamkniętych, zwłaszcza w wypadku szerokopasmowych wersji karabinów plazmowych. Nie sądziła jednak, żeby miała szansę oddać drugi strzał.

- Co robisz? - zainteresował się Losowy.

- Ustawiam broń na pełną moc.

- Czy to nie niebezpieczne?

Shane się roześmiała. Raczej samobójcze. Istniało spore prawdopodobieństwo, że strumień plazmy odbije się od włazu po drugiej stronie i wypełni także to pomieszczenie. To przypiekłoby ją równie mocno jak ludzi w korytarzu.

- Strumień może się odbić.

- Do następnego włazu jest tylko dziesięć metrów.

- O ile nie przebili się także przez niego. - Na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Kathy przerwała ją, mówiąc: - Aczkolwiek wcale nie musieli tego robić. Nie wiesz, jak wygląda sytuacja?

- Nie, ale gdybym to ja miał zastawić pułapkę, ukryłbym ich w tych szafkach narzędziowych na końcu korytarza.

Shane potaknęła.

- Zatem muszę spróbować szczęścia. - Po chwili dodała jeszcze: - Lepiej zamknij się w tej swojej walizeczce.

Gdy do jej uszu dobiegł świst zwijanych kabli i trzask zamków walizki, dotarło do niej, że niewykluczone, iż zna osobiście któregoś z komandosów znajdujących się teraz po drugiej stronie włazu. „Może darują mi życie, jeśli się poddam?” Z jakiegoś powodu poczuła wstyd na tę myśl.

„Wybrałam drużynę, w której chcę grać”.

- Sama sobie pościeliłam - wyszeptwała. - Zaraz zobaczymy, czy wystarczająco wygodnie.

Spod włazu wydobywał się dym. Pozostałe krawędzie płonęły czerwienią, od czasu do czasu widziała nawet płomień palnika. Metalowa płyta zaczynała się poddawać.

Godzina 7.50.00 czasu godwińskiego

- Reszta zdołała uciec?

- Tak. - Tym razem głos sztucznej inteligencji dobiegł z głośnika walizki. - Wszyscy komandoski skupili się na okręcie.

- Świetnie.

- Nie załujesz niczego?

- Tylko jednego.

- Tak?

- Że nie trafiłam do tamtego zespołu.

O godzinie siódmej pięćdziesiąt i trzydzieści sekund właz prowadzący do pomieszczenia z rdzeniem pomocniczego komputera ustąpił, a była kapitan Kathy Shane nacisnęła spust.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

### SKRAJNA NIENAWIŚĆ

„Nie ma waleczniejszego człowieka  
niż tchórz zapędzony w ślepy zaułek”.

*Księga mądrości cynika*

„Groźną chorobę można zwalczyć  
tylko jeszcze groźniejszym lekarstwem”.

Guy Fawkes(1570-1606)

Godzina 7.48.00 czasu godwińskiego

Winda jechała w górę.

Johann Levy spoglądał na leżący przed nim karabin, rozmyślając o rodzinnej planecie.

Dwanaście lat temu był pnącym się po kolejnych szczeblach kariery prawnikiem. Gdyby nie rewolucja, kto wie, czy nie dostałby się nawet do świeckiego ramienia rządu Paschala. Gdyby wtedy nie spanikował. I został.

Wszystko spotkało go z winy Klausa. Dacham był podówczas kapitanem, ale to on rozkazał oddziałom ZRW zdławić protesty. Pięciuset zabitych, dziesięciokrotnie więcej rannych, sto razy tyle uwięzionych. Nawet starszyzna Paschala, która poprosiła Radę o interwencję, była zaszokowana ogromem represji.

Levy był jednym z liberalniejszych głosów w establishmencie. Uciekł, gdy zauważył, że większość jego przyjaciół z uniwersytetu znika w kazamatach ZRW. Opuścił Paschala i terytorium Konfederacji. Zostawił wszystko, by przybyć na nihilistyczną planetkę zwaną Bakuninem.

Nigdy nie wybaczył sobie tego posunięcia.

Co gorsza, uciekając, porzucił też siebie samego. Nie starał się nawet o wizę wyjazdową. Ukradł dokumenty przyjacielowi i opuścił planetę pod fałszywym nazwiskiem. Prawdziwy Johann Levy spoczął zapewne w jednym z nieoznakowanych grobów, w których

grzebano uczestników rebelii.

Z czasem - szczerze mówiąc, nie wiadomo dlaczego - dręczony wyrzutami sumienia spokojny prawnik przejął nie tylko tożsamość, ale i osobowość żydowskiego buntownika. Dzięki tej metamorfozie już od dwunastu lat cieszył się reputacją doskonałego rewolucjonisty, choć tak naprawdę był człowiekiem, który nie potrafił kiwnąć palcem, gdy wokół padały strzały. Był symbolem rebelii, który zamiast potępić agresję na szerokim forum, do czego miał znakomitą okazję, spakował manatki i zwiął, zanim ktokolwiek zwrócił na niego uwagę.

Na Bakuninie stworzył szeroką sieć kontaktów, posiadał też arkana wiedzy o systemach zabezpieczeń, budowie bomb i metodach inwigilacji - a wszystko to bez narażania się na fizyczne zagrożenie.

Już dawno temu zrozumiał, że jest pospolitym tchórzem.

Gdyby nie był wielkim cykorem, nie znalazłby się teraz w tak kłopotliwej sytuacji.

Na co liczył, przyjmując propozycję pułkownika i zgadzając się na wykonanie ekspertyzy dotyczącej bakunińskiego podziemia? Naprawdę wierzył w to, że zdoła wykorzystać „Webstera” do zniszczenia Dachama? A może był po prostu zbyt przerażony, by odmówić?

Podpisał pakt z diabłem, więc miał teraz na rękach tyle samo krwi co Dacham.

Pragnął gorąco, by pułkownik zapłacił za zbrodnie popełnione na jego rodzimej planecie, był jednak zbyt strachliwy i nie potrafił wykonać osobiście tego wyroku. Budował więc wiarygodność Webstera, aby doprowadzić po pewnym czasie do osobistego kontaktu. Wiedział, że uda mu się ściągnąć Klausa w miejsce, gdzie będzie można go wyeliminować. Miał przecież jego brata jako przynętę...

Dlaczego więc tego nie zrobił?

Gdy poczuł, że kabina zaczyna zwalniać, przyklęknął, aby sięgnąć po broń.

Nie chciał brudzić sobie rąk. O to tylko chodziło. Bał się. Od tak dawna specjalizował się w zwodzeniu ludzi, że uznał, iż najprostszym sposobem, by pozbyć się problemu, będzie napuszczenie na siebie obu braci. Wymyślił przestępstwo doskonałe, niestety Jonah Dacham nie zechciał odegrać przeznaczonej dla niego roli.

„Czy to nie dziwne? - pomyślał Levy. - Odpowiadam za śmierć tak wielu ludzi, choć nigdy nie nacisnąłem spustu”.

Wyprostował się i sprawdził broń. Była załadowana do pełna.

„To już koniec - uznał. - Koniec ukrywania się, kłamstw, uciekania”. Po załatwieniu sprawy z pułkownikiem, po ostatnim akcie zdrady nie pozostanie mu już nic. Bakunin to

ostatnie miejsce, gdzie mógł uciec człowiek. Dalej była już tylko bezkresna otchłań.

Levy zdawał sobie sprawę, że nie wyjdzie stąd żywy.

Przypomniawszy sobie o masakrowanych studentach z Paschala. I o tysiącu czterystu ludziach, których zabito tutaj podczas bombardowania z orbity dosłownie kilka minut temu. Pomyślał o trójce kompanów uwięzionych na pokładzie Krwawego Przypływu, których także zdradził, oraz o Klausie Dachamie.

Dwanaście lat strachu i gniewu dusiło go, jakby ktoś zacisnął mu pętlę na szyi.

A potem drzwi windy się rozsunęły i nie miał już czasu na strach.

Kabina zatrzymała się na szczycie biurowca, w wieży kontroli ruchu. Było to gigantyczne pomieszczenie kryjące się we wnętrzu wysokiej na dziesięć metrów przezroczystej kopuły. Wokół roilo się od stanowisk komputerowych i wyświetlaczy pokazujących ruch statków powietrznych w okolicy kompleksu. Za ścianą widać było panoramę całego GA&A i zalesione wzgórza ciągnące się aż do przedmieść Godwina.

Aparaturę obsługiwało pięciu ludzi.

Levy zaskoczył sam siebie, otwierając do nich ogień pierwszy.

Strażnik, którego postrzelił, stał tuż przy szybie wind. Jego przeciwnik dysponował polem osobistym, ale słabym, cywilnym, nic więc dziwnego, że poddało się od razu pod promieniem karabinu tej mocy. Mężczyzna odwracał się właśnie, by sprawdzić, kto przyjechał, gdy przeciążony generator pola eksplodował i promień lasera przeciął mu brzuch.

Zanim pierwsza ofiara padła na podłogę, Levy poczuł gorąco rozlewające się po jego lewym ramieniu, więc natychmiast uskoczył, kryjąc się za najbliższą konsolą.

Szyby wind znajdowały się w filarze umieszczonym na samym środku pomieszczenia. Po jego drugiej stronie stał inny strażnik. Właśnie wyłaniał się zza rogu, mierząc do Levy'ego z pistoletu laserowego.

Stary kasiarz wrzasnął ze strachu i omiótł promieniem ze swojej broni pół pomieszczenia. Terminale eksplodowały snopami iskier, stojące obok nich fotele zajmowały się ogniem. Pole drugiego strażnika okazało się równie słabe jak jego kolegi. Zdążył oddać jeszcze jeden strzał w kierunku Levy'ego, zanim pole zniknęło, a twarz człowieka zamieniła się w krater dymiącej spaleniźny.

Księgarz przeczołgał się za następną konsolę, czując, że nie ma kontroli nad lewą nogą.

Z głębi pomieszczenia dobiegały jęki. Nie wstawał, czołgał się pod osłoną konsoli, szukając czterech techników, których dostrzegł zaraz po otwarciu drzwi windy. Gdy dotarł na koniec szeregu urządzeń, zobaczył za nim dwóch ludzi.

Jeden leżał twarzą do ziemi z wielką dziurą wypaloną w plecach. Drugi miał to nieszczęście, że pochylał się nad konsolą, w którą trafił wystrzelony na ślepo promień. To on jęczał, trzymając się zakrwawionymi dłońmi za twarz.

Drzwi windy otworzyły się ponownie, zmuszając Levy'ego do obrotu i skierowania lufy na kabinę. Dostrzegł w niej trzeciego technika. Ale nie zdążył strzelić.

Siedział przez chwilę, czując paraliżujący ból rozpełzający się po całym ciele, gdy nagle coś walnęło go w plecy. Znowu przerzucił karabin i natychmiast otworzył ogień. Tym razem zareagował na tyle szybko, że zdołał dostrzec kobietę ciskającą w niego kolejnym krzesłem, zanim promień przeciął ją wpół. Nie udało mu się uniknąć rzuconego mebla. Dostał nim w prawy bark, gdy ciało zabitej zwałało się na podłogę. Usłyszał głośne chrupnięcie, lecz nie był w stanie powiedzieć, czy to pękła kość czy któryś z elementów krzesła.

Przez kilka następnych sekund słyszał tylko jęki dobiegające zza konsoli.

Dopiero teraz miał czas, by spojrzeć na swoje nogi. Natychmiast też zrozumiał, dlaczego nie mógł poruszać jedną. Była odcięta tuż pod kolanem.

Co ciekawe, wcale się tym nie przejął.

Szczerze mówiąc, roześmiał się tylko pod nosem i rzucił żartobliwym tonem w kierunku leżących tuż obok połówek ciała kobiety:

- Nie poszło mi tak źle, jak się spodziewałem.

Dotarł do celu. Ale już za kilka minut znowu będzie miał ich na karku. Strzelił w panel kontrolny drzwi windy, aby nie ułatwiać przeciwnikowi roboty.

Teraz pozostało mu już tylko jedno do zrobienia.

Johann Levy zaczął się czołgać w kierunku skraju kopuły, ostrożnie i powoli, cały czas modląc się w myślach, by pułkownik raczył wyjść na otwartą przestrzeń.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY**

### **ZAŁAMANIE RYNKU**

„Przedstawienie się nie skończy,  
dopóki ktoś nie zastrzeli tej grubej baby”.

*Księga mądrości cynika*

„Najpopularniejszą metodą uspokojenia tygrysa  
jest pozwolić mu,  
by kogoś upolował i nażał się”.

Li Zhou(2238-2348)



Godzina 7.48.00 czasu godwińskiego

Jak Dominic zdążył zauważyć, biurowiec był opustoszały. A z tego, co wiedział, GA&A wznowiło już działalność. Na kolejnych piętrach nie zastał jednak nikogo, nawet strażników...

Aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że ci ostatni mieli w tym momencie znacznie poważniejszy problem niż pilnowanie biur.

Ilekcroć Magnus przechodził obok okna - ze względów bezpieczeństwa miały przeszklone ściany tylko od strony centralnego placu - widział podświetlone od tyłu cielsko pancernego behemota i otaczające go oddziały komandosów.

Po chwili dotarł do biura, które spełniało jego wymagania. Nie musiał kluczyć dzięki planom kompleksu zeskanowanym do wszczepionego komputera.

To pomieszczenie, jak i całe piętro, służyło kiedyś Cy Helmsmanowi, długoletniemu i już nieżyjącemu zastępcy Doma. Jego gabinet wyposażono w ekrany pola ochronnego i uprzywilejowany dostęp do całej sieci GA&A.

Budynek biurowca miał kształt odwróconej litery U, której podstawy otaczały sporą część lądowiska. Dawny gabinet Helmsmana mieścił się w górnym łączniku; wiceprezes wybrał to miejsce celowo, by mieć oko na wszystkie wydziały kompleksu. Widział je za sięgającymi od sufitu po podłogę oknami.

W tej chwili panoramę GA&A zasłaniały dysze dwóch głównych silników Krwawego Przyływu. „Patrząc w te okna, człowiek ma wrażenie, że spogląda w czeluść bliźniaczych kraterów wulkanu”.

Magnus wyjrzał na zewnątrz, rozmyślając o płataninie korytarzy i jaskiń ciągnących się pomiędzy Godwinem i Proudhonem. Uśmiechnął się przy tym przelotnie.

- A skoro można tam przeżyć, Klaus...

Usiadł za biurkiem i aktywował terminal Helmsmana. To biuro miało połączenie ze wszystkimi bazami danych, które przetrwały atak. Wystarczyło więc trzydzieści sekund, by Dom zrozumiał, że najeźdźcy nie zdążyli jeszcze się zająć oryginalnym wyposażeniem.

- Dlaczego, Klaus - wyszeptał do siebie - jesteś takim paranoikiem?

Chociaż niemal dwadzieścia procent sieci komputerowej było na powierzchni planety, ludzie Dachama stawali na głowie, by nie użyć któregoś ze starych terminali. Mogli korzystać wyłącznie ze sprzętu dostarczonego z orbity i osobiście zakodowanego. Zdaniem Magnusa było to klasyczne trwonienie kapitału i czasu.

Z drugiej jednak strony mógł być pewien, że system, z którym się teraz łączy, ma

niemal niezmienioną konfigurację. Jego osobiste hasła wciąż działały, a serwery, mimo odłączenia od najbardziej czułych sekcji - takich, jak systemy obrony i to, co pozostało z instalacji obronnych perymetru - wciąż miały pełen dostęp do sieci komunikacyjnej. Dominic przypuszczał, że komandosi dysponowali własnymi łączami, więc nie przejmowali się możliwością włamania do resztek sieci GA&A.

Wprowadził kilka komend i przerwał pracę...

Nie musiał tego robić. Nadal mógł się po prostu ulotnić.

Sprawdził czas na wszczepionym komputerze. Ivor będzie czekał jeszcze jedenaście minut.

„Nie - uznał po chwili - nie mogę tego tak zostawić. Nie będę wiecznie uciekał... Chyba że...”

Włączył rzutnik holo, otwierając tylko obwód audio, i jego głos popłynął do wszystkich megafonów na terenie kompleksu.

- Klaus.

Odczekał chwilę. Wydawało mu się, że na placu zapanowało zamieszanie.

Podszedł do okna. Nie było to zbyt rozsądne posunięcie, ale przy tym kącie padania światła wewnątrz biura powinno być mocno zacienione. Wiedział też, że specjalnie barwione szyby nie pozwolą żołnierzom dysponującym wzmacniaczami wizji zajrzeć do żadnego z pomieszczeń dla VIP-ów.

- Klaus - powtórzył, nie podnosząc głosu. Nadawany przez niego sygnał docierał do wszystkich odbiorników, do każdego interkomu i zamkniętego obwodu holo.

Poczuł się dziwnie, słysząc, jak jego głos odbija się echem po drugiej stronie szyby budynku.

Gdy stanął przy oknie, Krwawy Przyływ zakrył mu niemal cały widok.

Gigantyczne dysze silników transportowca mierzyły prosto w wolną przestrzeń pomiędzy ramionami litery U. Zza garbów osłon reaktorów Dominic z trudem dostrzegał zarysy szczytu apartamentowca, a krótkie skrzydła przesłaniały prawie w całości wolną przestrzeń lądowiska.

Krwawy Przyływ był o połowę większy od jednostek, które mogły tutaj lądować. Zakrawało na cud, że zdołano go posadzić w jednym kawałku. Okręt miał sto metrów długości, a plac od ściany biurowca do przeciwległego skraju tylko sto dziesięć.

Dominic poczuł uznanie dla pilota, który tego dokonał. Krańce dysz znajdowały się zaledwie trzy metry od okien tego gabinetu. Gdy Magnus podszedł do szyby i spojrzał w dół, zobaczył maleńkie sylwetki komandosów.

Musiało ich tam być ze stu, wszyscy w pełnych pancerzach, miejskim kamuflażu, wyposażonych tak, jakby zamierzali zrównać z ziemią cały Wschodni Godwin. Wycofywali się, połowa podążała w kierunku biurowca.

- Odezwij się, Klaus, jeśli chcesz mnie dostać - powiedział Dom.

Komandosi zaczęli tworzyć pierścień wokół budynku.

- Jonah.

Magnus się odwrócił i ujrzał twarz brata na holo. Za jego plecami widać było niemal wyłącznie niebo. Ten widok wydał mu się znajomy. Gdy wypowiadał następne słowa, próbował zlokalizować miejsce pobytu Klausa.

- Wycofaj tych komandosów. Chcę zawrzeć z tobą układ.

- Chcesz podyktować warunki poddania? - Klaus pokręcił głową. - Obawiam się, że nie masz za dobrej pozycji przetargowej. Przyszpililiśmy cię w kompleksie biurowym. Wszystkie wyjścia zostały zablokowane. Zdejmujemy cię, kiedy przyjdzie nam na to ochota. Nie będzie żadnych układów.

- Wcześniej zamknąłeś mnie na Krwawym Przyptywie.

Dacham nie dał się zwieść tej sugestii.

- Jak widać, nie było cię na pokładzie. Poddaj się, Jonah, a gwarantuję ci, że dożyjesz do procesu.

Dominic pokiwał głową.

- Dobrze, ale pod pewnymi warunkami.

Klaus się roześmiał. Jego brat nie spuszczał wzroku z hologramu. „Gdzie on jest?”

- Twoja arogancja jest rozbrajająca, przyznaję. Za niecałą minutę zostaniesz aresztowany bez względu na to, jakie będziesz stawiał warunki. Zawsze miałeś się za sprytniejszego, niż jesteś.

- A ty zawsze byłeś niebezpiecznie popędliwy. Naprawdę uważasz, że gadałbym sobie z tobą teraz, gdybym nie miał jakiegoś asa w rękawie?

- A co mógłbyś zrobić w tej sytuacji?

- Na przykład odpalić kilka ton ładunków wybuchowych, które rozmieściłem kiedyś po całym kompleksie GA&A.

Odpowiedź nadeszła po dłuższej przerwie.

- Błefujesz.

- Możliwe. Ale nie masz całkowitej pewności, że nie nastawiłem timerów na odliczanie tuż przed rozpoczęciem tej rozmowy. Niewykluczone też, że jeśli nie wypowiem w ciągu trzech minut słowa klucza, cały ten kompleks wyleci w powietrze.

- Nie wierzę w ani jedno słowo.
- Helmsman mógłby się z tobą nie zgodzić.

„Tak, Klaus, wiesz, że to blef. Ale wiesz też, skąd do ciebie przemawiam. Dlatego nie masz pewności. Nie możesz sobie na nią pozwolić. Właśnie uczyniłeś ruch, którym usunąłeś wszystko, co miało dla mnie jakąś wartość”.

Klaus odsunął się od obiektywu kamery i powiedział coś poza ekranem. Ta chwila nieobecności wystarczyła, by Dom się dowiedział, gdzie przebywa jego brat. Zamiast jego twarzy widział panoramę miasta, na którą spoglądał niemal codziennie od siedmiu lat. Pan pułkownik usadowił się na szczycie apartamentowca. Stał właśnie przed dawnym gabinetem Doma.

Magnus wyjrzał przez okno, próbując dostrzec coś nad garbami reaktorów Krwawego Przypływu. Jego zdaniem na dachu budynku mieszkalnego obok matowej czarnej kopuły roило się od ludzi.

- Niech ci będzie - usłyszał głos Klause. - Masz trzy minuty. Co to za warunki?
- Po pierwsze, gdy dostaniesz mnie w swoje ręce, dasz spokój reszcie pracowników GA&A. Oraz wszystkim, którzy uczestniczyli w tej operacji.

Klaus się uśmiechnął.

- Zgoda. Mając ciebie pod kluczem, nie muszę się uganiać za twoimi sługusami.

„Ty diable wcielony. Myślisz, że już wygrałeś?”

- Po drugie, moi ludzie przebywający na pokładzie Krwawego Przypływu otrzymają możliwość bezpiecznego opuszczenia kompleksu.

Klaus uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nie ma sprawy.

Dominic poczuł lodowaty ucisk w żołądku. „Oni już nie żyją. Ten drań ich zabił”.

Chciał dać Shane, Mosasie i Losowemu szansę, ale wszystko wskazywało na to, że pomoc przysłała za późno. Cóż, musi stawić czoło i tej porażce, kończyły mu się asy w rękawie. Zaczynał żałować, że naprawdę nie naszpikował tego kompleksu ładunkami wybuchowymi. Mógłby je teraz odpalić, zabierając Klause ze sobą.

Ponownie wyjrzał przez okno.

- Zostały ci jeszcze dwie minuty.

Magnus zauważył, że komandosi w dole odwracają się w stronę okrętu. Krwawy Przypływ zadrżał, jakby wstrząsnął nim silny dreszcz.

- Chcę, by mój proces był jawny.
- Bez obaw, i tak miałem zamiar przedstawić opinii publicznej pełną listę twoich

zbrodni. Wysyłam po ciebie moich ludzi. Mam nadzieję, że poddasz im się bez stawiania opo... - Coś za ekranem zwróciło uwagę Klausa. Zaraz też ktoś wyłączył fonię, a komandosi na lądowisku pognali w stronę transportowca.

„Co jest?” - pomyślał Dom

- Jonah! - zagrział brat za jego plecami. Gdy Magnus się odwrócił, dostrzegł, że Klaus purpurowieje z wściekłości. - W czasie gdy ty mnie zagadywałeś, twoi ludzie, twoi bakunińscy zdrajcy, spowodowali szereg eksplozji na pokładzie Krwawego Przyływu. Koniec z układami.

- Co ty bredzisz, Klaus?

- Zapłacisz mi zaraz za wszystko!

W tym momencie świat eksplodował.

Dominic ogarnął sytuację tylko dlatego, że jego mózg miał komputerowe wspomaganie i potrafił przetworzyć gigantyczną ilość danych w bardzo krótkim czasie. Z jego punktu widzenia był to efekt drastycznego spowolnienia normalnych procesów myślowych.

Klaus kończył właśnie zdanie, na ustach wciąż miał słowo „wszystko”, gdy z jego ramienia uniósł się obłoczek dymu. Magnus widział, jak jego brat pada w kierunku kamery holo, przewracając ją wyciągniętą ręką. W przekrzywionym mocno obrazie szczytu apartamentowca ujrzał też ślady niewidzialnego promienia ze snajperskiego lasera, który z równą łatwością ciął powietrze, betonowe pokrycie dachu i stojących na nim żołnierzy. Kąt padania strzałów sugerował jednoznacznie, że ogień prowadzono ze szczytu biurowca, najprawdopodobniej z wieży kontroli lotów.

To musiał być Levy.

Ułamek sekundy później drzwi biura wyleciały w powietrze. Pięciu uzbrojonych po zęby komandosów wbiegło do środka, zanim odłamki zdążyły spaść na podłogę.

Część rozerwanego skrzydła drzwi wylądowała na biurku, rozbijając holo, z którego projekcję oglądał Dom. Cztery szerokolufowe karabiny plazmowe skierowały się na niego w tej samej chwili. Właśnie zaczynał podnosić ręce, gdy dowódca drużyny wrzasnął przez głośnik na ramieniu:

- Nie ruszaj się.

Piąty komandos nie celował w Doma. Wpadł do pokoju ostatni i nawet na niego nie spojrzał. Przebiegł z opuszczoną bronią pomiędzy stojącymi w pierwszej linii kolegami, gapiąc się przez wizjer hełmu za plecy schwytanego, w stronę okna.

Dominic zamarł z na wpół uniesionymi rękoma, spoglądając na komandosów po

drugiej stronie biurka. Przez chwilę wszyscy milczeli. Rozbłąski na placu rzucały dziwaczne cienie na ściany za plecami żołnierzy.

Tańczące cienie.

Komandos spoglądający za plecy Doma wyszeptał pod nosem: „Mój Boże”. Gdyby nie wzmacniacze audio, Magnus nie miałby szans usłyszeć tych słów.

Nagle błyski zniknęły. Mimo ostrzeżeń Dominic się odwrócił.

Za oknem biura Helmsmana dominowały w tym momencie dwie dysze osiemnastometrowych silników głównych Krwawego Przyływu. Na oczach Magnusa przesuwaly się wolno w górę. Przyglądając się ich wolnemu pochodowi, mógłby przysiąc, że końcówki dysz są teraz znacznie bliżej okien, niemal ich dotykają.

Nie mylił się. Chwilę później metal zetknął się ze szkłem.

Biurowcem zatrzęsło, jakby zaraz miał się rozpaść. Szkło zasypało wnętrze gabinetu. Podłoga przechyliła się mocno w kierunku okna, komandosi się przewracali, Doma przerzuciło za biurko.

Dwaj żołnierze przelecieli obok niego, hamując na resztkach szyb. Magnus chwycił się mocno krawędzi blatu. Budynek znów zatrzęsł się w posadach. Gdy Dom odwrócił głowę, spoglądał prosto w paszczę trzeciego z głównych silników.

- Cholera.

Podłoga wciąż się chwiała, a silnik znów zdawał się zbliżać do bryły biurowca.

Biurko zaczęło się ześlizgiwać. Kolejny komandos wypadł za okno, wleciał w szczelinę pomiędzy ścianą a krańcem dyszy. Rozległ się niemiły odgłos miażdżenia, potem krzyk i żołnierz zniknął z pola widzenia.

Krwawy Przyływ nie przestawał się wznosić.

Budynek rozpadał się na oczach Doma, a dysza za jego plecami nadal sunęła w górę. Komandosi zniknęli mu z oczu. Gdy kolos uniósł się jeszcze trochę, podłoga gabinetu zaczęła wracać do poziomu. Lada moment, gdy dolna część silnika minie to piętro, sytuacja ulegnie odwróceniu.

Dysze okrętu były ogromne. Można by pomieścić w nich wiele takich gabinetów jak ten, w którym znajdował się teraz Dom. Z tak bliska przypominały mroczne jaskinie. Jeśli maniak, który pilotuje teraz Krwawy Przyływ, odpali główny napęd, biurowiec wyparuje, przestanie istnieć.

Magnus poczuł mocne drżenie przenoszone przez konstrukcję biurka, chwilę później część sufitu nad jego głową oderwała się od reszty konstrukcji. Musiał skoczyć, zanim posypią mu się na głowę większe odłamki betonu. Wylądował na wciąż pochyłej podłodze,

między meblem a dyszą. Zaraz jednak padł na bok i przetoczył się, gdy beton pod jego stopami także zaczął pękać. Potem dostrzegł przestrzeń w głębi powstającego otworu. Nie był to zbyt przyjemny widok. Piętro niżej pośród gruzów leżał zmasakrowany komandos.

Dominic robił szaleńcze uniki, próbując uskoczyć przed kolejnymi fragmentami stropu i równocześnie nie dając się pochłonać podłodze, która dybała na jego życie. Mógł się jednak tylko cofać w kierunku okna. Miał nadzieję, że silnik zdążył się już oddalić, ale gigantyczna maszyna wciąż blokowała całe pole widzenia. Mimo wielu uszkodzeń, jakie odniosła konstrukcja dyszy, jej wnętrze było teraz jedynym w miarę stabilnym i bezpiecznym miejscem.

Rzucił się więc desperacko w głąb osłony silnika numer trzy dokładnie w chwili, gdy pomieszczenie za jego plecami zmieniało się w chmurę betonowego pyłu i odłamków. Walnął o wewnętrzną powierzchnię dyszy z taką siłą, że pociemniało mu w oczach. Część gruzu po zderzeniu także posypała się w tym kierunku, waląc go po plecach i pozbawiając oddechu.

Wczepiwszy się palcami mechanicznej dłoni w siatkę elektromagnetyczną, Dom błagał tylko o jedno: by pilot okrętu nie odpalił głównego napędu w najbliższym czasie. Dopiero potem pozwolił sobie na chwilową utratę przytomności.

\*\*\*

Zdziwił się, że dane mu było dojść do siebie.

Kiedy się ocknął, od razu poczuł piekielny ból promieniujący z lewej ręki i pleców. Szybki skan diagnostyczny uspokoił go, na razie nie miał żadnych nieodwracalnych uszkodzeń ani ran. To jednak nie uśmierzyło bólu. Coś ciężkiego leżało mu na plecach, przyspilałając go mocno do powierzchni dyszy.

Przed sobą widział tylko siatkę elektromagnetyczną. Nie mógł nawet odwrócić głowy, by sprawdzić, co go przygniata. To coś unieruchomiło go od barków w dół. Na szczęście okręt już się nie poruszał.

Dominic uwolnił lewą dłoń. Nie musiał jej wpijać w obudowę dyszy, skoro coś trzymało go w miejscu. A gdy rozwarł palce, spróbował odwrócić głowę.

- Cholera! - zawył z bólu.

Nagle zdał sobie sprawę z zagrożenia. Gdziekolwiek Krwawy Przyływ wylądował, tam natychmiast pojawiają się komandosi. A on nie mógł się ruszyć z tego miejsca i był kompletnie bezbronny.

Uspokoił się, tłumiąc ból. Miał nadzieję, że nikt nie usłyszał jego niedawnych złorzeczeń. Na próżno. Chwilę później zza pleców, z głębi gardzieli silnika doszedł go jakiś ruch.

Dominic zapomniał o bólu - zdawał sobie sprawę, że jeśli nawet ma złamany metalowy kręgosłup, lekarze bez trudu zastąpią go nowym - i obrócił głowę, by spojrzeć w głąb dyszy.

W końcu zobaczył, co go przyciska: wielki, długi na dziesięć metrów i szeroki na dwa kawał betonu wzmocnionego włóknem policeramicznym. A sam silnik, ku jego zdziwieniu, był zapchany drewnem. Pełno w nim było pourywanych konarów.

Na jego oczach wielki pień z purpurowo-pomarańczowym listowiem zaczął się zsuwać po skośnej powierzchni metalu. Zaraz po nim ruszył drugi. W dwumetrowej szczelinie pomiędzy nimi pojawił się... Mosasa.

- Co tu się stało, u licha? - zapytał Dom.

Tjalele zdołał odpowiedzieć na pytanie, gdy uwalniał go i przenosił do pojazdu Ivora czekającego w pobliżu, by ewakuować resztę załogi, zanim pojawi się Klaus ze swoimi pomagierami.

Mosasa opowiedział o przebiegu wydarzeń na pokładzie Krwawego Przyływu. Uwięziony w przedziale pomocniczego rdzenia, nie mając innej drogi ucieczki, wspinał się do kanału systemu pomocniczego napędu antygrawitacyjnego, skąd mógł kontrolować generatory. Polecieli na ślepo, kierując się na północ, gdzie lądowali awaryjnie u stóp jednego z zalesionych wzgórz opodal Gór Diderota.

Ivor dotarł na miejsce lądowania po kilku sekundach. Jego pojazd był gotowy do ruszenia na rozkaz Doma, a lecącego zakosami transportowca trudno było nie zauważyć.

Gdy Mosasa - prezentując siłę, jakiej Magnus nigdy by się po nim nie spodziewał - zrzucił z jego pleców potężną bryłę betonu, padło pytanie o pozostałych członków zespołu.

Ta wiadomość nie była już tak dobra. Mimo że Losowy zdołał zniszczyć zamki wszystkich grodzi na okręcie, piątka komandosów obecnych na pokładzie zastawiła pułapkę na intruzów. Shane załatwiła ich, gdy przebili się przez właz, ale przypłaciła to ciężkimi ranami, gdyż strumień plazmy odbił się od ścian ciasnego korytarza i wrócił do pomieszczenia z rdzeniem pomocniczym. System podtrzymywania życia jej zbroi z trudem wywiązywał się ze swojego zadania. Ivor czekał już, by ewakuować ją do Godwina.

- Ciebie też musi obejrzeć jakiś lekarz - stwierdził Tjalele, znosząc Doma z dyszy silnika.

Magnus pokręcił głową.

- Nie możemy ryzykować jazdy do miasta. Zobaczyliby nas. Jeśli jesteśmy na północ od kompleksu GA&A, możemy dotrzeć niezauważeni do naszej komuny. Mamy tam automaty medyczne.



Mosasa położył mu dłoń na ramieniu.

- Ty nic nie wiesz. Klaus...

- Wiem, co zrobił Klaus. - Dominic spojrział mu w oczy. - Ruszajmy do komuny.

Tjaele popatrzył na niego tylko i skinął głową.

Chociaż ich skok zakończył się tragicznie, dopięli swego. Wszystko zadziało jak trzeba, mimo że nie obyło się bez strat.

A co najważniejsze, analizując przebieg wypadków, Klaus może dojść do wniosku, że wszyscy zginęli.

## EPILOG

# WSKAŹNIKI EKONOMICZNE

„Jestem wolny i dlatego tak zagubiony”.

Franz Kafka (1883-1924)

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

# KOSZTY ZAMKNIĘCIA

„Nikt nie bywa tak irytujący jak potencjalny kochanek”.

*Księga mądrości cynika*

„Jesteś bezpieczniejszy, gdy ludzie

bardziej lękają się ciebie, niż cię uwielbiają”.

Niccolo Machiavelli (1496-1527)

Kropotkin zniknął za horyzontem na zachodzie. Niebo ciemniało z każdą chwilą, z krwistoczerwonego zrobiło się fioletowe, aby chwilę później zszarzeć. Pod granią, na której stała Tetsami, rozciągał się połyskujący brązami i czernią Godwin. Miasto wyglądało jak kupka boskiego kompostu przerabianego przez insekty zwane ludźmi. Z tego miejsca hakerka mogła dostrzec zarysy kompleksu GA&A i bliźnię, jaką wyrył w okolicznych lasach lądujący Krwawy Przypływ, nie wspominając już o kraterze, w który zamieniła się pobliska dolina po orbitalnym ataku Klause.

„Koniec”, pomyślała.

To jedno słowo zawierało w sobie tak wiele treści. Wiele by dała za to, by ktoś jej powiedział, czy spieprzyła robotę. A może mimo wszystko nie?

„Nie?”

Wzruszyła ramionami i zadrżała na całym ciele. Tu, na górze, było tak zimno, że wydechane powietrze zamieniało się w obłoczki pary.

Jakimś cudem udało im się ujść przeznaczeniu. Z wyjątkiem Levy'ego, rzecz jasna...

- Biedny pieprzony Johann - wyszeptała.

Potrzebowała kilku dni, aby poukładać sobie chronologię wydarzeń tego feralnego kwadransa. Mimo to nadal nie rozumiała wszystkiego i szczerze mówiąc, nie była pewna, czy chciałaby zrozumieć. Wiedziała jedno - pułkownik Dacham przegrał ostatnie starcie i kto wie, czy nie przypłacił go życiem.

Dominic zdołał przechytryć swojego brata.

Zrobił to we właściwym mu cynicznym i bezdusznym stylu.

Zwłaszcza ona mogła wiele na ten temat powiedzieć.

„Dlaczego nie pisał nikomu z nas, że Klaus jest jego bratem? - Ta myśl tak ją sfrustrowała, że nie potrafiła się powstrzymać od walnięcia pięścią w udo. - Dlaczego nie poinformował nas o przygotowaniach poczynionych w komunie? Dlaczego nie zdradził, że Levy może sypanąć...?”

Rozpychająca jej wnętrzności kula ognia powiększała się z każdym zadawanym pytaniem. A większość gniewu Tetsami kierowała na swojego „wspólnika” Doma.

Magnus przewidział możliwość przeprowadzenia ataku na jego komunę. I przygotował się na taką ewentualność. Zanim nastąpiło bombardowanie, większość jego ludzi zdążyła zejść do tuneli rozciągających się wokół podziemnego kompleksu. Pojawienie się drony zwiadowczej Klause ostrzegło personel naziemny i dało czas na ewakuację do specjalnie przystosowanych jaskiń. Zabudowania komuny zostały obrócone w perzynę, ale tylko jedna osoba poniosła śmierć w wyniku tego ataku, a kilkadziesiąt innych odniosło rany, gdy strop którejś z mniej stabilnych grot uległ częściowemu zawaleniu pod wpływem wstrząsu.

Tetsami znenawidziła Doma - choć tak naprawdę nie do końca - za to, że nie powiedział nikomu, a zwłaszcza jej, o swoich przygotowaniach.

Patrzenie na zagładę komuny, gdy nie miała pojęcia o prawdzie, było takie...

Samo wspomnienie tego momentu sprawiało, że miała ochotę zwymiotować, zawyć albo zabić kogoś.

Spodziewała się spotkania na masowym grobie, a tymczasem trafiła do tętniących życiem korytarzy i jaskiń, które personel GA&A przystosowywał do zamieszkania. Zanim doszło do uderzenia, przeniesiono tutaj stacje medyczne, ogrody hydroponiczne i całą masę sprzętu zabranego z górnych poziomów.

Magnus mógł jej o tym powiedzieć, mógł jej zaufać.

Gorsza sprawa z Johannem Levym. Chciałaby uwierzyć w to, że Dom dowiedział się o jego zdradzie dopiero po fakcie. Nie potrafiła się jednak powstrzymać od myśli, że biedny księgarz także był częścią skalkulowanej na zimno manipulacji. To poczucie narastało w niej z każdą chwilą od zakończenia akcji.

„I nie chodzi mi o to, że nasz skok miał być całkowicie bezpieczny. To jasne, że chciałabym, aby nikt po obu stronach nie doznał żadnej krzywdy. Ale nadzieja na to, że da się wykonać tak skomplikowany skok, nie narażając nikogo na szwank, zakrawa na szaleństwo. Wiesz o tym przecież?”.

Tetsami gapiała się na rozległe połączenie Godwina, zmuszając się do przyznania przed samą sobą, na czym polega naprawdę problem.

To był jej pomysł, jej plan i ona dowodziła operacją - choć nie była na to jeszcze gotowa. Nie była gotowa wysłać ludzi do akcji, w której mogli zginąć albo odnieść rany. Nie była gotowa na to, co spotkało Shane.

Dominic dysponował najnowocześniejszymi automedami, które przezornie przeniesiono do jaskiń, lecz i one potrafiły tylko ustabilizować jej stan. Shane straciła sporą część dolnych partii ciała, nie mogła oddychać bez respiratora ani - na całe szczęście - odzyskać przytomności.

Była teraz gdzieś tam, w Godwinie. Ivor przemycił ją do Infrastruktury Komórkowej, aby przeprowadzono gruntowną rekonstrukcję jej organizmu, ale kwestia, czy uda się ją uratować, wciąż pozostawała w sferze niewiadomych.

Mosasa i Losowy wyszli z tego incydentu nietknięci, lecz to akurat pogłębiło tylko awersję, jaką Tetsami czuła do sztucznej inteligencji i jej opiekuna.

Oprócz Shane w starciu poległo pięciu komandosów z Krwawego Przyływu - zginęli, bo stali na drodze strumienia plazmy po jej wystrzeleniu. Ten sam strumień po odbiciu dosięgnął także Kathy.

Do tego należy dodać tych, którzy stracili życie w biurówcu, gdy okręt startował, oraz ofiary Levy'ego zastrzelone podczas desperackiej próby zamachu na Klause. No i księgarza-rewolucjonistę, wątpiła bowiem, by przeżył.

Im bardziej zagłębiała się w ten temat, tym więcej zwłok pojawiała się w polu widzenia.

„Czy powinnam doliczyć tych trzech snajperów, których musiałam zabić na placu budowy?”

To było takie straszne, takie brutalne. Nie miało przy tym nic wspólnego z

oczyszczaniem wirtualnego świata, czym zajmowała się do niedawna. Tam wprowadzie także istniało ryzyko, ale o ileż mniejsze. Mogła mieć na rękach wyłącznie własną krew. Nie musiała w nikogo mierzyć z broni. Nikt nie strzelał do niej.

Tetsami przeczesła włosy palcami, zastanawiając się, co powinna zrobić z dalszym życiem.

Mogła się wycofać, to nie ulegało wątpliwości. Mogła spieniężyć swój udział w łupie - czyli dwadzieścia megagramów, a większej sumy pieniędzy nie widziała w całym dotychczasowym życiu - pożegnać Bakunina i znaleźć sobie jakieś bardziej cywilizowane miejsce do życia. Mogła nawet polecieć na Ziemię.

Ta myśl powinna ją ucieszyć, niemniej ilekroć zaczynała rozważać możliwości, Pograżała się w bezgranicznym smutku.

- Co za okropna planeta! - wrzasnęła w przepaść.

- Racja - powiedział ktoś za jej plecami - ale ma też kilka niezaprzeczalnych zalet.

- Witaj, Dominicu - rzuciła, nie odwracając się nawet.

- Szukałem cię. Ludzie ciągle mi się gubią w tych jaskiniach.

- Chciałabym się zgubić.

Usłyszała, jak Magnus podchodzi i staje obok niej.

- Piękny widok.

- Raczej gówniany. - Obróciła się twarzą do niego. Spoglądał na panoramę Godwina. -

Czego chcesz?

- Podziękować ci...

- Nie ma za co. - Poczowała suchość w ustach, gdy wypowiadała te słowa. Zawarta w nich ironia zabrzmiała dziwnie ostro w jej uszach.

- ...i dać ci to. - Pokazał plastikową kopertę.

Tetsami przyjęła ją i otworzyła. We wnętrzu znajdowały się kilogramowe banknoty sygnowane przez KUKiAS. Pięćdziesiąt. Spoglądała na tę gotówkę, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Tyle byłem ci winny. Oprócz części łupu, rzecz jasna.

Tetsami z trudem się powstrzymała, by nie rzucić w przepaść zawartości koperty. Miała ochotę wrzeszczeć, płakać, biegać w kółko, wrywać sobie włosy...

„Zrobię wszystko, byle tylko zwrócił na mnie uwagę”.

- Dominic, ty nieczuły draniu. - Spojrzał na nią. Pozbawiona wyrazu twarz rozwścieczyła ją jeszcze bardziej. - Czy te sztuczne oczy pozwalają ci dostrzec w nas ludzi? A może jesteśmy dla ciebie tylko dziwacznymi chodzącymi transakcjami?

W końcu ujrzała zdziwienie na jego twarzy.

Zmiała plik banknotów i wetknęła mu je za koszulę.

- Możesz je sobie zatrzymać! I tak nie dostarczyłam wam danych z Bleek. A poza tym...

Magnus zerkał na koszulę, wyglądając przy tym na cudownie zagubionego.

- Poza tym co?

Tetsami oburącz chwyciła jego twarz, przechyliła ją lekko na bok i pocałowała go; dziko, gorąco. Wpiła się w jego usta tak mocno, że przez moment wydawało jej się, iż czuje krew na języku. Jej, jego, to akurat miało najmniejsze znaczenie. Gdy odsunęła się w końcu, rzuciła jeszcze:

- Przemyśl to sobie, dupku.

Zostawiła go samego na skalnej grani, gdy w dali zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY PROPAGANDA ZWYCIĘSTWA**

„Gdy opanujesz trudną sztukę oszukiwania siebie,  
zwodzenie innych przestanie być problemem”.

*Księga mądrości cynika*

„Nikt tak dobrze nie rozpowszechnia kłamstw  
jak człowiek, który w nie wierzy”.

John Arbuthnot (1667-1735)

- Wiem, że krąży wiele pogłosek o tym, jacy jesteśmy słabi.

Klaus przeniósł wzrok na zaimprovizowany plac apelowy. Miał przed sobą to samo lądowisko kompleksu, ale teraz, gdy otrzymali nowe komputery i odtworzyli niezależne źródła zasilania, nie potrzebowali już Krwawego Przyływu i jego tarcz energetycznych do dalszej ochrony GA&A. Po odbudowaniu wszystkich wież perymetru transportowiec mógł spocząć na nowej płycie startowej, nieco dalej na wschód od kompleksu, obok swojej bliźniaczej jednostki, jaką był Shaftsbury.

Teraz, gdy okręt został stąd zabrany, pułkownik mógł bez przeszkód przemawiać do podwładnych. Kiedy na powierzchnię dotarła ostatnia część kontyngentu przywiezionego na pokładzie drugiej jednostki, Klaus dysponował ponad dwoma tysiącami cywilnych

pracowników oraz setką komandosów. Od „incydentu”, jak nazwał to, co się stało, minęły trzy dni. Dacham stanął przed swoimi ludźmi czekającymi na niego w niezręcznej ciszy. Umieścił trybunę, z której przemawiał, pomiędzy dwiema podstawami uszkodzonego biurowca. Ktoś mógłby zakwestionować sens stawania na tle ruin budowli, którą zdewastował porwany Krwawy Przyływ. Pamięć o sześciu komandosach uznanych za zabitych i pięciu rannych wciąż jeszcze była żywa. Nie mówiąc już o ofiarach wśród pracowników cywilnych.

Cisza się przeciągała.

Ktoś inny dostrzegłby złość i gniew zebranych ludzi, a także upadające morale. Ktoś inny mógłby się tego przelęknąć.

Klaus jednak nie czuł strachu. Złość była pożądana. Gniew można było wykorzystać. Nie należało od niego uciekać. Wręcz przeciwnie...

Gniew był darem od Boga.

Klaus przyjrzał się ludziom stojącym w pierwszym szeregu, po czym zatoczył szeroki krąg lewą ręką. Prawa wciąż była unieruchomiona po trafieniu przez snajpera strzelającego z wieży kontroli lotów.

- Spójrzcie tylko. Zostaliśmy napadnięci przez terrorystów z Bakunina, przez anarchistów, którzy pragnęli nas zniszczyć. Popatrzcie wokół siebie i odpowiedzcie sobie na jedno pytanie: czy udało im się nas pokonać?

„Najpierw rzuć im w twarz oczywistą prawdę”. Klaus potoczył wzrokiem po placu, wczuwając się w nastrój tego tłumu.

- Wiecie, co ci terroryści chcieli zrobić? - Skąd mogliby wiedzieć? Klaus natychmiast utajnił informacje o włamaniu do podziemnych magazynów. Tylko kilka osób z jego najbliższego otoczenia wiedziało o istnieniu tunelu kolejki podziemnej. Tego samego, który krótko po ataku został w sekrecie wysadzony. - Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby zdołali odpalić główny napęd Krwawego Przyływu, jednocześnie destabilizując generatory antygravitacji. - Uśmiechnął się. Sporą część audytorium już miał w kieszeni. Znacząca większość cywili miała wykształcenie techniczne. Oni wiedzieli, o czym mówił. Aby przekonać resztę, dodał jeszcze: - Gdyby do tego doszło, nie patrzylibyście teraz na ruiny budynku za moimi plecami. Widzielibyście zeszlony rów długości kilometra wybiegający z krateru mającego sto metrów głębokości.

Czuł, jak gniew zalewa ich niczym fala przyływu. Powoli, lecz nieubłaganie. Jeśli zostanie odpowiednio użyty, nie przeminie. Coraz trudniej było mu kryć własne kalectwa, lecz pomyślał: pieprzyć tę ranę. Medycy dadzą sobie z nią radę. Uniósł prawą rękę, czując,

jak ból wyzwała dodatkowe pokłady adrenaliny.

- Czy zapobieżenie takiej katastrofie można nazwać porażką? Pięciu komandosów poległo na pokładzie Krwawego Przyływu, by do tego nie dopuścić. Terrorysty dostali się do generatora, ale tam powstrzymali ich wasi towarzysze broni za cenę własnego życia. Transportowiec odleciał z uszkodzonym napędem antygrawitacyjnym, od katastrofy jednak dzielił nas tylko włos! - Może przesadził z tym dramatyzowaniem, lecz dźwięk własnego głosu w megafonach działał na niego jak najmocniejszy narkotyk. - Gdyby nie moje źródła i tych pięciu odważnych ludzi, nie moglibyśmy rozpocząć drugiego etapu naszej operacji. Wszyscy zginęlibyśmy na posterunku.

Klaus się uśmiechnął.

Czas pozbyć się brzemienia reszty problemów.

- Czy to nie ciekawe, że między nami byli tacy, którzy pragnęli tej porażki? - Odpowiedziała mu cisza. Pozwolił na nią, by ta prawda wryła im się głębiej w pamięć. Ale ta przerwa miała jeszcze jeden cel prócz podniesienia dramatyzmu. Była znakiem dla lojalistów. - Czy to nie ciekawe, że wartowniczka pilnująca perymetru zniknęła jak kamfora? Czy to nie ciekawe, że logi transpondera wskazują, że była ostatnią osobą, która weszła na pokład Krwawego Przyływu? Czy to nie ciekawe, że ta osoba była podwładną Kathy Shane, zdrajczynie, dzięki której zbiegło ponad ośmiuset jeńców? Czy to nie ciekawe, że sam omal nie zostałem zabity przez snajpera strzelającego ze szczytu wieży kontroli lotów? - Wszyscy jego ludzie znaleźli się już na wyznaczonych pozycjach wśród milczącego tłumu. - Powinno być jasne dla każdego, nawet bez danych, jakie otrzymałem od moich agentów, że wśród nas, w tych szeregach, są sympatycy tutejszych anarchistów. Zdrajcy, którzy byli z nami od samego początku. Pułapka zastawiona na pokładzie Krwawego Przyływu miała jeszcze jeden cel: czyli ich ujawnienie.

To był sygnał dla lojalistów, rozkaz aresztowania ponad dwudziestu ludzi stojących na tym placu. Pozostali spoglądali w milczeniu, jak członkowie służby bezpieczeństwa wywlekają z tłumu dwadzieścia cztery osoby.

Dwadzieścia cztery problemy rozwiązane w jednej chwili.

- Spójrzcie na nich! Dwa tuziny skrytobójców czekających tylko na okazję, żeby zabić nas wszystkich. Każdy z nich z rozkoszą oddałby życie za to, by ten kompleks zniknął z powierzchni Bakunina. Na szczęście odkryli się i ujawnili, a teraz sami zobaczycie, jakimi są tchórzami.

Wszyscy bez wyjątku wierzgali i krzyczeli, gdy wywlekano ich z tłumu i ciągnięto w stronę apartamentowca. Jeden z nich, kapral Conner, płakał rzewnymi łzami.

I wszyscy jak jeden mąż wypierali się winy.

Klaus wszakże mógłby się założyć, że nikt w tłumie nie wierzy w te zapewnienia. I że nikt nie kiwnie palcem w ich sprawie - ponieważ każdego, kto odważyłby się to zrobić, czekałby ten sam los.

Dacham podjął przemowę dopiero po dłuższej chwili, gdy ucichły ostatnie krzyki.

- Nie jesteśmy teraz słabsi. Wyszliśmy z tego starcia silniejsi. Nie zostaliśmy pokonani. Zwyciężyliśmy. To nie nasz koniec, tylko początek. Rozejrzyjcie się wokół. Przyszłość należy do nas. Bakunin należy do nas. Nikt nas już nie powstrzyma!

Przemawiał w tym tonie jeszcze przez czterdzieści minut. A gdy opuszczał trybunę, żegnano go owacjami na stojąco.

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY**

### **DOPUSZCZALNE ZAPRZECZENIA**

„Najbardziej wierzą w siebie ci,  
którzy najmniej o sobie wiedzą”.

*Księga mądrości cynika*

„Byłem zawsze zdania, że rewolucje są nieuniknione”.

Benjamin Disraeli (1804-1881)

Sim Vashniya uwielbiał Ziemię. Lubił jej błękitne niebo, wolne od pyłów powietrze i niską grawitację, dzięki której czuł się lekki jak piórko. Radowało go jednak nie tylko środowisko tej planety, ale także sukcesy w realizacji planów. Wszystko szło doskonale.

Z tego też powodu miał spore problemy z zachowaniem powagi, której wymagał ten moment. Musiał opuścić głowę, by jego rozmówca nie dostrzegł uśmiechu.

- O co ty mnie prosisz? - zapytał.

Nie miał powodu, by nie lubić Dimitrija. Stary Rosjanin był kolejnym zawodowcem, który próbował wykonywać swoją pracę. A mimo to Vashniya miał spory problem z zachowaniem przy nim dobrego humoru, co do tej pory zdarzało się niezwykle rzadko. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł także irytację.

Siedzieli tylko we dwójkę w gabinecie Dimitrija. Otaczały ich skały i fundamenty wieży Konfederacji. Utknęli w samym środku biurokratycznej maszyny, dosłownie i w przenośni.

- Wolałbym usłyszeć bardziej bezpośrednią odpowiedź.



Dimitrij wyglądał na zmęczonego. Vashniya wiedział dlaczego, ale nie zamierzał się litować nad starym szefem Rady. Co dekadę, gdy zbliżały się kolejne obrady Kongresu, wszystkie wywiady wpadały w szal pracy. Tak jednak musiało być. Woda jest mokra, kosmos wypełnia próżnia, a politycy raz na dziesięć lat muszą osiągnąć masę krytyczną.

Dlatego Dimitrij nie miał czym wytłumaczyć tego braku subtelności.

- Chcesz, abym się ukorzył i przyznał do tych wszystkich wymyślonych zbrodni Protektoratu Indi?

Dimitrij potarł czoło.

- Nie oskarżam cię o nic.

- Cieszy mnie to.

- Nie możesz jednak zaprzeczyć temu, co zaszło na Marsie.

- Niczemu nie zaprzeczam, niczego nie potwierdzam.

Dimitrij walnął pięścią w blat biurka.

- Do licha! Stosuję te gierki dwa razy dłużej, niż ty żyjesz. To ja mam przewodzić aparatem służby bezpieczeństwa całej Konfederacji.

Vashniya wstał. Poczuł, że uśmiech znika mu z twarzy.

- Dziękuję za zaproszenie, ale chyba już pora na mnie.

Olmanow opadł ciężko na fotel.

- Przepraszam. Wybacz mi ten wybuch gniewu.

- Wątpię, abyśmy mieli o czym rozmawiać.

- Nadal tego nie rozumiesz? Moim zadaniem jest utrzymanie Konfederacji w całości.

Równowaga sił wciąż jest bardzo krucha, dlatego muszę wiedzieć o każdej zmianie w strukturach władzy.

Vashniya nie usiadł, uśmiech także nie wrócił na jego usta.

- A na czym miałyby polegać te zmiany? - Nie starał się nawet ukryć ironicznego tonu.

- Obaj wiemy o ewentualnej promocji pewnych planet, która może mieć miejsce podczas następnego posiedzenia Kongresu. Zwłaszcza że uzyskałeś w końcu poparcie Siedmiu Światów...

- Rozumiem. Być może z twojego fotela każda taka zmiana władzy oznacza destabilizację i potencjalne zagrożenie.

Dimitrij potaknął.

- I to by było tyle w kwestii tak zwanej niepodległości ZRW. - Vashniya westchnął ciężko. - Właśnie potwierdziłeś domysł, że jesteś tylko kolejnym agentem interesów Syriusza

i Alfya Centauri.

- A ty nie pomyślałeś nigdy, że każda tak znacząca zmiana w Konfederacji może mieć fatalne skutki?

- Każdy, kto jest u władzy, obawia się zmian.

- Nie twierdzę, że obecny system jest idealny, niemniej mamy do czynienia z procederem... - Vashniya ruszył w kierunku drzwi.

- Zdecydowanie odrzucam sugestię, jakoby Ludowy Protektorat zamierzał pogwałcić zapisy Statutu. Jeśli zasugerujesz to raz jeszcze, złożę oficjalny protest.

- Przecież ci powiedziałem, że nie zamierzam cię o nic oskarżać. Możesz usiąść i posłuchać mnie choć przez minutę?

Vashniya wrócił na fotel. Porzucił gniewne myśli, przez co uspokoił się odrobinę. Twarz także miał już mniej zachmurzoną.

- Być może rzeczywiście przesadnie zareagowałem na twoje słowa. Proszę cię jednak, załatwmy tę sprawę szybko. Obaj jesteśmy bardzo zajętymi ludźmi. Pytaj mnie o rzeczy, o których mogę i chcę mówić.

- W porządku. Nie będę wchodził w konkrety, ale powiedz mi, Sim, ponieważ to ja będę musiał po tym wszystkim sprzątać: czy mam się czego obawiać?

Vashniya oparł się wygodniej, gdy poczuł, że uśmiech ponownie rozkwita na jego twarzy.

- Niewykluczone, Dimitriju. Niewykluczone, że powinieneś się obawiać.

\*\*\*

Sim Vashniya odzyskał dobre samopoczucie, zanim dotarł do konsulatu Indi. Mimo tak wielkiego oddalenia od Sziwy miał jeszcze sporo czasu na zajęcie się bardziej przyjemnymi sprawami.

Jedną z nich była ocena operacji przeprowadzonej na Ziemi przez wywiad Protektoratu. Osiągnęli całkiem niezłe wyniki, chociaż mieszkańcy mogli mieć im za złe, iż zostali pokonani przez kogoś, kto nie był Chińczykiem...

Rasizm go denerwował, więc natychmiast odsunął od siebie tę myśl.

Konsulat był częścią kompleksu dyplomatycznego, który rozciągał się u stóp wieży Konfederacji. Zabudowania poszczególnych misji rozlokowano w wielkim parku, w układzie reprezentującym rozmieszczenie poszczególnych planet bądź ich grup. Każda siedziba stała na skrawku ziemi należącym do rządu, który reprezentowała - z tego też powodu żadna frakcja nie mogła zajmować pomieszczeń wewnątrz wieży. Mimo że gigantyczna budowla bez trudu pomieściłaby wszystkie przedstawicielstwa, podobnie jak pomieściła

biurokratyczny aparat rządu kierującego Konfederacją.

Jedyną planetą, której przedstawicielstwo dyplomatyczne mieściło się w tym niebotycznym wieżowcu, była Ziemia.

Główny konsulat Indi otaczało dwanaście mniejszych placówek, w których mieszkali dyplomaci reprezentujący poszczególne planety członkowskie Protektoratu. Ale ciężko było powiedzieć, ile ich tam naprawdę się mieściło. Głównie za sprawą bujnej roślinności. Gdyby Vashniya nie zboczył ze ścieżki, mógłby przejść pomiędzy oddalonymi od siebie o dwadzieścia metrów zabudowaniami, widząc jedynie krzewy, drzewa i od czasu do czasu staw.

Z tego też powodu nie dostrzegł czekającego nań człowieka, dopóki na niego nie wpadł.

Przekraczał właśnie bogato zdobiony kamienny mostek, który prowadził na główny dziedziniec konsulatu, gdy usłyszał:

- Pan Vashniya?

Obrócił się i dostrzegł podejrzanie wyglądającego mężczyznę wychodzącego z gęstwiny. Wydawać się mogło, że człowiek ten pojawił się znikąd, więc pierwszą myślą Sima było, że ktoś zastawił na niego pułapkę. Wrażenie to jednak szybko prysnęło. W okolicznych zaroślach kryło się więcej systemów zabezpieczeń niż w jakimkolwiek innym miejscu planety. Gdyby ten człowiek był niebezpieczny, nie zbliżyłby się na kilometr do tego miejsca.

- Tak? - odpowiedział Vashniya.

- Słyszałem, że może mi pan pomóc.

Teraz, gdy Sim przyjrzał się uważniej podchodzącemu mężczyźnie, zaczął znowu wątpić. Człowiek ten miał niepewny krok, jak ktoś, kto dopiero przybył i nie przyzwyczyił się jeszcze do tutejszej grawitacji. „Jest tutaj cięższy niż u siebie”, pomyślał. Włosy przybysza wyblakły na skutek silnego promieniowania UV, ale na jego skórze nie było widać śladów po oparzeniach. A ubranie wyglądało na nowe, zupełnie nowe.

Zagadkowy przybysz z przestrzeni.

- Czym mogę służyć?

Gdy mężczyzna podniósł rękę, by przeczesać włosy, Vashniya dostrzegł, że jest biomechaniczna, aczkolwiek niewyszukana, zdołała ją liczne blizny i wgłębienia. Mocno kontrastowała z postawą, jaką próbował przybrać przybysz. Człowiek ten musiał zauważyć wzrok Sima, szybko bowiem ukrył dłoń w kieszeni.

- Nie ma tutaj placówek Siedmiu Światów.

Vashniya przytaknął.

- Obawiam się, że utrzymują tylko jedną ambasadę poza swoim terytorium, na Mazimbie.

- Ale delegatka Tau Ceti przybyła tutaj, by uczestniczyć w Kongresie.

- Dokładniej rzecz ujmując, jest obywatelką Grimalkina.

- Chciałbym z nią porozmawiać.

Sim zaśmiał się pod nosem.

- Nie jestem jej sekretarzem. Nie umawiam spotkań innych dyplomatów. Musi pan porozmawiać z kimś od niej.

Przybysz wyglądał na poirytowanego.

- Gdybym wiedział, gdzie ją znaleźć, na pewno bym to zrobił.

- Aha, rozumiem już, na czym polega pański problem.

- Powie mi pan, gdzie mogę ją znaleźć?

- Dlaczego miałbym to zrobić?

Mężczyzna wahał się tylko przez ułamek sekundy, ale nie uszło to uwagi Vashniyi.

- Szukam krewnych z Dakoty.

Kłamał, lecz Sim uznał, że nic mu do tego. O takie rzeczy mógłby zapytać Hernandez, o ile rzeczywiście chciałby się z nią spotkać.

- Francesca Hernandez mieszka w hotelu Victoria. Mogą do niej zadzwonić z recepcji. Jeśli zechce, porozmawia z panem.

- Dziękuję.

Gdy mężczyzna odwrócił się, by odejść, Vashniya dodał jeszcze:

- Proszę się przygotować na spotkanie z nieczłowiekiem.

Przybysz zerknął na niego, unosząc metalowe ramię.

- W pewnym sensie ja również nim jestem, panie Vashniya.

- A właściwie jak pan się nazywa?

- Jonah, na imię mam Jonah - odpowiedział mężczyzna po chwili wahania, po czym zniknął w zaroślach tak nagle, jak się pojawił.

Sim stał na mostku i gapił się w to miejsce jeszcze przez dłuższą chwilę.

„Jakiż to błahy incydent”, pomyślał.

Wrócił do swoich obowiązków, lecz mimo usilnych prób nie potrafił zapomnieć o tym „trywialnym” spotkaniu. O nim i o zdaniu, którym uraczył Dimitrija: „Każdy, kto jest u władzy, obawia się zmian”.

On, rzecz jasna, nie musiał się niczego obawiać. Miał pełną kontrolę nad siłami, które zamierzał uwolnić. Z jakiegoś irracjonalnego powodu spotkanie z Jonahem pozbawiało go tej

pewności. Nie rozumiał jednak dlaczego.